

ZESZYT TRZYDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1974

ZESZYT TRZYDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1974

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 250



P.12056 II egz.

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

DZIEJE POLONII CHARBIŃSKIEJ

Polonia charbińska jest określeniem nie ścisłym, bo Polacy byli rozproszeni po całej Mandżurii i innych Prowincjach Chin. Największe, zorganizowane skupisko polskie było w mieście Charbinie. Polacy zamieszkiwali też stacje kolejowe położone wzdłuż Kolei Wschodnio-Chińskiej. Na wschód od Charbina, w Aszyche, Polacy wybudowali cukrownię. Kierownictwo i fachowcy byli Polakami. Pisząc o Polonii charbińskiej należy sięgnąć do założenia samego miasta Charbin oraz budowy Kolei Wschodnio-Chińskiej. Wielu wykształconych Polaków było wśród założycieli i budowniczych tej ogromnej i ważnej inwestycji jaką była kolej. Miała ona kluczowe znaczenie w rozwoju całego kraju mandżurskiego zasobnego w bogactwa naturalne.

Rosja carska wytrwale dążyła do rozszerzenia swych granic przez zajęcie północnych prowincji Chin, a przede wszystkim chodziło o Mongolię i Mandżurię. Pod pretekstem niewinnych ekspedycji (handlowych, naukowych czy dyplomatycznych) zbierała na razie potrzebne plany i informacje. Jedną z takich „ekspedycji” była podróż rosyjskiego statku „Ussuri” w roku 1864 w głąb Mandżurii. Pod pretekstem wręczenia listu gratulacyjnego gubernatorowi w Girinie — rosyjski generał Korsakow popłynął w górę rzeki Sungari. Na pokładzie „Ussuri” byli oficerowie z Korpusu Topografów w ubraniach cywilnych. Była też eskorta ubranych po cywilnemu żołnierzy oraz ukryta broń. „Ussuri” był pierwszym wielkim parowcem, który ukazał się na wodach Mandżurii. Rosyjski minister Witte zaplanował budowę wschodniochińskiej kolei jako pierwszy etap ekspansji rosyjskiej w Mandżurii. Rosjanie zawarli układ z jednym z ówczesnych władców chińskich Li-Hung-Chanem. Za trzy miliony złotych rubli Rosjanie mieli prawo na budowę kolei w Mandżurii, na warunkach bardzo korzystnych dla Rosji.

Kiedy już Rosja rozpoczęła budowę kolei i wojska rosyjskie mocno usadowiły się w Mandżurii — z wypłaceniem obiecanych milionów rubli rząd rosyjski zwlekał. Po kilkuletnich zabiegach — car Aleksander III kazał wypłacić Chińczykom tylko jeden milion rubli.

Plan trasy kolei ustalono w kilku wersjach. Były trudności z dotarciem do niedostępnej mandżurskiej tajgi, zwanej Szu-Chaj. W roku 1897 wyruszyły z Władywostoku ekspedycje techniczne dla wytyczenia ostatecznej trasy. Kierownikiem ekspedycji był inż. Adam Szydłowski, technicy: Wysocki, Raweński i Popow. Eskortę stanowili Kubańscy kozacy pod kierownictwem rotmistrza Pawlewskiego. Podróż wozami i konno była ciężka i niebezpieczna. Gęsta miejscami niedostępna tajga roiła się od dzikich zwierząt i Chunchuzów (zbójce grasujący w tajdze). W pierwszym punkcie, gdzie później powstał Charbin — w roku 1898 stanęła ekspedycja A. Szydłowskiego. Tereny były zalane wodą ale bliskość szerokiej rzeki Sungari rokowała rozwój miasta. Toteż na prawym brzegu Sungari bardzo szybko powstało rozległe i barwne miasto Charbin a obok chińska dzielnica-miasto Fu-dzia-dzian. Tego samego roku przybyły inne rosyjskie statki „Odessa” i „Św. Innocenty”, przywożąc inżynierów i urzędników. Pierwotna nazwa Charbina była Cha-la-bin co ponoć oznacza po mongolsku „przeprawa przez rzekę”. Chińczycy wymawiali Cha-err-bin a Europejczycy Charbin.

Od czasu upadku powstania w roku 1863 Polacy przybywają do północno-wschodnich Chin. Byli wysyłani przez zaborcę do najbardziej oddalonych miejsc azjatyckiej Rosji, Turkiestanu, Syberii i nawet Mandżurii. Później wyjeżdżali też dobrowolnie zgłaszając się do wojska (do formacji dalekowschodnich) lub do pracy na kolei Wschodnio-chińskiej, szukając tam większej wolności od prześladowań w kraju.

Ilość Polaków w Mandżurii znacznie wzrosła kiedy rząd rosyjski utworzył w roku 1901 w pasie wyłączenia wzdłuż kolei — specjalne wojsko — zwane Korpusem Straży Pogranicznej. Wtedy przybyło do Mandżurii dużo polskich oficerów i żołnierzy. Była to przeważnie inteligencja co bardzo zaważyło na dalszych losach i obliczu Polonii Charbińskiej. Pierwszą organizacją polską był Komitet Kościelny, założony przez wojskowych Polaków. Zażądali od władz kapelana katolickiego oraz kościoła. W roku 1901 powstał pierwszy skromny kościół, a kapłanem był ks. Szpiganowicz.

Tymczasem Charbin szybko się rozrasta i rozwija. Handlowa część, leżąca nad rzeką i zwana Przystanią zamieniła się w ożywiony ośrodek handlowy. Powstają duże sklepy, spółki handlo-

we, banki, młyny. W dzielnicy Nowe Miasto powstają cerkwie, szkoły, szpitale. W roku 1903 Polacy założyli Towarzystwo Dobroczynności Rzymsko-Katolickie. Do Zarządu weszli dyrektor Rosyjsko-chińskiego Banku Stanisław Gabriel, dr Wacław Łazowski i inni. Pracowali ciężko i ofiarnie zbierając pieniądze na zakup ziemi pod budynki polonijne. W roku 1904 przez delegata Zarządu Kolei odmierzonej Polonii grunta (delegatem był Teofil Jaworski). Był to duży kawał ziemi w dzielnicy Nowe Miasto, przy ul. Wielki Prospekt. Zaczęto budowę dużego kościoła w stylu gotyckim, następnie stanęła tam szkoła oraz gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Kawałek ziemi dostały później Siostry Urszulanki pod Konwent dla dziewcząt. W roku 1905, po przegranej przez Rosję wojnie z Japonią, wstrzymano budowę, licząc się z tym że Rosja wycofa się z Mandżurii i że zajdą zasadnicze zmiany. W roku 1906 powstała pierwsza szkoła polska.

W roku 1909, dzięki inicjatywie ks. Wł. Ostrowskiego założono Towarzystwo Św. Wincentego à Paulo, które pracowało w kierunku kulturalno-oświatowym i charytatywnym. W roku 1910-11 nawiedziła Mandżurię dżuma, wśród ofiar byli Polacy, między innymi małżonkowie Krasnodębscy. Jako pamiątka-votum po epidemii pozostała w kościele parafialnym figura Św. Rocha.

W roku 1913 otwarto pierwsze schronisko dla bezdomnych, starców oraz sierot-Polaków. Po wybuchu pierwszej wojny światowej organizacje polonijne niosły materialną pomoc zrujnowanej ludności polskiej. W roku 1915 napływa do Charbina nowa, ogromna fala uchodźców polskich, byli to wojskowi i ich rodziny. Powstają w Charbinie nowe ochronki i schroniska. Później owe ochronki zamieniono na Bursy dla młodzieży szkolnej. W latach 1915-16 powstają pierwsze klasy gimnazjalne. Czytając zapiski oraz protokoły z tamtych czasów można podziwiać jedność, solidarność w obradach i ofiarność członków organizacji polonijnych.

Stowarzyszenie „Gospoda Polska” była największą organizacją polską w Charbinie. Miała ona charakter kulturalno-oświatowy, społeczny oraz towarzyski. Pierwszy statut był zatwierdzony już w roku 1907 przez generała Grąbczewskiego. Założycielami byli: Dr W. Łazowski, St. Nernheim, St. Gabriel, W. Ostrowski. Przy Stowarzyszeniu założono Koło Śpiewacze „Lutnia”, sekcję teatralną oraz bibliotekę (pierwszym przedstawieniem były „Dziady”, dalej „Kordian”). Założono też szkołę powszechną. Pierwsze nauczycielki pracowały przez 2 lata bezinteresownie, zarabiając na życie prywatnymi lekcjami. Wielkim nakładem pracy i pieniędzy wybudowano kilkupiętrowy własny gmach przy

ul. Prawlenskiej i Głuchej. W roku 1913 „Gospoda Polska” otwiera podwoje dla Polonii i gości. Później dobudowano dużą, ładną Świetlicę dla młodzieży. Na górnych piętrach „Gospody Polskiej” przez długie lata mieści się konsulat Polski, Izba Handlowa, redakcje, mieszkania nauczycieli i personelu Konsulatu.

Kolej Wschodnio-chińska przyczyniła się do ogromnego rozwoju gospodarczego całej Mandżurii. Obroty finansowe kolei były duże i pracownicy zarabiali bardzo dobrze (w złotych rublach). Kolejarze mieszkali w jedno- lub dwurodzinnych domkach otoczonych ogródkami. Zatrudniali nawet do służby domowej (*boy*, kucharze, ogrodnicy) — Chińczyków. Wzdłuż całej kolei stacje, zwłaszcza w górach, stanowiły uroczne, dobrze utrzymane zakątki. Przydworcowe ogródki tonęły w kwiatach, uliczki były czyste i wysadzone drzewami. Większe stacje miały Kluby Kolejowe, parki z muszlą koncertową. Administracja Kolei dbała też o pomoc lekarską, były przychodnie lekarskie a na większych stacjach — szpitale. Dla kolejarzy wszystko było bezpłatne. Na zachód od Charbina pięknie położone stacje jak Barim, Dżałaj-nor, Dżałań-tum posiadały źródła lecznicze, wykorzystywane w balneologii. Nad większymi rzekami jak Sungari, Nonni, Jalu itd. robiono plaże i kąpieliska. Najmniejsze nawet stacje miały szkoły, stosownie do potrzeb, a w Charbinie istniało kilka wyższych uczelni — kolejowych. Szkoły były rosyjskie, dlatego też Polacy dążyli do zorganizowania polskich szkół oraz organizacji.

Pierwszą organizacją młodzieżową założoną w roku 1917 był „Sokół”, stowarzyszenie sportowe. Pierwszym naczelnikiem był Feliks Anioł, zastępcą — A. Grzyb. W roku 1918 została założona Drużyna Harcerska im. Henryka Sienkiewicza. Założycielem był inż. A. Krzywiec. Z tego czasu zachował się piękny sztandar, który był przechowywany z pietyzmem w gablocie auli gimnazjalnej aż do ostatnich dni polonijnych. W roku 1919 założono filie harcerstwa. Naczelnikiem całego Okręgu Daleko-wschodniego był dr Jakóbkiewicz. Były letnie obozy harcerskie, na Wyspie około Władywostoku i na stacji Czen. Później harcerstwo istniało tylko na terenie szkolnym. Były dwie drużyny: męska im. K. Pułaskiego i żeńska im. Królowej Jadwigi oraz Zuchy.

W roku 1921 powstała największa młodzieżowa organizacja (poza szkolna) — Związek Młodzieży Polskiej w Charbinie. Pierwszym prezesem był L. Juskiewicz. Głównym zadaniem organizacji było zrzeszenie młodzieży polskiej. Utworzyły się sekcje: 1) Dramatyczna, 2) Orientalna (byli już polscy sinolodzy), 3) Sportowa. Polskie zespoły sportowe (hokej, koszykówka, piłka nożna) i inne. Z czasem weszły do czołówki krajowej. Zespół

„Polonia”, „Ryś” — wyjeżdżały na mecze do Japonii, Korei i na południe Chin. Świetlicę młodzieżową zdobiły nagrody i puchary sportowe. Z życia towarzyskiego na terenie „Gospoda Polska” znane były eleganckie bale zwane „tradycyjnymi” — dla dyplomacji i „śmietanki” charbińskiej. Dochód z tych imprez był całkowicie przeznaczony na cele charytatywne (dom Starców, Bursa dla młodzieży). Stowarzyszenie „Gospoda Polska” oraz Z.M.P. przetrwały do roku 1949, tj. do czasu zlikwidowania przez grupę, która nazwała się „postępową”, całego dorobku Polonii charbińskiej. W roku 1949 przestało też istnieć gimnazjum polskie im. H. Sienkiewicza — jedyna szkoła średnia na Dalekim Wschodzie.

Gimnazjum to było założone już w latach 1915-16 (pierwsze klasy). Mieściło się w piętrowym budynku (też w stylu gotyckim) obok kościoła Św. Stanisława w dzielnicy Nowe Miasto. Po ukończeniu gimnazjum, na dalsze studia absolwenci wyjeżdżali do Polski. Jednym z pierwszych maturzystów był pisarz Teodor Parnicki. Biedna młodzież dostawała stypendia na dalsze studia w Polsce lub na Dalekim Wschodzie. W tym kierunku dużo pomagał młodzieży inż. Kazimierz Grochowski, profesor gimnazjalny (przez pewien czas był dyrektorem) oraz podróżnik. Inż. Kazimierz Grochowski przybył do Mandżurii w roku 1914 i do roku 1932 odbył kilkanaście ekspedycji naukowych; do Mongolii, kraju Urianchajskiego i do Chin. W roku 1916, w okolicach jezior słonych i sodowych w Bardze założył osadę przemysłową (na mapie Romera z roku 1929 nazwana jest „Fort Grochowski”).

Gimnazjum polskie w Charbinie utrzymywało się ze składek społeczeństwa, bo opłaty były niskie a dla młodzieży biednej — nauka bezpłatna. Wielką pomoc i opiekę udzielało (w późniejszych latach) Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie. Od roku 1923 świadectwa wydawane przez gimnazjum w Charbinie były uznawane za równorzędne ze świadectwami gimnazjów humanistycznych w Polsce. Z Polski przysyłano programy szkolne a nawet nauczycieli (polonista, dyrektor, instruktor wychowania fizycznego). Z języków obcych wykładano: łacinę (w pierwszych latach była greka i francuski), języki: angielski, rosyjski, chiński i japoński (ten ostatni po roku 1931). Po kilku latach język rosyjski został zupełnie wyeliminowany, a zwiększono godziny języka chińskiego.

Absolwenci, którzy nie wyjeżdżali na wyższe studia do Polski (zwłaszcza w latach 2-giej wojny światowej) studiowali na uczelniach charbińskich. Kończyli Orientalistykę, Angielski College YMCA, Politechnikę i in. Dziś w Polsce i za granicą jest wielu

wychowanków polskiego gimnazjum w Charbinie. Większość ukończyła wyższe studia.

Lata 1918-19 były burzliwymi latami również w Mandżurii. Przybył Ataman Siemionow ze swoimi wojskami, wyparty przez bolszewików z Zabajkalia. Przy pomocy nahaiek poskramiał rosyjskich żołnierzy którzy, w zamieszaniu rabowali i mordowali w imię „wolności”.

W latach dwudziestych, ważną rolę w Mandżurii oraz w Chinach odegrała militarystyczna grupa Czang-tso Lina. Podczas wojny japońsko-rosyjskiej Japończycy zaangażowali go do akcji przeciw wojskom rosyjskim. Po wojnie był włączony ze swymi żołnierzami w skład armii chińskiej, został generałem i dowódcą dywizji rozszerzając swoją władzę na całą Mandżurię. Pekin w 1918 roku uznał jego władzę. Czang-tso Lin stanął na czele mukdeńskiej kliki projapońskiej. W tym czasie w Chinach Centralnych władza spoczywała w rękach grupy Tsao-Kuna i jego pomocnika Wu-Pej-Fu. Byli oni narzędziem polityki anglo-amerykańskiej. Tsao-Kun i Wu-Pej-Fu rozpoczęli wojnę przeciw innemu generałowi Tuan-Ci-Żuj. Rozpoczęła się nowa wojna domowa.

Miedzy kantońskim generałem Czen-tsiung Mingiem a grupą z prowincji Kuangsi wywiązała się walka. Zakończyła się zwycięstwem Czen-tsiu Minga, dzięki czemu Sun-Jat-Sen powrócił z wygnania, z Szanghaju do Kantonu i stanął na czele rządu południowego. Był to rok 1920. W roku 1922 Czang-tso Lin wycofał się do Mandżurii i wszczął wojnę przeciw Wu-Pej-Fu. W tej wojnie brał udział także Sun-Jat-Sen po stronie Czang-tso Lina. W wojnie tej Czang poniósł porażkę co było następstwem sukcesów USA i Anglii w ich rozgrywkach przeciw Japonii na forum międzynarodowym. Sun-Jat-Sen uciekł do Szanghaju.

Wojny domowe w Mandżurii i Chinach nie miały większego wpływu na życie Polonii. Władze chińskie miały przyjazny stosunek do Polaków.

Poza pracą na kolei — Polacy zakładali własne przedsiębiorstwa. Jednym z największych przedsiębiorstw w Mandżurii były tak zwane „koncesje leśne” Władysława Kowalskiego. Były to rozległe połacie gęstej tajgi, leżące na wschód od Charbina, między Ja-kuni i Mulinem (6 koncesji). W. Kowalski otrzymał te ziemie od rządu chińskiego na wyrąb lasu. Były to przeważnie lasy cedrowe, sosny, modrzew i drzewo „aksamitne”. Miał 2 tartaki, 2 elektrownie, fabrykę dykty i fornieru oraz 5410 wiorst kwadratowych ziemi. „Koncesje” Kowalskiego posiadały górskie kolejki linowe oraz „odnogi” kolejowe — szerokotorowe. Kowalski budował wygodne osiedla dla robotników, były tam kluby

i czytelnie. Pracowało sporo Polaków; Kowalski popierał też akcje społeczne i charytatywne.

W roku 1930 założono w Charbinie Związek Kupców i Przemysłowców Polskich. Organizowano wystawy wzorów i próbek przemysłu polskiego w Mandżurii. Byli tam czynni handlowcy Lewicki, Radwan, Dulewski, Arkin.

Inną placówką polską była cukrownia w Aszyche, leżąca nad rzeką „Aszychejką” na wschód od Charbina. Została założona w roku 1908 przez lubelskich ziemian. Plany fabryki były wykonane w Warszawie a maszyny sprowadzone z Polski. Domy mieszkalne dla pracowników budował Swinarski. Buraków cukrowych dostarczali chińscy plantatorzy. Pierwszym dyrektorem cukrowni był inż. A. Łaciński, ostatnim (długoletnim) Mikołaj Kossakowski. Kierownictwo, administracja i fachowcy byli Polakami, robotnikami Chińczycy z okolicznych wiosek oraz z pobliskiego miasteczka A-Czen. Stare to chińskie miasto, ładnie położone na wzniesieniu i otoczone murem, posiadało XVIII-wieczne buddyjskie świątynie o pięknej architekturze. Kiedyś na tym miejscu było starożytne, bogate miasto Baj-Czen należące do jednej z pięciu stolic chińskich cesarzy z dynastii Czin. W miasteczku istniała misja katolicka założona przez Francuzów. Duży kościół miał wewnątrz urządzone w stylu chińskim. Jedynym akcentem zachodnim był piękny witraż Św. Kazimierza (z napisem) robiony przez powstańca z 1863 roku — zesłańca z Syberii.

Cukrownia w Aszyche była otoczona fosą, murem i była strzeżona przed „chunchuzami”, którzy zjawiali się sporadycznie. Na terenie cukrowni była polska szkołka dla dzieci pracowników, czytelnia-klub i przychodnia lekarska. Z czasem na terenie cukrowni wybudowano gorzelnię, rafinerię oraz warsztaty naprawcze. Całą produkcję cukru pochłaniał rynek mandżurski. W latach dwudziestych cukrownię sprzedano w obce ręce, ale polski obywatel Leon Zikman odkupił ją i Polacy znów zawsze mieli tam pracę. Przed drugą wojną światową Japończycy wykupili 45 % akcji fabrycznych i cukier aszychejski wysyłano do Japonii.

Prasa polska w Charbinie i okolicach przechodziła różne koleje. Powstawały pisma i periodyki ale szybko upadały z braku funduszy. Jedyne pismo które przetrwało do ostatnich dni polonijnych to — *Tygodnik Polski*, założony przez prałata Wł. Ostrowskiego w roku 1922. Wychodziły następujące pisma: *Polski Kurier Wieczorny Dalekiego Wschodu* — dziennik założony w roku 1918 (red. inż. Zbytnowski); *Polski Kurier Wieczorny* — założony w 1919 (red. Wł. Sołtysik). W 1920 roku wychodził *Kurier Polski. Strażnica* — tygodnik (red. W. Homan). W 1922

wychodził *Biuletyn Informacyjno-Handlowy* przy konsulacie polskim w Charbinie. *Daleki Wschód* (dodatek do *Tygodnika Polskiego*), założony w roku 1925 (red. inż. Kazimierz Grochowski). *Harcierz Polski w Azji* (red. W. Piotrowski). *Listy Polskie na Dalekim Wschodzie* (Organ Polskiej Rady Politycznej). *Młoda Myśl* (wydawał Związek Młodzieży Polskiej, założony w 1923). *Niepodległość* — tygodnik (wydawał Komitet Narodowy). *Opieka Społeczna* (wydawał Polski Komitet Wojskowy). *Pamiętnik charbiński* (wyd. Wł. Ostrowski, red. K. Grochowski). *Polsko-Chiński Korespondent* (red. Żurawski). *Praca* — Tygodnik Demokratyczny (red. Ludwik Sawicki). *Przegląd* — dwutygodnik Związku Wojskowego w Charbinie (red. inż. B. Dobrzański). *Ruch Chrześcijańsko-Społeczny* — miesięcznik (red. K. Lubicz). *Wiaterek* — humorystyczno-satyryczny dwutygodnik. *Tygodnik Polski*, założył Wł. Ostrowski w 1922 r. Prócz tego: *Wygnaniec Polski na Dalekim Wschodzie* — miesięcznik, założony w 1922 r. *Czuwaj* (wyd. Hufiec Harcerski), zał. w 1923 roku. *Akademik Polski w Chinach* (wyd. Koło Studentów). *Naprzód* — tygodnik Związku Młodzieży Polskiej, zał. w 1942 roku (red. B. Jabłońska).

Po Rewolucji Październikowej w Rosji fale uciekinierów zalewają Mandżurię. Dużo jest Polaków z kraju amurskiego (z okolic rzeki Amur). Są to przeważnie rodziny drobnej szlachty kresowej, zsyłanej przez zaborcę w różnych okresach.

W latach 1921-1922 sytuacja międzynarodowa na Dalekim Wschodzie wyglądała następująco: Sukcesy USA i Anglii oraz wzmocniona pozycja Rosji Sowieckiej na Dalekim Wschodzie. W Mongolii zostały rozbite oddziały „białogwardyjskie” barona Ungerna i utworzony ludowy rząd mongolski. W roku 1922 ostatnie jednostki interwencyjne japońskie zostały wyparte z całego terytorium rosyjskiego na Dalekim Wschodzie. 31 maja 1924 roku podpisany traktat sowiecko-chiński o równouprawieniu stron. Traktat ten unieważnił wszystkie umowy zawarte przez rząd carski z jakąkolwiek trzecią stroną, które naruszały suwerenność prawa lub interesy Chin.

Paragraf 9 traktatu rozstrzygał sprawę Kolei Wschodnio-Chińskiej. Jako przedsiębiorstwo wyłącznie handlowe miała stanowić własność Rosji Sowieckiej. W innym paragrafie Sowietci zrzekali się „specjalnych praw i przywilejów” uzyskanych przez rząd carski. Zrzekali się też rosyjskiej części odszkodowania nałożonego na Chiny w roku 1901, oraz praw eksterytorialności i jurysdykcji konsularnej.

20 września 1924 roku rząd sowiecki zawarł z Czang-tso Linem uzupełniające lokalne porozumienie w sprawie Kolei Wschodnio-Chińskiej. Porozumienie to zostało zatwierdzone przez

Centralny rząd chiński i uznany za dodatek do traktatu sowiecko-chińskiego. Rosjanie, „biali emigranci” — pracownicy kolei wschodnio-chińskiej, znaleźli się w przykłej sytuacji. Musieli albo przyjąć obywatelstwo sowieckie albo odejść z pracy na kolei. Wielu z nich nie chcąc zrezygnować z dobrej pracy ani stać się obywatelami sowieckimi — przyjmowało obywatelstwo chińskie. Polacy brali obywatelstwo chińskie (co nie przeszkadzało im zachować jednocześnie i polskie).

W roku 1925 Polonia wybudowała jeszcze jeden kościół — Św. Józefata — w dzielnicy handlowej Przyszań, a w roku 1926 na terenie kościoła powstała nowa szkoła dla dzieci zamieszkających w tych okolicach. Proboszczem był ks. A. Leszczewicz.

W roku 1931 Mandżuria została zajęta przez Japończyków. Charbin zaczął zmieniać swe oblicze. Rynek zawałono japońskimi towarami, powstawały nowe domy towarowe wielkich firm japońskich. Powstawały szybko wieżowce oraz malutkie herbariarnie. Język japoński wprowadzono do szkół i urzędów równoległe z językiem chińskim. Stworzono nowe państwo Mandżukuo, ze stolicą w Tien-sinie (dawny Czań-Czuń).

W roku 1934 przyjechał do Charbina orientalista prof. Jan Jaworski z Warszawy. Zreformował polskie gimnazjum cofając subsydia z Polski. Gimnazjum nadano charakter szkoły dostosowanej do miejscowych, azjatyckich warunków. Wielu profesorów, opłacanych przedtem przez Warszawę — wyjechało do Polski.

Japończycy zabrali się do robienia porządków w Mandżurii. Wyplenili w sposób okrutny chun-chuzów i walczyli skutecznie z przestępczością w ogóle. Uprzemysłowali Mandżurię, między innymi pozakładali tartaki w tajdze, wysyłając drzewo do Japonii. Wybudowali dodatkową kolej, przez co kolej Wschodnio-Chińska przestała prosperować i zaczęły się deficyty. Po dłuższych targach Sowietów sprzedali Japończykom kolej za pieniądze mandżugoskie — gobi, nie mające wielkiej wartości.

Pracownicy-obywatele sowieccy musieli opuścić Mandżurię razem z administracją. Wielu pozostało na statusie emigrantów. Japończycy całkowicie podporządkowali sobie rosyjską emigrację, włączając ją do grupy narodowościowej nowego państwa Mandżukuo. Polacy byli traktowani jako cudzoziemcy, Japończycy nie wtrącali się do spraw polskich i stosunki były wtedy poprawne. Ogólnie, stopa życiowa Europejczyków bardzo się obniżała. Zarobki na kolei czy w innych instytucjach rządowych i miejskich były niskie. Prywatne przedsiębiorstwa upadały. „Koncesje leśne” Kowalskiego nie wytrzymując konkurencji zostały

sprzedane. Zamożniejsi Europejczycy wyjeżdżali na południe Chin, potem do Europy czy do USA.

Wiadomość o wybuchu wojny w Polsce, w roku 1939, spadła na Polonię charbińską jak ciężki cios. Każdy prawie miał rodzinę, bliskich, lub dzieci na studiach w Polsce. Odwołano wszystkie bale i wieczory rozrywkowe. Konsulat polski ogłaszał komunikaty z frontu. Ostatnim konsulem R.P. w Charbinie był Jerzy Litewski (obecnie zamieszkały w Australii). Społeczeństwo polskie zabrało się do robienia paczek i wysyłało je do Polski. Komitety i zrzeszenia pań robiły na drutach ciepłe rzeczy dla żołnierzy polskich na frontach. Kilka kufrów z rzeczami wysłano przez Tokio.

Grupa młodzieży charbińskiej (polskiej) i kilku urzędników konsularnych wydostali się drogą okrężną z Charbina i dotarli do wojsk polskich na Bliskim Wschodzie. Przyłączono ich do Karpackiej Brygady. Część ich zginęła pod Monte Cassino, czy gdzie indziej. W pamięci kolegów pozostali jako ci, którzy walecznie bili się za ojczyznę, której nigdy w życiu nie widzieli.

Konsulat R.P. w Charbinie funkcjonował do 15 grudnia 1941 roku (do wybuchu wojny Japonia-USA). Przed zwinięciem placówki konsul J. Litewski wyznaczył 4-osobowy Polski Komitet Opiekuńczy z prezesem Albinem Czyżewskim na czele, i sekretarzem Aleksandrem Macedońskim. Przekazano akta personalne konsulatu. Jednocześnie zlikwidowano Ambasadę R.P. w Tokio. Od stycznia 1942 roku ustał jakikolwiek kontakt ze światem i Polonia mogła czerpać wiadomości tylko z tendencyjnej prohitlerowskiej japońskiej prasy i radia. Przenikały jednak wiadomości z nasłuchu radia angielskiego i sowieckiego. Słuchanie radia zagranicznego groziło karą śmierci. Wolno było mieć w domu tylko odbiorniki na audycje miejscowe. Chociaż Japońska Misja Wojskowa likwidując Konsulat R.P. w Charbinie zapewniała konsula, że będzie się opiekować obywatelami polskimi, w rzeczywistości nie interesowała się ich losem. Polacy znaleźli się w przykłej, często trudnej sytuacji wobec intryg i prześladowań rosyjskich emigrantów. Rosjanie byli między innymi policjantami w Mandżurii, toteż szpiegowali i donosili na Polaków. Komitet Obywatelski bronił zawsze Polaków, ale na prowincji — gdzie nie było żadnej opieki — Rosjanie zmuszali obywateli polskich do zrzekania się obywatelstwa polskiego i do oddawania im paszportów. Pozbawiali Polaków pracy zarobkowej, a w Charbinie torpedowali działalność klubu — Stowarzyszenia „Gospoda Polska” i innych organizacji polonijnych.

Japończycy prowadząc wojnę z USA stali się niechętni i podejrzliwi wobec białych. Wszędzie węszyli szpiegostwo, tropili

komunistów i ich zwolenników. Jednocześnie podjudzali Chińczyków przeciw białym, głosząc, że Azja jest tylko dla Azjatów. Podejrzani o szpiegostwo czy kontakt z komunistami przeważnie nie wracali żywi, ginęli w podziemiach-katowniach japońskiej Żandarmerii. Bliscy dostawali tylko worek ze szczątkami zakatowanego i... przeprosiny.

W roku 1945 kiedy Japonia praktycznie przegrała wojnę z USA — W Mandżurii pojawili się Sowieci. Najpierw był desant, a potem dość szybko na ulicach Chrabina zaroilo się od żołnierzy i wozów sowieckich. Charbin i okolice stały się terenem wielkiego dramatu Japończyków. Wojskowi japońscy całymi rodzinami popełniali samobójstwa („harakiri”, ręczne granaty, lub podminowywali cały dom). Sowieci pozajmowali większe domy i urzędy, utworzyli Sowiecką Komendaturę Wojskową (która sprawowała rządy tymczasowe), szybko wydrukowano okupacyjne pieniądze. Rosyjska emigracja przyjęła Sowieców jak długo oczekiwanych rodaków. Ale to wcale jej nie pomogło: emigrantów wywożono na łono ojczyzny, na Syberię, jako zdrajców narodu, współpracujących z Japończykami. Wywieziono prawie całe duchowieństwo prawosławne, archierejów i zwykłych popów pod pozorem „Zjazdu” w Moskwie. Złapano w Dairenie, w ostatniej chwili generała Siemionowa, wyłowiono atamanów kozackich oraz innych emigrantów, którzy współpracowali z Japończykami. Wielu Japończyków podzieliło ich los. Sowieci nie wtrącali się do spraw polskich, nie wywożono Polaków (chyba z małymi wyjątkami na skutek donosu).

Sowieci zabrali się do penetracji Mandżurii. Okazało się, że zamaskowane i niedostępne dla nikogo „wojskowe miasteczka” — posiadały ogromne zapasy żywności i broni. Japończycy od lat szykowali się do wojny z Rosją Sowiecką i wszystko gromadzili w Mandżurii.

Urządzenia przemysłowe, maszyny itp. stały się łupem Sowieców. Wywozili to wszystko pośpiesznie do Rosji, żeby komunistycznym Chinom przekazać jak najszybciej Mandżurię. Ludność chińska w Charbinie i okolicach oczekiwała raczej Czang Kai-szeka — miała chyba dosyć przez 8 miesięcy komunistów rosyjskich.

Na terenie polonijnym ukazał się mało dotąd znany Kazimierz Krąkowski, który zaczął organizować grupę „postępowej inteligencji”. K. Krąkowski był przedwojennym komunistą, który w latach trzydziestych musiał opuścić Polskę. Montowanie nowej „grupy postępowej” nie szło mu łatwo. Jego kilkoosobowa grupa przegrała wybory i popularną nie była. K. Krąkowski uciekł się



do Konsulatu Sowieckiego o pomoc. Przy poparciu sowieckiego konsulatu wszedł do Polskiego Komitetu Obywatelskiego. Jedynie już wtedy pismo, *Tygodnik Polski* przestało istnieć a ukazał się tygodnik *Ojczyzna*. Oczywiście ze zmienionym całkowicie „obliczem”.

Tymczasem sowieckie wojska okupacyjne wycofały się zupełnie z Mandżurii a weszła chińska 8 Armia Ludowa. Ustanowiła się nowa administracja, nowe porządki.

Komitet Obywatelski w nowym składzie nawiązał kontakt z Polską Ludową. W roku 1949 przyjechał z Warszawy przedstawiciel-„delegat” Jerzy Kłosowski, który zajął się repatriacją Polaków do kraju. Władze chińskie bardzo popierały repatriację. Na ogół Polonia bez entuzjazmu przyjęła możliwość wyjazdu do Polski. Wielu miało domy, przedsiębiorstwa, dobrą pracę. Odbiło się kilka wieców-spotkań z delegatem J. Kłosowskim w sali stowarzyszenia „Gospoda Polska”. Młodzież charbińska też nie rwała się do kraju, mimo że nie miała żadnych perspektyw na przyszłość w Mandżurii. Wreszcie zmontowano 3 transporty repatriantów, władze chińskie pozwoliły zabrać cały dobytek (możliwy do zabrania) ograniczając złoto i srebro. Polacy zaczęli śpiesznie likwidować domy i inne nieruchomości.

Komitet Obywatelski sprzedawał Chińczykom za bezcen gmach „Gospody Polskiej”, tak długo z pietyzmem utrzymywany przez Polonię. Zlikwidowano szkoły i gimnazjum H. Sienkiewicza. Wszystkie książki ogromnej biblioteki przy Stowarzyszeniu „Gospoda Polska” zostały spalone na stosie w ogrodzie tejże „Gospody”. Cenne, muzealne eksponaty (wazy chińskie, grafika) zabrano do Polski, by wręczyć je przedstawicielom rządu PRL.

Dla pozostałych jeszcze w Charbinie Polaków zostały tylko kościoły. Zorganizowano Zrzeszenie Obywateli Polskich w Charbinie, które na polecenie Ambasady PRL w Pekinie sprawowało opiekę nad resztką obywateli. Prezesem był Józef Jutkiewicz, sekretarzem sinolog Antoni Wasilewski. Tymczasem w Mandżurii pozostałym tam Polakom działo się coraz gorzej. Chińczycy — zawsze dotąd tolerancyjni i lojalni — okazali ogromną niechęć do białych (nie tylko Polaków). Pozwalali wyjeżdżać wszędzie (USA, Australia i inne kraje) tym którzy mieli jakiekolwiek możliwości. Ci, którzy nie mieli żadnych możliwości wyjazdu „za ocean” musieli jechać do Polski. Chińskie władze upaństwowiły resztę majątku Polonii (kościół, place). Cmentarze chrześcijańskie i żydowskie zamieniono na parki publiczne. „Rewolucja Kulturalna” zatarta w całych Chinach ślady kultury zachodniej. Polacy z Mandżurii okazali się dobrym nabytkiem

dla PRL. Większość wykształcona, zwłaszcza młodsza generacja, szybko dostosowała się do warunków krajowych. Najwięcej było orientalistów, ściślej sinologów, którzy zresztą słabo zostali wykorzystani w PRL. Reszta Charbińczyków jest w Australii, USA i Kanadzie.

Beata Z. WOJAS

Marcin WYZIEMBŁO

LOSY POLAKÓW...

Stwierdzenie, że „Archipelag GUŁag” sprawia na wszystkich czytelnikach wstrząsające wrażenie jest oczywiście truizmem. Nie tylko laicy, ale i czytani w literaturze sowietologicznej są wstrząśnięci zarówno ogromem sowieckich zbrodni jak gigantyczną perspektywą autora. Odnosi się wrażenie iż Sołżenicyn jeśli nie opisał to przynajmniej oznaczył wszystkie wyspy i wysepki zorganizowanego ludobójstwa.

Przypuszczam, że tego niezamierzonego efektu obawiał się sam autor, wielokrotnie podkreślając, iż prawda o tych zbrodniach nadal jest ukryta, pogrzebana, że to co jemu udało się wydobyć stanowi zaledwie widoczną część lodowej góry na oceanie, tylko dziesiątą częścią wystającą ponad poziom wody.

Wśród spraw przez Sołżenicyna nie poruszonych znajduje się jedna, o znaczeniu szczególnym, przynajmniej w polskim poczuciu — sprawa planowej eksterminacji ludności polskiej w Związku Sowieckim w 1937 roku. Wiemy o niej diabelnie mało i nie istnieje ona w bogatej literaturze sowietologicznej poświęconej zbrodniom 1937 roku. W literaturze są owszem, wzmianki o wymordowaniu polskich komunistów, ale nie ma mowy o wymordowaniu ludności polskiej osiadłej, nie związanej z Komunistyczną Partią Polski. O problemach tych chciałem napisać kiedy indziej, po zebraniu dodatkowych materiałów, myślę jednak, że właśnie encyklopedyczny — wbrew zamierzeniom — charakter „Archipelagu...” powoduje, iż sprawy *teraz nie poruszone* mogą pójść w zapomnienie.

A więc: Traktat Ryski 1921 roku pozostawił na wschód od linii granicznej polsko-sowieckiej pokaźną ilość Polaków. Polacy stanowili ludność autochtoniczną na prawobrzeżnej Ukrainie i na Białorusi oraz ludność napływową. Wielka ilość Polaków znalazła się w Imperium w czasie wojny w związku ze służbą wojskową lub ewakuacją ludności cywilnej. Na prawobrzeżnej Ukrainie Polacy stanowili przed rewolucją 7 % ludności, na Białorusi —

17 %. Duże skupiska polskie były w Petersburgu (przed wojną — 50 tys., w czasie rewolucji ok. 150 tys.) w Moskwie, w przemysłowych miastach Ukrainy, na Syberii i nawet na Kaukazie.

Po Traktacie Ryskim duża część Polaków wróciła do kraju, jednakże większość pozostała w granicach Związku Sowieckiego. Na decyzję pozostania wpływało szereg czynników: inercja, obawa przed bezdomnością, sentyment do miejsca urodzenia i warsztatu — szczególnie silne u szlachty zagrodowej, strach przed trudnościami związanymi z powrotem, znanymi chociażby z „Przedwośnia”. Nie zawsze to była decyzja: często nie było innej alternatywy. Nie brakowało również i aktywnych motywacji pozostania — wielu Polaków brało udział w rewolucji na eksponowanych często stanowiskach.

Straty ludności polskiej w czasie rewolucji były wielkie, ale terror dotyczył wówczas rozmaite warstwy ludności w niejednakowym stopniu. Szowinizm przywódców bolszewickich dawał się już odczuć w toku rewolucji, podobnie jak i ruchy agrarne na Ukrainie, wiele ofiar padło wskutek gorliwości polskich rzeczników skrajności, w sumie jednak — biorąc pod uwagę całokształt warunków sowieckich w latach dwudziestych — nie był to okres dla Polaków tam pozostałych najgorszy. Skupiska polskie cieszyły się swoistą autonomią kulturalną i szkolną, istniały polskie stowarzyszenia, oczywiście komunistyczne. Religie rzymsko-katolicką prześladowano, księży sadzano i mordowano, ale były to prześladowania nie „wyróżniające”, a być może, że łagodniejsze, niż te, którym poddawano prawosławie. Takie przynajmniej odczucie mają Polacy ocalali z rzezi 1937 roku, z którymi rozmawiałem.

Na Podolu, w obwodzie Żytomierskim stworzono polski autonomiczny rejon z centrum w miasteczku Dowbusz, z tej okazji przemianowanym na Marchlewsk. W latach dwudziestych wyższy poziom wykształcenia i gospodarności Polaków powodował, że przy zniesionych barierach narodowościowych, odsetek ludzi zajmujących wyższe stanowiska był ponad sowiecką przeciętną.

Osoby, które udzielały mi informacji utrzymują, że początki represji przeciwko Polakom przypadają na rok 1933, gdy aresztowano i rozstrzelano pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Polski grupę kilkudziesięciu komunistów polskich, na czele z Jerzym Czeszejko-Sochackim oraz Tadeuszem Żarskim. Zdaje się, że ten akt represyjny — podobnie jak i rozstrzeliwania księży katolickich — w jakiejś mierze obciąża sumienia polskich komunistów-mniejszościowców, sprawujących wówczas władzę w KPP — rozstrzelani mieli za sobą pepesowską przeszłość. Po rehabilitacji KPP w 1955 roku ani Sochacki ani Żarski nie zostali wciągnięci na świecznik antenatów Polski Ludowej. Niezależnie jednak czym dziełem były procesy 1933-34 roku, to faktem jest, że w ślad za nimi w Związku Sowieckim rozlała się rzeka drobnych represji przeciwko Polakom: specjalna podejrziwość, specjalna inwigilacja, usuwanie ze stanowisk itd. Mam dowody, że już wówczas

przygotowywano kolejne procesy — jedyna rada, jaką potrafił dać swemu podwładnemu-Polakowi komendant Akademii Sztabu, Gamarnik, to usunąć się w cień i przeczekać — przeciwdziałać nie był w stanie. Już wówczas represyjna polityka władz sowieckich znajdowała poparcie w antypolskim nacjonalizmie.

W 1934 roku była uwertura. Rozwinięcie akcji nastąpiło w 1937 roku. O roku tym wiemy ciągle mało. Pokazowe procesy przeciwko komunistom odwróciły uwagę zagranicznych obserwatorów — w tej liczbie polskich — od wszystkich innych spraw i sprawek. Obecnie wiadomo dość dużo o wymordowaniu przywódców i działaczy Komunistycznej Partii Polski¹.

Coś-niecoś wiadomo też o eksterminacji komunistów-Polaków, nie należących do KPP lecz do partii sowieckiej. W latach sześćdziesiątych — w ramach przygotowań do obchodu czterdziestej rocznicy rewolucji w KC PZPR — postanowiono wyeksponować wkład Polaków. Specjalni pracownicy Zakładu Historii Partii zostali delegowani z Warszawy do Moskwy, Kijowa i Leningradu, gdzie w archiwach partyjnych zbadali tysiące ankiet Polaków, biorących niewątpliwie udział w rewolucji bolszewickiej. Ponura była to praca i ponure z niej sprawozdanie. Z czterech tysięcy ponad 3 tysiące, czyli 80 % zostało wymordowanych. Mordowano całe rodziny, czasami jednak ograniczano się do mordowania osób dorosłych. Badacze zetknęli się więc również z potomkami swych bohaterów — dziećmi pozbawionymi rodziców, latami żyjącymi pod zmienionymi nazwiskami, tułającymi się w „diedomach” lub w więzieniach. Złagodzone a przecież straszne *resumé* znajduje się w publikacji: A. Kochański (red.) *Polacy w Rewolucji Październikowej*. Warszawa 1967. Praca wydana w małym nakładzie jest praktycznie niedostępna. Gorliwości partyjnej zawdzięczam, że odebrano mi mój, dedykowany przez autorów, egzemplarz.

Istnieje cicha tendencja przypisywania mordu komunistów z KPP i komunistów-Polaków spoza KPP ogólnej atmosferze panującej w 1937 roku w ZSSR, inaczej mówiąc: mordowano Rosjan, Łotyszy, Żydów, wszystkich bez wyjątku, dlatego więc represje miałyby ominąć Polaków?

Niewątpliwie, duża ilość Polaków poniosła śmierć lub trafiła do obozów w ramach *ogólnej akcji* i jakaś doza słuszności w wyżej przytocznym rozumowaniu znajduje się. Ale mam dowody, że poza persekucjami typu „gdzie drwa rąbią — tam wióry lecą”, istniała planowa akcja eksterminacji Polaków. Potwierdził ją

1. U progu lat sześćdziesiątych Chruszczow chciał ujawnić dlaczego doszło do wymordowania polskich komunistów i jak się to odbyło. Sprzeciwił się temu Gomułka, który nie bez słuszności, zauważył, że akt ten mógłby podciąć uprawianą przez PZPR od lat propagandę Związku Sowieckiego jako najlepszego i jedynego przyjaciela Polaków. Gomułka odmówił także przyjęcia akt spraw prowadzonych przez GPU przeciwko wymordowanym Polakom.

w 1956 roku sowiecki Polak, odkomenderowany do organizowania Ludowego Wojska Polskiego, gen. Popławski. Broniąc się — w atmosferze XX zjazdu, przed Październikiem! — przed zarzutem reprezentowania niepolskich interesów, Popławski na zebraniach oficerskich dowodził, iż brak naturalnych zębów zarówno u niego jak u Rokossowskiego jest dowodem polskości ich obu (zarówno P. jak i R. siedzieli w latach 1937-1941. Co prawda R. został aresztowany w sprawie Tuchaczewskiego, ale i jego polskość przyczyniła się ponoć do tego, bowiem wydając nakaz aresztowania Stalin miał powiedzieć: „*A wy pro etowo krasawczika-poliaczka toż nie zabudtie!*”).

Że miała miejsce planowa, scentralizowana akcja eksterminacji Polaków istnieją niepodważalne dowody — są to zeznania tych, którzy padli. Nie są to relacje zbyt pełne, każdy bowiem mi mówił o tym, co sam przeżył i widział. Nie im należy więc mieć za złe, że za mało widzieli, że za mało wiedzą.

Świadectwo Nr 1. Latem 1937 roku student jednego z ukraińskich uniwersytetów jedzie na wakacje do mieszkających w Marchlewsku, w wyżej zaznaczonym ośrodku „Polskiego Autonomicznego Rejonu” w Żytomierskiej obłasti. Po drodze, krótko przed celem podróży, zostaje ostrzeżony przez znajomego kolejarza by czym prędzej zawrócić: W nocy rejon został otoczony przez duże jednostki wojskowe, po czym NKWD szło od domu do domu i na podstawie przygotowanych spisów aresztowało wszystkich Polaków, całe rodziny. Aresztowanych załadowano do wagonów bydlęcych i wywieziono w kierunku wschodnim.

Chłopak wraca do miasta, gdzie studiuje, ale dowiaduje się, że i tam był poszukiwany przez GPU, tego samego dnia, gdy likwidowano rejon Marchlewski. Uratował się wędrując z miejsca na miejsce. Po półtora roku wrócił na studia. W międzyczasie, okazuje się, akcję przerwano.

Rodzinę odnalazł kilka lat później. Wówczas dowiedział się też dokładniej o losach polskich: W toku deportacji przeprowadzono segregację. Po polskich działaczach społecznych, kulturalnych, wykwalifikowanych robotnikach — ślad zaginął. Należy przypuszczać, że zostali rozstrzelani. Ten sam los spotkał miejscowych dygnitarzy. Pozostali, przeważnie rolnicy zostali zesłani na tak zwane *spec. periesielenije* do północnego Kazachstanu, przeważnie do obłasti Pietropawłowskiej. *Spec. pieresielenije* było łagodniejszą formą represji niż więzienie lub obóz, ale w syberyjskim klimacie, wyrzuceni na goły step bez środków do życia ludzie marli jak muchy.

Relacja Nr 2 — mężczyzna, który wówczas miał 10 lat, mieszkał w Marchlewsku i został deportowany do północnego Kazachstanu. Różni się od relacji Nr 1 pełniejszym przedstawieniem cierpień wysiedleńców.

Relacja Nr 3 — poznany przypadkowo w Związku Sowieckim Polak z lewobrzeżnej Ukrainy. Ojciec jego był przewodniczącym rady parafialnej w mieście. Rodzice, czterej bracia, wszyscy znani mu krewni — rozstrzelani w 1937 roku. Sam ocalał, bo ciężko chory, przesyłany był ze szpitala do szpitala na badania — GPU nie miało czasu ustalić jego adresu. Po wyjściu ze szpitala sfałszował dokumenty, udając że jest Ukraińcem, co przy specyficznym brzmieniu nazwiska daje nieco humorystyczne efekty. Również i teraz obawia się, że nawrót do polskości, do której jest gorąco przywiązany, mógłby mieć dlań przykre następstwa, chociażby ekonomiczne.

Mój rozmówca latami poszukiwał śladu rodziny, krewnych przyjaciół, kolegów z polskiej szkoły, członków parafii. Nie odnalazł nikogo, nawet w Kazachstanie. Przypuszcza, że wszystkich Polaków z jego miasta rozstrzelano.

Relacja Nr 4 — działacz Kominternu, dygnitarz sowiecki i członek KPP w jednej osobie. Aresztowany w 1940 roku w ramach czysto sowieckich porachunków. Wie dużo, ale tylko czasem, przypadkowo, udało mi się zeń wyciągnąć jakąś wiadomość. Potwierdza istnienie akcji eksterminacji Polaków. Kierownictwo tą akcją leżało w ręku jakiegoś Polaka, współpracownika Dzierżyńskiego, na którego kierownictwo GPU miało poważne „materiały kompromitujące” jako że był kiedyś członkiem POW. Nazwisko jego, jeśli dobrze słyszałem, brzmiało Hubertus. Być może że to pseudonim. (Ciekawe, czy jest to ta sama osoba, dezertier z Wojska Polskiego, o którym pisze Drymmer, że zajmował czołowe stanowisko w sowieckich tajnych służbach?) Rzeczony Hubertus kierował eksterminacją Polaków, po czym sam został zlikwidowany.

Tyle świadectwa otrzymane od rozmówców. Istnieją inne. W 1937 roku znika z sowieckich encyklopedii, aktów prawnych, podręczników geografii nazwa „Polski Awtonomnyj Rajon”. Znika również nazwa Marchlewska. Powojenne encyklopedie zawierają krótkie notki o Dowbuszu, ale jest on już zaludniony przez Ukraińców.

W PRL wie się co nieco o tej eksterminacji, głównie dzięki temu, że pewna ilość ocalałych została skierowana w 1943-44 roku do utworzonych w ZSSR polskich jednostek. Nie wszyscy zresztą zostali „skierowani”, niektórym „udało się dostać”. Niektórzy nie byli represjonowani, jak się to enigmatycznie mówi w ZSSR, wielu jednak przeszło przez więzienia i zesłania.

Sowieccy oficerowie spełniali w Ludowym Wojsku Polskim dość dziwną rolę: będąc ofiarami stalinizmu, jednocześnie byli konsekwentnymi narzędziami sowietyzacji i najbardziej zaufanymi ludźmi Moskwy. Z drugiej zaś strony, akcentując nieprzerwanie swą sowieckość, starali się wszelkimi sposobami pozostać w Polsce i nie wracać do ZSSR. Stąd w wojsku tym tylu gene-

rałów i pułkowników sowieckiej proweniencji, choć od lat już polskich obywateli.

Istniał również zastęp wyższych funkcjonariuszy partyjnych, wyciągniętych z obozów przez Bieruta w latach 1945-46. Nazywano ich bądź „młotkami rewolucji” bądź „wdowami rewolucji” — nawet w aparacie wyróżniali się swym bolszewizmem — czyli okrucieństwem. Niektórzy jednak oficerowie lub działacze odrodzili się w atmosferze XX-go zjazdu i „Października”, niektórzy odegrali nawet pozytywną rolę w wydarzeniach 1956 roku, co w pierwszym rządzie trzeba powiedzieć o Jadwidze Siekierskiej. Ale to były jednostki. Nie zawsze jest wskazane ujawnianie ich nazwisk. Bardziej typowa była postawa Mazura.

Nie dysponuję żadną statystyką ilu Polaków wówczas wymordowano, ilu trafiło do obozów lub na zesłanie, ilu wreszcie zmarło w warunkach pozbawienia wolności. Rozmawiałem kilkakrotnie na ten temat i w ZSSR i w Polsce, moi rozmówcy podawali mi liczbę 400 tys. ofiar śmiertelnych. Dziwne, że tę liczbę słyszałem z wielu źródeł. Czyżby istniały jakieś ustalenia, których konkluzja przesączyła się przez filtry? Bo moi rozmówcy, na pytanie o źródło twierdzili tylko, że „tak mówią”.

Książka Sołżenicyna i przedmowa Bölla do polskiego wydania zaktualizowały sprawę analizy porównawczej między sowiezizmem a nazizmem. Mój znajomy, wieloletni więzień obozów, kładzie nacisk na sowiecki prymat: hitlerowskie baraki obozowe były kopią sowieckich. Skłonny jestem przyznać mu rację. W tym jednak konkretnym wypadku, w sprawie eksterminacji Polaków należy chyba podkreślić, że w Związku Sowieckim działano pod wpływem nazizmu a w szczególności pod wpływem nazistowskiej koncepcji rozwiązania kwestii żydowskiej. Był to — jeśli się nie mylę — pierwszy wypadek próby totalnego rozwiązania problemu narodowego w ZSSR. Hitlerowskie próby konsekwentnego zastosowania teorii w praktyce były późniejsze².

Przypuszczam, że mord w 1937 roku i mord w Katyniu pozostają w jakimś związku logicznym. System systemem, ale Stalin — jak na rosyjskiego szowinistę-neofitę przystało — organicznie nienawidził dwóch narodów, polskiego i żydowskiego. Hitler zaczynał od Żydów z zamiarem późniejszego zajęcia się Polakami. Kolejność działania Stalina była odwrotna. Poza tym wiele się zgadzało.

2. Nie pozostaje w sprzeczności z wyżej powiedzianym przypuszczenie, z którym spotykałem się niejednokrotnie, że wymordowanie Polaków, specjalnie pedantycznie przeprowadzone w szeroko pojętej zonie przygranicznej, łączyło się z planami strategicznymi — obawiano się ponoć polskiej dywersji w wypadku wojny. Podobnie rok później, jednak zdaje się że łagodniej — lecz nie kłómy się o odcienie — postąpiono z Koreańczykami z Dalekiego Wschodu, też przesiedlonymi do Kazachstanu do obwodu Kżył-ordyńskiego. Hitler również mordował Żydów bo szkodzili lub mogli szkodzić Rzeszy...

W 1957 roku, w czasie X plenum KC PZPR, podano do wiadomości jego uczestnikom sprawozdanie komisji do zbadania „błędów i wypaczeń minionego okresu”. Sprawozdanie to mało kto zna, a szkoda! Podano w nim m.in. że w 1943 roku Stalin zgromadził u siebie na Kremlu wszystkich sowieckich pracowników NKWD, odkomenderowanych do spraw polskich a odbywających akurat przeszkolenie w Riazaniu. Było to wyjątkowe spotkanie, bo progi Kremla przekroczyli nie tylko pułkownicy ale i starsi lejtnanci. Stalin wygłosił do nich przemówienie, w którym zaakcentował, że po wkroczeniu do Polski, nie można tam będzie — inaczej niż w innych krajach — nikomu ufać.

Ta teza urosła później do ram teorii. Mój znajomy, nazwijmy go A. siedział w latach pięćdziesiątych w Warszawie i był wielokrotnie przesłuchiwany przez samego Skulbaczewskiego. Ten lubił po prostu porozmawiać jak inteligent z inteligentem, a przewidując bliską śmierć swego rozmówcy nie musiał się krępować w wypowiedaniu swych sądów. Otóż Skulbaczewski nie ukrywał, że celem polityki sowieckiej jest rusyfikacja kraju. Lud polski jest łatwym obiektem, czego dowodzą dzieje rusyfikacji po Powstaniu Styczniowym, dowodził Skulbaczewski. Oporą jest inteligencja, mająca ambicje przewodzenia społeczeństwu. Jej istnienie jest niebezpieczne. Głównym zadaniem („osnownoje zwienio”) jest więc zniszczenie inteligencji polskiej, temu służą rozmaite akcje polityczne do procesów sądowych włącznie, przeciwko profesorom, lekarzom, prawnikom, wojskowym, przeciwko działaczom partyjnym. Zadaniem jest wytworzenie pustego miejsca, które zapełnią przysłani ze Związku Sowieckiego specjaliści.

Mój znajomy powtórzył mi tę rozmowę w 1957 roku. Uważał, że Skulbaczewski tego nie mógł sam wymyślić, że powtarzał tylko otrzymywane dyrektywy w zintelektualizowanej postaci³.

Ale wróćmy do 1937 roku. Dlaczego tak mało wiemy o wymordowaniu Polaków? Minęło już niemal 40 lat od omawianych wydarzeń, mamy już za sobą 20 lat od śmierci Stalina i rozstrzelania Berii... Zwróćmy uwagę na kilka czynników:

A. W 1937 roku światowa opinia publiczna śledziła z dużym napięciem sowieckie procesy pokazowe, do śledzenia tego, co się dzieje poza salą sądową nie miała ani możliwości ani nawet chęci.

B. Ważnym warunkiem działalności zbrodniczej jest zawsze tajność działania. Związek Sowiecki urzeczywistnił już wcześniej skuteczną izolację. Przerwano więzi z zagranicą. Nie tylko odizolowano zagranicznych dyplomatów i korespondentów ale zmuszono ludność do przerwania czysto rodzinnych więzów z krewnymi, mieszkającymi poza obrębem ZSSR. Tysiące ludzi rozstrzelaliwa-

3. Pozwolę sobie ostatnie dwa akapity zadedykować prof. Szczepańskiemu, dowodzącemu „mitu odpowiedzialności inteligencji za naród”.

no, ale za granicą nikt tego nie zauważył, bo dla krewnych w Polsce ci ludzie już wcześniej byli „pogrzebani”.

Wyżej napisałem, że impulsem napisania tych kilku stron było przeczytanie „Archipelagu...”. Istniał jednak i drugi impuls eksponujący zagrzebane w pamięci wspomnienia. To notatka w prasie polskiej że na trzydziestolecie PRL do Warszawy przyjeżdża tow. Breżniew i że w dniu jego pobytu telewizja „polska” nadała obszerny program w opracowaniu Frelka i W. T. Kowalskiego, dowodzący, że tylko Związek Sowiecki był w II wojnie po polskiej stronie i ile mamy do zawdzięczenia osobiście tow. Stalinowi. Ano właśnie! — jak w podobnych sytuacjach zwykł mówić mój dostojny profesor.

Marcin WYZIEMBŁO

Witold BABIŃSKI

Z MATERIAŁÓW ARCHIWALNYCH

Generał Sosnkowski pozostawił dużo materiałów do najnowszej historii Polski. Materiały te dotyczą w przeważnej mierze okresu drugiej wojny światowej. Niewiele stosunkowo znaleźć można rzeczy z epoki poprzedniej. A przecież pierwsze lata niepodległości, tworzenie zrębów państwowości, wojna o granice — to lata, w których generał Sosnkowski odegrał tak wielką rolę i kiedy jego talent i praca dawały rezultaty dostrzegalne dla każdego. Do tych lat wiele cennego materiału znaleźć można w archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Na szczególną uwagę zasługują akta tzw. belwederskie, tj. akta Adiutantury Naczelnego Dowództwa oraz teki generała Rozwadowskiego. Ten bogaty materiał rzuca światło na rozpiętość ważnych zagadnień, jakie w tym okresie wchodziły w zakres działalności generała Sosnkowskiego.

Postaram się omówić najważniejsze tematy dokumentacji.

I. Współpraca z Marsz. Piłsudskim. O intymności tej współpracy i szerokiego wachlarza dziedzin, powierzonych gen. Sosnkowskiemu świadczy kilka listów, zachowanych w archiwum. Już forma tych listów (częściowo pisanych ręcznie, częściowo na maszynie) mówi wiele. Zaczynają się: „Kochany Komendancie”, a kończą: „ściskam Was” lub „ściskam Was serdecznie, Wasz...” lub „Bywajcie Komendancie”. Są wśród tych listów krótkie informacje o sytuacji w Sejmie np. z dnia 4 lipca 1919 roku o tym, na jakie trudności napotyka sprawa ustalenia starszeństwa oficerów. Najciekawsze jednak są listy pisane w okresach, gdy operacje wojenne wymagały obecności Naczelnego Wodza na froncie. A więc list z 20 kwietnia 1919 roku w czasie operacji wileńskiej informuje szczegółowo o rokowaniach, jakie gen. Sosnkowski prowadzi ze świeżo przybyłym do Warszawy

szefem misji francuskiej, gen. Henrys. Chodzi o konwencję, ustalającą pomoc materiałową Francji oraz o kompetencje doradcze oficerów francuskich w Polsce, wreszcie o przejście armii Hallera pod polskie zwierzchnictwo. Poprzedni status armii Hallera był ustalony w umowie Komitetu Narodowego z rządem francuskim. Pierwsze kontakty z gen. Henrys były dobre i rokowania rozwijały się pomyślnie. Dalsza część listu jest odpowiedzią na otrzymany właśnie list Piłsudskiego z 18 kwietnia — donosi o kompletnym wykewipowaniu batalionów marszowych, następnie zaś informuje o wewnętrznej sytuacji politycznej: o ustosunkowaniu się stronnictw do kwestii litewskiej oraz ukraińskiej. Dopisek do listu datowany jest 21 kwietnia, w dzień przybycia do Warszawy gen. Hallera. Przybycie to było wykorzystane przez pewne koła prawicowe, jako broń przeciwko polityce Naczelnika Państwa.

Następne cztery listy pisane były przez gen. Sosnkowskiego do marsz. Piłsudskiego na Ukrainę w czasie naszej ofensywy wiosną 1920 roku.

List z dnia 29 kwietnia 1920 zawiera sprawozdanie z przebiegu posiedzenia Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu. Tematem obrad były sprawy związane z ofensywą. Posłowie Związku Ludowo-Narodowego kwestionowali, czy Naczelny Wódz był uprawniony do wydania odezwy do narodu ukraińskiego. Komisja debatowała nad przyszłą konwencją z Ukrainą — wreszcie postawiono sprawę określenia celów wojny. Opozycja atakowała politykę wschodnią Naczelnego Wodza, jako niezgodną z wytycznymi Sejmu. Po wyjaśnieniach premiera Skulskiego i gen. Sosnkowskiego dyskusję nad powyższymi sprawami odroczono.

Również odroczono dyskusję nad wnioskiem Liebermana (PPS) o wznowienie pettraktacji pokojowych z Sowietami. Zarysowująca się „kazirodcza współpraca N.D. i P.P.S.” została zerwana po wyjaśnieniu gen. Sosnkowskiego („cios skrytobójczy, godzący w entuzjazm wojsk walczących”). Opozycji prawicowej chodziło o zasady polityki ukraińskiej. PPS natomiast parło do wznowienia rokowań pokojowych, nie wtrącając się zresztą do operacji wojennych.

Wiadomości o pierwszych naszych zwycięstwach wywołały entuzjastyczną owację pod adresem armii na plenarnym posiedzeniu Sejmu. Dalej list informuje o inicjatywie społecznej aby manifestować na ulicach na cześć zwycięstwa, o sytuacji wewnętrznej, o rozmowach nad rekonstrukcją rządu. W końcu — uwagi co do redakcji komunikatów wojennych, co należy uwypuklić. Mowa także o oddziałach strzelców siczowych, które zło-

żyły broń. Wreszcie — konieczność wysłania posiłków na front północny, gdzie gen. Sosnkowski przewiduje przeciwnuderzenie sowieckie.

Następny list nosi datę 3 maja 1920 roku i jest odpowiedzią na list Marsz. Piłsudskiego z 25 kwietnia. Gen. Sosnkowski podaje w nim szeroki wachlarz informacji, a więc: 1) jak udało mu się przekonać premiera Skulskiego o konieczności operacyjnej marszu na Kijów (niektórzy politycy podnosili zastrzeżenia, że przecież Kijów leży na wschód od granicy 1772 roku. Istotnie — leży o 8 kilometrów na wschód). Zresztą nasza ofensywa budzi zrozumiały entuzjazm wśród ludności. Dalej w liście uwagi, jak sprawa ma być tłumaczona w komunikatach wojennych, 2) że wysłane zostały do Bukaresztu instrukcje dla gen. Rozwadowskiego, 3) że posuwa naprzód aktywizację polityki ukraińskiej m.in. amnestię w Małopolsce Wschodniej za czyny z lat 1918-1919 oraz dla sicowników wziętych ostatnio do niewoli, 4) o rozmowach stronnictw w sprawie rekonstrukcji rządu i o swych kontaktach z Witosem, 5) o sytuacji wewnętrznej, o nastrojach w społeczeństwie i wśród polityków, 6) o wrażeniu ofensywy na sprzymierzeńcach, 7) o przebiegu 1 maja i 3 maja, 8) o odruchach niemiecko-litewskich, wywołanych naszą ofensywą, 9) o sytuacji w kraju, 10) o zwłoce w opracowaniu konwencji gospodarczej z Ukrainą. W dopisku — sprawa zaopatrzenia oddziałów Udowiczenki z armii Petlury i związane z tym trudności („komuś widocznie w sztabach armii nie przypada cały interes do smaku”). Z tym wiąże się także sprawa sfinansowania uzbrojenia armii ukraińskiej.

Długi list gen. Sosnkowskiego do Marsz. Piłsudskiego z 12-go maja 1920 roku zawiera informacje dużej wagi, potwierdzające wieczną prawdę, że powodzenie wywołuje respekt i zwiększa ilość przyjaciół. Początkowe powodzenia skłaniały wszystkich do przeceniania naszych sił i naszych możliwości. Zjawia się u gen. Sosnkowskiego kolejno 3-ch wysłanników admirała Horthy'ego aby go poinformować o projektowanym powstaniu na Słowacyznie przeciwko Czechom. Oczywiście Polska, uwikłana w ciężką wojnę na wschodzie, nie mogła się angażować w nowe komplikacje. Referując tę sprawę Sosnkowski prosi Piłsudskiego o decyzję. W tych zamierzeniach Węgrom zależało także na neutralności Rumunii, z którą Polska miała stosunki, oparte na wspólnym zagrożeniu ze wschodu. Donosi także generał Sosnkowski o sprawie bardzo dla nas żywej: oto Szef Sztabu Generalnego francuskiego, gen. Buat przesłał misji francuskiej w Warszawie nowe instrukcje, które stwierdzają że na dalsze dostawy broni i amunicji Polska może liczyć tylko w drodze handlu wymiennego. Wśród

artykułów, które są Francji potrzebne, wymienia m.in. zboże i cukier. A więc główne artykuły eksportowe Ukrainy...

Podając zestawienie potrzebnej nam amunicji różnych typów, donosi Sosnkowski, że rząd niemiecki rozbił transakcję zakupu broni, doprowadzoną już do skutku za pośrednictwem banku holenderskiego. Konieczny jest nacisk na sprzymierzonych, aby nam odstąpili broń, pochodzącą z rozbrojenia Niemiec. Dalsze uwagi poświęcone są konieczności szybkiego zawarcia umowy gospodarczej z Ukrainą. Już bowiem zarysowuje się wśród państw zachodnich tendencja wyścigu po bogactwa Ukrainy...

Zgłaszają się także do gen. Sosnkowskiego wystąnnicy grupy rosyjskiej Sawinkowa z prośbą o poparcie i z zapytaniem, czy będziemy od nich żądali natychmiastowego uznania niepodległej Ukrainy; poruszają także sprawę naszych granic wschodnich.

Dalej wspomina gen. Sosnkowski o rozmowach z arcybiskupem Teodorowiczem w sprawie mianowania biskupa Bandurskiego Inspektorem Duszpasterstwa Frontu — sprawa delikatna, bo zahaczająca o kompetencje Watykanu. Ostatnia część listu poświęcona jest sytuacji politycznej w stronnictwach („duet Perla ze Stanisławem Grabskim, niezupełnie wprowadzie harmonijny, ale bądź co bądź z tej samej opery”). Wreszcie — o dywersji politycznej Ukraińców w Wiedniu, o przygotowaniach wojskowych niemieckich na pograniczu Śląska i Pomorza oraz o agitacji przeciw-polskiej, prowadzonej przez Niemców za granicą. Uwaga końcowa — (cytowana już przez W. Jędrzejewicza w Nr. 1280 *Wiadomości* „Rok 1920”), że maszynistka, której dyktuje listy „jest zupełnie naszą i całkiem zaufaną”.

Ostatni list nosi datę 14 maja 1920 roku i donosi o zmianie nastrojów pod wpływem powodzeń naszych na froncie — nawet przeciwnicy Piłsudskiego na prawicy wysuwają koncepcje korony lub dożywotniej prezydentury dla Piłsudskiego w zamian za oddanie Dmowskiemu premierostwa i spraw zagranicznych. Teką zaś spraw wojskowych miałyby przypaść gen. Sosnkowskiemu. Wśród PPS zmiana nastrojów idzie w kierunku wzięcia udziału w nowym rządzie. Wśród komunistów zarysowuje się rozdwojenie: 70 % stoi nadal za ścisłą zależnością od komunistów rosyjskich, 30 % — za odrębnym ruchem komunistycznym polskim.

W związku z planami węgierskimi donosi Sosnkowski o tajnym porozumieniu Jugosławii, Rumunii i Czechosłowacji, skierowanym przeciwko Węgrom. Wreszcie wyjaśnia Sosnkowski swoje poprzednie uwagi co do Ukrainy, które mogły być źle przez Piłsudskiego zrozumiane: nie chodzi o eksploatację Ukrainy, lecz o zawarcie umów gospodarczych w chwili dla nas korzystnej,

a więc gdy jeszcze do tych spraw nie wmieszali się inni, którzy lada chwila wmieszać się mogą.

Takie oto sprawy były przedmiotem korespondencji w okresie powodzeń naszej ofensywy. Zakres ich i poufność świadczą o głębokiej, opartej na zaufaniu, współpracy ówczesnej Piłsudskiego z Sosnkowskim. A przecież gen. Sosnkowski był wtedy wice-ministrem spraw wojskowych. Ministrem był gen. Leśniewski. Swoje funkcje w kierowaniu ministerstwem gen. Sosnkowski musiał przerwać w maju 1920 roku. Gdy bolszewicy rozpoczęli pierwszy kontratak na północy przeciwko naszej 1-ej armii — sformowana została tzw. armia rezerwowa, ze specjalnym zadaniem odrzucenia natarcia bolszewickiego. Dowództwo tej armii powierzył Naczelnny Wódz generałowi Sosnkowskiemu, który tę swoją kilkudziesięciotysięczną armię starannie przygotował w czasie rekordowym, operację wykonał sprawnie i po kilku tygodniach osiągnął zamierzony cel, tj. osiągnął linię rzeki Auta. Na szefa sztabu armii rezerwowej dobrał sobie gen. Sosnkowski płk. Burhardta-Bukackiego. Po spełnieniu zadania armia rezerwowa została rozwiązana, a gen. Sosnkowski wrócił na stanowisko wice-ministra. Nowa sytuacja, nowe ciężkie zadania: załamanie się ofensywy na Ukrainie, odwrót, śmiertelne zagrożenie. Przygotowanie obrony, dostarczenie nowych sił, uzbrojenie ich i zaopatrzenie. Równie ważne: podtrzymanie ducha, zwalczanie zwątpienia. Zjednoczenia wszystkich sił narodu. Zanim omówimy dokumenty dotyczące samej bitwy warszawskiej — sięgnijmy do zagadnień, obrazujących tło ówczesnych wypadków.

II. Sejm i polityka wschodnia. Zachowały się w archiwum Instytutu Piłsudskiego protokoły posiedzeń komisji sejmowych. Polityka Naczelnika Państwa jest atakowana przez opozycję. Uzasadniają tę politykę Premier (wówczas zwany „prezydentem ministrów”) Skulski oraz wice-minister spraw wojskowych gen. Sosnkowski. Premier wyjaśnia członkom komisji (której przewodniczącym był Stanisław Grabski) na jakich zasadach powinien być zawarty pokój z Rosją, w jakiej formie ma się wyrazić wola ludów, zamieszkających między granicą 1772 roku a Polską etnograficzną. Podnosi szczególną wagę zagadnienia Ukrainy oraz odrębność sprawy litewskiej. W zamierzonych rokowaniach przeczność nakazuje utrzymanie ścisłej łączności z Entente’ą.

Tezy premiera rozwija wice-minister Sosnkowski, który wyjaśnia szereg spraw, poruszanych w dyskusji. Przedstawia stanowisko czynników wojskowych w sprawie warunków pokojowych. Za istotną gwarancję pokojową uważa wydanie przez bolszewików części materiału wojennego w formie zwrotu tej części, jaką

wnosiła Polska do obrony państwa rosyjskiego. Ta rewindykacja pokryłaby część naszych niezbędnych nakładów obronnych. Cierpliwie wyjaśnia proponowane strefy, jako zabezpieczenie na wypadek nie dojścia pertraktacji do skutku. Z chwilą przyjęcia proponowanych tez zapanowałby faktyczny stan rozejmu; dlatego odrębne rokowania o rozejm nie są wskazane. Podobną siłę przekonania wobec Sejmu widzimy w protokole komisji Wojskowej i Skarbowo-Budżetowej z dnia 4 marca 1920 roku, gdy gen. Sosnkowski uzasadnia zapotrzebowanie kredytów na zaopatrzenie armii. Nie należy tych kredytów uważać za tylko wojenne. Są to jednocześnie wydatki inwestycyjne, a niektóre z nich wchodziły w skład gospodarki ogólnopaństwowej. Najpilniejsze są te wydatki, które nam umożliwiają pogotowie wobec bolszewików, gdyż oni chcą z nami rozmawiać z bronią w rękę.

W dalszej dyskusji omawiano trudności techniczne i finansowe uzbrojenia wojska. Przekonywać trzeba było opozycję zarówno prawicową, zwalczającą politykę wschodnią Piłsudskiego, jak i lewicową — wołającą o jak najszybsze wszczęcie rokowań pokojowych.

Gdy po układzie Naczelnika Państwa z Petlurą wyrusza nasza ofensywa na Ukrainę, początkowo rozwijająca się pomyślnie, wiceminister Spraw Wojskowych gen. Sosnkowski już 4 maja 1920 występuje do Premiera o poczynienie kroków pojednawczych w stosunku do społeczeństwa ukraińskiego w Małopolsce Wschodniej. Załączając projekt dekretu amnestyjnego, gen. Sosnkowski bardzo przekonująco uzasadnia konieczność zarządzeń łagodzących właśnie teraz, gdy nie mogą być one potraktowane, jako objaw słabości.

Sprawa ukraińska jest w tym okresie sprawą centralną naszej polityki. Wśród innych dokumentów znajdujemy także wytyczne dla gen. Rozwadowskiego, szefa misji w Bukareszcie. Instrukcje te wysłał gen. Sosnkowski 4 maja 1920 z polecenia Naczelnego Wodza po uzgodnieniu ich z premierem Skulskim. Wytyczne owe stwierdzają, że Polska nie ma zamiaru okupacji Ukrainy, że natomiast chętnie będzie widziała współpracę Rumunii w pomocy Ukraińcom przy tworzeniu własnego państwa. Polska widzi wspólne interesy, jakie powinny łączyć naszą politykę z rumuńską. Polska daje Ukrainie pomoc militarną, Rumunia natomiast powinna dać pomoc polityczną (uznanie rządu Petlury) i poprzeć wysiłek Ukraińców przez wydanie im materiału wojennego, pozostałego po internowanych w swoim czasie oddziałach, które przekroczyły granicę. Wreszcie instrukcja dla gen. Rozwadowskiego dotyczy szybkiego przewozu przez Rumunię materiału wojennego z Salonik, co napotyka na trudności nie tylko techniczne,

ale i polityczne (wszczęte przez Rumunię rokowania z bolszewikami).

Sprawa celów wojny, polityki wschodniej, braku porozumienia z białymi Rosjanami, nie przestała zajmować bacznej uwagi stronnictw opozycyjnych w Sejmie. Walczyły po naszej stronie w roku 1920 różne formacje rosyjskie anty-bolszewickie. Szukały o nas oparcia grupy polityczne, wśród nich — grupa Sawinkowa. Znajdujemy w archiwum „belwederskim” list Sawinkowa do gen. Sosnkowskiego z dnia 3 sierpnia 1920 roku. W liście tym, Sawinkow prosi o interwencję u Naczelnika Państwa w sprawie oddziału gen. hr. Pahlen'a, działającego na pograniczu polsko-łotewskim. Sawinkow zaprzecza pogłoskom, jakoby Pahlen był pod wpływem niemieckim, stwierdza, że oddziały te pod względem politycznym podlegają demokratycznej organizacji jego, Sawinkowa.

Zachował się również protokół posiedzenia Sejmu z dnia 29 października 1920 roku, na którym minister spraw wojskowych gen. Sosnkowski wyjaśniał w imieniu Rządu sprawę obozu w Jabłonie. Obóz ten powstał na czas krótki w myśl uchwały Rady Obrony Państwa w krytycznych dniach roku 1920. Tłem było zachowanie się pewnej ilości żołnierzy i ludności pochodzenia żydowskiego wobec najeźdźcy. Wywołało to reakcję m.in. wśród żołnierzy i prowadziło do ekscesów anty-żydowskich, co także godziło w dyscyplinę wojska. Stąd zarządzenie o czasowym wydzieleniu żołnierzy-Żydów. Wkrótce, gdy kryzys minął — obóz został zlikwidowany po dyskusji na Radzie Obrony Państwa. Gdy następnie zebrał się Sejm w dniu 24 września 1920, wpłynęły interpelacje m.in. posła Grünbauma „o nierównym traktowaniu Żydów”; oraz stronnictw prawicowych „o współdziałaniu Żydów z nieprzyjacielem”.

Na te interpelacje odpowiedział Minister Spraw Wojskowych, wyjaśniając, że sankcje spotkałyby każdy oddział wojskowy, który stałby się winny wykroczenia przeciw bezpieczeństwu armii. Zarządzenia wydano, kiedy wróg podchodził do bram stolicy. Rząd polski traktuje bezstronnie i na równi wszystkich obywateli, którzy lojalnie spełniają swoje obowiązki wobec państwa. Najlepszy dowód stanowi chyba opublikowany niedawno przez Ministra Spraw Wojskowych wykaz „który dowodzi, że karząca ręka sprawiedliwości i ostry miecz wyjątkowych zarządzeń powołanych przez wojskowość do życia w tym ciężkim ubiegłym okresie, dotknął i tych wszystkich, którzy dopuścili się gwałtów i rabunków na ludności żydowskiej. 17 wyroków śmierci! Sądzę, że p. Grünbaum przyzna, że to nie jest mało. W każdym razie jako

dowód bezstronności władz polskich to 17 wyroków śmierci wystarczają...”.

Wyjaśnienia gen. Sosnkowskiego przyjął Sejm oklaskami.

Bardzo charakterystyczna jest interpelacja posła Zamorskiego i tow. ze Związku Ludowo-Narodowego w sprawie rzekomej tajnej umowy między polskim a bolszewickim dowództwem. Interpelacja nosi datę 28 września 1920 roku (a więc w czasie toczących się operacji wojennych) i powołuje się na informacje, jakie ukazały się w prasie niemieckiej, a wśród nich — powtórzony przez te gazety rzekomy radio-telegram Radka-Sobelsohna. Pogłoski te twierdziły, że istniała tajna, niepisana, ale dotrzymana umowa między polskim Naczelnikiem Państwa a bolszewikami, polegająca na wstrzymaniu ofensywy polskiej w czasie akcji bolszewickiej przeciw Judeniczowi a następnie Denikinowi. A więc, że zniszczenie armii rosyjskich przeciwbolszewickich zawdzięczać należy cichej życzliwości polskiego dowództwa.

W aktach znajdujemy następnie pismo Marszałka Piłsudskiego (podpisane J.P.) do ministra spraw wojskowych, generała Sosnkowskiego z dnia 23 października 1920. W piśmie tym Marsz. Piłsudski wyjaśnia, że interpelanci pomieszały dwa różne momenty naszej wojny, różne pod względem czasu i przestrzeni. Obie operacje przypadały na okres zimowy, w zimie zaś Naczelne Dowództwo polskie zdecydowane było nie prowadzić większych działań z uwagi na złe zaopatrzenie wojska. Specjalnie na północy wchodził w grę jeszcze jeden czynnik, mianowicie, że na lewym skrzydle polskim działały formacje Bermonta, co do których istniały obawy, że mogą się zwrócić przeciwko wojskom polskim. Obawy i zastrzeżenia polskie w tej sprawie podzielali wtedy też Łotysze i Estończycy. Naczelne Dowództwo sądzi, że w stosunku do wynurzeń prasy nam wrogiej lub przedstawiciela państwa, które było z nami w stanie wojny — wszelkie prostowanie błędnych informacji oznaczałoby jedynie nadawanie im znaczenia, na które absolutnie nie zasługują.

W dalszym biegu sprawy premier Witos przesłał w dniu 30 kwietnia 1921 marszałkowi Sejmu odpowiedź Ministra Spraw Wojskowych gen. Sosnkowskiego z dnia 22 kwietnia, która stwierdza, że pogłoski, jakoby rząd bolszewicki zawdzięczał rozgromienie powstańczych armii rosyjskich bierności armii polskiej i cichej życzliwości polskiego Naczelnego Dowództwa w tym czasie, jakoteż o rzekomej tajnej umowie z bolszewikami, zapewniającej im nieczynność wojsk polskich na przeciąg rozprawy z armiami powstańczymi — były pozbawione jakiejkolwiek podstawy. Dalsza część odpowiedzi na interpelację jest powtórze-

niem wyjaśnienia zawartego we wspomnianym piśmie Naczelnego Wodza.

O roli, jaką gen. Sosnkowski odegrał w Radzie Obrony Państwa nie znajdujemy w aktach belwederskich wiele materiału. Wspomnieć tu warto i zanotować wypowiedź ówczesnego premiera Witosa, który w swych wspomnieniach (Instytut Literacki, Paryż 1964, str. 463) przyznał że gen. Sosnkowski jako minister Spraw Wojskowych w Rządzie Obrony Narodowej odznaczał się „niesłychaną pracowitością, znajomością rzeczy i zrozumieniem położenia państwa. Umiał się też wzniesć ponad mafie i koterie, których nie brakło w czasie wojny. Mimo bardzo bliskich stosunków z Piłsudskim, wobec rządu zachował zupełną lojalność nawet wtenczas, gdy się ich drogi silnie rozchodziły. Poza małymi spóźnieniami na każde niemal posiedzenie trudno mu było cośkolwiek zarzucić”.

III. Misja francuska. Odradzające się państwo polskie doznawało poparcia ze strony Francji. Współpraca wojskowa była we wzajemnych stosunkach rzeczą ogromnej wagi. Ustawienie tej współpracy w sposób najwłaściwszy z punktu widzenia polskiego nasuwało nieraz wiele problemów niełatwych. Akta belwederskie zawierają dość materiału, obrazującego pracę gen. Sosnkowskiego w tej dziedzinie.

W dniu 16 kwietnia 1919 gen. Sosnkowski przedstawia projekt Konwencji Wojskowej francusko-polskiej w myśl uchwały Sejmu z 1 kwietnia 1919. Jako załączniki: 1) umowa w sprawach transportowych, 2) umowa w sprawie misji wojskowej francuskiej, 3) umowa dotycząca przydziału oficerów francuskich, 4) umowa określająca warunki materialne personelu francuskiego przy armii polskiej.

W owym czasie marszałek Foch był wspólnym wodzem armii sprzymierzonych — wrogowie jednego z państw stawali się więc teoretycznie wrogami wszystkich sprzymierzonych. Umowa ówczesna musiała sprecyzować jasno, że armia polska, w kraju czy za granicą, stanowi całość, podległą Naczelnemu Wodzowi. Sprzymierzeni zobowiązali się do pomocy w uzbrojeniu i zaopatrzeniu armii polskiej (tu wchodziły w grę trudne zagadnienia transportu) oraz do pomocy organizacyjnej i wyszkoleniowej. Oddziały armii Hallera zostają repatriowane. Wiosną 1919 roku zaczyna pracować misja wojskowa francuska, na której czele stoi gen. Henrys. Stosunki gen. Henrys'a z gen. Sosnkowskim układają się dobrze i od samego początku. Nie darmo w niektórych kołach francuskich i polskich zarzucano gen. Henrys, że zbyt popiera politykę Piłsudskiego...

Zagadnień nie brakowało: już w jesieni 1919 trzeba było zmienić podstawę prawną współpracy wojskowej z chwilą, gdy parlament francuski uchwalił ustawę o „zaprzestaniu kroków wojennych”. Nowe rokowania gen. Sosnkowskiego z gen. Henrys'em. 10 listopada 1919 roku gen. Sosnkowski określa zadania oficerów francuskich w Polsce jako zadania szkoleniowe w pierwszym rzędzie: Powinni być zatrudnieni we wszelkich szkołach wojskowych oraz jako doradcy techniczni w oddziałach. Raczej w kadrach niż na froncie. Rola doradcza. Wiązało się z tym zagadnieniem szereg spraw technicznych i finansowych.

Nie ma róży bez kolców — i współpraca wojskowa polsko-francuska natrafiała na przeszkody: 13 lutego 1920 roku pisze gen. Sosnkowski do gen. Henrys'a załączając artykuł, jaki ukazał się w prasie francuskiej, szkalujący Polskę, jej wojsko oraz misję francuską. Gen. Henrys interweniował wtedy natychmiast i ustalono, że autorem artykułu, ukrywającym się pod pseudonimem był jeden z byłych oficerów Misji, odesłany do Francji.

Sprawy większej wagi stanowią przedmiot dalszej korespondencji: 8 maja 1920 pisze gen. Sosnkowski do gen. Henrys'a z prośbą o interwencję u władz francuskich o przyznanie Polsce zapasów broni i amunicji niemieckiej, zajętych przez Francję przy okupacji prawego brzegu Renu. Uzasadnia potrzeby polskie, możliwości zaopatrzenia w okresie, gdy nasza młoda armia miała uzbrojenie francuskie, niemieckie, austriackie i rosyjskie. Ujednolicenie uzbrojenia natrafiało na trudności finansowe i techniczne, a potrzeby bieżące frontu nie pozwalały na zwłokę. Zaopatrzenie oddziałów — to naczelna troska Ministra Spraw Wojskowych.

Po bitwie warszawskiej (o czym oddzielnie) następuje okres przygotowania trwalszej współpracy polsko-francuskiej, zarówno politycznej, jak i wojskowej. Jak wiadomo, oficjalna wizyta Naczelnika Państwa w Paryżu celem zawarcia sojuszu z Francją miała miejsce w początku roku 1921. Po wyjeździe Naczelnika Państwa zostają w Paryżu celem dalszych rokowań: minister spraw zagranicznych Sapieha i minister spraw wojskowych Sosnkowski, który negocjuje konwencję wojskową i podpisuje ją z marszałkiem Fochem i gen. Buat 21 lutego 1921 roku.

Pewne ślady tych spraw znajdujemy w materiałach archiwalnych: list gen. Weyganda („Comité Militaire Allié de Versailles. Section française. Le Chef d'Etat Major”) do gen. Sosnkowskiego z dnia 5 stycznia 1921 roku. W liście tym gen. Weygand wyraża radość z powodu tego, że właśnie gen. Sosnkowski będzie towarzyszył Naczelnikowi Państwa w wizycie paryskiej. Już teraz może mu dać wiadomość o pomyślnym załatwieniu przez rząd francuski jednej z naszych spraw: mianowicie rząd francuski

zrzekł się na rzecz Polski całości owego udziału w materiale wojennym, jaki mu przypadł z rozbrojenia Austrii. Wreszcie gen. Weygand oświadcza, że będzie starał się być użyteczny w negocjacjach, „*d'y être aussi utile que possible à votre cause. Vous savez combien j'y suis attaché!*”.

Drugi dokument z tej samej epoki to depesza Ministra Spraw Zagranicznych Sapięhy z Paryża z dnia 10 lutego, informująca, że złożył projekt umowy politycznej polsko-francuskiej oraz „wspólne z ministrem Sosnkowskim projekt umowy wojskowej określającej stopień i sposoby współdziałania armii i floty oraz pomoc w materiale w rozmaitych wypadkach konfliktu. Projekt ten przewiduje poważny udział Francji w finansowaniu naszego pogotowia wojennego. Propozycje przyjęto przychylnie. Jutro składają kontrprojekt. Dalsze szczegóły po jutrzejszej konferencji, ewentualne podpisanie możliwe dopiero po moim powrocie z Londynu”.

IV. *Organizacja wojska.* Materiały archiwalne zawierają sporo danych z dziedziny organizacji wojska. Wybieram kilka takich dokumentów, które są charakterystyczne dla ówczesnych warunków bądź też — dla osób w tych warunkach działających. A więc:

Pismo II Wiceministra Spraw Wojskowych, gen. Sosnkowskiego do Dowództwa Okręgu Generalnego Warszawa. Data: 16 lipca 1919. Wiceminister otrzymał raporty, że w jednym z oddziałów zapasowych „rozwielił się zwyczaj wychowywania żołnierzy za pomocą kar cielesnych”. Wiceminister zakazuje podobnych praktyk, poleca złożyć sobie meldunek po dokonaniu inspekcji i poucza, że „spełnianie warunków karności i dyscypliny bynajmniej nie wyklucza bliskich i serdecznych stosunków pomiędzy przełożonym a podwładnym, które w znacznej mierze warunkują dobroć i bitność armii”.

4 lipca 1919 gen. Sosnkowski melduje Naczelnemu Wodzowi (list odręczny: „Komendancie” — „Wasz”) na jakie trudności napotyka w Sejmie sprawa ustalenia starszeństwa oficerów: „gotuje się starcie między prawicą a lewicą”, wysuwa sugestię co do przeprowadzenia odpowiedniej ustawy przez Sejm.

Są i sprawy personalne: 20 lipca 1920 roku Minister Spraw Wojskowych, gen. Sosnkowski interweniuje u Szefa Sztabu Generalnego w sprawie pozbawienia przydziałów 2 wypróbowanych i bojowych pułkowników: Strzemińskiego i Dziewickiego, co do których jest stale interpelowany przez członków Rządu i Rady Obrony Państwa.

Jedną ze spraw miała posmak skandalu: w końcu lipca 1920 roku, a więc w krytycznych chwilach ostatecznej rozprawy z nieprzyjacielem, kpt. Karol Polakiewicz, zastępca Szefa II Oddziału Sztabu MSWojsk zostaje oskarżony o sprzyjanie komunistom. Minister Spraw Wojskowych, gen. Leśniewski, poleca Wiceministrowi Sosnkowskiemu zawiesić w czynnościach kpt. Polakiewicza. Rozkaz ten gen. Sosnkowski wykonał, ale sam podał się do dymisji, uważając zarzuty postawione kpt. Polakiewiczowi za nieuzasadnione. Podał się wtedy również do dymisji szef II Oddziału, ppłk Miedziński.

Wszczęte przez generała Pika, Szefa Oddziału prawnego MSWojsk. dochodzenie prokuratorskie nie znalazło podstaw do stawianych kpt. Polakiewiczowi zarzutów. Na tle powyższej sprawy, której akta przechowywały się w archiwum belwerderskim, minister gen. Leśniewski podał się do dymisji 8 sierpnia 1920 roku. Ministrem Spraw Wojskowych mianowany został gen. Sosnkowski w dniu 9 sierpnia. Na tym stanowisku pozostawał w różnych, kolejno zmieniających się gabinetach aż do roku 1924.

Szereg dokumentów ważnych i mniej ważnych załatwianych przez Ministra: projekt dekretu o amnestii za działania nieprzyjazne przeciwko sile zbrojnej Państwa (chodziło o Ukraińców).

10 listopada 1920 (a więc po zawieszeniu broni i podpisaniu preliminarne go układu pokoju) rozkaz Ministra Spraw Wojsk. zabrania wszelkiego werbunku do oddziałów wojsk obcych w ogóle, w szczególności zaś do oddziałów walczących na terenie rosyjskiej lub ukraińskiej republiki sowieckiej.

Jest w aktach nawet sprawa poszukiwań godeł królewskich w kościele we Włodzimierzu Wołyńskim: Minister Spraw Wojskowych w piśmie do Prezydenta Ministrów Witosa z 15 grudnia 1920 stawia wniosek o powołanie specjalnej Komisji celem ostatecznego umorzenia sprawy, choć została ona już wyjaśniona. W skład Komisji powinny wchodzić osoby godne zaufania z Sejmu i spoza Sejmu oraz przedstawiciele duchowieństwa i wojskowości.

Jest w aktach także dłuższe opracowanie: *exposé* Ministra Spraw Wojskowych z marca 1921 roku o pokojowej organizacji wojska, o prawach i obowiązkach żołnierza. Z zakończeniu tego *exposé* znajdują się rozważania o sytuacji międzynarodowej Polski, o braku granic naturalnych w stosunku do obu potężnych sąsiadów. Liga Narodów, przy całym uznaniu dla jej szlachetnych założeń, nie może być uważana niestety za dostateczną gwarancję naszego bytu. Stąd konieczność szukania w związkach ściślejszych gwarancji, że pomimo naszych wyraźnych i niewątpli-

wie pokojowych planów i zamierzeń, wojna narzucona nam nie będzie, zaś w razie narzucenia — zostanie odparta.

Zawarty sojusz z Francją, na niewątpliwiej wspólności interesów oparty, daje nam te gwarancje w stosunku do Zachodu. Misja wojskowa francuska w Polsce daje cenną dla młodej naszej armii fachową współpracę — prowadzoną w wyraźnie określonym wspólnym interesie. W stosunku do Wschodu cały szereg państw na równi z nami zawiera układy pokojowe z Rosją sowiecką, od dotrzymania których byt tych państw w dużym stopniu zależy. Stąd nasuwa się wniosek, że zabezpieczeniem tym układom trwałości jest wzajemne porozumienie państw o wspólnych interesach obrony swej niepodległości. Pojedynczo państwa te są słabe. W sumie jednak, łącznie z Polską, stworzyć mogą skuteczną i zupełnie wystarczającą przeciwwagę ewentualnemu najazdowi. W tym kierunku prowadzone są prace Rządu polskiego.

V. Bitwa warszawska 1920. 18-ta najważniejsza bitwa w historii, jak ją nazwano, czy „cud nad Wisłą”, jak chcieli inni — bitwa ta miała znaczenie olbrzymie: odsunęła na ćwierć wieku zalew Europy przez Rosję sowiecką; narodowi naszemu przywróciła wiarę we własne siły. Zdecydowała o wygranej wojnie. Zwycięstwo — pierwsze po długiej przerwie od czasów Sobieskiego — będzie na zawsze związane z imieniem Piłsudskiego, którego manewr znad Wieprza o losach wojny wówczas przesądził.

Sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się latem roku 1920 była nad wyraz ciężka. Potrafiliśmy jednak znaleźć nowe siły i naród na duchu nie upadł. Jedynym krajem, który nam wtedy przyszedł z realną pomocą, była Francja. O tym należy pamiętać. Wprawdzie i Węgry gotowe były nam pomóc, jednakże odmowa udzielenia tranzytu przez Słowację dla wojsk węgierskich, zamiary te udaremniła.

Do bitwy warszawskiej niezwykle cenne źródła zawierają teki gen. Rozwadowskiego, ówczesnego Szefa Sztabu, znajdujące się w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Teki te trzymał przez lat parę gen. Rozwadowski u siebie. W notatce, datowanej 10. V. 1925 roku wyjaśnił, dlaczego tak uczynił: nie chciał przedwcześnie dawać powodu do krytyki czynności misji gen. Henryks'a oraz ustalenia roli doradczej tylko gen. Weygand'a, co mogłoby utrudnić zawarcie ścisłego sojuszu wojskowego z Francją, do czego musieliśmy dążyć. I teraz, to jest w roku 1925 materiał ten powinien być użyty bardzo oględnie i nie należy go publikować. Francuzi doradzali nam przede wszystkim defensywę. Plany gen. Billotte — głównej akcji z północy, spotkały

się ze sprzeciwem ze strony polskiej. Gen. Rozwadowski, tak jak Naczelny Wódz, dążył do walki rozstrzygającej i wciągnięcia armii sowieckiej w walki frontalne.

Pierwsze plany polskie: walki nad Bugiem i kontr-akcja ze strony Brześcia nie dały się wykonać z powodu zbyt szybkiego natarcia sowieckiego. Sytuacja się zmieniała z dnia na dzień, a więc i plan polski rozwijał się stopniowo, doprowadzając do związania sił nieprzyjaciela w rejonie Warszawy, walki na odcinku Wkry i pod Modlinem, zaś w odpowiedniej chwili wygranie rezerw własnych znad dolnego Wieprza na flankę i tyły zaangażowanych już wojsk nieprzyjaciela. Historyczna decyzja Piłsudskiego dojrzewała w ciężkich zmaganiach („jak dziewczyna, która rodzi”). Szef Sztabu dyskutował z Naczelnym Wodzem w nocy z 5 na 6 sierpnia wytyczne operacyjne Naczelnego Wodza, dyskutowane następnie w 2-ch wariantach 8-go sierpnia, zredagowane przez Szefa Sztabu 8 sierpnia (Nr fikcyjny rozkazu 10.000). Dalsze szczegółowe omówienie planu akcji znad Wieprza 10-go sierpnia w godz. 16-ej do 21-ej na konferencji w składzie: Naczelny Wódz, marszałek Piłsudski, gen. Rozwadowski, gen. Sosnkowski (wówczas już Minister Spraw Wojsk.) i gen. Weygand.

Gdy Naczelny Wódz powziął decyzję ostateczną — napisał rozkaz własnoręcznie. Oryginał tego rozkazu datowanego 15 sierpnia znajduje się w aktach. Również podziękowanie Naczelnego Wodza dla Szefa Sztabu po pomyślnym przeprowadzeniu operacji.

Nie jest, rzecz prosta, w niczyim interesie, aby umniejszać dobrą wolę i rzetelną pomoc ze strony Francji. Znajdujemy w aktach depeszę marszałka Focha (le Maréchal Président, Comité militaire allié de Versailles) do gen. Henrys'a z dnia 10 lipca 1920, polecającą wysłanie niezwłoczne do Paryża gen. Billotte ze szczegółowymi informacjami o położeniu oraz ofiarującą ze strony rządu francuskiego pomoc dla armii polskiej w jej obronie własnego kraju. Pomoc ta miała się w szczególności wyrazić w przysłaniu oficerów-doradców. Na czele tych oficerów stanął gen. Weygand. Rady oficerów francuskich zalecały wielką ostrożność i miały charakter defensywny. Zgodnie z podstawową radą marszałka Focha: „*Calez vous, formez forte barrière, arrêtez l'ennemi et puis vous penserez à contreattaquer*”.

Z książki Marsz. Piłsudskiego „Rok 1920” wiemy, że stosunki między gen. Rozwadowskim a gen. Weygandem nie były wtedy najlepsze, różnica zdań co do koncepcji operacyjnej była duża. Pracując w tym samym gmachu Sztabu rozmawiali ze sobą „tylko notami dyplomatycznymi”. „Dobrym duchem opiekuńczym tej pary generalskiej był gen. Sosnkowski”.

Owe „Noty dyplomatyczne” zachowały się w aktach gen. Rozwadowskiego i stanowią bezcenny materiał dla historii. Na przykład 30 lipca 1920 gen. Weygand doradza zatrzymanie nieprzyjaciela na linii Omulew, Ostrołęka, Ostrów, formowanie rezerwy dla osłony północnej flanki I-ej armii, osłona Warszawy od północy. Na oryginale notatka gen. Rozwadowskiego: „a więc czysto defensywnie? (—) R.”. Dalsze sugestie gen. Weyganda: 1 sierpnia 1920, szczegółowe omówienie środków dla zatrzymania nieprzyjaciela na linii Omulew-Ostrołęka-Bug. Tworzenie rezerw w rejonie Ostrołęki. Trzymanie linii Bugu i Brześcia za każdą cenę. Przeciwnatarcia bez osiągnięcia solidnej bazy mijają się z celem.

2 sierpnia 1920 roku gen. Weygand sugeruje wzmocnienie frontu północnego siłami przesuniętymi z frontu południowego, gromadząc te rezerwy w rejonie Siedlec. To da się zrealizować, trzymając linię Bugu i wstrzymując nieprzyjaciela na południu. Konieczna przy tym osłona od północy (obawy w związku ze słabą łącznością między I-szą i II-gą armią. Również łączność między frontem północnym a III-cią armią musi być utrzymana).

3 sierpnia 1920 gen. Weygand — wobec opuszczenia linii Bugu doradza zatrzymanie się za wszelką cenę na linii Omulew-Ostrołęka i pozostała część Bugu. Tylko po zatrzymaniu nieprzyjaciela można projektować odrzucenie go na prawy brzeg Bugu. Dalej nalega gen. Weygand na przyspieszenie robót obronnych w rejonie Warszawy.

5 sierpnia 1920 gen. Weygand znów nalega na przyspieszenie robót dla obrony Warszawy i linii Wisły „*mais la bataille qui se livre est celle du Bug*”. Tam nieprzyjacieli musi być zatrzymani na linii stałej. Gdy to nastąpi — przeciwnatarcie z północy „*pour reprendre le terrain*”. Do przeciwnatarcia muszą być użyte oddziały w dostatecznej ilości i w należytej dyscyplinie (podane są informacje o zbyt dużej ilości taborów i słabych stanach w oddziałach walczących).

Wieczorem 6 sierpnia gen. Weygand zapoznał się z wytycznymi operacyjnymi Marsz. Piłsudskiego. Był pod silnym wrażeniem śmiałości tej koncepcji. Współpracował nad jej realizacją, choć to nie była jego koncepcja.

11 sierpnia 1920 pisze gen. Weygand do gen. Rozwadowskiego „*à la veille de la bataille décisive*” swoje uwagi co do wykonalności planu: warunkiem niezbędnym tej wykonalności jest utrzymanie linii obronnej Warszawy od Modlina do Góry Kalwarii. Jest to niezbędny warunek dla operacji V armii na północnym odcinku i IV-ej na odcinku południowym tej linii.

Wyraża obawę, czy siły, przeznaczone do działań na obu tych odcinkach, są wystarczające. Że więc należałoby wzmocnić te odcinki częścią posiadanych rezerw. Należy się wystrzegać przedwczesnego rozpoczęcia natarcia przez V armię (na marginesie uwaga gen. Rozwadowskiego: „*très juste*”). Generał Weygand uważa, że po zapewnieniu utrzymania linii Modlin-Serock, V-ta armia ma się skoncentrować pod osłoną rzeki Wkry na północny zachód od Modlina (na marginesie uwaga gen. Rozwadowskiego: „*déjà ordonné*” R.), powstrzymać ewentualne oskrzydlenie przez nieprzyjaciela i w odpowiednim momencie uderzyć silnie w kierunku północno-wschodnim.

Wreszcie gen. Weygand zwraca uwagę, że istnieją pewne różnice między koncepcją Szefa Sztabu a koncepcją dowódcy frontu północnego (tj. gen. Hallera) co do użycia V armii (na marginesie notatka gen. Rozwadowskiego: „*écrire et parler à Haller*”). Notatka gen. Weyganda kończy się uwagami co do przyspieszenia transportu oddziałów przeznaczonych dla V armii oraz zwraca uwagę na brody pod Modlinem celem uniknięcia niespodzianek.

Z tych dni gorących znajdujemy w archiwum inny dokument: własnoręczne pismo na 3 stronach arkuszowych „prezydenta ministrów” Władysława Grabskiego do Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza z dnia 23 lipca 1920 roku (W. Grabski był premierem od 23 czerwca do 23 lipca 1920. Rząd Obrony Narodowej pod przewodnictwem Witosza powołany był 24 lipca. Rada Obrony Państwa istniała od 30 czerwca 1920). Pismo premiera Grabskiego z 23 lipca czyta się z mieszanymi uczuciami: Grabski zwraca uwagę na panikę ewakuacyjną, którą jakoby sięją władze wojskowe, wbrew bardziej opanowanemu stanowisku władz cywilnych. Rozwijając dalej swoją myśl Grabski podkreśla, że to nie żołnierze lecz oficerowie są źródłem paniki. W konkluzji żąda wzmocnienia łączności między Rządem a Naczelnym Wodzem oraz proponuje stworzenie specjalnego trybunału do karania dowódców — w pierwszym rzędzie generałów (jako przykład podaje gen. Boruszcza i Mokrzeckiego — oddanie Wilna i Grodna) dla „podnoszenia ducha”.

Jest w tym piśmie także zawarte żądanie, aby Szef Sztabu był mianowany w porozumieniu z Rządem (Marsz. Piłsudski mianował Szefem Sztabu gen. Rozwadowskiego w dniu 22 lipca 1920 bez konsultacji Rządu).

To pismo jakże jest charakterystyczne dla ówczesnych nastrojów — Władysław Grabski, człowiek zasadniczo mocny, najadł się niemało gorczy w czasie swego 30-dniowego premierostwa. Jemu właśnie przypadła w udziale rola reprezentowania Polski

w Spa, gdzie Entente'a narzuciła nam warunki kapitulacyjne (10 lipca 1920). Wedle ówczesnych świadków historii na pesymizm Grabskiego w przeddzień konferencji w Spa wpłynęło w dużej mierze załamanie się gen. Szeptyckiego, który przyszedł do wniosku, że nie zostało nam nic poza prośbą o pokój za każdą cenę. Niewątpliwie w oczach Grabskiego opinia Szeptyckiego — fachowca znaczyła więcej niż opinia Piłsudskiego — dyletanta...

Wśród licznych dokumentów gen. Rozwadowskiego znajdujemy kartkę skreśloną ręką gen. Sosnkowskiego: „Generała broni Józefa Hallera mianuję wojennym gubernatorem Warszawy — 29. VII. 20”. Bez podpisu. A pod tym własnoręcznie przez gen. Rozwadowskiego: „Proponowałem i uzyskałem mianowanie go *wraz z płk. Zagórskim* jako szefem Sztabu (podkreślenie w oryginale) na komendanta frontu północnego na miejsce Szeptyckiego (—) R”.

Inna kartka: własnoręczny szkic sytuacji na froncie i dokoła Warszawy w dniu 2 sierpnia 1920. Szkic ten był robiony przez gen. Sosnkowskiego w czasie konferencji z Szefem Sztabu gen. Rozwadowskim.

Wracając jeszcze do roli gen. Weyganda w roku 1920 warto przypomnieć, że pomoc jego zaznaczyła się bardzo w przygotowaniu pozycji obronnych na przedmościu wschodnim Warszawy i w przyspieszeniu transportów zaopatrywania całego wojska; niewątpliwie cenne były jego sugestie dla naczelnego dowództwa przy odwrocie z linii Bugu na linię Wisły, przy planowaniu przyczółka pod Karczewem lub przy organizowaniu kontrataku z przedmościa Modlina. Miał także generał Weygand wpływ faktyczny (choć nie formalny) na francuską Misję Wojskową, której praca w zakresie wyszkolenia, zaopatrzenia i łączności była istotną dla nas pomocą.

O roli Piłsudskiego pisał Weygand, że „w ciągu trzech dni spędzonych wśród swych wojsk zelektryzował je”, że „potrafił on przenieść ze swej duszy w dusze kombatantów swoją ufność i swoją wolę tryumfalną o pokonaniu wszystkich trudności”, że „nikt inny poza nim nie mógł się o to pokusić”. Dalej pisał Weygand że „wyzyskanie powodzenia było prowadzone mistrzowską ręką, diabelskim rozpędem i namiętną energią przez Marsz. Piłsudskiego, który nie dał zaskoczonemu nieprzyjacielowi ochłoniąć i na miejscu go unicestwił” („La bataille de Varsovie” *Revue de Deux Mondes*, 15 marca 1957).

Twórcą koncepcji operacyjnej i zrealizowanego planu bitwy był Marsz. Piłsudski. „Plan ten polegał na głębokim uderzeniu pięcioma dywizjami znad rzeki Wieprz na tyły czterech armii sowieckich. Przejście z odwrotu do kontrofensywy i w ogóle wy-

konanie całego planu wymagało niezwykle śmiałego przegrupowania wojsk, tym trudniejszego, że wszystkie rozporządzalne odwody wchłonał cofający się front (K. Sosnkowski, *Materiały Historyczne*, str. 629, Londyn, „Gryf”, 1966).

O swojej ówczesnej roli pisał gen. Sosnkowski (*op. cit.*, str. 625): „Moja rola polegała głównie na dostarczeniu środków do bitwy, a więc uzupełnień i nowych, pospiesznie formowanych oddziałów, na zaopatrywaniu wojsk w sprzęt wojenny i amunicję, wreszcie na utrzymywaniu porządku i dyscypliny na zapleczu frontu polskiego. Zbyteczne dodawać, że armie polskie odczuwały silną potrzebę uzupełnienia stanów, mocno wyszczerbionych w toku licznych bojów i podczas odwrotu znad rzeki Auty, oddalonej od linii Wisły o 400 z górą km. W pracach operacyjnych nad bitwą warszawską bezpośredniego udziału nie brałem, stykając się z nimi raczej od wypadku do wypadku, w miarę potrzeby. Byłem jednak stale informowany o ich przebiegu oraz o rozwoju zdarzeń na frontach, a charakter mych zadań wymagał ciągłego kontaktu z Naczelnym Wodzem, Marszałkiem Piłsudskim, z jego ówczesnym Szefem Sztabu, gen. Rozwadowskim oraz z przybyłym z Francji, gen. Weygandem. Z tymi dwoma generałami odbywałem w okresie poprzedzającym bitwę codzienne narady w trójkę”.

W powyższym określeniu swej roli „dostarczenia środków do bitwy” nie sprecyzował gen. Sosnkowski, że stan liczebny wojska w ciągu lipca i sierpnia został powiększony o 170.000 ludzi, w tym 80.000 ochotników. Trzeba było ich wyszkolić, ubrać i uzbroić. Powstaje w tym czasie 70 nowych baterii artylerii, dawne uzupełniono 200 działami. W zakresie uzbrojenia — 1000 nowych c.k.m. Dodano wojsku 22.000 koni. (Patrz: W. Jędrzejewicz, „Rok 1920”. *Wiadomości* Nr 1280, 11. X. 1970).

Nie wspomina także ówczesny minister Spraw Wojskowych o swej walce z defetyzmem, m.in. na Radzie Obrony Państwa lub w Rządzie, gdy zapobiec trzeba było tendencjom przeniesienia rządu do Poznania, co projektowały pewne sfery polityczne.

Witold BABIŃSKI

Listopad 1970

Wacław STACHIEWICZ

KONFERENCJA ALIANTÓW W MOSKWIE (W PRZEDEDNIU WOJNY 1939 ROKU*)

W literaturze historycznej, omawiającej wypadki poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej, zagadnieniem nieraz jeszcze dyskutowanym są przyczyny nie dojścia do skutku porozumienia państw Zachodnich oraz Polski z Sowietami, przeciw Niemcom, które jakoby miało zapobiec wojnie.

Niektórzy historycy, szczególnie zagraniczni, usiłują przypisać winę Polsce, która w sierpniu 1939 roku odmawiając Sowietom prawa „przemarszu” ich wojsk przez nasz kraj, miała rzekomo uniemożliwić Rosji wzięcie udziału w wojnie przeciw Niemcom i przez to skłonić ją do zawarcia paktu z Niemcami.

Choć na ten temat literatura jest już obszerna i ogłoszono wiele dokumentów oficjalnych, które potwierdzają słuszność stanowiska Rządu polskiego, jednak uparcie powtarzane w kraju i za granicą zarzuty w stosunku do rządu polskiego i naczelnych władz wojskowych, skłoniły mnie do napisania niniejszych uwag.

Słowo „przemarsz” nie oddaje właściwie istoty sprawy, gdyż, jak z tychże dokumentów wynika, nie chodziło tu o p r z e j ś c i e przez teren Polski, ale o oddanie w razie wojny Sowietom części polskiego kraju, o czym dalej piszę obszerniej. Słowa „przemarsz” używam tu jedynie dlatego, że się już przyjęło, ale postaram się nadać mu rzeczywistą treść.

Zarzucają nam, że staraliśmy się z pomocą Zachodu ocalić nasz niepodległy byt państwowy.



* Artykuł powyższy, napisany przez gen. Stachiewicza przed śmiercią, na podstawie własnych notatek z 1939 roku, został przygotowany do druku przez jego syna.

W kwietniu 1939 roku, rządy Wielkiej Brytanii i Francji rozpoczęły rokowania z rządem ZSSR w nadziei, że uda im się wciągnąć Sowiety do koalicji anty-niemieckiej. 17 kwietnia Stalin przedstawił Aliantom swój projekt wzajemnej pomocy.

Dziś wiadomo, że również 17 kwietnia rząd rosyjski rozpoczął, od dawna planowane, tajne rokowania z Niemcami, zakończone jawnym paktem nieagresji (22 sierpnia) wraz z dołączonym do niego tajnym paktem rozbioru Polski.

Rząd polski udziału w tych rokowaniach nie brał; żadna z zainteresowanych stron nie zwracała się o to do niego. Nie miał nic przeciwko porozumieniu Francji i Wielkiej Brytanii z Sowiecami, zastrzegał się jedynie, zarówno tym razem, jak i zawsze uprzednio, by to ewentualne porozumienie było zgodne ze zobowiązaniami jakie Francja i Wielka Brytania miały wobec Polski, i żeby nie nakładało na nas nowych obowiązków.

Jednakże Rząd polski nie miał nadziei, żeby rokowania z Sowiecami mogły dać pomyślne rezultaty. Uważał, że Sowiety nie będą dążyły do ułatwienia i przyspieszenia zwycięstwa świata kapitalistycznego nad Niemcami, a pogłębiając konflikty międzynarodowe, same wobec konfliktu europejskiego pozostaną jak najdłużej w rezerwie, wchodząc do wojny dopiero w momencie przez siebie wybranym i dla swej polityki najdogodniejszym. Osłabienie wojną państw europejskich, przy równoczesnym zachowaniu a nawet rozwijaniu sił własnych, stwarzałoby dla Sowieców znacznie dogodniejszą koniunkturę, aniżeli wchodzenie w taki konflikt od jego początku.



Wojskową ocenę stanowiska Sowieców w nadchodzącym konflikcie europejskim opieraliśmy na stale prowadzonej bacznej obserwacji rozwoju wewnętrznej sytuacji, zwłaszcza wojskowej Związku Sowieckiego, którą w latach 30-tych nurtowały dwa przeciwstawne sobie prądy. Z jednej strony intensywne rozbudowywanie materialnego potencjału wojennego, a z drugiej strony obniżanie siły militarnej i siły moralnej społeczeństwa przez trzebienie najbardziej wartościowych kadr partii i wojska w masowych, krzywdzących „czyszkach”.

Rozbudowa materialnego potencjału, zapoczątkowana pierwszą *piatiletką* (1928-33), posuwa się szybko naprzód, dopingowana jeszcze sytuacją w Niemczech. Rozwija się szybko przemysł wojenny (druga *piatiletka* 1933-37). szczególnie przemysł lotniczy i pancerny. Czynione są wielkie wysiłki w celu podniesienia motoryzacji kraju. Znaczne postępy zrobiła Rosja w tym okresie

w dziedzinie rozbudowy lotnictwa, broni pancерnej i oddziałów spadochronowych. Po 1935 roku powstają wielkie formacje lotnictwa strategicznego, wyposażone w sprzęt konstrukcji wyłącznie sowieckiej. Powstają również pierwsze wielkie jednostki pancерne, w formie tzw. korpusów moto-mech, niezależnie od istniejących nadal samodzielnych baonów, pułków i brygad czołgów. W skład dywizji kawalerii wprowadzony zostaje organiczny pułk „mech”, jako wyraz dążenia do modernizowania kawalerii. Tworzą się ośrodki wyszkolenia spadochronowego. Zjawiają się pierwsze wielkie ugrupowania artylerii dyspozycyjnej w formie dywizji i korpusów artylerii.

Wzrost liczebności wojska, związany z ostatecznym przejściem na system wyłącznie regularny i stworzeniem nowych jednostek, był w tym okresie bardzo wydatny. W lecie 1939 Sztab Główny obliczał OdB Czerwonej Armii na około 130 dywizji strzeleckich, z czego około 110 dywizji stwierdzonych ponad wszelką wątpliwość; około 35 dywizji kawalerii i 5 do 7 korpusów moto-mech. Według kalkulacji naszego Sztabu z roku 1938, Związek sowiecki mógł wystawić w pierwszej mobilizacji do 200 dywizji.

Niemcy, opierając się na obserwacjach z początku wojny, stwierdzali, że produkowany w wielkich ilościach ów sprzęt, a głównie czołgi i samoloty, był konstruowany na podstawie przestarzałych rysunków.

Niepokojącym zjawiskiem było stale obserwowane zwiększanie gotowości wojennej zachodnich okręgów wojskowych, graniczących z Polską, znajdujące swój wyraz, niezależnie od fortyfikacji budowanych nad granicą zachodnią, w systematycznej rozbudowie sieci dróg strategicznych w kierunku granicy łotewskiej i polskiej. Po roku 1935 następuje silne zagęszczenie garnizonów nad granicami Polski, Estonii i Łotwy, przy jednoczesnym wysiedlaniu ludności cywilnej całego pasa nadgranicznego. W roku 1938 przesunięcia wojsk w kierunku granicy zachodniej były szczególnie intensywne. W jesieni tegoż roku, nastąpiła częściowa mobilizacja wojsk w zachodnich okręgach wojskowych.

Chociaż wiadome było, że realizacja kolejnych planów pięcioletnich natrafiała na wielkie trudności i opóźnienia, połączone z wielkim marnotrawstwem sił i sprzętu, co w znacznym stopniu utrudniało właściwą ocenę sytuacji przemysłowo-gospodarczej i militarnej Sowietów, to jednak bardzo poważny rozwój potencjału wojennego sprawiał, że Armia Czerwona stawała się dla nas siłą coraz groźniejszą, z czym musieliśmy się poważnie liczyć.

Z drugiej jednak strony, równocześnie z tym znacznym wzros-

tem materialnego potencjału państwa, narastał na tle walki Stalina z Trockim, wewnętrzny kryzys partii komunistycznej, który trwał tam od roku 1935 i po zwycięstwie Stalina przyjmował coraz ostrzejsze formy, obejmując cały aparat partyjny, państwowy i wojskowy. Kryzys ten dochodząc w latach 1937-38 do najwyższego nasilenia, doprowadził do gwałtownych, masowych „czyszek”. W wielkich procesach skazanych zostało na śmierć wielu najwybitniejszych starych bolszewików, a „czystka” sięgnęła bardzo głęboko w szeregi partii komunistycznej i cywilnej administracji.

W wojsku ofiarą jej padli, oskarżeni o zdradę: marszałek Tuchaczewski, szef sztabu, szefowie lotnictwa i marynarki, szef polityczny armii, dowódca Dalekiego Wschodu, dowódcy białoruskiego, leningradzkiego, ukraińskiego i innych okręgów wojennych, komendant Akademii Wojennej i wielu innych wybitnych generałów, oraz olbrzymia ilość oficerów wszystkich stopni.

Rozmiary kryzysu były tak wielkie, że zdawał się on sięgać podstaw reżymu a w każdym razie, naszym zdaniem, wpływał bardzo poważnie na osłabienie całego aparatu państwowego a zwłaszcza sił zbrojnych, co niewątpliwie musiało zaciążyć na polityce sowieckiej na okres najbliższych lat. Dlatego uważaliśmy, że mimo poważnych postępów w rozbudowie materialnego potencjału wojennego, jednak do czynnego udziału w wielkiej wojnie europejskiej i działań ofensywnych przeciwko rosnącej w potęgę Rzeszy, Związek Sowiecki nie był wówczas przygotowany¹.

Zatem, ogólna ocena sytuacji sowieckiej doprowadziła nas do wniosku, że w nadchodzący konflikt z Niemcami, Sowiety czynnie angażować się nie będą i pozostaną w nim — przynajmniej w początkowym okresie — neutralne, przy czym neutralność ta będzie dla państw koalicji przychylną, o czym zapewniał szereg oświadczeń przedstawicieli rządu sowieckiego.

Licząc na neutralność Sowietów, czyniliśmy przy okazji zawierania umowy handlowej w lutym 1939, starania objęcia nią tranzytu materiałów wojennych, oraz możliwości nabywania ich w Sowietach, tak w czasie pokoju, jak i w wypadku wojny.

1. Powyżej podane informacje odnoszące się do Sowietów, zestawilem w 1947 roku, opracowując moje relacje dla Biura Historycznego w Londynie, z własnych notatek i jeszcze świeżej pamięci. Sprawdziłem je i częściowo uzupełniłem z płk. Englichtem i kpt. J. Niezbrzyckim, którzy w przedwojennym II Oddziale Sztabu Głównego, zajmowali się tymi sprawami. Więcej na ten temat znajduje się w raporcie Ambasadora i Attaché wojskowego Wielkiej Brytanii w Polsce, w zbiorze dokumentów o brytyjskiej polityce zagranicznej: *Documents on British Foreign Policy (DBFP)* 3/I, str. 481-484, Dok. nr 411. Przy następnych cytatach z tego zbioru używam skrótu DBFP.

W tej drugiej sprawie do niczego nie doszło. Sowiety stawiały zbyt wysokie żądania wymienne, które przekraczały nasze możliwości eksportowe, a sprzedawać materiał nie chciały. Równocześnie dawały zapewnienia, co do możliwości tranzytu w wypadku wojny, oraz zaopatrywania w materiał wojenny w ramach układu handlowego.

WOJSKOWA KONFERENCJA FRANCUSKO-ANGIELSKO-SOWIECKA W MOSKWIE

W toku długich negocjacji z Zachodem, Sowiety wysunęły niemożliwy do przyjęcia projekt, by trzy mocarstwa: Francja, Anglia i Sowiety, zobowiązały się do udzielenia potrzebnej pomocy łącznie z wojskową, państwu Wschodniej Europy, graniczącym z Sowietami. Wielkość i forma pomocy powinna być omówiona i ustalona przez te trzy wielkie mocarstwa, bez jakiegokolwiek konsultacji z państwem zaatakowanym, bez względu na to, czy ono chce, czy nie chce takiej pomocy².

Gdy negocjacje polityczne Zachodu z Sowietami nadal nie dawały rezultatu, Sowiety uzależniły zawarcie układu politycznego od uprzedniego podpisania konwencji wojskowej. W tym celu udała się do Moskwy w pierwszej połowie sierpnia 1939 roku delegacja wojskowa francusko-brytyjska pod przewodnictwem francuskiego generała Doumenc i brytyjskiego admirała Drax.

Polski Sztab Główny został poinformowany przez francuskiego attaché wojskowego, generała Musse, że delegacja ta ma ustalić z Sowietami sprawy techniczne związane z tranzytem materiałowym dla Polski przez teren Sowietów. Zostało zdecydowane, że generał Musse, z ramienia sztabu francuskiego, informować nas będzie o przebiegu rokowań, my zaś dostarczać mu będziemy, w razie potrzeby, technicznych informacji dotyczących możliwości tranzytowo-przeładunkowych na naszej granicy.

Dnia 18 sierpnia zjawił się u mnie gen. Musse z informacjami o przebiegu obrad, które toczyły się w Moskwie między delegacją francusko-angielską a marsz. Woroszyłowem. Równocześnie minister Spraw Zagranicznych miał przyjąć w tej sprawie ambasadorów Anglii i Francji.

Na wstępie rozmowy gen. Musse opowiadał mi z entuzjazmem o przyjęciu jakiego doznała delegacja francusko-angielska w Mos-

2. Bohdan B. Budurowycz: *Polish Soviet Relations 1932-39*, Columbia University Press, 1963, str. 150; DBFP, 3rd series, V, pp. 228-229.

kwie i o tym, jak poważnie rząd sowiecki do niej się odniósł. Dowodem tego miał być, m.in. fakt, że na powitalnym bankiecie, wydanym na cześć delegacji, stół był zastawiony szczerzotym carskim serwisem. Ten moment generał szczególnie podkreślał, widząc w nim wyraz specjalnego szacunku dla wojskowych przedstawicieli Francji i Wielkiej Brytanii i pomyślny znak dla prac Komisji. Przyznam, że zdziwiło mnie wrażenie jakie na moim rozmówcy wywarło to przyjęcie i przypisywanie mu jakiegokolwiek znaczenia.

Po takim wstępie, generał przystąpił do bardziej rzeczowego tematu, przedstawiając mi w obszernym wywodzie stanowisko strony francuskiej i sowieckiej³.

„Chodzi o uniknięcie załamania (*échec*) konferencji Moskiewskiej. Francuzi nie wymagają od nas, żebyśmy zmienili nasze nastawienie (*attitude*) w stosunku do Rosji, a tylko żebyśmy nie uniemożliwili zawarcia układu”.

„Programem misji francuskiej — z którym wyjechała do Moskwy — jest przygotowanie komunikacji i tranzytu materiałowego przez Rosję i zabezpieczenie nam tyłów na wypadek wojny z Niemcami. Ponieważ sprawy, które są przedmiotem rozmów, dotyczą Polski, chodzi o to byśmy upoważnili szefa misji, gen. Doumenc, do omawiania z Rosjanami zagadnień tranzytowych w naszym imieniu. Nie chodzi o zawieranie paktu, a jedynie o ustalenie *programme d'étude* na podstawie naszej zgody”.

„Woroszyłow zdecydowany jest zrobić coś konkretnego. Od początku podkreślił *volonté de concourir effectivement*. Jeżeli Polska zaangażuje się w wojnę, oni chcą brać w niej czynny udział (*participer*) niezależnie od tego jak wojna się zacznie. Nie chcą być aliantami drugiej klasy, którzy tylko zaopatrują, ale chcą się bić”.

„Określił środki jakimi Sowiety dysponują na swym froncie zachodnim: 70 dywizji w ciągu 20 dni, 3-4 tysiące aparatów lotniczych. Sposób użycia tych sił nie był dyskutowany. Rosja chce zapewnienia jej siłom prawa 'przemarszu' przez 'korytarze' (*couloirs*) w dwóch rejonach: przez Wilno i przez Małopolskę wschodnią” by dojść do Niemców. Zobowiązuje się, że korytarzy tych nie przekroczy i że w nich nie zostanie”.

„Nie chodzi o formalne nasze przystąpienie do negocjacji, czego strona rosyjska nie żąda, ani o oficjalne przyjęcie wymagań rosyjskich. Chodzi o poufne, słowne podanie Francuzom, że Polska nie przeciwstawia się zasadniczo zostawieniu, w razie wojny

3. Wywody generała podaje w cudzysłowie według zachowanych własnych notatek, spisanych bezpośrednio po rozmowie z nim.

Rosji 'korytarzy'. Na zewnątrz nic by nie wyszło. Rosja nie żąda bezpośrednio niczego. Jeżeli tylko Francuzi powiedzą, że Polska gotowa jest dać jej 'korytarze', to wystarczy. Wtedy będzie można mówić o pomocy (*appui*) technicznej i strategicznej. Dziś przerwano negocjacje, które mają być podjęte w poniedziałek (21 sierpnia). Do tego czasu gen. Doumenc musi otrzymać odpowiedź. Jeżeli Polska odmówi, rozmowy zostaną zerwane i wówczas, w razie wojny, kiedy będziemy zaangażowani na Zachodzie, Rosja może powiedzieć: niech się Polska bije sama, albo postawi warunki znacznie cięższe aniżeli dziś, gdy wojny jeszcze nie ma. Jeżeli przerwie się rokowania, nie będzie można mówić o komunikacji, tranzycie i pomocy materiałowej. Dla przygotowania programów technicznych delegacja francuska potrzebowałaby dużo czasu, a w razie wojny improwizacja jest trudna".

„Sowiety chcą ścisłych wzajemnych zobowiązań, bo boją się ze strony Francji i Anglii drugiego Monachium, zaś odmówienie z naszej strony zgody na „przemarsz” wojsk sowieckich przez teren Polski, byłoby dla Rosji *choc d'orgueil*, gdyż świadczyłoby, że się ją traktuje jako alianta drugiej klasy”.

Nie podzielałem optymizmu gen. Musse z jakim przedstawił mi stanowisko Woroszyłowa. Podejrzana była gorliwa i bezinteresowna chęć Sowietów udzielenia Polsce pomocy w jej walce z Niemcami. Zapewnienie, że nie żądają bezpośrednio niczego, a jedynie naszej zgody na wpuszczenie ich wojsk na teren Polski, przypominało historię o koniu trojańskim.

Dotychczas było nam wiadomo, że w programie wojskowej delegacji francuskiej było ustalenie z przedstawicielami sowieckimi spraw technicznych, związanych z tranzytem materiałowym przez teren Sowietów. Tak mnie przynajmniej informował gen. Musse, jeszcze przed rozpoczęciem konferencji moskiewskiej i do omawiania tej sprawy byliśmy przygotowani. Woroszyłow jednak nie chciał nawet mówić o pomocy zaopatrzeniowej. Z miejsca odrzucił rolę „alianta drugiej klasy”, który miałby tylko zaopatrzać i deklarując z naciskiem zdecydowaną wolę Sowietów czynnego udziału w wojnie, wysunął jako zasadnicze i j e d y n e zagadnienie, sprawę oddania Rosji w razie wojny „korytarzy” przez które siły sowieckie mogłyby jakoby dojść do Niemców. O szybszym i prostszym sposobie „dojścia do Niemców” za pomocą lotnictwa, do czego „korytarze” wcale nie były potrzebne, nawet nie wspomniał. Tak samo w ogóle nie chciał mówić, co by Sowiety robiły, po „dojściu do Niemców”.

Na tle krytycznego poglądu jaki mieliśmy na stan i gotowość wojenną armii sowieckiej, trawionej w tym czasie głębokim kry-

zysem, tak demonstracyjna deklaracja chęci walki z Niemcami, nie mogła budzić zaufania, tym bardziej że sytuacja polityczna Związku Sowieckiego nie zmuszała go wcale do czynnego wystąpienia. Biorąc pod uwagę te fakty, jedynym logicznym wytłumaczeniem było, że ten deklarowany nadmiar alianckiej gorliwości, miał posłużyć Woroszyłowi do osiągnięcia konkretnego celu, jakim było uzyskanie — za pośrednictwem Francji i Anglii — bezwarunkowej zgody Rządu polskiego na oddanie Sowietom w razie wojny części naszego kraju. Do tej też sprawy sprowadzał całe pertraktacje, powracając do niej ustawicznie w trakcie konferencji, grożąc zerwaniem układów, o ile do trzech dni nie otrzyma pozytywnej odpowiedzi. O sposobie użycia sił dla pomocy Polsce po dojściu do Niemców, przedtem w ogóle mówić nie chciał.

Samo bowiem wejście wojsk do bliżej nieokreślonych „korytarzy”, nie dowodziło jeszcze o tej pomocy. Żądano od nas byśmy się zgodzili definitywnie i na ślepo na oddanie Sowietom w razie wojny 40 % naszego kraju i pozbawienie państwa jego niepodległego bytu, nie tylko nie mając żadnej pewności otrzymania od nich skutecznej pomocy w wojnie z Niemcami, ale w ogóle nie wierząc w czynne zaangażowanie się Sowietów przeciwko Niemcom.

W sprawie tak zasadniczej, przyjęcie przez Rząd polski głośloślnych obietnic sowieckich, że „korytarzy” tych nigdy nie przekroczą, ani w nich nie zostaną, byłoby posunięciem nieodpowiedzialnym, a w obliczu nastawienia całego społeczeństwa do Rosji, także niemożliwym.

Na moje pytanie, jaką gwarancję moglibyśmy mieć w tej sprawie, generał Musse musiał przyznać, że nikt by nam jej udzielić nie mógł, mimo to nalegał i uważał, że sprawy sporne dadzą się wyjaśnić i uregulować.

Na koniec, generał Musse prosił bym mu podał stanowisko marszałka Śmigłego i usilnie nalegał żebyśmy wyrazili zgodę na „przemarsz”, by naszym sprzeciwem nie doprowadzić do rozbicia rokowań.

Oświadczyłem mu, że sprawę przedstawię marszałkowi i wówczas dam mu odpowiedź. Muszę mu jednak przypomnieć, że rząd polski i generalny inspektor byli zawsze przeciwni jakimkolwiek planom przemarszu wojsk obcych przez teren Polski. Tyczyło się to zarówno wojsk niemieckich, jak i rosyjskich. Obecnie, warunki postawione przez marsz. Woroszyłowa, mogą tylko budzić podejrzenia i udaremnić rokowania.

Dnia 19 sierpnia zjawił się u mnie ponownie attaché francu-

ski, tym razem z attaché brytyjskim ppłk. Sword. O ile generał Musse w tonie bardzo podnieconym przekonywał mnie o korzyściach jakie przedstawiałby dla nas „przemarsz” wojsk sowieckich i bardzo usilnie w imieniu gen. Gamelin nalegał na przyjęcie warunków sowieckich, o tyle płk Sword zachowywał się raczej biernie, zaznaczając, że Anglikom chodzi przede wszystkim o nie-dopuszczenie do zerwania rokowań w Moskwie. Obaj attachés oświadczyli, że chcą nam złożyć wspólne memorandum sztabu francuskiego i brytyjskiego w sprawie ogólnych działań wojennych wspólnie z Rosją.



Generalny Inspektor, któremu zreferowałem szczegółowo wywody gen. Musse, ustosunkował się do żądań Woroszyłowa zdecydowanie negatywnie, uważając, że wejście wojsk sowieckich na nasz teren nie gwarantuje jeszcze czynnego udziału ich w wojnie, natomiast pewne jest, że terenu tego nigdy nie opuszczą. Z Armią Czerwoną szłaby cała administracja, aparat polityczny, propagandowy itp. „Przemarsz” doprowadziłby od razu do okupacji części kraju i zupełnego uzależnienia nas od Sowietów.

„Rząd sowiecki wie dobrze jakie jest stanowisko Polski w sprawie 'przemarszu' — mówił generalny Inspektor. — Jeżeli mimo to stawia obecnie naszą zgodę na 'przemarsz' jako *conditio sine qua non* kontynuowania rozmów, to tym samym daje dowód, że do porozumienia poważnie nie dąży. Oświadczenia Woroszyłowa nie dają nam nic konkretnego a wskazują jedynie, że rząd sowiecki chce przez sprawy wojskowe przemycić sprawy polityczne i tak prowadzi rokowania, by je przeciągnąć lub zerwać.

Jesteśmy przekonani, że istotnym dążeniem ich jest jedynie uzyskanie naszej zgody na 'przemarsz', a Sowiety nie mają zamiaru wchodzić w wojnę z Niemcami i angażować się ofensywnie przeciw nim. Jeżeli sztab francuski i brytyjski chcą nam przysłać memorandum w sprawie ogólnych działań wojennych, to oczywiście nie mamy nic przeciwko temu i dokładnie je przestudiujemy. (Memorandum tego nigdyśmy nie otrzymali). Sprawą jednak zasadniczą jest, żeby Komisja w ewentualnych dalszych rozmowach z Woroszyłowem, nie dała mu podstaw do przypuszczenia, że sztab polski dopuszcza jakiejkolwiek możliwości pertraktowania na temat 'przemarszu' wojsk przez terytorium polskie, gdyż zasadniczo na 'przemarsz' się nie zgadzamy”.

W tym duchu polecił mi Gen. Inspektor przedstawić attachés wojskowym jego stanowisko i podkreślić, że sprawę „przemarszu” jako wybitnie polityczną, omawia minister Spraw Zagranicz-

nych z ambasadorami Francji i Wielkiej Brytanii. Żeby nie utrudniać sytuacji delegacji wojskowej w Moskwie i nie dać Sowietom pretekstu do zerwania rokowań, minister oświadczył, że wobec normalnych i przyjaznych stosunków dyplomatycznych jakie łączą Polskę z Sowietami, rząd polski nie widzi potrzeby zajmowania merytorycznego stanowiska w tej sprawie, dopóki rząd sowiecki nie zwróci się doń bezpośrednio.

Odpowiedź generalnego inspektora podałem attachés wojskowym 20 sierpnia, zaznaczając że marszałek nie wchodzi w to, jak generał Doumenc postawi taktycznie sprawę w Moskwie. Pragnąc ze swej strony ułatwić mu sytuację i nie dopuścić do zerwania rokowań, zgadza się ażeby — jeżeli mu to będzie dogodnie — oświadczył że w sprawach dotyczących Polski, a poruszonych przez marszałka Woroszyłowa zupełnie się do rządu polskiego nie zwracał.



Powyżej przedstawione oświadczenia gen. Musse'a — które, jak poprzednio zaznaczyłem, spisałem *bezpośrednio* po rozmowie z nim i posiadam je do dzisiaj — porównałem po wojnie z oficjalnym protokołem posiedzeń misji wojskowych franko-brytyjsko-sowieckich w Moskwie, zwłaszcza z protokołem z dn. 14 sierpnia 1939 roku opublikowanym w miesięczniku *International Affairs* z lutego 1959 roku i sprawdziłem że pod względem merytorycznym, zanotowane przeze mnie oświadczenia gen. Musse'a są w *zasadniczej* treści zgodne z opublikowanym protokołem z dn. 14 sierpnia. Dodatki gen. Musse'a w przedstawieniu stanowiska Sowietów (Woroszyłowa) miały charakter osładzania pigułki podanej przez Woroszyłowa. Np. w protokole nie ma mowy o zobowiązaniu Sowietów nieprzekraczania „korytarzy” i opuszczenia ich po wojnie.

Nie wchodzę tu w szczegółowe rozpatrywanie tych rozmów przedstawionych w długich protokołach, w których Woroszyłow podkreślał ustawicznie, że dopóki nie dostanie odpowiedzi na swoje żądania otrzymania prawa „przemarszu” przez teren Polski (i Rumunii), wszystkie prace konferencji są bezużyteczne. Gdy dalsze rozmowy nie doprowadzały do niczego, przedstawiciel misji francusko-angielskiej oświadczył, że ponieważ Polska jest państwem suwerennym, a sprawa ma charakter polityczny, rząd sowiecki powinien zwrócić się bezpośrednio do rządu polskiego. Jednakże — jeżeli marszałek (Woroszyłow) sobie życzy — misje francuska i angielska gotowe są odnieść się do swych rządów, by zapytały rząd polski (i rumuński, bo Sowietom chodziło również

o prawo „przemarszu” przez Rumunię), czy byłby gotów pozwolić wojskom sowieckim — w razie agresji niemieckiej — na wejście na terytorium Polski w rejonie Wilna i Małopolski, w celu współdziałania w operacjach przeciwko Niemcom.

W konsekwencji, rządy sojusznicze podjęły interwencję u rządu polskiego, a gen. Gamelin u Generalnego Inspektora Rydza-Śmigłego. Wówczas miała miejsce rozmowa gen. Musse ze mną, o której poprzednio pisałem.

Pertraktacje delegacji wojskowych francusko-brytyjsko-sowieckich w Moskwie przedstawił w swej książce francuski generał Beaufre⁴, który w randze kapitana wchodził w skład delegacji francuskiej. Dnia 18 sierpnia przybył on do Warszawy, przywoząc ustne informacje od gen. Doumenc dla gen. Musse.

Od razu na pierwszym posiedzeniu — pisze Beaufre — Woroszyłow oświadczył, że „musimy najpierw znać plany jakie Francuzi i Anglicy ułożyli z Polską, a potem on przedstawi plany sowieckie... trzeba zacząć od dyskusowania planów” — orzekł szef misji sowieckiej. I rozpoczęło się błędne koło. „Ta komedia przedstawiania sekretów wojskowych — pisze Beaufre — dała powód Francuzom i Anglikom do bardzo poważnych obaw, że Sowiety zorganizowały całą tę konferencję, by w przededniu wojny wydobyć od nas nasze plany i przekazać je Niemcom” (str. 138). Niewiele im odsłonięto — pisze dalej autor — jednakowoż niektóre słowa wypowiedziane w czasie „paplaniny” konferencyjnej, niektóre odpowiedzi na nagłe zapytania Woroszyłowa, dały Sowietom *d’utiles indications*, które im posłużyły do zweryfikowania sądów, jakie mieli o naszych możliwościach.

Beaufre dochodzi do wniosku, że „istotnym celem Sowietów, do którego zmierzali w ciągu negocjacji, było przedstawienie i uzyskanie programu rozszerzenia [terytorialnego] Rosji, *d’extension de la Russie*, który potem realizowały w porozumieniu z Niemcami”. Nie było rzeczą łatwą kontynuuje autor, przedstawić taki program na konferencji, na której chodziło o walkę z agresorem. Woroszyłow zrobił to z dużą zręcznością i coraz bardziej wzrastającą brutalnością, która w ciągu kilku dni doprowadziła do zatrzymania negocjacji. Sprawa była jasna — pisze Beaufre — Rosjanie chcieli najpierw upoważnienia rządu polskiego do wkroczenia na teren jego kraju i ustawicznie do tej sprawy sprowadzali rozmowy.

Jak wynika z brytyjskich dokumentów, odmowna odpowiedź rządu polskiego i Generalnego Inspektora dana przedstawicielom

4. General Beaufre, *Le drame de 1940*, Paris, Plon, 1965.

Francji i Anglii, nie została przez nich podana komisji sowieckiej. Natomiast 21 sierpnia, rząd francuski, bez porozumienia z rządem polskim i brytyjskim, upoważnił generała Doumenc, żeby dał Rosjanom w zasadzie zatwierdzającą odpowiedź⁵. Niezależnie od tego, wojskowy attaché francuski, na własną rękę zawiadomił gen. Doumenc bezpośrednio 23 sierpnia, że „rząd polski zgodził się na wejście wojsk rosyjskich⁶”. Nikt go ze strony polskiej do tego nie upoważniał.

Gdy Woroszyłow został poinformowany, że misja francuska ma teraz pełne upoważnienie do podpisania konwencji wojskowej, dającej prawo „przemarszu” wojsk sowieckich w miejscach wyznaczonych przez Rosjan⁷, uznał je za nieważne, jako prawdopodobnie odpowiedź jedynie rządu francuskiego, a nie definitywna zgoda rządu polskiego na „przemarsz”, a bez niej rozmowy są stratą czasu⁸. Wobec tego uważa za wskazane odroczenie rozmów aż do wyjaśnienia warunków politycznych⁹.

PAKT SOWIECKO-NIEMIECKI

„Warunki polityczne” wyjaśniły się bardzo prędko. W nocy z 22 na 23 sierpnia, niemieckie biuro prasowe (DNB) podało wiadomość, że Niemcy mają zawrzeć pakt nieagresji z Sowietami i w celu podpisania go, minister Ribbentrop udaje się do Moskwy.

Wobec nacisków Francji, która jeszcze wtedy nie dawała za wygraną, min. Beck wyraził 23 sierpnia zgodę na upoważnienie francusko-brytyjskiej delegacji wojskowej w Moskwie, do stwierdzenia, że Polska zgadza się na współpracę ze Związkiem Sowieckim w wypadku agresji niemieckiej, oraz na omówienie już obecnie technicznych warunków współpracy. (P.S.Z., I, I, str. 72). Upoważnienie to zostało dane — jak mi powiedział marszałek — z taktycznych względów na naszych sojuszników, chociaż i on i rząd polski uważają, że ustępstwo to i tak nie będzie miało praktycznego znaczenia.

W tej sprawie ambasador brytyjski pisał 23 sierpnia w raporcie do Londynu, o swej wizycie wspólnie z ambasadorem Francji Noël'em u ministra J. Becka, na której uzgodnili we trzech następującą formułę w nadziei, że może uda się w ostateczności zapobiec załamaniu się negocjacji: „generał Doumenc jest upoważniony do oświadczenia: dowiedzieliśmy się na pewno, że w wypadku wspólnej akcji przeciw agresji niemieckiej, nie jest wykluczone współdziałanie między Polską a ZSSR pod technicz-

5, 6, 7, 8, 9. — DBFP, Third series, VII, pp. 107, 58, 609, 612-13, 141.

nymi warunkami, które w konsekwencji (*consequently*) winny być ustalone przez oba państwa¹⁰”.

W nocy z 23 na 24 sierpnia, pakt sowiecko-niemiecki został podpisany. Zawarcie tego paktu było zaskoczeniem tak dla rządów państw zachodnich, jak i dla rządu polskiego. Nie przypuszczano jednak wówczas, że dołączony był do niego tajny protokół o czynnym współdziałaniu w rozbiórze Polski¹¹.

Uważano, że różnice między sowieckim komunizmem a nazistowskim faszyzmem i ich wzajemna wrogość manifestowana przy każdej okazji, były tak wielkie i głębokie, że wykluczały w najbliższym czasie, możliwości nie tylko współdziałania ale nawet porozumienia¹².

Już po zawarciu paktu z Niemcami marszałek Woroszyłow, zwalając całą winę za niepowodzenie negocjacji na Polskę, oświadczył, że zaopatrywanie Polski w surowce i materiały wojenne, w razie konfliktu, byłoby tylko sprawą handlową, nie pozostającą w sprzeczności z paktem sowiecko-niemieckim. Gdy jednak w czasie wojny, ambasador Polski w Moskwie zwrócił się do rządu sowieckiego w tej sprawie, spotkał się ze strony Mołotowa z odmową.

Pakt sowiecko-niemiecki z dołączonym do niego tajnym protokołem dotyczącym m.in. rozbioru Polski, był ostatecznym rezultatem zbliżenia sowiecko-niemieckiego, które dojrzewało już od dłuższego czasu.

George Kennan, były ambasador USA w Moskwie, w swej bardzo wnikliwej i dobrze udokumentowanej książce¹³, wyraża w tej sprawie pogląd, że Stalin już w 1937 roku zaczął bardzo ostrożnie i we wielkiej tajemnicy, nastawiać swą politykę na doprowadzenie do porozumienia z Hitlerem.

Momentem zwrotnym miało być dla niego bezkarne zajęcie Nadrenii przez Niemców w 1936 roku. Z bezskuteczności paktu sowiecko-francuskiego w powstrzymaniu agresywności Hitlera i bierności Francuzów, Stalin musiał wysnuć wniosek, że w razie

10. DBFP 3/VII, p. 149-150.

11. Teksty dokumentów ogłoszone były najpierw w prasie w Anglii, a w 1946 roku amerykański Departament Stanu ujawnił, w związku z procesem norymberskim, dokumenty zdobyte w Niemczech.

12. Powyższe uwagi podaję częściowo na podstawie moich notatek z tego czasu (i P.S.Z., I. cz. 1, str. 72). Wiele informacji o stanowisku polskich władz państwowych i wojskowych w tych sprawach, znajduje się w raportach ambasadora brytyjskiego Kennarda, ogłoszonych w zbiorze dokumentów o polityce zagranicznej Wielkiej Brytanii: DBFP 1919-39, 3/VII, 1939, str. 53; 61; 106; 107; 112; 149; 150; 590; 560; 572; 573; 594; 593; 559.

13. George Kennan, *Russia and the West under Lenin and Stalin*, Little Brown, Boston, 1967.

zwrócenia się Niemców przeciw Wschodowi, z czym w kolejności wypadków w niedługim już czasie należało się liczyć, Sowiety musiałyby stawić opór zbrojny w odosobnieniu.

Mając do wyboru dwie alternatywy, mówi Kennan, albo prowadzić wojnę z Niemcami bez pomocy sojuszników, albo porozumienie z Hitlerem — wybrał drugą alternatywę i postanowił doprowadzić do odwrócenia stosunków politycznych z Rzeszą.

Takiej hipotezie nie można odmówić dużo racji, zwłaszcza, że wydaje się ona tłumaczyć wiele faktów, inaczej niezrozumiałych. Przede wszystkim, gdyby Stalin był zdecydowany na walkę, nie kontynuowałby w obliczu wojny czystek, które osłabiały państwo i wojsko. Spotęgowanie ich w latach 1937-38 — o czym piszę później — mogło mieć, zdaniem Kennana, na celu wyeliminowanie wszelkiej opozycji do samego Stalina, a zwłaszcza do nowej polityki porozumienia z nazistowską Rzeszą, którą zamierzał wprowadzić.

Pozornie sprzeczną z tą tezą, deklarację sowiecką z 1938 roku, o gotowości czynnego wystąpienia przeciw Niemcom w obronie Czechosłowacji (o ile Francja wystąpi), uważa autor za pusty frazes¹⁴.

Tezę Kennan'a trudno jednak wytłumaczyć fakt, że masowe czystki objęły, poza najwyższymi czynnikami partii i wojska, również olbrzymie ilości niższych stopniem oficerów, urzędników i różnych pracowników, a także naukowców, inżynierów, architektów itp., którzy przecież na politykę Kremla wpływu mieć nie mogli, a tym samym nie mogli stanowić opozycji przeciw polityce Stalina, którą zamierzał wprowadzić. Olbrzymie rozmiary tych „czystek”, należy chyba przypisać bezkarnemu rozpanoszeniu się tajnej policji (NKWD), która pod wpływem obłędnych nacisków Stalina, starała się wykazać swoją „czujność i gorliwość”, węszyła wszędzie szpiegostwo i zdradę, terroryzując całe społeczeństwo masowymi aresztami¹⁵.

Gdy Stalin uznał, że nadszedł czas, by rozpocząć konkretne kroki dla zrealizowania swej nowej polityki zbliżenia z Niemcami, wygłosił na XVIII Zjeździe Partii Komunistycznej ZSSR, dnia 10 marca 1939 przemówienie, w którym wstrzymując się od stałych uprzednich ataków na Niemcy, oświadczył, że Związek

14. Przy tej okazji Kennan przytacza raport ambasady brytyjskiej w Moskwie, wysłany w kwietniu do Londynu, z opinią, że wojska sowieckie są niezdolne do prowadzenia wojny na terytorium nieprzyjaciela. (DBFP, 3rd series, p. 161).

15. Niektórzy sowietolodzy na Zachodzie (Zbigniew Brzezinski, „The permanent purge”) uważają, że masowe, okresowe „czystki”, są integralnym elementem systemu komunistycznego.

Sowiecki nie da się wciągnąć w konflikty podżegaczy wojennych, którzy by chcieli, by inni wyciągali dla nich kasztany z ognia¹⁶. Ten zakamuflowany apel został zrozumiany w Niemczech i otworzył długi okres ostrożnego dialogu z jednej i drugiej strony, który z ramienia rządu sowieckiego prowadził, nowomianowany dnia 3 maja, 1939, minister Spraw Zagranicznych W. Mołotow.

Zmienne koleje przetargów sowiecko-niemieckich prowadzonych w największej tajemnicy równoległe do jawnych pertraktacji francusko-brytyjsko-sowieckich, są dziś znane z ogłoszonych dokumentów i obszernej literatury historyczno-politycznej na ten temat. Nie będę więc ich tu szerzej omawiał.

Odnosnie Polski zasługuje jednak na uwagę zestawienie niektórych dat w końcowym okresie rokowań sowiecko-francuskich i sowiecko-niemieckich.

Jak poprzednio podałem, marszałek Woroszyłow na konferencji w Moskwie, postawił termin 21 sierpnia na udzielenie mu odpowiedzi na jego żądania. Tymczasem rząd sowiecki wcale nie czekał na tę odpowiedź i przesądził sprawę zawarcia paktu z Niemcami już w dniu 19 sierpnia, gdy Mołotow wręczył ambasadorowi niemieckiemu w Moskwie projekt paktu nieagresji i wyraził zgodę na przyjazd Ribbentropa do Moskwy¹⁷.

Ten fakt jest jeszcze jednym drobnym dowodem, że odpowiedź Polski — jakkolwiek by ona nie była — nie mogła mieć wpływu na już przesądzone stanowisko Sowietów.

STAN ARMII SOWIECKIEJ W 1939 ROKU NA PODSTAWIE OBECNIE ZNANYCH DOKUMENTÓW

Przedstawiłem uprzednio naszą ówczesną ocenę przedwojennego stanu armii sowieckiej i ujemnego destruktywnego wpływu, jaki, zdaniem naszym, wewnętrzny kryzys i z nim związane „czystki”, musiały wywrzeć na gotowość wojenną Sowietów i ich zdolność prowadzenia wojny z Niemcami. Dziś, z różnych powojennych (po śmierci Stalina) publikacji sowieckich i obfitych zagranicznych prac historycznych na ten temat, okazuje się, że była ona na ogół trafna. Rzeczywisty stan wewnętrzny wojska sowieckiego był nawet jeszcze krytyczniejszy aniżeli go przedstawiały, i tak już krytyczne, oceny naszego wywiadu¹⁸.

16. Montgomery Hyde, *Stalin*, Roupert Hart-Davis, London, 1971, p. 180.

17. Documents on German Foreign Policy, DGFP, tom VII, pp. 149-150.

18. Jeremienko G., *Marszałek Związku Radzieckiego*, Wspomnienia, M.O.N., Warszawa, 1961; Niekriez Aleksander, 1941. 22 czerwca, Warszawa, Książka i Wiedza, 1967.

Pierwsze światło rzucił na to zagadnienie Chruszczow w swym „tajnym raporcie”, wygłoszonym na XX Zjeździe Partii Komunistycznej ZSSR, 24 lutego 1956¹⁹.

Oto wyjątki z tego raportu, dotyczące gotowości wojennej Sowietów w 1941 roku, w chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej:

„Nie ma wątpliwości, że nasz postęp w przygotowaniu do obrony kraju byłby znacznie skuteczniejszy, gdyby nie olbrzymie straty w kadrach, które były wynikiem bezpodstawnych, masowych represji w latach 1937-38”.

W 1941 roku: „Już w pierwszych dniach wojny okazało się jasno, że nasza armia była źle uzbrojona, że nie mieliśmy dość artylerii, czołgów i samolotów, by odrzucić nieprzyjaciela”.

„Nauka i technologia sowiecka wyprodukowały świetne modele czołgów i dział przed wojną. Ale masowej produkcji tego wszystkiego nie zorganizowano i w rzeczywistości zaczęliśmy modernizować nasz ekwipunek wojskowy dopiero w przeddzień wojny”.

„W rezultacie w czasie inwazji nieprzyjacielskiej nie mieliśmy dostatecznej ilości ani starych obrabiarek, których już nie używano do produkcji uzbrojenia, ani nowych, które zamierzano wprowadzić”.

„Sytuacja w artylerii przeciwlotniczej była specjalnie zła”.

„Nie zorganizowaliśmy produkcji amunicji przeciwpancernej”.

„W chwili wybuchu wojny (1941) nie mieliśmy nawet dostatecznej ilości karabinów, żeby uzbroić zmobilizowanych ludzi”.

„Bardzo ciężkie konsekwencje, specjalnie w odniesieniu do początku wojny, pociągnęło za sobą zlikwidowanie (*annihilation*) wielu dowódców wojskowych i politycznych pracowników w latach 1937-1941).

„W ciągu lat prowadzono represje przeciwko pewnej części wojskowych kadr, poczynając dosłownie od szczebla dowódców kompanii i batalionów w górę; w tym czasie kadry dowódców, którzy zdobyli doświadczenie wojskowe w Hiszpanii i na Dalekim Wschodzie zostały prawie kompletnie zlikwidowane... wielu najlepszych oficerów zginęło w obozach koncentracyjnych i więzieniach”.

„Polityka represji na wielką skalę w stosunku do kadr wojskowych doprowadziła do podminowania wojskowej dyscypliny, gdy przez szereg lat oficerowie wszystkich stopni a nawet szeregowi w komórkach partii i komсомоłu byli uczeni by 'demaskować' swych przełożonych i ukrytych wrogów”.

Dokładniejszych danych co do ilości zlikwidowanych oficerów Chruszczow w swym raporcie nie podaje. Natomiast znajdujemy je w wielu pracach współczesnych historyków krajowych i zagranicznych, a przede wszystkim w oficjalnym wydawnictwie

19. Tekst tego tajnego raportu „Secret Report to the twentieth Congress of the night of February 24, 1956”, uzyskany przez wywiad amerykański i ogłoszony przez Departament Stanu 4 czerwca 1956 roku, podaje w formie załącznika Edward Crankshaw w książce *Krushchew Remembers*, Little, Brown Co., Canada Ltd.

Tekst ten podaje również B. D. Wolfe w swej książce: *Krushchew and Stalin's ghost*.

sowieckim: *Istoria Wielikoj otieczestwiennoj Wojny Sowietского Sojuza 1941-1945*²⁰.

Znaczna część kadr wojskowych wyłonionych z partii komunistycznej w latach pokojowego budownictwa, stała się ofiarą stalinowskiego bezprawia.

„Od maja 1937 do września 1938, zostali poddani represji: około połowy dowódców pułku, prawie wszyscy dowódcy brygad i dywizji, wszyscy dowódcy Korpusów i Okręgów wojennych, członkowie rad wojennych i naczelnicy zarządów politycznych Okręgu, większość pracowników politycznych Korpusów, Dywizji i Brygad, około 1/3 komisarzy pułkowych, wielu wykładowców wyższych i średnich zakładów naukowych wojskowych.

Wśród niewinnie straconych dowódców i pracowników politycznych byli ważniejsi dowódcy wojskowi, tacy jak: M. N. Tuchaczewskij, W. K. Blucher, A. I. Jegorow, I. E. Jakir, I. P. Uborewicz, A. I. Kork, E. I. Wowtiuch, J. F. Fedko, J. S. Unslicht, P. E. Dybienko, R. F. Eideman, J. B. Garmarnik (zakończył życie samobójstwem) i inni.

W ten sposób, niedługo przed wielką wojną ojczyźnianą Armia Czerwona została pozbawiona bardzo dobrze przygotowanych i doświadczonych kierowników wojskowych.

Partii komunistycznej i rządowi sowieckiemu przypadło w udziale uzupełniać kadry wojskowe w krótkich terminach i awansować na kierownicze stanowiska dowódcze mniej przygotowanych oficerów.

Z początkiem wojny tylko 7 % oficerów naszych sił zbrojnych miało wyższe wykształcenie wojskowe, a 37 % nawet nie przeszło pełnego kursu nauczania wojskowego. (Odnosił: Dokumenty i materiały Otdiela Istории wielikoj otieczestwiennoj wojny, nr inwentarza 18816, str. 13).

Znaczne straty, które poniosły kadry wojskowe były pogłębione przez to, że wielu z oficerów, wobec których zastosowano represje, było doskonale obznajmionych z niemiecką sztuką wojenną — a nowe kadry jej nie znały.

Do tego trzeba dodać, że 75 % dowódców i 70 % pracowników politycznych w lecie 1941 roku mogło się wykazać stanem pracy na zajmowanych stanowiskach najwyżej do jednego roku.

Wszystko to odbiło się ujemnie na gotowości bojowej naszej armii, chociaż przed wojną i w pierwszych miesiącach wojny, znaczna część przesładowanych była uwolniona i wzięła czynny udział w walce przeciwko faszystowskiemu Niemcom.

Na skutek masowych represji w okresie kultu osoby Stalina, wojska sowieckie w pierwszym okresie wojny ostro odczuwały brak doświadczonych dowódców, którzy by mogli skutecznie kierować związkami i wielkimi jednostkami operacyjnymi. To niewątpliwie, było jedną z istotnych przyczyn niepowodzeń Armii Czerwonej w pierwszym okresie wojny”.

Tłumaczył R. Wraga

Jeszcze dokładniejsze dane o rozmiarach i rezultatach stalinowskich „czystek”, które omawiam poniżej, podaje pisarz ro-

20. *Istoria Wielikoj Otieczestwiennoj Wojny Sowietского Sojuza 1941-1945*, Institut Marksizmu-leninizmu pri CK KPSS. Wojennoje izdatielstwo MON ZSSR. Tom 6, str. 124-125. Mai, 6-toj, Moskwa, 1965.

syjski Roy A. Medvedev w tłumaczonej, na język angielski książce²¹.

Przedstawiając przebieg owych czystek pisze, że masowe areszty zaczęły się w drugiej połowie 1936 roku i z początkiem 1937, gdy gazety doniosły o areszcie, sądzie i straceniu najwybitniejszych generałów z Tuchaczewskim na czele.

Największe nasilenie osiągnęły w latach 1937-38, gdy NKWD „uderzyło w najlepsze kadry Czerwonej Armii”. W tym czasie — pisze autor — zniszczono dziesiątki tysięcy lojalnych dowódców i komisarzy. Stalin, przemawiając w sierpniu 1937, na zebraniu politycznych pracowników armii, wezwał do wytypowania „wrogów ludu, którzy kryją się w Armii”. Po tej mowie, komisarz obrony Woroszyłow i komisarz spraw wewnętrznych Jeżow, podali w rozkazie, że istnieje szeroko rozgałęziona sieć szpiegów w Armii i każdy kto ma jakikolwiek kontakt ze szpiegami, musi się przyznać, jak również każdy kto podejrzewa gdziekolwiek czynności szpiegowskie, ma o tym donieść.

Wówczas NKWD przystąpiło, w drugiej połowie 1937 i w 1938 roku, do uderzenia w rdzeń wojskowego dowództwa i w centralny aparat Komisariatu Obrony, Politycznej Administracji Armii, Rewolucyjnej Rady ZSSR, Okręgów Wojskowych, Marynarki, większości korpusów, dywizji i pułków. Prawie wszyscy z najwybitniejszych dowódców Czerwonej Armii, którzy wybili się w czasie wojny cywilnej wówczas zginęli (*Ibidem*, str. 200).

Spowodowało to, jak podkreśla Medvedev, brak zaufania do dowódczych i politycznych kadr i przez to podminowało dyscyplinę w wojsku (str. 212). Armia ucierpiała, nie tylko z powodu aresztów, ale także z powodu zdegradowania i zwolnienia tysięcy zdolnych dowódców i komisarzy, których wyrzucono z partii z powodu „braku czujności” (*Ibidem*, str. 213).

Medvedev podaje, że według obliczeń pisarzy sowieckich

21. Roy A. Medvedev, *Let History Judge. The origins and consequences of Stalinism*, translated by Colleen Taylor, A. Knopf, New York, 1972.

Medvedev jest rosyjskim marksistą-leninistą i zdecydowanym przeciwnikiem Stalina. Książkę swą — jak pisze — oparł na licznych rosyjskich publikacjach z okresu między XX-tym (1956) a XXII-gim (1961) Zjazdem Partii. Wedle własnych słów, rozpatruje kult Stalina „uczciwie i wiernie”, na podstawie niepublikowanych manuskryptów i dokumentów, pamiętników i naocznych świadectw, głównie starych członków Partii, którzy przeżyli bezprawia lat 1930-40. Opiera się również na przedśmiertnych świadectwach członków Partii w obozach i więzieniach stalinowskich.

Książkę swą przedstawił sowieckiemu wydawcy, który ją odrzucił, wskutek czego autor upoważnił do wydania jej za granicą. W tekście podaje wyciągi z niej, odnoszące się do spraw wojskowych.

(Twardowski), które uważa za niepełne, ilość aresztowanych przed wojną wyższych dowódców i komisarzy wojskowych wynosiła: 3-ch spośród 5-ciu marszałków, 14-tu z 16-tu dowódców armii I-ej i II-ej klasy, 60-ciu z 67-miu dowódców korpusów, 136 ze 199-ciu dowódców dywizji, 221 z 397-miu dowódców brygad. Prawie wszyscy admirałowie, prawie wszyscy komisarze armii, korpusów, dywizji i brygad zostali aresztowani.

Bardzo znaczne straty były wśród młodszych oficerów. W sumie — konkluduje autor: — „nigdy korpus oficerski żadnej armii, nie poniósł w jakiegokolwiek wojnie takich strat, jakie armia sowiecka poniosła w czasie pokoju” (*Ibidem*, str. 213).

Inny autor, Robert Conquest²² podaje, że około połowy korpusu oficerskiego, w całości, około 35 tysięcy, zostało straconych lub uwięzionych. Kadra dowódców z doświadczeniem w Hiszpanii i na Dalekim Wschodzie, została prawie w całości zlikwidowana. By dopełnić powstałe luki, mianowano niedoświadczonych dowódców. Już w 1937 roku 60 % dowódczych kard w jednostkach strzeleckich, 45 % w jednostkach pancernych, 25 % w jednostkach lotniczych, należało do tej kategorii.

Według raportu generalnego inspektora piechoty, w 1940 roku, z pozostałych 225 dowódców pułków czynnej służby, ani jeden nie był wyszkolony w Akademii Wojskowej; 25-ciu ukończyło szkołę wojskową, a pozostałych 200 odbyło kursy dla podporuczników (*Ibidem*, str. 214). Żaden z dowódców pułków nie miał jakiegokolwiek doświadczenia bojowego, poza wojną w Finlandii.

Reformy przeprowadzone po wstrząsie wojny finladzkiej, przed uderzeniem niemieckim 1941 roku, byłyby nie wystarczające, lecz bez nich Armia Czerwona byłaby prawdopodobnie rozbita w całości w pierwszych tygodniach ataku Hitlera (Conquest, str. 487).

Dokładnej ilości cywilnych i wojskowych ofiar czystek stalinowskich nie można jeszcze obecnie ustalić. Byłoby to możliwe, gdyby archiwa NKWD zostały udostępnione. Na podstawie żmudnego zestawienia obecnie dostępnych źródeł sowieckich i zagranicznych, które w swej pracy podaje R. Conquest, dochodzi on do następujących przybliżonych cyfr na koniec 1938 roku (str.

22. Robert Conquest, *The great terror, Stalin's purge of the thirties*, London 1968. Podobne ilościowe dane podaje Robert Payne, *The rise and fall of Stalin*, Simon and Schuster, n.d.

532), podkreślając, że są one bardzo konserwatywnie obliczone (Wyciąg z ogólnej tabeli):

Z końcem 1938 r. było uwięzionych (<i>in captivity</i>)	9 milionów
z czego w więzieniu	1 milion
w obozach	8 milionów.

Według zgodnej opinii, pisze autor, w ciągu pierwszego roku pobytu w obozach 1/3 więźniów umierała z wycieńczenia przez okres bezpośredni po wejściu do obozu. Szczegółowe badania Swianiewicza wykazały, że w roku 1933 umierało około 10 % rocznie, w 1938 roku, około 20 % rocznie.

W ogólnym obliczeniu autor dochodzi do cyfry 20 milionów śmiertelnych ofiar represji reżymu Stalina w ciągu 23 lat i twierdzi, że jest to na pewno cyfra zbyt niska i będzie wymagała około 50 % podwyższenia²³ (str. 533).

Przed wojną na Zachodzie niewiele wiadano o rozmiarach masowych czystek. Słyszano coś niecoś jedynie o procesach pokazowych, w których sądzono za zdradę i skazywano na śmierć wybitnych, starych bolszewików i czołowych przedstawicieli Czerwonej Armii. Ale poza tym całość tej koszmarniej operacji i jej rozmiary pokryte były oficjalnym milczeniem mimo, że jak pisze Kennan (*op. cit.*, str. 307) pogrzyżała ona kraj cały w historycznej panice, terrorze, donosicielstwie i wzajemnym wykańczaniu się. Odbywające się masowe sądy były kpina sprawiedliwości.

Nie trudno sobie wyobrazić jaki wpływ musiał taki stan rzeczy wywierać na morale wojska. W jakim nastroju i poczuciu miałyby żołnierz sowiecki iść do ciężkiej wojny z przeciwnikiem tej miary co Niemcy, gdy wkładano mu w głowę, że jego dowódcy aż do najwyższych, byli zdrajcami i dlatego musieli być zlikwidowani? A jakąż wartość fachową i moralną mogli przedstawiać nowi dowódcy, nie mający odpowiedniego wykształcenia ani doświadczenia, przy tym żyjąc w niepewności, że w każdej chwili

23. Interesujące dla nas Polaków, choć nie związane ściśle z tematem, są następujące dane cytowane przez autora (Robert Conquest): Na 1.060.000 jeńców polskich z 1939-40 roku oraz ludności cywilnej wywiezionej do obozów pracy, lub na przymusowe osiedlenie, duża większość zginęła w obozach pracy, które obejmowały około 440.000 uwięzionych. Nawet uwzględniając egzekucje w Katyniu i gdzie indziej i śmierć z głodu w różnych „wolnych” osiedlach, wydaje się że nie mniej niż 40-50 % uwięzionych polskich obywateli musiało umrzeć w czasie niewoli trwającej około 2 do 2 i pół lat.

mogą być zadenuncjowani jako szpiegzy i zdrajcy i podzielić los swoich poprzedników?

Jednakowoż liczna potęga Armii Czerwonej i niewątpliwie postępy w jej uzbrojeniu i technicznym wyposażeniu, obserwowane na pokazowych manewrach, wywierały fascynujący wpływ na opinie polityków na Zachodzie i wojskowych francuskich, którzy mieli stale w pamięci wyolbrzymioną rolę, jaką ofensywa rosyjska na Prusy Wschodnie w 1914 roku odegrała w krytycznym okresie bitwy nad Marną. Państwa Zachodnie, zwłaszcza Francja, wiązały wielkie nadzieje z udziałem Rosji w wojnie z Niemcami. Te zapewne względy wpływały na naciski wywierane na Rząd polski i usiłowania wojskowych przedstawicieli na konferencji w Moskwie, by doprowadzić do porozumienia z Woroszyłowem za wszelką cenę, nawet wtedy jeszcze, gdy stawało się już coraz bardziej jasne, że Sowiety tego porozumienia wcale nie chcą. Rosjanie prowadząc równocześnie konszachty z Niemcami, pertraktowali z Francją i Anglią, celem szantażowania obu stron. Okłamywali swych zachodnich partnerów, stosowali politykę stałego przewlekania, wysuwając coraz to nowe trudności i warunki, by uzyskać czas na dobiecie targu z Niemcami.

Tak doszło do zawarcia paktu z Niemcami, który im otworzył drogę do rozpętania wojny, a Stalinowi dał perspektywy zagrabienia części Polski i powiększenia swego imperium tanim kosztem.

MOWA STALINA O KORZYŚCIACH PAKTU Z NIEMCAMI

Stalin w swej mowie radiowej do obywateli ZSSR, wygłoszonej w 11 dni po ataku niemieckim, usprawiedliwiał zawarcie paktu z Rzeszą, który „dał nam definitywną korzyść, gdyż zapewnił osiemnaście miesięcy pokoju, umożliwiając w ten sposób przezbrownienie i przegrupowanie armii²⁴”.

Rzeczywistość jednak była zupełnie inna. Pakt ten dał definitywną korzyść, nie tyle Sowietom, co Niemcom. Wzbudził nagle u Stalina trudne do zrozumienia zaufanie do przyjaźni Hitlera, uspił jego wrodzoną podejrzliwość do tego stopnia, że nie dawał wiary ostrzeżeniom o grożącej agresji, które na długo przed uderzeniem otrzymywał z wielu najważniejszych źródeł. Wsku-

24. Robert Payne, *op. cit.*, str. 558; R. Conquest *op. cit.*, str. 487.

tek tego, samo uderzenie 22 czerwca 1941 roku, było dla niego i dla Czerwonej Armii kompletnym zaskoczeniem.

Sowiety nie tylko nie wykorzystały czasu, który im dał pakt z Niemcami, ale przez cały okres tych 18-tu miesięcy, rząd sowiecki ze zdumiewającą gorliwością, a szkodą dla własnych przygotowań, wspomagał Niemców masowymi dostawami surowców i żywności.

Gdy w tym samym okresie czasu Niemcy, zajmując jeden kraj po drugim, zwiększali bardzo wydatnie swój potencjał wojenny, w Sowietach niszczone (nieomal do ostatniej chwili) wartości bojową siłę zbrojnych przez ciągłe kontynuowanie „czystek”.

„Żadnych przygotowań nie zrobiono mimo, że mieliśmy czas i możliwość ku temu” — pisał Chruszczow w swym tajnym raporcie²⁵.

Władze sowieckie nie wykorzystały również *przestrzeni*, którą zyskały kosztem Polski, tak samo jak nie wykorzystały czasu, który im dał pakt z Niemcami. Zaabsorbowane masowymi deportacjami obywateli polskich, organizowaniem fałszywych plebiscytów i tym podobnymi czynnościami związanymi z aneksją polskich ziem wschodnich, nie przygotowały ich do działań obronnych w sposób jaki narzucały doświadczenia kampanii polskiej i francuskiej.

Zyskana przestrzeń miała stanowić przedpole strategiczne przed obszarem właściwego Związku Sowieckiego, na którym istniały ufortyfikowane pozycje obronne, tzw. „linia Stalina” przygotowywana przez długie lata wzdłuż zachodniej granicy państwa. Na to otwarte i nieprzygotowane przedpole wprowadzono gros sił sowieckich. Dowództwo sowieckie czuło się widocznie, pod ich osłoną, tak bezpieczne, że nie uzbroiło odpowiednio fortyfikacji, istniejących na własnym terenie. W tej sprawie pisze Chruszczow w swym raporcie: „Wiele rejonów ufortyfikowanych okazało się niemożliwymi do obrony... ponieważ stare uzbrojenie z nich wycofano, a nowego jeszcze nie było”.

W rezultacie, całe to zabrane Polsce „przedpole strategiczne” okazało się dla Sowietów tylko pułapką. Wysunięte na nie, główne siły zostały w otwartym polu rozbite w ciągu zaledwie paru dni, a właściwa pozycja obronna nie odegrała w działaniach wojennych żadnej roli. Niemcy przeszli ją od razu w gwałtownym pościgu za cofającymi się w popłochu resztkami rozbitych armii sowieckich, otwierając sobie w ten sposób drogę w głąb Rosji. O tym pisze Chruszczow w swym tajnym raporcie: „W pierw-

25. R. Conquest, *op. cit.*, str 166.

szych godzinach i dniach Niemcy zniszczyli w rejonach przyfrontowych dużą część lotnictwa, artylerii i innego sprzętu, wielką ilość kadr, zdeorganizowali dowództwo wojskowe i wskutek tego nie mogliśmy zapobiec marszowi nieprzyjaciela w głąb kraju²⁶.

Sytuacja była dla Sowietów tak rozpaczliwa, że — jak pisze Chruszczow — „Stalin uważał, że to już koniec. W jednej ze swych mów w tych dniach powiedział 'wszystko co stworzył Lenin straciliśmy na zawsze'”. Że tak się nie stało, Sowiety zawdzięczają w dużej mierze pomocy Zachodu. Ale tego propaganda sowiecka do dzisiejszego dnia nie chce przyznać.

UWAGI OGÓLNE

Niemcy uderzając na Rosję, nie mieli przewagi liczebnej ani w uzbrojeniu, ani w ludziach. Swe błyskawiczne zwycięstwa zawdzięczali częściowo zaskoczeniu, częściowo kompletnemu nie wykorzystaniu przez Sowiety doświadczeń wojny w Polsce i we Francji, a oczywiście także lepszej taktyce, organizacji, lepszemu wyszkoleniu wojska i bez porównania wyższej klasie dowodzenia na wszystkich szczeblach.

Niski morale Armii Czerwonej (masowe poddawanie się) sterorryzowanej „czystkami” odegrały z pewnością wielką rolę w jej postawie bojowej w tym okresie.

Jeżeli Armia Czerwona dała w tych walkach tak żałosny obraz nieprzygotowania, w dwa lata po doświadczeniach wojny polsko-niemieckiej, to jakież musiał być jej stan w roku 1939, bezpośrednio po okresie największego nasilenia terroru, mordów i chaosu organizacyjnego, w ó w c z a s gdy rząd sowiecki deklarował chęć walki z Niemcami, chwalać się ilością swych dywizji, czołgów i lotnictwa, co tak imponowało zachodniemu światu.

Nie może ulegać wątpliwości, że kryzys wojskowy i państwo-woy, jaki przeżywał wówczas sowiecki kolos i jego siły zbrojne, czynił je niezdolnymi do ofensywy przeciwko Niemcom, a przechwałki Woroszyłowa na konferencji w Moskwie, były jedynie wielkim bluffem.

26. W bitwie w rejonie Białystok-Mińsk (22-29 czerwca, 1941), Niemcy posuwając się z przeciętną szybkością 30 km na dzień, rozbili dwadzieścia dwie dywizje piechoty, 7 dywizji pancernych, 6 brygad pancerno-motorowych i 6 dywizji kawalerii. 8 lipca na kierunku Smoleńska znalazło się w rękach niemieckich 289.874 jeńców; 2.585 czołgów; 1.449 dział; 246 samolotów. (The Halder Diaries).

JAK STALIN MOTYWOWAŁ ŻĄDANIA „PRZEMARSZU”?

Wykorzystując pobożne życzenie, zwłaszcza Francji, która od dawna chciała przerzucić na Rosję część swoich zobowiązań wobec Polski, Stalin usiłował skłonić państwa Zachodu, by wymogły na rządzie polskim zgodę na oddanie w razie wojny, wschodniej części kraju i w ten sposób przemycić tanim kosztem, bez żadnego ryzyka, powiększenie swego imperium.

Na poparcie swych usiłowań, rząd sowiecki chytrze użył argumentu, na pozór rzeczowego i logicznego, że Rosja nie mając wspólnej granicy z Rzeszą, mogłaby czynnie wystąpić przeciw Niemcom, tylko wprowadzając swe wojska na teren Polski. Sedno sprawy leży jednak w tym, że Stalin wcale nie chciał wystąpić czynnie przeciwko Niemcom, co potwierdziły późniejsze wypadki. Czynne angażowanie się w wojnę europejską w nieodpowiednim dla Sowietów momencie, z pewnością nie było w interesie ZSSR.

Niestety Zachód nie rozumiał, czy nie chciał rozumieć gry sowieckiej i zarzucał, a nawet do dziś jeszcze zarzuca, Polsce jej nieustępliwość, donkiszoterię i przesadną ocenę własnych sił — co rzekomo miało doprowadzić do zerwania rokowań w Moskwie.

Dziś, po ujawnieniu oficjalnych dokumentów wielu rządów, gdy znana jest dwulicowa polityka Sowietów, nie może ulegać wątpliwości, że do paktu sowiecko-niemieckiego doszłoby bez względu na stanowisko Polski, zaś nasza bezwzględna zgoda na „przemarsz” jakiej żądał Woroszyłow, byłaby zgodą na utratę niepodległego państwa. Sowiety niewątpliwie nie omieszczałyby wykorzystać jej do umotywowania wobec opinii świata agresji, której dokonały 17 września. Wymyślenie odpowiedniego uzasadnienia cynicznej agresji, by w opinii nie wyjść na napastnika, sprawiało Kremlowi wiele kłopotów — jak świadczą o tym raporty ambasadora niemieckiego w Moskwie z jego rozmów z Mołotowem²⁷. Rząd sowiecki chciał początkowo (10 września) oświadczyć, że: „... Polska rozpada się i że jest w rezultacie rzeczą konieczną dla Związku Sowieckiego, przyjść z pomocą Ukraincom i Białorusinom „zagrożonym” przez Niemców. Ten argument miał upozorować wobec mas interwencję Sowietów, a jednocześnie uniknąć nadania Związkowi Sowieckiemu charakteru napastnika”.

Jednak ze względu na sytuację na froncie, rząd sowiecki uznał takie oświadczenie za przedwczesne, dnia 14-go Mołotow oświadczył ambasadorowi niemieckiemu, że „dla politycznego umoty-

27. DGFP, Series D, VIII, pp. 76, 77, 79; Budurowych, *op. cit.*, p. 177.

wowania akcji sowieckiej (rozpadanie się Polski i ochrona mniejszości) jest rzeczą największej wagi nie podejmować akcji dopóki nie upadnie ośrodek rządowy Polski, miasto Warszawa...”.

Rząd Rzeszy nie zgodził się na motywację akcji sowieckiej obroną ludności ukraińskiej i białoruskiej przed Niemcami, z kolei więc Mołotow zaproponował w dniu 16 września następujące brzmienie komunikatu: „Państwo Polskie rozpadło się i już nie istnieje, dlatego też wszelkie porozumienia zawarte z Polską są nieważne... Związek Sowiecki uważa za swój obowiązek interweniować dla obrony swych braci białoruskich i ukraińskich i umożliwić tym nieszczęśliwym ludziom pracę w pokoju...”. Usprawiedliwiając się przy tym z wprowadzenia nuty drażniącej wrażliwość niemiecką Mołotow, w przystępie niezwykle szczerości, dodał: „... Rząd sowiecki niestety nie widzi możliwości jakiegokolwiek innej motywacji ponieważ do tej pory Związek Sowiecki nie troszczył się o niedolę swoich mniejszości w Polsce a musi w taki, czy inny sposób usprawiedliwić za granicą swoją obecną interwencję²⁸”.

Powyższe oświadczenia Mołotowa wobec ambasadora niemieckiego, wskazują jak wielkie znaczenie przywiązywał Kreml do politycznego umotywowania swej agresji, by w opinii świata nie stanąć w roli napastnika, i tłumaczyć dobitnie powody dla których Woroszyłow w sierpniowej konferencji moskiewskiej tak kategorycznie nalegał na uzyskanie bezwarunkowej zgody Polski na „przemarsz”.

Udanie się tego podstępного planu i uzyskanie naszej zgody na „przemarsz”, dałoby Związkowi Sowieckiemu, nie tylko prawne podstawy do okupacji i aneksji części Polski, ale uzależniłoby nas w zupełności od Sowietów. Tak, cały naród odczuwał zgodnie znaczenie „przemarszu” wojsk obcych, jako utratę niepodległości.

Okazuje się, na innym przykładzie, że identycznie tak samo rozumiał je rząd sowiecki, który — przy innej oczywiście okazji — oświadczył, że państwo które dopuszcza obce wojska na swój teren, tym samym traci swą niepodległość.

Było to w czasie pertraktacji o zawarcie pokoju między Finlandią i Sowietami w kwietniu 1944 roku, rząd sowiecki postawił Finlandii bardzo ciężkie warunki, które rząd fiński wzbraniał się przyjąć. Na to rząd sowiecki w nocy z 22 kwietnia 1944 roku odpowiedział m.in. co następuje: „Rząd fiński twierdzi, że przy-

28. DGFP.

jęcie propozycji sowieckiej rzekomo zagraża dalszemu istnieniu Finlandii, jako niepodległego państwa. Z pewnością nie odpowiada to prawdzie. Obecnie Finlandia nie ma państwowej niepodległości. Straciła ją w momencie, gdy dopuściła wojska niemieckie na swoje terytorium²⁹...” (podkreślenie własne, W.S., tłumaczenie — R. Wraga).

Stalin wyczekał momentu, gdy Francja, pomimo umowy, nie ruszyła się w obronie Polski i wtedy przekroczył granice Polski dnia 17 września.

UWAGI KOŃCOWE

Starałem się przedstawić w mym studium jak wygląda prawda o rzeczywistym stosunku Stalina i jego rządu do Polski i o jego rzekomej chęci wzięcia czynnego udziału w obronie Polski przed najazdem niemieckim. Prawdę tę potwierdził niedwuznacznie Mołotow w przemówieniu na Nadzwyczajnej Sesji Najwyższego Sowietu w dniu 31 października 1939 roku, kiedy uznał klęskę Polski za fakt pozytywny, a państwo Polskie nazwał cyniczne „pokracznym bękartem” traktatu wersalskiego.

W świetle obecnie znanych faktów oszukańcza gra Sowietów staje się jasna i wynika z niej wyraźnie, że Stalin nie chciał wchodzić do wojny z Niemcami nie będąc przygotowany, ale prowadził grę, by do niej wejść ewentualnie w najpomyślniejszych dla siebie warunkach. Wykorzystując nalegania Francji i Anglii i łudząc Zachód co do swoich istotnych zamiarów, usiłował uzyskać za pośrednictwem Francji zgodę Polski na „przemarsz”, choć musiał wiedzieć, że Polska nie może się zgodzić, by dobrowolnie wydać na siebie wyrok: utratę swej niepodległości. Nie mieliśmy wprawdzie możliwości przeciwstawienia się skutecznie wkroczeniu Sowietów na nasz teren, podczas gdy byliśmy zaangażowani w walce z Niemcami, ale wkroczenie wbrew naszej zgodzie, byłoby ze strony Sowietów jawnym bezprawiem.

Przez odmowę zgody uzyskiwaliśmy to, że przemoc nie nabrała charakteru prawa.

29. *Wnieszniaja politika sowietskogo sojuza w pieriod otieczestwiennoj wojny*. Tom II, O.G.I.Z. Gosudarstwennoje izdatielstwo političeskoj literatury, 1946. Dokumenty i Materiały. 1 stycznia - 31 diekabria, 1944. O sowietsko-finskih odnoszeniah na press konferenciji w Narkomindele ZSSR.

Prowadząc swą przewrotną grę, Stalin przedstawiał Polskę w oczach Zachodu, jako przeszkodę w utrzymaniu pokoju, usiłował poróżnić ją z Francją, odizolować i zmusić do przyjęcia jego warunków.

Równocześnie, przez cały czas pertraktacji z Zachodem, prowadził w tajemnicy konszachty z Niemcami, którym ostatecznie otworzył drogę do wojny, otrzymując od nich w zamian, kosztem Polski, zwiększenie swego imperium, co było jego celem.

Do tego sprowadza się prawda o istotnym stosunku Stalina do Polski, którą z powodów taktycznych omijają niektórzy historycy krajowi, a której do dziś jeszcze nie chcą, czy nie mogą zrozumieć politycy i historycy, których kraj jest w szczęśliwszym położeniu od Polski i nie stoi przed problemami jakie musiała rozstrzygać Polska w 1939 roku. Zarzucają Polsce, że usiłowała się bronić i nie chciała dobrowolnie wydać wyroku śmierci na swój niepodległy byt państwowy.

Wacław STACHIEWICZ

DOKUMENTY

Wiktor SUKIENNICKI

MEMORIAŁ O SPRAWIE LITEWSKIEJ ZŁOŻONY PRZEZ WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO W WARSZAWIE W LISTOPADZIE 1917

Od czasów Bismarcka w niemieckiej myśli politycznej ustalił się pogląd, że gdyby doszło do wojny z Rosją, utworzenie państwa polskiego stałoby się koniecznością. Gdy wojna wybuchła w sierpniu 1914, miarodajne czynniki w Niemczech uważały za najkorzystniejsze popchnięcie takiego państwa możliwie daleko na wschód, by móc jednocześnie rozwiązać „kwestię polską” w Prusach, również powiększonych na wschodzie. Im większe perspektywy zostałyby przed Polakami otworzone na wschodzie, tym bardziej zaangażowaliby tam oni wszystkie swe siły i tym łatwiej byłoby Niemcom zrealizować ich właściwe cele. Stąd, zanotowane przez Bülowa „plany przyszłościowe” niemieckiego ministra spraw zagranicznych v. Jagowa oraz wypowiedź kanclerza Rzeszy Bethmanna-Hollwega z 12 sierpnia 1914¹. Stąd mapa przyszłej Polski z granicą na Dźwinie i Berezynie, oglądana przez Władysława Studnickiego i Natansona w listopadzie 1914 w berlińskim biurze G. Cleinowa, przyszłego dyktatora prasowego w okupowanej Warszawie². Stąd rozmowy we wrześniu 1914 niemieckiego podsekretarza stanu do spraw wewnętrznych, Lewalda, z polskim posłem ze Śląska W. Korfantym i uzyskanie od niego oświadczenia, że jeśli granice przyszłego państwa polskiego nie będą zakresłone „zbyt wąsko”, znaczna część ludności polskiej z Prus mogłaby być tam przesunięta, co byłoby najlepszym rozwiązaniem sprawy polskiej w Prusach³. Stąd również wileńska

1. *Bülow's Nachlass*, „Berliner Eindrücke”, cyt. przez W. Conze, *Polnische Nation und deutsche Politik im ersten Weltkrieg*, 1958, str. 62.

2. *Niepodległość*, tom X, 1934, zeszyt 2/25, str. 253.

3. Współczesna notatka Lewalda, ogłoszona w *Jahrbuch für Geschichte der UdSSR*, tom 3, str. 245-6, Berlin (wschodni), 1959.

odezwa generała Pfeiffa z 18 września 1915, stwierdzająca, że ten „sławetny i pełen tradycji gród był zawsze perłą w sławnym Królestwie Polskim”, i zakończona słowami: „Niech Bóg błogosławi Polskę”⁴. Stąd polityka pierwszego niemieckiego szefa okręgu wileńskiego v. Beckeratha i jego głośny memoriał z maja 1916⁵. Stąd wreszcie uwaga w memoriale R. Dmowskiego z 2 marca 1916, że „polityka niemiecka popiera obecnie żywioł polski w guberniach grodzieńskiej, wileńskiej i mińskiej więcej niż w Warszawie”⁶.

Na czoło opozycji przeciwko takiej zbyt „pro-polskiej i defetycznej” polityce wysunął się rychło gen. Ludendorff. Zostawszy w listopadzie 1914 szefem sztabu niemieckiego naczelnego dowództwa na wschodzie, żywił on w stosunku do zdobytych obszarów odmienne zamiary: zamiast je oddawać Polakom, zamierzał kontynuować na nich akcję niemieckich zakonów rycerskich, przerwana przez klęskę pod Grunwaldem. Gdy, po zajęciu w sierpniu 1915 Warszawy, zostało utworzone warszawskie generalne gubernatorstwo, wyjęte spod władzy naczelnego dowództwa na wschodzie, rozżalony Ludendorff napisał do ówczesnego wiceministra spraw zagranicznych Zimmermanna: „Skoro odebrano mi Polskę, muszę sobie założyć inne królestwo na Litwie i w Kurlandii. Proszę tylko o polityczne dyrektywy”⁷.

Dyrektywy te nie nadeszły, co nie wstrzymało jednak Ludendorffa. Na jesieni 1915 znalazł się on w Kownie, gdzie zostało ulokowane naczelne dowództwo na wschodzie. Po zobaczeniu przy ujściu Wilii do Niemna ruin zamku krzyżackiego pisał we wspomnieniach wojennych: „Potężne tradycje dziejowe wezbrały we mnie. Postanowiłem podjąć na nowo na okupowanej ziemi pracę kulturalną, jaką Niemcy zasadzali w tych krajach przez długie stulecia. Pstro zmieszana tutejsza ludność sama z siebie żadnej kultury nie stworzy; sobie samej zostawiona, pada łupem polskości”⁸.

By nie dopuścić do tego, w ciągu zimy Ludendorff założył podwaliny odrębnej *quasi*-państwowej organizacji, znanej następnie jako *Ober Ost*. Wobec mieszanej narodowościowo ludności stosował klasyczną politykę *divide et impera*. Żydami się nie interesował; o Białorusinach, których początkowo nie mógł znaleźć, zebrał informacje, że są liczebnie silni, lecz zbyt ulegają wpływowi polskim; pozostawiali zatem Litwini. Rościli oni pretensje do Wilna, gdzie ich stosunek liczbowy do Polaków był znacznie gorszy niż Niemców w Gdańsku, Bydgoszczy czy Po-

4. L. A. (bramowicz), *Litwa podczas wojny*, Warszawa, 1918, str. 7.

5. *Ibidem*, str. 7-12.

6. R. Dmowski, *Polityka polska i odbudowa państwa*, Warszawa, 1925, str. 514.

7. Cyt. przez M. Sokolnickiego, *Polska w pamiętnikach wielkiej wojny*, Warszawa, 1925, str. 577.

8. *Ibidem*, str. 132.

znaniu. Ponieważ zaś Polacy uważali wszystkie te miasta za polskie, powstawała płaszczyzna do szczerzej niemiecko-litewskiej współpracy w walce z polskimi „uroszczeniami”. Toteż w myśl ostatecznie ustalonej latem 1916 polityki *Ober Ost*u Polacy byli w nim najbardziej upośledzeni a Litwini faworyzowani.

We wrześniu 1916, Ludendorff awansował na „pierwszego generalnego kwatermistrza” ogółu niemieckich sił zbrojnych i, nie przestając w dalszym ciągu opiekować się *Ober Ost*em, zaczął wywierać przemożny wpływ na całość niemieckiej polityki. Pomimo powziętej 12 sierpnia 1916 roku na konferencji w Wiedniu przez Kanclerza Rzeszy i austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych Buriana zgodnej decyzji, że Wilno zostanie włączone do mającego być utworzonym państwa polskiego, Ludendorff spowodował, że nie tylko nie ujawniono tego w akcie dwóch cesarzy 5 listopada 1916, lecz w Wilnie i całym *Ober Ost*cie oficjalnie ogłoszono, że, wobec odmiennych w stosunku do nich planów, akt ten ich nie dotyczy⁹.

Lipiec 1917 przyniósł Ludendorffowi walne zwycięstwo nad „defetystyczną” polityką. Po ośmiu latach rządów Bethmann-Hollweg otrzymał dymisję, zaś nowy kanclerz Michaelis skwapliwie dostosowywał się do życzeń Ludendorffa. Zanim jednak zdążył ostatecznie wprowadzić je w życie, nagle został na początku listopada zastąpiony przez przywódcę bawarskich katolików, 75-cioletniego hr. Hertlinga. „Nadzieje moje upadły wraz z jego dymisją”, pisał Ludendorff w swoich wspomnieniach¹⁰.

Wpływy Ludendorffa co najmniej przyczyniły się do złotwiego tempa wprowadzania w życie aktu dwóch cesarzy z 5 listopada 1916. Dopiero po powołaniu we wrześniu 1917 tzw. Rad Krajo wych w Kurlandii i na Litwie, w końcu października powołano w Warszawie Radę Regencyjną. Nadzieje, że pójdą za tym dalsze kroki w kierunku powołania rządu i określenia granic nowego państwa zawiodły. Niemcy sprzeciwili się kandydaturze wysuniętego na premiera Adama Tarnowskiego i sprawy budowy państwa polskiego pozostawały w dalszym ciągu w zawieszeniu. Dopiero rząd Hertlinga zaakceptował 21 listopada kandydaturę Jana Kucharzewskiego, który 7 grudnia utworzył pierwszy — wciąż raczej teoretyczny — rząd polski.

W społeczeństwie polskim tradycja Rzplitej, składającej się z Korony i W. Ks. Litewskiego, była tak silna, że pomimo politycznego rozbitcia, domagało się ono zgodnie objęcia przez przyszłe państwo polskie ziem wschodnich. Nie znaczy to, by w tej sprawie istniał jakiś konkretny program. Jeszcze na jesieni 1915, wileński demokratą Michał Romer zarzucał miarodajnym polskim czynnikom politycznym brak „określonego programu co

9. Rozdawana bezpłatnie *Wilnaer Zeitung*, 1916 Sonder-Ausgabe, zawierała tekst aktu dwóch cesarzy wraz z dodatkiem-komentarzem zaakceptowanym na wniosek Ludendorffa przez ministra spraw Zagranicznych Jagowa.

10. Sokolnicki, *op. cit.*, str. 164.

do Litwy... poza ogólnikową tendencją rozszerzenia granic zarysowującego się w wyniku obecnej wojny państwa polskiego tak daleko na wschód, o ile warunki realne na to pozwolą¹¹". Zdaniem Romera „uznanie Litwy historycznej jako całości niepodzielnej powinno [było] być zasadą polskiej myśli politycznej", nawet w wypadku gdyby nie mogła być ona połączona z Polską. Nie było to jednak popularne w opinii polskiej, domagającej się kategorycznie związku Litwy z Polską. Gdy, po akcie z 5 listopada, sprawy ustroju i granic przyszłego państwa polskiego wydawały się stawać aktualne, w maju 1917 przystąpiono w Warszawie do ustalania bardziej konkretnego programu „w sprawie Litwy". Zarysowały się przy tym pozornie drobne różnice. Jedne grupy polityczne żądały „niepodległego bytu państwowego także dla ziem dawnego W. X. Litewskiego" oraz oświadczały, że „Polska dążyć będzie niezłomnie do wznowienia związku z niepodległą Litwą", inne ograniczały się do uznania prawa dawnego W. X. Litewskiego do niepodległego bytu państwowego oraz mówiły, że „Polska pragnie najgoręcej wzmocnienia tradycyjnego związku z niepodległym W. X. Litewskim¹²". Fakt, że nie dało się uzgodnić poglądów w jednej wspólnej polskiej „Deklaracji w Sprawie Litwy" świadczył, że różnice były większe niż się wydawało. Dotyczyły one przede wszystkim polityki w wypadku ewentualnej odmowy niepodległej Litwy wznowienia związku z Polską. Wówczas gdy pierwsi zdawali się i w takim wypadku być skłonni do uszanowania niepodległości Litwy, drudzy, w ich najgorętszym pragnieniu wzmocnienia polsko-litewskiego związku, mogliby mniej się liczyć z zasadą niepodległości — lub integralności — odrębnego państwa litewskiego. Wiadomość o utworzeniu we wrześniu 1917 w Wilnie litewskiej Rady Krajowej (*Landesrat*, następnie popularnie nazywanej Tarybą), opinia polska przyjęła z zadowoleniem. Odcięta od *Ober Ost*'u dość szczelnym kordonem, nie była poinformowana o szczegółach i sądziła, że był to krok w kierunku postulowanej przez nią niepodległości W. X. Litewskiego.

Społeczeństwo polskie na Litwie również gorąco pragnęło łączności z Polską. Co prawda, w okresie swego urzędowania w Wilnie Beckerath odniósł wrażenie, że „wielu wpływowych Polaków" nie podzielało tam pragnienia „marzycielskich polityków-idealistów" stworzenia „wielkiego państwa polskiego", zaś „polskie warstwy posiadające w Wileńskim" nie tylko „połączenia gospodarczego z Niemcami" nie odrzucały, ale „wielu z nich nawet go pragnie¹³". Jeśli nawet, co wcale nie jest pewne, wrażenia Beckeratha nie były błędne, po jego dymisji i ustaleniu się w *Ober Ost*'cie polityki Ludendorffa, sytuacja i nastroje uległy radykalnej zmianie. Za czasów Beckeratha Polacy domi-

11. *Zeszyty Historyczne* nr 17 (1970), str. 126, odsyłacz 34.

12. L.A., str. 75-78.

13. *Ibid.*, str. 11.

nowali w Komitecie Obywatelskim, aspirującym do roli potencjalnego rządu krajem. Później ich wpływy i sytuacja polityczna ulegały stałemu pogorszeniu, przy coraz wyraźniejszym forytowaniu nieprzychylnych im Litwinów. Po utworzeniu „Taryby” Polacy litewscy zostali oficjalnie niemal uznani za znikomą mniejszość, uprawnioną co najwyżej do 10 % miejsc w potencjalnych władzach krajowych z bezwzględną większością litewską. Wobec perspektywy zatryumfowania na Litwie bezwzględnej antypolskiej polityki zarówno ogólnej jak i społeczno-ekonomicznej, Polacy na Litwie w ogóle, a ich „warstwy posiadające” w szczególności, kategorycznie domagali się jak najściślejzego związku z Polską, nawet kosztem naruszenia, zasadniczo przez nich dotąd postulowanej, integralności ziem b. W. Księstwa. Bodaj po raz pierwszy zostało to wyraźnie powiedziane w drukowanym obecnie memoriale Władysława Zawadzkiego.

Dla rozdziału napływającej zza granicy pomocy dla ofiar wojny, po ostatecznym zlikwidowaniu wielonarodowościowego (z dominacją Polaków) Komitetu Obywatelskiego, zaczęły powstawać w Wilnie narodowościowe Komitety Pomocy, które wkrótce przybrały charakter polityczny. 3 listopada 1916 roku Polski Komitet Organizacyjny w Wilnie ogłosił deklarację, w której „stwierdzając, że dążenie do wspólnej państwowości z Polską jest postulatem politycznym jednoczącym wszystkich Polaków Litwy i Białejrusi,... oświadczył, że dla Polaków Litwy i Białejrusi możliwym do przyjęcia będzie tylko takie rozstrzygnięcie losu naszego kraju, które mu zapewni jedność państwową z Polską¹⁴”.

15 stycznia 1917 Komitet Polski w Wilnie wystosował podpisany przez 31 jego członków adres do Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie, witając z radością jej utworzenie „jako zapowiedź niepodległego bytu całego narodu” oraz wyrażając „głęboką wiarę, że najbliższa przyszłość odnowi więzy, które w ciągu wieków łączyły Litwę z Koroną”. Podobne adresy wysyłane również były do Rady Stanu, a następnie Rady Regencyjnej, w imieniu poszczególnych organizacji oraz gmin i powiatów z terenów *Ober Ost*¹⁵.

24 maja 1917 złożony został władzom *Ober Ost*’u w Wilnie, w celu przesłania Kanclerzowi Rzeszy, kilkustronicowy memoriał, podpisany przez 44 przedstawicieli wszystkich kierunków polskiej myśli politycznej na Litwie. Zawierał on m.in. ustępy następujące:

„Najzupełniej szanując dążenia wszystkich ludów do stworzenia warunków bytowania, które by najlepiej zabezpieczały ich swobodny rozwój narodowy, my, Polacy z Litwy, takich samych warunków wymagamy i dla siebie, a uważając się za współczesnych obywateli i gospodarzy Litwy oświadczamy, że głos nasz

14. *Ibid.*, str. 34-5.

15. *Ibid.*, str. 37 i 37-43.

musi być wzięty pod uwagę przy decydowaniu o losach tego kraju.

Stanowiąc nieodłączną część wielkiego narodu polskiego dążymy i zawsze dążyć będziemy do państwowej łączności z Polską, z którą kraj nasz dzielił wspólnie losy chwały i rozkwitu oraz walk i niedoli.

To nasze słuszne dążenie nie jest bynajmniej sprzeczne z interesami innych narodowości tego kraju, przeciwnie godzi się ono z nimi w najkorzystniejszy sposób przez utworzenie jednego wspólnego państwa na zasadach samodzielności części składowych¹⁶.

Na polski memoriał skierowany do Bethman-Hollwega Litwini odpowiedzieli znacznie dłuższym kontr-memoriałem z 10 lipca, który trafił już w ręce Michaelisa. Podpisany przez 19 osób, w tym 9 księży, litewski kontr-memoriał zaznaczał na wstępie, że „w przeciwieństwie do agresywnej polityki polonizmu, litewskość nie rości żadnych praw do obszarów dawnego Księstwa Litewskiego, ani też do całej jego części zajętej przez Niemców”, a tylko do „obszaru zamieszkałego przez szczep litewski”, którego granice stanowić miały: na północy Kurlandia, na wschodzie linia frontu, na południu „bieg Niemna skierowany ku zachodowi aż do Grodna, stąd linia w kierunku północno-zachodnim do granicy Prus Wschodnich”.

Terytorium w granicach tak zakreślonych kontr-memoriał uważał za „kraj należący do Litwinów i tylko narodowi litewskiemu przyznajemy prawo decydowania o losach tego kraju. Uregulowanie praw wszystkich mniejszości narodowych i zagwarantowanie im takowych, są to sprawy wewnętrzne przyszłej Litwy”.

Jakikolwiek związek owej „przyszłej Litwy” z Polską kontr-memoriał stanowczo odrzucał, twierdząc, że w przeszłości związanie „z anarchią polską zburzyło organizację państwową Litwinów”. Twierdził natomiast, że „nauka i technika skierują Litwinów w stronę Zachodu (Niemiec), nie zaś na Wschód (Rosja) lub Południe (Polska)” oraz zapowiadał, że „brak tymczasowy sił inteligentnych usunie Litwa przez zaangażowanie sił tego państwa, z którym utrzymywać będzie bliższe stosunki pod względem gospodarczym, politycznym i kulturalnym¹⁷”.

Wieczorem 23 września 1917, podczas inauguracji w gmachu kasyna oficerskiego w Wilnie Rady Krajowej (*Landestag, Taryba*), złożonej z 20 Litwinów (z których jeden tylko, Stanisław Narutowicz, przyrodni brat Gabriela, był „mówiącym po polsku”). Szef Zarządu Wojskowego Litwy, książę Isenburg-Birnstein, zapowiedział poszerzenie jej składu przez powołanie dalszych członków, „wśród których będą również Polacy, Niemcy, Białorusini

16. *Ibid.*, str. 57.

17. *Ibid.*, str. 106-115.

i Żydzi¹⁸. Ze swej strony Litwini zamierzali dopuścić do poszerzonej Taryby „5 lub 6” przedstawicieli wszystkich mniejszości narodowych, zachowując dla siebie około 80 % miejsc. Stosunek taki uważali za niesłuszny nie tylko Polacy, lecz również Białorusini i Żydzi i w konsekwencji wszyscy odmówili wysunięcia swoich ewentualnych kandydatów.

Wbrew nadziejom Litwinów, powołanie Taryby nie wpłynęło na poprawę stosunków w administracji *Ober Ost*u czy w ogóle stosunków niemiecko-litewskich. Ludendorff uważał, że Taryba była zbyt opozycyjna i zamierzał szukać na to środków zaradczych na już wyznaczonej konferencji z Michaelisem. Jednocześnie w *Ober Ost*cie zaczęto wywierać nacisk na Polaków by „zajęli przeznaczone dla nich miejsca w Radzie Krajowej”, spodziewając się widocznie, że zmiękczy to Litwinów. Nie jest wykluczone, że w związku z tymi rozmowami, pod pretekstem konieczności odbycia konsultacji politycznych, Polakom wileńskim udało się uzyskać, trudno na ogół udzielaną, przepustkę do Warszawy: Niemcy mieli podstawy do przypuszczania, że Polacy warszawscy wypowiedzą się za nieuchylaniem się od udziału w Radzie Krajowej.

Z ramienia Komitetu Polskiego w Wilnie pojechał do Warszawy jego wiceprezes Władysław Marian Zawadzki. Urodzony w 1885 w znanej rodzinie księgarzy wileńskich; po ukończeniu wydziału przyrodniczego na uniwersytecie w Moskwie, studiował w Szkole Nauk Politycznych w Paryżu oraz w Lipsku, Zurychu i Londynie. Od 1905 brał udział w pracach PPS i w latach 1916-1917 był przewodniczącym tajnego Związku Niepodległościowego w Wilnie; w lutym 1917 ożenił się z siostrą Mieczysława Niedziałkowskiego, Haliną. Jego poglądy polityczno-społeczne ulegały jednak zmianie i w okresie niepodległości, jako profesor USB w Wilnie oraz Głównej Szkoły Handlowej w Warszawie, a później (1932-35) Minister Skarbu, był bliższy konserwatyzmu niż socjalizmu. Zmarł w 1939.

Do Warszawy Zawadzki przyjechał w początkach listopada 1917 i po złożeniu „miarodajnym czynnikiem” swego memoriału pozostał tam przez szereg tygodni, jako polityczny przedstawiciel Polaków z Litwy. Po utworzeniu 7 grudnia rządu przez Kucharskiego, został przezeń zabrany 22 grudnia do Berlina, dokąd polski premier jechał na rozmowy z Kanclerzem i innymi niemieckimi politykami¹⁹. Rozmowy te nie dały żadnych pozytywnych wyników, w szczególności w sprawie Wilna.

Podczas pobytu w Berlinie Zawadzki załatwił sprawę druku opracowanych w Wilnie materiałów o roli i znaczeniu elementu

18. *Ibid.*, str. 16.

19. *Polnische Blätter* (Berlin), Nr 82 z 5. 1. 1918, str. 8. W Warszawie postulaty memoriału Zawadzkiego zostały poparte przez publiczne „oświadczenie”, podpisane 31 grudnia 1917 przez 86 osób z Alfonsem Parczewskim na czele, *L.A.*, str. 91-2.

polskiego na ziemiach W. X. Litewskiego, zarówno w przeszłości, jak i w ówczesnej teraźniejszości. Wydane w języku niemieckim, materiały te miały przekonać Niemców, że Wilno i Wileńszczyzna, są polskie i powinny być przyłączone do państwa polskiego. 91-stronicowa książka pod tytułem *Pro Lithuania, Litauen in historischer ethnographischer und wirtschaftlicher Beziehung, herausgegeben von einem Redaktionskomitee in Wilno*, ukazała się w 1918 jako „komisowe” wydawnictwo księgarni C. A. Schwe-tsche i Syn, lecz większego znaczenia i wpływu na losy Wilna nie miała.

W Warszawie, jeden z odpisów złożonego „miarodajnym czynnikiem” memoriału Zawadzkiego trafił do znajdującego się tam Biura Prasowego krakowskiego N.K.N., na czele którego stał Włodzimierz Wiskowski. Po wojnie, o biurze tym zapomniano i w 1927 Wiskowski sprzedał znajdujące się tam materiały dyrektorowi Hoover Library, Dr. H. H. Fischerowi. Amerykanin nie bardzo wiedział co i od kogo kupuje i obecnie zbiory Biura Prasowego N.K.N. w Warszawie figurują w Hoover Institution w Stanfordzie w Kalifornii. jako „Wisłowski Collection” i są otwarte dla badań naukowych²⁰. Memoriał Zawadzkiego znajduje się tam jako pozycja 66 w teczce D 1, w pudle III. Drukujemy go bez zmian w całości, uwspółcześniając jedynie pisownię i zaopatrując w wyjaśniające komentarze w odsyłaczach.

Wiktor SUKIENNICKI

MEMORIAŁ W SPRAWIE LITEWSKIEJ złożony przez prof. W. Zawadzkiego 7. 11. 1917

Wobec szerzących się pogłosek o mającym nastąpić, na skutek porozumienia Rządu Niemieckiego z miarodajnymi czynnikami Królestwa Polskiego, ustaleniu wschodnich granic Polski, która po tym ustaleniu miałaby obejmować część dzisiaj okupowanej Litwy z wykluczeniem Wilna i okolic, Komitet Polski w Wilnie pozwala sobie przesłać następujące uwagi:

Od chwili kiedy okupacja Litwy przez wojska niemieckie wysunęła na porządek dzienny kwestię przyszłości politycznej

20. *Zeszyty Historyczne*, nr 17 (1970), str. 56.

kraju, społeczeństwo polskie stoi na tym stanowisku, że jedynym odpowiadającym jego dążeniom i potrzebom rozwiązaniem tej kwestii jest połączenie kraju w tej lub innej formie z Królestwem.

Zachodzące pomiędzy nami różnice dotyczyły tylko formy przyszłej łączności, nigdy zaś samej jej istoty, do której wszyscy jednakowo dążą. Dążenie to znalazło swój wyraz w szeregu znanych Warszawie enuncjacji, wychodzących czy to od istniejących organizacji, czy też od poszczególnych grup i osób, ostatnio zaś w deklaracji z dn. 24 maja rb. podpisanej przez przedstawicieli wszystkich kierunków polskiej myśli politycznej na Litwie, a uchwalonej po długiej i wyczerpującej dyskusji. W tej deklaracji stronnictwa, abstrahując mniej lub więcej od niektórych konkretnych punktów swych programów, zgodziły się na 3 zasadnicze postulaty, a mianowicie:

- 1) Łączność Litwy z Polską,
- 2) Niepodzielność okupowanej Litwy,
- 3) Stosunek do Polski, oparty na samodzielności części składowych.

Te postulaty i obecnie określają kierunek naszej polityki, gdyż, naszym zdaniem, odpowiadają najlepiej zarówno interesom Państwa Polskiego jak i naszego kraju, z drugiej zaś strony nie wydają się nam one niemożliwymi do urzeczywistnienia jeżeli nie w chwili obecnej, to w każdym razie w niezbyt dalekiej przyszłości. Na tę możliwość kładziemy właśnie nacisk, gdyż rzeczą pierwszorzędnego znaczenia jest, aby czynniki miarodajne Królestwa miały ją na uwadze, pewne stanowisko ich w tej sprawie mogłoby bowiem tę możliwość całkowicie wykluczyć. W niniejszym piśmie chcielibyśmy raz jeszcze wyjaśnić znaczenie sprawy i nasuwające się ewentualności tak jak się one na zasadzie posiadanych przez nas wiadomości przedstawiają.

Dążnościom społeczeństwa polskiego przeciwstawiają się w pierwszym rzędzie aneksyjne zamiary władz niemieckich, które starają się wygrywać przeciw nam aspiracje innych narodowości kraju. Tych ostatnich jest, wobec prawie całkowitej emigracji elementu wielkoruskiego, trzy: Żydzi, Białorusini i Litwini czy Lietuwy.

Pierwsi dla zrozumiałych powodów za oparcie w tym planie służyć nie mogli: sympatie ich od początku okupacji wahały się w rozmaite strony i obecnie skierowały się ku Rosji, nie ulega jednak wątpliwości, że Żydzi jako ważny czynnik przy kształtowaniu się stosunków prawnopaństwowych w grę wejść nie mogą

i ostatecznie zgodzą się na wszelkie rozwiązanie; specjalnie łączność z Polską nie wywołałaby wśród nich zbyt silnej opozycji.

Były próby wyzyskania przeciw nam elementu białoruskiego, te jednak nie mogły również dać żadnego rezultatu. Właściwi Białorusini są w okupowanej części Litwy nieliczni (w południowej części przeważnie Małorusini, w środkowej Polacy, czyli spolonizowani całkowicie Litwini, w północnej właściwi Litwini czyli Lietuwy) absolutnie narodowo nieuświadomieni i nie posiadają wcale inteligencji. Próby te ograniczały się na wydawaniu w Wilnie pod kierunkiem paru znających język niemieckich żołnierzy pisma „Homan”¹, którego nikt nie czytał, do założenia kilku szkół, dla których trudno było zwabić nauczycieli.

Poważniejszą podstawę dla akcji niemieckiej przedstawiał ruch narodowo-litewski czyli lituwski (zwany również litwomańskim). Tutaj możemy dodać parę słów wyjaśnienia wobec istniejących jeszcze zawsze pewnych niejasności, wynikających z podwójnego znaczeni słowa *lietuvius*.

Ruch litewski czyli lituwski nie ma nic wspólnego z „Litwinami” w tym znaczeniu, w którym to słowo było do ostatnich czasów powszechnie używane, tj. mieszkańcami Litwy historycznej, mówiącymi najczęściej po polsku. Nie wynika on bynajmniej z tradycji państwowych dawnego W. Księstwa chociażby już dlatego, że te tradycje obejmowały całość ziem tegoż, przeciwnie, o ile w ogóle można jeszcze mówić o tych tradycjach są one przedstawione raczej przez pewne odłamy polskiej myśli politycznej u nas². Rzeczy te są wprawdzie znane, musimy je jednak powtarzać, gdyż zakorzeniałe nieporozumienie językowe i dziś jeszcze prowadzi do błędnych rozumowań, tak np. kiedy właśnie Lietuwi domagają się Wilna, jako stolicy Litwy, wielu polityków nawet w Królestwie Polskim uważa to żądanie za zupełnie zrozumiałe, zapominając o tym, że Wilno było stolicą Litwy historycznej, z którą właśnie Lietuwi zrywają.

Ruch litewski powstał i rozwija się wyłącznie na podstawie etnograficzno-językowej: obejmuje on wyłącznie ludność mówiącą językiem litewskim i jej tylko przedstawia interesy, na drugi plan usuwając potrzeby kraju, a już zupełnie ignorując inne narodowości. Opierając się na jednej tylko warstwie włościańskiej, stawiając sobie za główne zadanie obronę praw języka litewskiego, zwraca się on ze szczególną siłą przeciwko polskiemu oby-

1. Sformułowanie raczej bałamutne. Pod nadzorem i cenzurą wojskową niemiecką *Homan* był redagowany przez Białorusinów, W. Łastowskiego i A. Łuckiewicza.

2. Chodzi o tzw. „Krajowców” wileńskich.

watelstwu i polskiej inteligencji kraju, od których — zdaniem Lietuów — grozi językowi i kulturze litewskiej największe niebezpieczeństwo. Przynależność do ruchu litewskiego kilku jednostek, które pod powyższe określenie nie podpadają, nie może oczywiście zmienić jego zasadniczego charakteru, a charakter ten musi sobie uprzytamniać każdy polityk zajmujący się kwestią litewską.

Stosunek władz niemieckich do Lietuów ulegał przez czas trwania okupacji pewnym wahaniom, które przypisać należy naszym zdaniem tej okoliczności, że władze nie od razu ustaliły sobie metody, za pomocą których najłatwiej skłonią Lietuów do służenia celom polityki niemieckiej, tj. aneksji pewnej części okupowanej Litwy. Stałym był tylko jeden pierwiastek tej polityki, a mianowicie podkreślanie litewskiego charakteru kraju i przeciwstawianie Litwinów-Lietuów Polakom. Wytyczne obecnej prowadzonej polityki zostały zdaje się ustalone w końcu zimy rb., napotykały one widocznie jednak na przeszkody, dla których wprowadzenie ich w życie zostało odłożone aż do ostatnich miesięcy.

Wydaje nam się, że opinia polityczna Królestwa myli się bardzo przy ocenie wypadków tych właśnie ostatnich czasów (zjazd litewski z 18-22 września rb. i Rada Krajowa Litwy), przypuszczając, że tworzy się tutaj jakieś samodzielne państwo litewskie, mające być tylko luźnie z Niemcami związane. Wychoząc z tego założenia przypuszcza się, że Polacy powinni starać się z tym państwem pogodzić i potem dążyć do tego, aby zerwawszy związek z Niemcami zawarto takież z Polską. Otóż całe to rozumowanie jest błędne. Niemcy nie mają zamiaru zapewnić Litwie jakiegobądź samodzielności a systematycznie zdążają do jej zagarnięcia.

Już w rozmowie, którą miał w marcu (1917) z przedstawicielami Lietuów ówczesny sekretarz stanu Zimmermann, mówił tylko o autonomii Litwy³; postępowanie władz dawało nam dowody, że nawet ta autonomia jest rozumiana w sposób dosyć ciemny: dzisiaj mamy *quasi* pewność, że tak jest, dzięki rozmo-

3. 15 marca 1917 dekretem Ober Ost utworzono tzw. „Wielką Litwę”, łącząc w *Militärverwaltung Litauen* dotychczasowe okręgi Kowno i Wilno-Suwałki, po czym z inicjatywy Ludendorffa ówczesny Minister Spraw Zagranicznych przyjął Smetonę, Saulysa, Kairysa i A. Łuckiewicza 26 marca w Berlinie. Gdy podana przez agencję Wolffa (L. A. *Litwa podczas wojny*, str. 13) wiadomość o tym wywołała pewną sensację, oficjalnie wyjaśniono, że nie było to przyjęcie delegacji, lecz prywatna rozmowa z osobami, które przypadkowo znalazły się w Berlinie. Ob. G. Linde, *Die deutsche Politik in Litauen im ersten Weltkrieg*, 1965, str. 81-82.

wie, którą miał 4-go bm.⁴ jeden z wybitniejszych naszych przedstawicieli p. K. z kierownikiem wydziału politycznego przy zarządzie ks. Isenburga, nadporucznikiem Küglerem.

Rozmowa miała charakter urzędowy: celem jej było skłonić p. K. do wstąpienia do Rady Litewskiej. Z enuncjacji nadpor. Küglera należy podkreślić momenty:

a) Niemcy muszą zatrzymać sobie Litwę i to dla 3-ch względów: 1) jako podstawę strategicznych operacji, 2) jako kraj rolniczy, potrzebny aby zapewnić cesarstwu możliwość przeżywania bez obcej pomocy, 3) *jako przeciwwagę dla tworzącego się państwa polskiego (eine Flankenstellung gegen Polen), pozwalającą zaszachować je gdyby chciało uniezależnić się w swej polityce od niemieckiego sojuszu. Do unii Litwy z Polską nigdy nie dopuszczają.*

b) Niemcy nie mają żadnego zamiaru przekazać władzy Radzie Krajowej. Ta ostatnia jest im potrzebna jedynie dla zmniejszenia tarć w stosunkach z miejscową ludnością. Właściwy zarząd pozostanie w dalszym ciągu całkowicie w ręku urzędników niemieckich przy bardzo tylko ograniczonym samorządzie lokalnym.

c) Władze są poinformowane, że społeczeństwo polskie przeciwdziała ich planom i stara się podnieść kwestię Litwy w Warszawie, Krakowie, Wiedniu i Poznaniu, przedstawiając w najgorszym świetle rządy niemieckie⁵. Władze żądają, aby Polacy zaniechali tej taktyki, pogodzili się z istniejącym stanem rzeczy, na razie zaś, aby zajęli przeznaczone dla nich miejsca w Radzie

4. Złożony w listopadzie w Warszawie memoriał pisany był w październiku i „bm.” w tym wypadku oznacza październik. Treść wynurzeń Küglera, bez wymieniania nazwisk rozmówców, została wydrukowana w podziemnym wydawnictwie *Biuletyn Wileński*, Nr 13 z 18. X. 1917, str. 4 „Plany niemieckie co do Litwy”. Rozmówcą Küglera był Stanisław Kognowicki, ziemianin spod Kiejdan, dyrektor Wileńskiego Banku Handlowego, inicjator Komitetu Obywatelskiego we wrześniu 1915 i niewątpliwy leader polskiej akcji politycznej w Ober Ost. — Z. Jundziłł, *Niepodległość*, Londyn 1958, t. VI, str. 72. W styczniu 1918 Kügler został mianowany zastępcą niemieckiego komisarza przy Tarybie — ob. A. Merkelis, *Antanas Smetona*, Nowy Jork, 1964, str. 183, który go mylnie nazywa „Krüglerner”.

5. „Korzystając z okazji”, w maju 1917 Komitet Polski w Wilnie przesłał Prezydium Koła Polskiego w Wiedniu szereg materiałów o ekonomicznych i politycznych stosunkach w Ober Ost (w 1919 zostały one wydane w Krakowie pt. *Litwa za rządów Ks. Isenburga*). Na podstawie tych materiałów ks. Andrzej Lubomirski 6 lipca wygłosił w wiedeńskiej Radzie Państwa przemówienie, szeroko omawiane w prasie i m.in. wydrukowane w *Biuletynie Wileńskim*, nr 14 z 2. XI. 1917.

Krajowej, w przeciwnym razie władze zastosują represje (głównie przeciw wyższemu duchowieństwu i obywatelom ziemskim).

Reasumując te enuncjacje i dopełniając je znanymi nam skądinąd faktami można skonstruować sobie następujący obraz polityki niemieckiej. Tworzy się Radę Krajową Litwy, aby wywołać wrażenie, że ludność jest z rządów niemieckich zadowolona i chętnie z władzami współpracuje, może zresztą uda się doprowadzić Radę do bardziej konkretnej enuncjacji na rzecz Niemiec. Stanowisko Rady może mieć wartość tylko pod warunkiem żeby w niej zasiadali przedstawiciele wszystkich narodowości. W przeciwnym razie będzie się mogło wydawać, że w porozumieniu z władzami jest tylko jedna część ludności; z tego punktu widzenia szczególnie ważne jest mieć w Radzie przedstawicieli Polaków, co by sparaliżowało naszą taktykę podejmowania sprawy Litwy na arenie międzynarodowej w niewygodny dla Niemiec sposób.

Dalej, z dwóch narodowości, które mogą pretendować do hegemonii w kraju, Polaków i Litwinów-Lietuwów, oddaje się pierwszeństwo rzeczywiście tym ostatnim, z nich zaś uprzywilejowuje się najbardziej szowinistyczną i antypolską grupę. Terytorium, na które ma się rozciągnąć działalność Rady, a więc terytorium przyszłej Litwy, wykraja się bez żadnego względu na gospodarcze lub narodowe właściwości przyszłej jednostki, ale w ten sposób, aby Lituwini stanowili w niej nieco więcej niż połowę mieszkańców i aby w drugiej strony wchodziły doń te okręgi zamieszkałe w większości przez Polaków, na które Lituwini mają zakusy, a więc w pierwszym rzędzie Wilno i okręg wileński; granice tego ostatniego są dosyć trudne do przeprowadzenia. W promieniu 35-40 wiorst od Wilna w kierunku zachodnim i północnym ludność jest czysto polska; dalej na północ i północno-zachód leży pas mieszany, sięgający aż poza dopływ Niemna Niewiażę, przy czym na południowy wschód od Niewiaży (wschodnie części dawniejszego powiatu kowieńskiego i południowa wilkomirskiego, północna część wileńskiego i trockiego) przeważa ludność polska, na północ zaś i zachód Lituwini, jeżeli opierać się na zasadzie etnograficznej i woli większości ludności, cały ten kraj aż po Niewiażę powinien należeć do Polski.

Licząc na specjalny, powyżej wyjaśniony charakter szowinizmu litewskiego, na niski stopień kultury i niewyrobinienie polityczne działaczy, władze niemieckie przypuszczają z wielkim prawdopodobieństwem, że energia polityczna zostanie wyczerpana w wysiłkach litwinizacyjnych, że w walkach narodowościowych, które stąd wynikną, one same występować stale będą

w roli arbitra, uzasadniając w ten sposób siłą faktów swą niezbędną, że wreszcie, w zamian za stałe popieranie aspiracji szowinistycznych Lituwów, uzyskają ustępstwa na punktach zasadniczych.

Dzisiaj już pewna ilość działaczy litewskich wydaje się zupełnie pozyskana dla planów niemieckich, inni szczerze pragną Litwy niezależnej i o ile można sądzić, starają się prowadzić z Niemcami grę dyplomatyczną, spodziewając się wysunięcia w ten sposób sprawy Litwy jako międzynarodowej, i oni jednak zmuszeni logiką rzeczy do coraz to nowych ustępstw, coraz bardziej ulegają niemieckim wpływom.

Gdyby się więc miała utrwalić Litewska Rada Krajowa, a w następstwie i projektowana podległa Niemcom litewska jednostka państwowa w granicach zbliżonych do obecnego Zarządu Wojskowego Litwy (*Militär-Verwaltung-Litauen*) należałoby się spodziewać takich mniej więcej następstw: Wilno z jednej strony stolica Litwy, z drugiej zaś licząca Lituwów najwyżej 1,5 % do 2 % ludności, stałoby się ośrodkiem zaciętych walk narodowościowych. Należy zaznaczyć, że walk tych nie dałoby się uniknąć nawet gdyby politycy polscy na Litwie starali się osiągnąć ugodę z Litwinami, stanie jej zawsze na przeszkodzie bardzo pod tym względem określone stanowisko ludności polskiej Wilna i okolic, i to nie tylko warstw rzemieślniczych, drobnomieszczańskich i części inteligencji, ale też w znacznej mierze i ludu wiejskiego, który na wszelkie próby narzucenia mu niezrozumiałego mu zupełnie litewskiego języka okazuje się niezmiernie czuły, jak tego dowiodły już niejednokrotnie żywiołowe starcia. Ta wyraźnie antylitewska orientacja ludności polskiej nie dałaby się zmienić za pośrednictwem propagandy politycznie uświadomionej części. Te powstające w okręgu wileńskim walki narodowościowe, rozlewając się na kraj cały, rozwinęłyby się między innymi prawdopodobnie także w zarysowującej się już dzisiaj kampanii litewskiej za wywłaszczeniem majątków polskich. W takich warunkach władze niemieckie, już ze względu na konieczność zapewnienia formalnego porządku i bezpieczeństwa, ukazywałyby się jako opatrnościowy rozjemca. Można pomyśleć, do jak strasznego pogłębienia antagonizmu polsko-litewskiego doprowadziłyby takie stosunki, jakby z drugiej strony wzmościły stanowisko Niemców w naszym kraju i łatwo sobie wyobrazić dalej, że potrzebując poparcia Niemców w jakiejś chwili szczególnego roznamiętnienia walki polsko-litewskiej szowinistyczna większość Rady Krajowej dałaby się w zamian za to poparcie skłonić do wyraźnie filogermańskiej deklaracji.

Z powyższego wynika, że zupełnie wykluczona jest możliwość, aby tworzona obecnie Litwa mogła pod warunkiem okazania jej sympatii przez polityków polskich i pomocy przy jej tworzeniu wejść kiedyś z Polską w ściślejszy związek.

Wszelka pomoc okazana w tym kierunku Lietuom byłaby tylko popieraniem niemieckich planów i pomaganiem do urzeczywistnienia zgubnej dla nas koncepcji niemieckiej Litwy.

Wobec tego jednak, że koncepcja ta nie stała się dotychczas faktem i że napotyka widocznie na poważne przeszkody, wydaje się nam konieczne przeciwdziałać jej i zwalczać wszelkimi siłami. Stanowisko nasze jest o tyle korzystne, że i inne narodowości — Żydzi i Białorusini — dla odmiennych zresztą od naszych powodów, są również wrogo do planów niemieckich usposobione i chociaż akcja ich sama przez się wielkiego znaczenia nie ma, w połączeniu z naszą uniemożliwi Niemcom przedstawienie tych planów za wyraz pragnień miejscowej ludności (załączamy uchwały wieceu białoruskiego i memoriał Żydów do Polaków z *Vorschwitzpartei*⁶). Ważniejszym jest, że i lud lituwski bynajmniej za działaczami nie stoi: nienawidząc Niemców, dla przychylniej zresztą natury gospodarczej i z powodu ucisku wojennego, jest on wrogo usposobiony do politycznego z nimi przymierza.

Te względy, zarówno jak i wyżej przytoczone, określają nasz ujemny stosunek do pierwszego punktu programu niemieckiego, tj. do Litewskiej Rady Krajowej. Już 27 września Zjednoczone Stronnictwa Polskie uchwaliły deklarację, którą załączamy⁷, protestującą przeciw niej. Wynurzenia p. Küglera utwierdziły nas w przekonaniu, że kroczymy po dobrej drodze. Dotychczas wszyscy Polacy, którym proponowano zajęcie miejsca w Radzie, odmawiali; naturalnie nie można ręczyć, czy nie znajdzie się ktoś, kto podobną propozycję przyjmie, w takim wypadku postąpi on jednak wbrew jednogłośnej opinii swego społeczeństwa i narazi się na najdalej idący bojkot ze strony ostatniego. Uważamy za rzecz pierwszorzędną wagi, aby to nasze stanowisko

6. Załączników tych brak i nie wiem o jaką to żydowską partię chodzi.

7. Wydrukowana w numerze 13 *Biuletynu Wileńskiego* z 18. X. 1917 deklaracja, stwierdzała, że „społeczeństwo polskie uznaje za niemożliwe wzięcie jakiegokolwiek udziału w pracach obecnej Rady Krajowej Litwy i zakłada przeciwko uważaniu jej za reprezentację kraju kategoryczny protest”. W tym samym numerze pt. „Bojkot szkodników sprawy narodowej” *Biuletyn* drukował uchwałę Zjednoczonych Stronnictw Polskich o stosowaniu bojkotu towarzyskiego względem Polaków, którzy by wstąpili do Rady Krajowej Litewskiej, i nawet zapowiadał dalej idące „środki represyjne”. Dotyczyło to jednak tylko Polaków wileńskich, gdyż wobec Stanisława Narutowicza bojkot stosowany nie był.

było znane i zrozumiane w Królestwie i aby opinia polityczna nie dała zmylić się nawet przez wstąpienie do Rady Krajowej jednego lub paru rzekomych Polaków.

Dalszym i o wiele ważniejszym krokiem byłoby zwalczanie projektu tworzenia Litwy na takim właśnie terytorium, jak to jest projektowane. Jak staraliśmy się powyżej wyjaśnić, ta kombinacja terytorialna jest jednym z zasadniczych punktów koncepcji. Z drugiej strony opiera się ona na bardzo kruchych podstawach. Włączenie do Litwy całego okręgu wileńskiego, w którym ludność polska stanowi bezwzględną większość, nie ma innej racji, jak tylko chęć Lituwów, a jedyny argument, którzy na korzyść tego przytaczają, argument o stolicy Litwy, opiera się na pomieszaniu Litwy historycznej z etnograficzną i jest łatwy do obalenia.

Zdaje się, że w poruszanej tutaj sprawie stanowisko czynników miarodajnych Królestwa przy pertraktacjach o wschodnie granice państwa polskiego może mieć ogromnie ważne znaczenie. Naszym zdaniem z punktu widzenia Państwa Polskiego są możliwe dwie kombinacje. Pierwsza — domagać się utworzenia niepodległej Litwy ze wszystkich ziem znajdujących się w okupacji niemieckiej z zapewnieniem przyszłemu państwu litewskiemu zupełnej swobody przyszłych sojuszków, a więc i unii z Polską, i zapewnieniem udziału w rządach całej ludności, a nie uprzywilejowanej narodowości litewskiej. W takim razie ważne by było, aby do tego państwa weszły wszystkie obszary zależące obecnie od władzy Ober Ost, nie wyłączając i etnograficznie polskich. W tak skonstruowanym państwie litewskim Polacy mogliby zdobyć dominujące stanowisko i jest niezmiernie prawdopodobne, że łatwo by było doprowadzić to państwo jako takie do unii z Polską. Niewątpliwie jednak kombinacja ta zawiera pewne ryzyko. Pomyślny rezultat dać może przy ścisłym wypełnieniu powyższych warunków, a także przy zupełnej dobrej woli władz, które będą współdziałały przy organizacji nowego państwa, na co w razie władz niemieckich trudno liczyć.

Pomimo to, o ile tylko byłaby możliwa przy zachowaniu wymienionych warunków uważamy, słusznie czy niesłusznie, za najkorzystniejszą.

Druga możliwość polega na zgodzeniu się na wydzielenie pewnej części Litwy w osobną jednostkę, chociażby nawet ściślej złączoną z Niemcami przy przyłączeniu reszty do Państwa Polskiego. W takim razie jednak państwo polskie musi domagać się kategorycznie, żeby tworzona Litwa została ograniczona do ziem zamieszkałych w większości przez Litwinów, żeby zaś obszary o większości polskiej, a więc poza południową Suwalszczyzną,

Wilno i okręg wileński — do których Polska ma bezwzględne prawo ze względu zarówno na skład jak i na pragnienia ludności — były przyłączone do Polski. O ile by się to dało osiągnąć, upada kardynalny punkt przymierza litewsko-niemieckiego: ograniczeni do etnograficznej Litwy, a więc nie mający kogo litwinizować, Lituwini nie będą szukali oparcia u Niemców i sami będą się starali uzależnienie od Niemiec zwalczać, z drugiej strony odpadnie główny przedmiot wewnętrznych nieporozumień polsko-litewskich, gdyż mniejszość polska na obszarach etnograficznie litewskich jest o wiele skłonniejsza do zgody z Litwinami niż zwarta ludność polska okręgu wileńskiego. Skonsolidowana w ten sposób ludność Litwy etnograficznej będzie stawiała opór planom niemieckim, z drugiej zaś strony prawdopodobne jest, że wobec silnego ciążenia Lituwów ku Wilnu, które by w tej hipotezie już należało do Polski, zgodziliby się oni na jakieś federacyjne połączenie z Polską całego swego kraju z tym, że połączą się w nim znowu rozdzielone uprzednio połowy. W ten sposób zdaje się najłatwiej moglibyśmy skłonić Litwinów do popierania, a nawet do podjęcia przez nich samych, naszej koncepcji politycznej. Oczywiście naiwnym byłoby twierdzić, że tą drogą z pewnością da się osiągnąć połączenie niepodległej Litwy z Polską. Uważamy jednak, że gdyby to cośmy nazwali ewentualnością pierwszą okazało się niemożliwe, droga ta (ewentualność druga) niezależnie już od natychmiastowych korzyści praktycznych, które przedstawia, ma więcej szans niż jaka bądź inna dojścia do powyższego rezultatu, który zawsze pozostanie naszym ideałem. Streszczając się powiemy: zwalczając sami niemiecką koncepcję całej Litwy i mającą jej służyć Radę Krajową Litwy, pragniemy najgoręcej, aby nasze stanowisko zostało uznane i podzielone przez decydujące czynniki państwa polskiego; aby szczególnie przy petraktacjach dotyczących ustalenia północno-wschodniej granicy okazały się one nieprzejednane na punkcie przyłączenia Wilna.

Rozumiemy naturalnie, że przy decydowaniu tych spraw władze państwa polskiego muszą się powodować wyłącznie interesami tego państwa i działać w granicach uznanych przez siebie możliwości. Mamy jednak głębokie przeświadczenie, że broniąc w pierwszym rzędzie siebie, tj. broniąc polskości tego rozległego kraju, który nazwaliśmy okręgiem wileńskim, służymy całkowicie interesom państwa polskiego i to nie tylko przez to, że staramy mu się zachować połąć kraju i jej kilkaset tysięcy obywateli, ale też i przez to, że walczymy przeciw planom, które są otwarcie skierowane przeciw Polsce i których urzeczywistnienie utrudniłoby w bardzo znaczny sposób zarówno rozwój wewnętrz-

ny jak i położenie międzynarodowe naszej ojczyzny. Te względy skłoniły nas do skreślenia powyższych uwag i ośmielają prosić aby zostały starannie rozważone i uwzględnione.

Łukasz HIRSZOWICZ

MEMORANDUM GEN. WŁ. SIKORSKIEGO

(WSTĘP)

Sprawy, do których odnoszą się drukowane niżej dokumenty z niedawno udostępnionych akt brytyjskiego Foreign Office mają swoje źródło w wydarzeniach przedednia i początku II-ej wojny światowej.

Jak powszechnie wiadomo, 23 sierpnia 1939 roku Niemcy hitlerowskie i Związek Sowiecki zawarły pakt o nieagresji, którego tajny protokół przewidywał podział terytorium Rzeczypospolitej Polskiej między sygnatariuszy. 17 września, u schyłku wrześniowej kampanii polsko-niemieckiej, rząd ZSSR ogłosił państwo polskie i rząd polski za niestniejące, a Armia Czerwona przekroczyła granicę polsko-sowiecką ustaloną w traktacie ryskim 1921 roku i zajęła wschodnią część Polski. Tereny te włączone zostały do ZSSR, z wyjątkiem Wileńszczyzny oddanej, mocą traktatu litewsko-sowieckiego z 10 października 1939 roku, Litwie, która w czerwcu 1940 roku wcielona została do ZSSR, podobnie jak Łotwa i Estonia, oraz w lipcu 1940 roku Besarabia i płn. Bukowina.

Przy wcieleniu Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do ZSSR zastosowane pewne fikcje prawno-polityczne, na które później rząd sowiecki stale się powoływał. Dnia 22 października 1939 roku zorganizowane zostały tam wybory na modłę sowiecką, które wyłoniły dwa zgromadzenia narodowe, białoruskie w Białymstoku i ukraińskie we Lwowie. Te z kolei 27 i 29 października zwróciły się z petycją o włączenie ziem polskich zajętych przez wojska sowieckie do Białoruskiej i Ukraińskiej Socjalistycznych Sowieckich Republik. Dnia 1 i 2 listopada Rada Najwyższa Związku Sowieckiego uchwaliła odpowiednie akty prawne w sprawie wcielenia. Dnia 29 listopada 1939 roku wydany został dekret Rady Najwyższej — w oparciu o dekret z 19 sierpnia 1938 roku o sowieckim obywatelstwie — uznający mieszkańców wcielonych terytoriów, bez różnicy narodowości, za obywateli so-

wieckich. Setki tysięcy ludzi stale tam zamieszkałych lub uchodźców z terenów zajętych przez Niemców władze sowieckie wywiozły do obozów pracy przymusowej lub deportowały w głąb ZSSR. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej 22 czerwca 1941 roku w głąb ZSSR napłynęły dalsze rzesze ludzi — obywatele Drugiej Rzeczypospolitej uznanych za obywateli sowieckich, którzy uchodzili na wschód przed posuwającymi się naprzód wojskami hitlerowskimi.

Po napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Sowiecki gen. Sikorski i ambasador sowiecki w Londynie, I. M. Majski podpisali 30 lipca 1941 roku porozumienie, które anulowało traktaty dotyczące Polski zawarte przez Niemcy i ZSSR, przewidywało wznowienie stosunków dyplomatycznych i zwolnienie aresztowanych obywateli polskich oraz utworzenie armii polskiej w ZSSR, której dowódca, uzgodniony przez rząd polski na uchodźstwie z rządem sowieckim, podlegać miał sowieckiemu naczelnemu dowództwu. Rząd ZSSR nie ukrywał jednak że granica polsko-sowiecka winna pokrywać się z grubsza z granicą etnograficzną, czyli że obszary anektowane w roku 1939 winny pozostać przy Sowietach. W sprawie zaciągu do polskich sił zbrojnych w ZSSR rząd sowiecki stosował zasadę niestawiania przeszkód w wypadku Polaków, włączając Polaków pochodzących z Kresów Wschodnich, natomiast przeciwstawiał się wcieleniu do polskich szeregów tamtejszych Białorusinów i Ukraińców oraz tych Żydów, których nadal uznawał za obywateli ZSSR. Jeśli idzie o tych ostatnich, ich trudności w dostaniu się do polskich sił zbrojnych wynikały często również z niechętniej postawy wobec nich w pewnych ogniwach władz polskich w ZSSR.

Opór rządu brytyjskiego wobec roszczeń sowieckich w sprawie granic Polski nosił raczej charakter zdawkowy. Interesujące jest jednakowoż, że sprawa Żydów zajmuje poważne miejsce w niżej publikowanych notatkach urzędników Foreign Office. Pozostawało to w ścisłym związku z palestyńską polityką rządu Jego Królewskiej Mości. Została ona sformułowana w „Białej Księdze” z dnia 17 maja 1939 roku, która przewidywała wstrzymanie imigracji żydowskiej do Palestyny, po wykorzystaniu w ciągu lat pięciu 75.000 zezwoleń imigracyjnych, ograniczenie prawa zakupu ziemi przez Żydów oraz utworzenie po 10 latach rządu palestyńskiego. „Biała Księga” i zawarte w niej poważne ustępstwa na rzecz czynnika arabskiego uważana była przez wielu brytyjskich polityków i urzędników za jeden z ważniejszych elementów polityki brytyjskiej na Środkowym Wschodzie. Wskutek tego zaciąg Żydów do armii generała Andersa, która została ewakuowana z ZSSR na Środkowy Wschód w roku 1942, oraz

restytucja ich polskiej przynależności państwowej wywoływały obawy ze strony brytyjskiego Foreign Office.

Przedstawione tu dokumenty dają wgląd w rozbieżności interesów i poglądów w sprawie udziału osób przynależnych do mniejszości narodowych w polskich siłach zbrojnych w ZSSR.

Drukowane niżej dokumenty zostały po raz pierwszy ogłoszone w czasopiśmie *Soviet Jewish Affairs*, vol. 3, no. 2 (1973) w ramach cyklu dokumentów „The Soviet Union and the Jews during World War II” (Związek Sowiecki i Żydzi podczas II-ej wojny światowej). Zamieszczamy je za uprzejmą zgodą tego pisma.

Łukasz HIRSZOWICZ

Ref. Nr FO371/31079

LIST J. M. MARTIN'A¹ DO O. C. HARVEY'A², ZAŁĄCZAJĄCY
MEMORANDUM GEN. W. E. SIKORSKIEGO

TAJNE.

10, Downing Street,
Whitehall

11 marca 1942.

Drogi Harvey,

Załączam memorandum, złożone premierowi przez gen. Sikorskiego, na temat stanowiska Rządu Sowieckiego w sprawie polskich mniejszości narodowych.

Nie pozostawiłem u siebie kopii tego załącznika, ale nie wątpię, że powiadomi Pan mnie czy są w nim punkty, które by p. Eden chciał przedstawić p. Churchill'owi.

MEMORANDUM GEN. SIKORSKIEGO Z 5. III. 1942

SCISLE TAJNE

*Stanowisko rządu sowieckiego wobec polskich mniejszości
narodowych*

Polityka sowiecka względem polskich mniejszości narodowych jest zupełnie niekonsekwentna.

1. John Miller Martin, ur. 1904, był sekretarzem Komisji Królewskiej dla Palestyny — Lorda Peel'a w roku 1936, a w latach 1940-45 osobistym sekretarzem (od 1941 — głównym osobistym sekretarzem) premiera Winstona Churchill'a.

2. Oliver Charles Harvey, 1893-1968, służył w Foreign Office od roku 1919 do 1954, był głównym sekretarzem osobistym sekretarza stanu spraw zagranicznych Anthony Eden'a od 1941 do 1943.

Na podstawie umowy polsko-sowieckiej z 30 lipca 1941, władze ZSSR przystąpiły do zwalniania wszystkich obywateli polskich, niezależnie od ich narodowości. Wskutek tego, obok Polaków, niemal wszyscy Żydzi, oraz znaczna ilość Ukraińców i wszyscy Białorusini zostali wypuszczeni na wolność.

Wszyscy wybitni politycy, a wśród nich następujący Żydzi: Sommerstein³, Ringl⁴, Lesser⁵, oraz następujący Ukraińcy: Celewicz, Łuckij i Kuzmowycz⁶ zostali zatrzymani w więzieniu lub w obozach koncentracyjnych.

W tym samym czasie nie podnoszono żadnych sprzeciwów w stosunku do obywateli polskich obcego pochodzenia, wstępujących do polskiej armii. Pierwsi zwolnieni Żydzi byli nawet wysyłani wprost do polskich obozów wojskowych. Wskutek niedostatecznej selekcji, znalazła się pomiędzy nimi znaczna ilość osobników niepewnych — przemytników, spekulantów etc.

Sytuacja Żydów w armii polskiej była przedmiotem szczególnego zainteresowania zagranicznych korespondentów-Żydów, oraz poddana bacznej obserwacji organów NKWD⁷. Rozsiewano też pogłoski jakoby „z powodu antysemityzmu Polaków” Żydzi nie mogli znaleźć w szeregach wojska polskiego przychylniej dla siebie atmosfery, i że wskutek tego będą niezdolni do pełnienia swojej służby. Jednocześnie NKWD rozpowszechniało opinie, że Żydzi są najgorszym elementem w armii, że zawsze są niezadowoleni, i dlatego najbardziej pożądane dla Polaków byłoby pozbycie się ich. W tych warunkach starania Nowo-syjonistycznej Organizacji⁸ o sformowanie z Żydów odrębnych jednostek woj-

3. Emil Sommerstein, 1883-1957, działacz syjonistyczny w Galicji i w Polsce; poseł na Sejm Polski (1922-1939, z wyjątkiem 1927-29); brał udział w utworzeniu Światowego Kongresu Żydowskiego; był aresztowany przez Sowiety we Lwowie i zwolniony na początku 1944 dla dokooptowania go do opanowanego przez komunistów Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego; był współzałożycielem i prezesem (1944-46) Centralnego Komitetu Żydów Polskich.

4. Michał Ringl (1880-?), działacz syjonistyczny, adwokat i publicysta w Galicji i w Polsce; deportowany przez Sowiety z Lwowa w głąb ZSSR w 1939 roku; odąd nic o nim nie wiadomo.

5. Dr Max Leser, adwokat, przywódca syjonistyczny, we Lwowie, poseł na Sejm R.P., aresztowany przez NKWD 29. 4. 1940, zmarł w sowieckim więzieniu w roku 1941.

6. Wołodmyr Kuźmowycz, Ostap Łuckij i Wołodmyr Celewycz byli przywódcami UNDO (Ukraińskie Nacjonalno-Demokratyczne Objednannia), najwpływowszej partii ukraińskiej w Polsce.

7. *Narodny Komisariat Wnutriennich Dieł* (Narodowy Komisariat Spraw Wewnętrznych), poprzednik KGB.

8. Nowa Organizacja Syjonistyczna została stworzona przez syjonistów-rewizjonistów po ich secesji (1935) ze Światowej Organizacji Syjonistycznej. Był to ruch maksymalistyczny syjonistów, kierowany przez W. Żabotyńskiego i opozycyjny wobec Weizmanna. Jednym z ważnych założeń programu grupy Żabotyńskiego było tworzenie odrębnych sił zbrojnych żydowskich gdziekolwiek i kiedykolwiek jest to możliwe.

skowych w celu wystania ich w przyszłości do Palestyny, były nie bez znaczenia.

Niemniej jednak warunki Żydów w polskich jednostkach są godne uznania, a ich zachowanie się na ogół lojalne i zdyscyplinowane. Bardzo wysoki początkowo odsetek Żydów w armii polskiej zmniejszył się następnie wskutek zwolnienia pewnej ich ilości z powodu niezdolności fizycznej. Obecnie, ilość Żydów w 5-ej dywizji w Tatiszczewie jest wciąż znaczna i w niektórych jednostkach sięga 30 %. Dowódca 5-ej dywizji, gen. Boruta nie zgłasza przeciwko nim zarzutów. W 6-ej dywizji większość Żydów została odłączona i, zgodnie z prośbą Nowo-syjonistów, sformowana w odrębny batalion. Przeciwnicy Żabotyńskiego protestują teraz przeciwko tej decyzji. Ich protest będzie rozważony w najbliższym czasie. Jest oczywiste, jednakże, że przewidywania Sowietów co do niesnasek wewnętrznych w armii polskiej całkowicie zawiodły. Spekulacje sowieckie na antyżydowskie uczucia wśród Polaków okazały się bezpodstawne.

Ilość Ukraińców w armii polskiej została znacznie zredukowana wskutek rozpowszechniania przez nich propagandy nazistowskiej. Usiłowali oni, jako piąta kolumna, zdemoralizować wojsko przez ciągłe zgłaszanie, w sposób sprzeczny z dyscypliną, skarg na różne braki, które jednak Polacy znosili i nadal znoszą w spokoju ducha.

Z drugiej strony, zachowanie się Białorusinów jest bez zarzutu. Okazują oni przy każdej sposobności swoją lojalność w stosunku do Polski. Według opinii gen. Andersa, wypowiedzianej podczas konferencji gen. Sikorskiego ze Stalinem na Kremlu 4 grudnia, żołnierze Białorusini są całkowicie oddani Państwu Polskiemu.

W ciągu listopada i grudnia 1941 roku, problem narodowościowy wszedł w zupełnie odmienną fazę. Polska Ambasada w nocie z 10 listopada⁹ zaprotestowała przeciwko poborowi do armii sowieckiej w Alma Ata kilku Żydów-obywateli polskich. 1 grudnia Narkomindieł¹⁰ odpowiedział odmownie, oświadczając m.in.¹¹:

„W związku z Ukazem Rady Najwyższej ZSSR z dnia 29. XI. 1939, wszyscy obywatele ukraińskiego i białoruskiego terytorium ZSSR, którzy

9. Nota Ambasady Polskiej w Kujbyszewie do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych w sprawie poboru do Armii Czerwonej obywateli polskich ukraińskiego, białoruskiego i żydowskiego pochodzenia, Kujbyszew, 10. XI. 1941 („Dokuments on Polish-Soviet Relations, 1939-1945”, tom I, 1939-43, Londyn 1961, str. 200-201.

10. *Narodnyj Komisariat Inostrannyh Del* (Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych).

11. Nota Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych w odpowiedzi na notę Ambasady Polskiej z 10. XI. 1941 — w „Documents on Polish-Soviet Relations, 1939-45”, Vol. I, 1939-43, str. 227-228. Tłumaczenie w „Documents...” różni się od tekstu w memorandum gen. Sikorskiego.

1 i 2 listopada znajdowali się na powyższym terytorium, uzyskali, na podstawie dekretu z 19. VIII. 1939¹², dotyczące obywatelstwa Związku Sowieckiego, obywatelstwo ZSSR.

Gotowość rządu sowieckiego uznania za obywateli polskich tych osób polskiej narodowości, które znalazły się na wspomnianym wyżej terytorium 1 i 2 listopada 1939, jest dowodem dobrej woli i pojednawczości ze strony rządu sowieckiego. Nie może to pod żadnym warunkiem tworzyć podstawy dla podobnego uznania za polskich obywateli osób innej narodowości, w szczególności Ukraińców, Białorusinów i Żydów, z powodu tylko tej okoliczności, że kwestia granic pomiędzy ZSSR a Polską nie została rozstrzygnięta i będzie przedmiotem rozważań w przyszłości”.

Ambasador polski na takie postawienie sprawy reagował bardzo stanowczą notą¹³, w której stwierdził, że polskie ustawodawstwo nie rozróżnia obywateli podług ich przynależności narodowej lub rasowej i że kwestia polskiego obywatelstwa może być rozstrzygnięta tylko na podstawie prawa polskiego. Dlatego też dekret, dotyczący obywatelstwa ZSSR, nie może być zastosowany do obywateli polskich. Byłoby to sprzeczne z przepisami IV Haskiej Konwencji z 1907 roku¹⁴.

Stanowisko sowieckie, wyrażone w nocie z 1. XII. 1941, zostało zaznaczone ponownie przy sposobności wydawania paszportów osobom żydowskiego pochodzenia. Znanemu kupcowi papierem, Aleksandrowiczowi i jego rodzinie odmówiono pozwolenia na wyjazd do Palestyny ze względu na ich rzekomo sowieckie obywatelstwo. Nie uznano polskich paszportów literata A. Sterna¹⁵ i jego żony pod pretekstem, że „nabyli oni obywatelstwo sowieckie w związku z dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z dnia 29. XI. 1939 i dlatego, będąc osobami niepolskiej narodowości, zachowali to obywatelstwo...”. Trzeba zaznaczyć, że rodzina Sternów wzięła paszporty sowieckie we Lwowie w ten sam sposób jak wielka część ludności polskiej, która musiała to zrobić dla zachowania prawa pracy. Z drugiej strony, rodzina Aleksandrowiczów nie przyjęła paszportów sowieckich, nie zaprzestała nigdy podkreślać swojej polskiej narodowości i odmówiła rejestracji jej jako Żydów.

Z rozmów z urzędnikami wynika, że obecnie władze sowieckie odmawiają wizy wyjazdowej na polski paszport każdemu Żydowi. W tych warunkach starania ich rodzin o wyjazd do Palestyny lub gdzie indziej będą bezskuteczne.

12. Notatka na marginesie: ? 1938 T12185/12185/378. Data 19. VIII. 1938 jest prawidłowa.

13. Nota Ambasady Polskiej w ZSSR do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych w sprawie obywatelstwa polskiego, Kujbyszew, 9. XII. 1941 — w „Documents...” *op. cit.*, str. 250-57.

14. IV Konwencja Haska (1907) „Laws and Customs of War On Land”, w „British and Foreign State Papers”, tom 100, str. 359.

15. Anatol Stern, ur. 1891, poeta polsko-żydowski.

Władze polskie nie uznają za możliwe wyrażenie w tej kardynalnej sprawie zgody na półśrodki, zwłaszcza jeżeli druga strona uważa ją za precedens dla określenia przyszłych granic Polski. Ambasador rozmawiał w tej sprawie bardzo stanowczo z komisarzem Wyszyńskim¹⁶, który okazywał wielkie zakłopotanie. Przyznawał on w rozmowie, że to wytworzy liczne komplikacje i że plebiscyty sowieckie na polskim terytorium nie mogą dać podstaw do rozwiązania problemu.

Ambasada Brytyjska w Kuibyszewie¹⁷ interpretuje sowiecki punkt widzenia w ten sposób, że Rosja już zdecydowała załatwienie rozstrzygnięcia sprawy granic na swoją korzyść. Ponieważ ustalenie granic polsko-rosyjskich narzuca konieczność porozumienia z rządem polskim, Sowiety pragną do tego czasu traktować okupowane przez nich polskie ziemie wschodnie jako neutralne i zapobiec uznaniu ich za takie, do których Rosja nie może zgłosić pretensji. Sowiety starają się zapewnić „neutralność” tych ziem przez uznanie polskiej ludności za obywateli polskich, a ludność narodowości niepolskiej za obywateli sowieckich.

Stanowisko polskie w tych sprawach jest znane najwyższym władzom sowieckim. Niejednokrotnie, podczas swego pobytu w Rosji, gen. Sikorski podkreślał w obecności Wyszyńskiego i innych przedstawicieli sowieckich, wielką wagę dla Państwa Polskiego ziem wschodnich i ludności tam zamieszkałej. Wbrew kilku próbom ze strony Stalina, gen. Sikorski uchylił się od wszelkiej dyskusji na temat polsko-rosyjskich granic.

Sowiecki punkt widzenia jest widoczny również w instrukcji sztabu sowieckiego dla oficerów łącznikowych przy armii polskiej, dotyczącej rekrutacji do nowych dywizyj. Instrukcja ta została nieoficjalnie zakomunikowana polskiemu Naczelnemu Dowództwu. Między innymi, instrukcja stwierdza, że „zezwała się rekrutować do nowych dywizyj Polaków ze wszystkich obszarów Polski, wraz z zachodnią Ukrainą i zachodnią Białorusią, ale osoby innej narodowości nie mogą być objęte rekrutacją”.

Wiadomość o uznawaniu przez Sowiety wszystkich Żydów, zamieszkałych na terytorium okupowanym przez Rosjan, za obywateli sowieckich, rozpowszechniła się już pomiędzy nimi, wywołując depresję i konsternację. Niewątpliwie, niektórzy z nich zajęli wobec Polaków w czasie okupacji rosyjskiej wrogą postawę i manifestowali swoją współpracę z władzami sowieckimi kiedy armia czerwona weszła na polskie terytorium. Ale uczucie

16. Andriej Januarewicz Wyszyński, 1883-1954; był zastępcą Komisarza, a następnie zastępcą ministra spraw zagranicznych ZSSR, 1940-1949.

17. „The British Embassy in Kuibyshev” jest prawdopodobnie omyłką i powinno mieć brzmienie „The Polish Embassy in Kuibyshev”. (Zob.: „Central Department, Foreign Office to the Chancery, British Embassy Kuibyshev” z 11. VII. 1942. (C/2708/13/35).

krzywdy i poniżenia, które później wycierpieli, jest tak silne wśród Żydów, że wywołało niechęć, pogardę, a nawet nienawiść, w stosunku do Rosjan. Stosunek tych Żydów do ZSSR jest dziś bardziej nawet ostry i zacięty, niż Polaków pochodzenia polskiego, którzy znaleźli się pod sowiecką okupacją, nie mieli żadnych złudzeń co do wrogiej względem nich postawy najeźdźców. Polsko-sowiecki układ i uznanie Państwa Polskiego wywołało u Żydów głośnie objawy zadowolenia i entuzjazm. Wyrażali oni — i w dalszym ciągu demonstrują — swoje przywiązanie do Polski i żywą chęć powrotu za wszelką cenę do swoich miejsc zamieszkania na wschodnich ziemiach przynależnych do Państwa Polskiego.

Można stwierdzić, że jeżeli poprzednio były wśród Żydów jednostki usiłujące przekonać opinię — specjalnie anglo-saską — że ziemie wschodnie powinny należeć nie do Polski, lecz do Rosji, to obecnie, nawet wśród żydowskich komunistów, nie znalazłby się zapewne nikt, kto by chciał bronić roszczeń Rosji do tych obszarów. Przeciwnie, Żydzi polscy w ZSSR są teraz najgorętszymi orędownikami przynależności Ziemi Wschodnich do Rzeczypospolitej Polskiej.

Władze sowieckie w pełni zdają sobie sprawę z tej jawnie nieprzychylniej atmosfery, co jest głównym powodem ich niechętnego stosunku do zezwolenia Żydom na wyjazd za granicę, lub uznania ich za polskich obywateli. Ta okoliczność wywołuje wśród Żydów tym większe oburzenie, że w roku 1939 te same władze sowieckie uniemożliwiły mieszkańcom okupowanego terytorium ustalenie polskiego obywatelstwa i zmusiły ich groźbami, a w razie potrzeby nawet siłą, do stwierdzenia, że są narodowości żydowskiej. Ta metoda została zastosowana w praktyce, pomimo tego, że w ZSSR Żydzi prawie bez wyjątku stwierdzają swoją przynależność do narodowości rosyjskiej¹⁸, a przepisy sowieckie surowo zabraniają określenia narodowości inaczej niż na podstawie własnego indywidualnego poczucia narodowego.

Co się tyczy Ukraińców, to z wypowiedzi oficjalnych kół sowieckich wynika, że Rosja pragnie zgromadzić wewnątrz swoich granic całość elementu ukraińskiego i skończyć z ukraińskim „Piemontem” w Polsce. Sowiety chciałyby wytepić Ukraińców i pozbyć się na przyszłość czynnika który, w ich mniemaniu, jest jedynym niebezpieczeństwem wewnętrznej dezintegracji. Podczas rozmowy z gen. Sikorskim, Stalin dał temu wyraz, proponując Polsce pomoc w „zgnieceniu” (*crushing*) raz na zawsze Ukraińców, pod warunkiem osiągnięcia porozumienia co do granic polsko-sowieckich. Zaofiarował przesiedlenie 2-3 milionów Ukraińców do Rosji. Jednakże, gen. Sikorski uchylił się od rozmowy na ten temat.

18. Gen. Sikorski powołuje się tu na dość częste zjawisko wśród Żydów rosyjskich. Tym niemniej podczas spisu ludności w 1959 roku ok. 2,5 miliona obywateli sowieckich podało narodowość żydowską.

Problem litewski jest całkiem odmienny. Rosja chce się, że uzyskała zgodę Wielkiej Brytanii na wcielenie Litwy wraz z Łotwą i Estonią do Związku Sowieckiego. To by pozbawiło Litwinów wszelkiej nadziei na odzyskanie niepodległości. Co więcej, jest najbardziej prawdopodobne, że Rosja, jeżeli wyjdzie zwycięsko z wojny, będzie starała się stworzyć na terytorium tych państw zapórę z czysto rosyjskiego elementu. Byłoby to równoznaczne z ewakuacją milionów mieszkańców krajów pogranicznych w głąb Rosji. Ta droga została już wytyczona przez masowe transporty Ukraińców i Niemców do środkowej i północnej Syberii.

NOTATKA P. H. HANCOCK'A¹

Foreign Office, 18. III. 1942.

Słyszeliśmy już wcześniej o tych trudnościach — zob. Kujbyszew ref. No. 51 (C 347/152/g) oraz list p. Baggalay². W liście tym p. Baggalay pisze, że ma nadzieję otrzymać wkrótce z Ambasady Brytyjskiej memo o prawnej stronie tej sprawy. Lecz, cokolwiek wydarzyło się w tej materii pomiędzy naszą a polską Ambasadą, twierdzenie na str. 5 memorandum gen. Sikorskiego, że „Ambasada Brytyjska w Kujbyszewie interpretuje sowiecki punkt widzenia w ten sposób, iż Rosja już zdecydowała zapewnić dla siebie rozstrzygnięcie sprawy granic” jest chyba niezgodne z prawdą.

Cała ta sprawa jest pomiędzy Rządem Polskim a Sowieckim, i byłoby wskazane, abyśmy trzymali się z dala od tego. Nie wydaje się, aby gen. Sikorski spodziewał się podjęcia przez nas jakiegokolwiek akcji.

Oświadczenia na temat Żydów, zawarte w memo gen. Sikorskiego, powinny być wzięte pod uwagę. Ze str. 5 wydaje się, że Rosjanie nie pozwalają obecnie na wcielanie Żydów do Polskich Sił Zbrojnych, znajdujących się w toku formowania. Z drugiej strony (str. 2), niektóre utworzone już jednostki zawierają wysoki odsetek Żydów; istnieje też jeden oddzielny batalion żydowski³. Jeżeli — jak to jest obecnie właśnie możliwe — wszystkie Polskie Siły Zbrojne w Rosji zostaną ewakuowane na Środkowy Wschód, sprawa ta może stać się poważną.

1. Sir Patrick Francis Hancock, ur. 1914, wstąpił do Foreign Office w 1937 roku.

2. Herbert Lacy Baggalay, 1897-1943, był chargé d'affaires w Ambasadzie Brytyjskiej w ZSSR w 1941-43.

3. Projekt odrębnego batalionu żydowskiego został wkrótce zaniechany.

NOTATKA F. K. ROBERTS'A⁴

Foreign Office, S.W.1., 21. III. 1942.

Memorandum gen. Sikorskiego wskazuje, że zajmuje on względem Rosji bardziej sztywne stanowisko, niż można byłoby się spodziewać. Jest ono, ogólnie biorąc, w zgodzie z usztywnieniem ostatnio stanowiska polskiego we wszystkich sprawach dotyczących stosunków polsko-sowieckich. Najświeższą manifestacją tego była uchwała Polskiej Rady Narodowej z 17 marca⁵. W związku z tym, wzmianki o Litwie w ostatnim ustępie są charakterystyczne.

Godne uwagi jest przyznanie przez Polaków nawet w tej nocy, że Ukraińcy są elementem zdecydowanie nieprzejednanym, podczas gdy Białorusini, którzy byli uprzednio obywatelami polskimi, uważani są za lojalnych w stosunku do Państwa Polskiego. Zgadza się to z konkluzjami p. Savery'ego⁶, opartymi na bardzo dużej znajomości tych problemów. Pomimo żartobliwej uwagi Stalina w rozmowie z gen. Sikorskim o Ukraińcach, nie sędzę, aby Rosjanie rzeczywiście spoglądali na nich nadal w tym świetle. W każdym razie, odbudowa ukraińskiego „Piemontu” w obrębie przyszłych granic Polski, byłaby fatalna dla utrzymania dobrych stosunków polsko-sowieckich. Opis postawy Żydów jest dość interesujący. Jest to, oczywiście, typowe dla wschodnioeuropejskiego Żyda, który, nie mogąc żywić głębszych uczuć dla jakiejkolwiek organizacji państwowej, wita sowieckich najeźdźców, a potem rozczarowuje się do nich. Byłbym jednak skłonny przyjąć *cum grano salis* powoływanie się na ponowną lojalność polskich Żydów względem Państwa Polskiego. W każdym razie, z tego memorandum nie wynika, ażeby naszym interesom odpowiadał powrót Żydów do Państwa Polskiego, bowiem postępując tak głównym ich celem byłoby dostanie się do Palestyny. O wiele bardziej odpowiadałoby nam pozostanie ich w Związku Sowieckim, gdzie, na szczęście, syjonizm nie jest popierany.

4. Sir Frank Kenyon Roberts, ur. 1907, wstąpił do Foreign Office w 1930 roku; w latach 1937-43 pracował w Londynie, a w latach 1945-47 był ministrem brytyjskim w Moskwie.

5. Zob. III A Posiedzenie Rady Narodowej RP z dnia 17. III. 1942 o godz. 15.30 w Londynie, str. 75-76, w Archiwum Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego. Uchwała powoływała się na Traktat Ryski z 1921 roku, który określił granicę polsko-sowiecką. Uchwała stwierdzała, że pierwszym i koniecznym warunkiem współpracy i dobrych stosunków sąsiedzkich pomiędzy dwoma narodami jest zaufanie, że żaden z nich nie będzie podnosił ponownie kwestii już rozstrzygniętych przez zawarte pomiędzy nimi traktaty. Uchwała nie tylko wymieniała polskie miasto Wilno, ale kwestionowała również wcielenie Litwy do ZSSR, wyrażając życzenie, aby naród litewski odzyskał pełną niepodległość i rozwijał się nadal szlakiem własnej narodowej, politycznej, społecznej i gospodarczej kultury.

6. Frank Savery, 1883-1965; radca Ambasady Brytyjskiej przy Rządzie Polskim na uchodźstwie w latach 1939-45.

Jestem nieco zaskoczony liczbami dotyczącymi odsetka Żydów w 5 i 6 dywizji polskiej w Rosji (zob. str. 2). Skoro jesteśmy obecnie zaangażowani w przerzuceniu większości Polskich Sił Zbrojnych z Rosji na Środkowy Wschód i do Wielkiej Brytanii, problem ten interesuje nas i powinniśmy uprzedzić War Office o tych faktach. Przypuszczam, że ze względów politycznych nie powinniśmy życzyć sobie wielkiej ilości Żydów na Środkowym Wschodzie, ani też w Wielkiej Brytanii, bowiem sami doświadczyliśmy, na nieszczęście, że Żydzi w armiach alianckich sprawiają nam z tego czy innego powodu wiele kłopotów i ustawicznie uprawiają wśród obywateli brytyjskich dobrej woli — z posłami do Parlament włącznie — kularowe zabiegi na temat swoich krzywd, rzeczywistych lub urojonych.

Nie sądzę, aby w tym dokumencie były punkty, na które trzeba byłoby zwrócić uwagę premiera. Kopia tego memorandum powinna, jednak być posłana z krótkim wyjaśniającym pismem przewodnim do Moskwy, oraz do Sir C. Dormer'a⁷. Trzeba również napisać projekt listu do War Office.

NOTATKA M. MAKINS'A⁸

Foreign Office, 22. III. 1942.

Postąpić jak zaproponowane, z wyjątkiem tego, że pismo przewodnie nie powinno zajmować się sprawą Żydów w Polskich Siłach Zbrojnych w Rosji. Tą sprawą zajmuje się C.2853.

LIST F. K. ROBERTS'A DO SIR CECIL'A DORMER'A

Foreign Office, S.W.1., 28. III. 1942.

SCISLE TAJNE

Sir,

Niniejszym przekazuję Waszej Ekscelencji kopię tajnego memorandum o stosunku Rządu Sowieckiego do polskich mniejszości narodowych, znajdujących się obecnie w ZSSR. Memorandum to zostało niedawno przesłane premierowi przez gen. Sikorskiego.

7. Sir Cecil Francis Joseph Dormer, ur. 1883, pracował w F.O. od 1905 roku; Ambasador przy Polskim Rządzie na uchodźstwie 1941-43.

8. Roger Mellow Makins (później Lord Sherfield), ur. 1904, pracował w F.O. w latach 1928-1956.

2. Należy zauważyć, że dużo uwag gen. Sikorskiego o stosunku Rządu Sowieckiego do tych mniejszości i *vice versa* odnosi się krytycznie do postępowania Sowietów i ich intencji. Komentarze te są na ogół zgodne z usztywnionym ostatnio stanowiskiem polskim w zakresie stosunków polsko-sowieckich, czego najświeższym przykładem była uchwała Polskiej Rady Narodowej z 17 marca. Szczególnie godne uwagi jest porównanie lojalnego jakoby stosunku obywateli polskich białoruskiej i żydowskiej narodowości do Państwa Polskiego z niepewnym do niego stosunkiem obywateli narodowości ukraińskiej. Zwracam również szczególnie Pańską uwagę, że memorandum gen. Sikorskiego powołuje się na to, jakoby Żydzi polscy woleli być wchłonięci z powrotem do Państwa Polskiego. Jednym z głównych powodów tego ich stanowiska ma być nadzieja, która nie znajduje poparcia w ZSSR, że w ten sposób będą mogli rozwijać ściślejsze kontakty z Palestyną i zyskać lepsze szanse emigracji do Palestyny.

Wobec czynionych obecnie przygotowań do ewakuacji wojsk polskich ze Związku Sowieckiego i skoncentrowania ich w Palestynie, należy wziąć pod uwagę podane przez gen. Sikorskiego liczby rekrutów-Żydów, zaciągniętych do wojska polskiego w ZSSR. Wydaje się że liczba Żydów w 5 i 6 dywizji jest szczególnie wysoka; istnieje jakoby nawet w 6 dywizji wyodrębniony — „zgodnie z prośbą Nowych Syjonistów” — żydowski batalion. Sądzę jednakże, że wojska polskie, ewakuowane obecnie ze Związku Sowieckiego, są z innych sowieckich (? — przyp. tłumacza) dywizji. Dlatego też ufam, że koncentracja tych wojsk w Palestynie nie wywoła żadnych trudnych problemów dla władz mandatowych.

Ref. No. F.O. 371/31088

HR. EDWARD RACZYŃSKI DO ANTHONY EDEN'A

Ambasada Polska
SCISLE POUFNE

47, Portland Place
London, W.1.

21 grudnia 1942.

Drogi Sekretarzu Stanu,

Sądzę, że powinienem podać do Pana wiadomości, że sowiecki chargé d'affaires, p. Walkow, odwiedził mnie w piątek 18 grudnia w celu zwrócenia mi noty, dotyczącej przesładowania Żydów w Polsce, którą wysłałem do niego 9. XII. No. 851/16. P. Walkow jako powód tego kroku podał (ustnie), że nota wzmiankowała miasta Wilno, Lwów i inne „włączone do Związku Sowieckiego na podstawie plebiscytu ludności miejscowej”.

Przypomniałem mu w odpowiedzi, że tzw. głosowanie było przeprowadzone pod sowiecką wojskową okupacją i że cała procedura była sprzeczna z prawem międzynarodowym i całkowicie bezprawna.

MEMORIAŁ O. DUMINA

Paweł KORZEC

W s t ę p

Stosunki polsko-ukraińskie — jeden z najdramatyczniejszych i najbardziej kontrowersyjnych problemów międzywojennej Polski — nie doczekały się dotąd gruntownych, naukowych badań. Przedwojenna publicystyka polska omawiająca ten problem, była dość obfita, ale w mniejszym lub większym stopniu obciążona jednostronnością i subiektywnym punktem widzenia. Literatura ukraińska zarówno przedwojenna jak i w latach po 1939 roku jeszcze bardziej przesycona była nacjonalizmem i przesadnym demaskatorstwem polityki polskiej. Warto zresztą podkreślić — co dzisiaj jest rzeczą bezsporną — że publicystyka ukraińska w dużym stopniu inspirowana była przez wpływy obce, głównie niemieckie.

Po wojnie problematyka narodowościowa międzywojennej Polski (z wyjątkiem niemieckiej) była przez długie lata pomijana zarówno w badaniach historyków krajowych jak emigracyjnych. Przyczyny są dość zrozumiałe. Przede wszystkim utrudniony jest, nawet dla historyków krajowych — już nie mówiąc o emigrantach — dostęp do podstawowych archiwów PRL (np. ministerstwa Spraw Wewnętrznych). Do ostatnich lat niedostępne były archiwa niemieckie, kryjące moc ciekawego materiału na ten temat. Przez długie zapewne lata nie będzie dostępu do archiwów Lwowa, Charkowa, Kijowa i Moskwy, a jest rzeczą oczywistą, że Sowiety odgrywały w polityce ukraińskiej drugą po Niemczech rolę.

Nie tylko jednak trudności obiektywne powodowały u historyków długotrwałą niechęć do podejmowania tych ważnych badań. Wymagany był dłuższy okres czasu, aby przezwyciężyć stereotypy myślowe i silny ładunek emocjonalny, nagromadzony wokół spraw polsko-ukraińskich. Polska polityka ukraińska, a właściwie brak logicznej i konsekwentnej polityki ukraińskiej; ukraińska polityka bezwzględnej wrogości do Państwa Polskiego i krótkowzroczne związanie losów narodu ukraińskiego z kuratelą rewanżystowskich, zaborczych Niemiec, a zwłaszcza zaprzecanie

się hitlerowskim Niemcom; wreszcie krwawe wydarzenia II-giej wojny światowej, zakończone tragedią i rozczarowaniem obu narodów wykopały — jakby się wydawało — przepaść nie do przebycia dla porozumienia obu społeczeństw. Wszystko to nie ułatwiało beznamietnych naukowych badań.

Narastający dystans czasowy i coraz szerszy dostęp do źródeł archiwalnych zapowiadają zasadniczą poprawę w tej dziedzinie badań. Ostatnie lata przyniosły w Polsce Ludowej szereg ciekawych opracowań i przyczynków, które w całości lub częściowo poświęcone są problemowi ukraińskiemu¹. *Zeszyt Historyczny* Nr 25 zawiera niezwykle interesującą pracę — wspomnienie Władysława Żeleńskiego pt. „Zabójstwo ministra Pierackiego”, która właściwie poświęcona jest ukraińskim organizacjom: Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO) i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Obydwie te organizacje, skrajnie nacjonalistyczne i terrorystyczne, w decydujący sposób zaciążyły na stosunkach polsko-ukraińskich i dlatego warto ich mało dotąd znaną przeszłość badać i ujawniać.



Praca Żeleńskiego pokazuje szczytowy okres działalności OUN-UOW. Protektorat organów wywiadu Reichswchery a później III Rzeszy stworzyły im polityczne oparcie i finasowe możliwości. Kilka spektakularnych zamachów terrorystycznych, których ofiarą padli Hołówko, Pieracki i niektórzy politycy ukraińscy, działało na wyobraźnię młodzieży ukraińskiej. W ten sposób OUN-UOW faktycznie uzyskało decydujące wpływy i rząd dusz w dużej części społeczeństwa ukraińskiego, mimo istnienia tylu innych, legalnie działających, stronnictw i organizacji. Wreszcie Żeleński maluje, karykaturalną, hitlerowską wersję realizacji ukraińskiego „snu o szpadzie” czy też hitlerowskiej wersji samodzielności Ukrainy. Żeleński wstrzymuje się od ocen i sądów. Z końcowych stron jego pracy przebija może nutka współczucia dla tragicznych losów przywódców ukraińskich. Z drugiej strony praca jego daje obraz politycznego i moralnego upadku omawianego środowiska. Rozłamy wewnętrzne, walka o wpływy i władzę, intrygi wobec hitlerowskich mocodawców, wzajemne wytypianie się — oto obraz grupy politycznej, która chciała odegrać rolę przywódcy w utworzeniu wielkiej, samoistnej Ukrainy.



Walorem dokumentu, którego duże i najistotniejsze fragmenty poniżej drukujemy jest fakt, że uzupełnia on jak gdyby chronologicznie publikację Żeleńskiego. Podczas gdy ten pisał o UWO w okresie jej kulminacji i upadku, cytowany dokument

1. St. Mikulicz, *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1971; R. Torzecki, *Polityka ukraińska III Rzeszy*, Warszawa 1972 i inne.

pozwała spojrzeć na początki jej istnienia i działania, gdy organizacja jeszcze była w powijakach. Główną jednak dla nas wartość posiada tekst „Prawdy o UWO”, gdyż wyszedł on ze ścisłego kręgu UWO, spod pióra człowieka należącego do piątki ludzi najbardziej zaufanych. Jej autor ze względu i na swoją przeszłość i aktualną funkcję (kierownik referatu wywiadu) niewątpliwie doskonale znał wszystkie tajemnice ukraińskiego ruchu wolnościowego.

Kim był autor memoriału Osip Dumin?

Urodzony w 1893 roku, brał w listopadzie 1918 roku udział w powstaniu przeciw hetmanowi Skoropadskiemu. W tym okresie jest dowódcą kurenia (batalionu), a następnie zostaje dowódcą pułku i grupy bojowej Siczowych Strzelców. Po zakończeniu wojny sowiecko-polskiej osiadł w Galicji Wschodniej, gdzie został jednym z dowódców UWO. W 1924 roku zagrożony aresztowaniem przedostaje się do Niemiec. Po perypetiach związanych z treścią niniejszego dokumentu, Dumin zostaje usunięty z UWO i wycofuje się z życia politycznego. W Instytucie Wschodnim w Koenigsbergu, gdzie go umieszczono, pisze szereg prac wojsko-histerycznych jak również i wspomnieniowych, poświęconych wojsku i wojnie ukraińsko-polskiej. Pisał pod pseudonimem autorskim „Antin Krezub”.

Drugie narzucające się pytanie. Co skłoniło Dumina do napisania tego tekstu i na ile jest on prawdziwy? Postaram się przede wszystkim odpowiedzieć na drugie pytanie. Pracuję nad historią zachodnich Ukraińców i zebrałem do tego zagadnienia obfitą drukowaną i archiwalną dokumentację w świetle której mogę stwierdzić, że w zasadniczych kwestiach Dumin pisze prawdę. Nie mógł zresztą pisać nieprawdy. Memoriał swój składał swoim przełożonym w niemieckiej Abwehrze. Sam był kierownikiem referatu wywiadu UWO i mógł łatwo zrozumieć, że podając nieprawdziwe fakty, automatycznie deprecjonuje wartość całej swojej akcji. Skądinąd wiemy, że nawet składając ten prawdziwy memoriał narażał się na poważne niebezpieczeństwo zarówno ze strony swych towarzyszy Ukraińców jak i szefów z Abwehry, dla których osamotniony, nawet oddany im szczerze Dumin był martwą pozycją. Natomiast zręczni gracze w rodzaju Riko Jarego, Konowalca i innych, trzymali w swych rękach nici do organizacji ukraińskiej a Reichswehra nie tylko zamierzała ukraińską grę kontynuować, ale nawet znacznie rozszerzyć.

Motywy wystąpienia Dumina, które w pewnym stopniu można ocenić jako zdradzieckie otwarcie kart ukraińskich niemieckiemu partnerowi należy wytłumaczyć w następujący sposób:

Dumin był niewątpliwie idealistą i żołnierzem. Walczył jako oficer o wolność zachodniej Ukrainy i po klęsce uważał że walkę tę należy kontynuować w podziemiu. Traktował UWO poważnie, podobnie jak wiele młodych, oddanych sprawie bojowców. Pod względem politycznym Dumin obiektywnie jest bliski emigracyj-

nemu prezydentowi Petruszewiczowi, który nie uznawał kompromisu z Polską i walkę przeciw niej przeniósł na forum międzynarodowe. W dodatku Dumin pierwsze lata swej konspiracyjnej działalności spędził w Polsce. Obserwowana na miejscu polityka ukraińska, wykonywana przez skorumpowaną w dużej mierze policję i administrację Galicji Wschodniej mogła go jedynie utrwalić w jego antypolskiej postawie. Pragnie on walki, czynu, a tymczasem obserwuje upadek ducha i demoralizację zaangażowanej młodzieży. Nieliczne akcje przygotowywane są niedbale i kończą się fiaskiem. Wśród słabego krajowego kierownictwa UWOP panoszy się sobiepaństwo i karierowiczostwo. Fundusze napływające z zagranicy topnieją bez rachunków i kontroli.

Dumin zagrożony aresztowaniem wydostaje się do Niemiec. Obejmuje poważne, bodaj kluczowe stanowisko kierownika referatu wywiadu. Nie ma on nic przeciw temu, że UWOP ma prowadzić działalność wywiadowczą w Polsce na rzecz Niemiec. Wszak Dumin w swej żołnierskiej prostolinijności uważa Polskę za głównego wroga a Niemcy za sojusznika. Zaczyna się jedynie burzyć gdy obserwuje że pod kierownictwem Konowalca i Jarego prowadzona akcja wywiadowcza traci swoje aspekty polityczne a staje się... towarem, który się sprzedaje również Litwie a nawet ZSSR. Dumin przytacza humorystyczny wypadek skopiowania na kursie wywiadowczym w Pasłęku, zdezaktualizowanych już polskich instrukcji wojskowych, aby je sprzedać Litwie i Moskwie. Dumina rażą merkantylne inicjatywy Konowalca i nie jest to bynajmniej wymysłem autora raportu. Konowalec istotnie składał w tym czasie Niemcom liczne projekty tworzenia rozbudowanych spółek mieszanych niemiecko-ukraińskich. On już sprzedawał niemieckim sferom gospodarczym skórę na niedźwiedziu... ukraińskie płody rolne i ukraińskie rynki zbytu. Oczywiście w zamian za pożyczki i subsydia². Dumina niedawno przybyłego z Galicji, gdzie panowała nędza i bezrobocie, gdzie np. Olszańskiemu wykonującemu zamach na prezydenta Wojciechowskiego nie dano do dyspozycji kilkudziesięciu złotych, by mógł posługiwać się taksówką a nie tramwajem, musiało razić dostatnie życie i nieliczenie się z pieniędzmi jakie obserwował u Konowalca i innych działaczy zagranicznych. Antagonizm kraj-kierownictwo zagraniczne, typowe zjawisko w każdej konspiracyjnej organizacji tu istotnie posiadało realne podstawy. Dumin jest zbyt szczerzy, mówi to co myśli i wielu przyznaje mu rację. Myśli on, że zdoła przy pomocy Niemców usunąć kierownictwo Konowalca i Jarego. Przegrał grę. W krytycznej chwili na stronę Konowalca przeszli również jego współpiskowcy: Stronskij i Galiński.

Pozostaje jedna sprawa niejasna. Jak mówiłem powyżej, Dumin jest politycznie bliski pozycjom Petruszewicza. Z tekstu wynika, że chciałby on — po uzdrowieniu sytuacji w kierow-

2. Zob. Memoriał E. Konowalca do Auswärtiges Amt 9. 12. 1925. Archiwum AA, Polen-Ukraine Geheim Akten, t. 2.

nictwie UWO — podporządkować ją tzw. „Radzie” na czele której stoi Petruszewicz. Nie wiadomo jednak czy Dumin buntując się przeciw Konowalcowi i składając poniższy memoriał Niemcom działał w porozumieniu z prezydentem „Rady”, pozostającym w tym czasie w ostrym konflikcie zarówno z UWO jak i z krajowym UNDO.

Warto może na zakończenie podać coś niecoś o dalszych losach Dumina. Nie wiadomo, czy kierownictwo UWO dowiedziało się od Niemców o powyższym memoriale. Należy sądzić, że nie, gdyż w przeciwnym razie zostałyby on w kręgach ukraińskich uznany za zdrajcę i prawdopodobnie by go w jakiś sposób zgładzono. Tymczasem w encyklopedii ukraińskiej figuruje on jako zasłużony działacz i bojownik.

Po otrzymaniu memoriału w kręgach Abwehry zapanowała konsternacja. Pewni oficerowie Abwehry usiłowali przedstawić akcję Dumina jako dywersyjną, mającą na celu rozbicie UWO. Wysuwali oni wręcz zarzut, że działa on z polecenia polskich ośrodków wywiadowczych i proponowali natychmiastowe aresztowanie Dumina.

Przeciwstawiły się jednak temu sfery Auswärtiges Amt. Aresztowanie Dumina musiałoby wywołać echa i doprowadzić do procesu. Argumentowano, że o ile jest on rzeczywiście polskim agentem, to nie omieszcza na procesie powiedzieć wszystkiego co wie o roli niemieckich sfer Reichswehry w sprawach polsko-ukraińskich, a o tych szczegółach ani niemiecka ani europejska opinia publiczna nie powinny być się dowiedzieć.

W efekcie sprawę załatwiono dyskretnie. Dumin został umieszczony jako pracownik naukowy w Instytucie Wschodnim w Königsbergu (Królewcu). Opublikował on w następnych latach szereg prac historycznych. W 1944 roku, gdy Rosjanie zdobyli Prusy Wschodnie, Dumin zaginął bez wieści.



Tekst Dumina drukujemy niemal w całości. Opuszczamy jedynie te fragmenty (opatrzone objaśniającymi odsyłaczami) które nie wnoszą wiele do historii UWO, a w których autor wiele miejsca poświęca opisom intryg wewnętrznych, związanych z jego usunięciem. 6-ciu aneksów, które Dumin załączył do swego referatu nie publikujemy.

Tekst uległ w niektórych miejscach zniszczeniu tak że niektóre słowa stały się trudne do odczytania. W wypadkach wątpliwych poszczególne słowa odczytane hipotetycznie opatrujemy kwadratowym nawiasem. Ten sam znak stosujemy przy rozwiązywaniu niektórych skrótów, co do znaczenia których nie mamy całej pewności. Tekst opublikowany jest przekładem z oryginału niemieckiego.

Paweł KORZEC

PRAWDA O UKRAIŃSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ¹

KO 31853

Berlin, maj 1926.

A. DZIEJE UWO W LATACH 1921-1923

1. Początki UWO

Od czasu gdy Polska przemocą zajęła Galicję Wschodnią² i galicyjsko-ukraińska armia musiała się rozwiązać — dla każdego Ukraińca, który nie godził się z polską okupacją, a ze swego najwyższego ideału, samodzielnego państwa ukraińskiego, nie chciał rezygnować, było jasne, że dalsza walka przeciw jarzmu polskiemu musi być prowadzona tajnie. Stąd powstała myśl utworzenia mocnej, przebojowej i moralnie tęgiej tajnej organizacji wojskowej, która by potrafiła, przy wkładzie wszelkiej energii i ofiarności, dokonać dzieła uwolnienia.

Myśl ta miała swoich zwolenników nie tylko w kołach ukraińskiej inteligencji, lecz także w szerokich masach wszystkich warstw ukraińskiego narodu, gotowych do udziału w walce wyzwolenczej. Jeśli teraz jest mowa o przygnębieniu, obojętności i pasywności Ukraińców wobec polskiego przymusu administracyjnego — są to zarzuty, które mogą być skierowane jedynie do kierownictwa UWO, którego zadaniem było pobudzać bojowy nastrój w masach ukraińskich. Natomiast twierdzenie, że masy ukraińskiego narodu nie są zdolne do walki, nie odpowiada faktom. Widoczne jest w tym tylko zakłopotanie obecnego kierownictwa UWO, ukrywającego własne niedociągnięcia i braki, a jed-

1. Tytuł oryginału brzmi: *Die Wahrheit über die ukrainische Organisation*. W karcie tytułowej figuruje pieczęć rejestracyjna Auswärtiges Amt (Ministerstwo Spraw Zagranicznych) IV Oddział Polityczny nr rejestr. 0662 z datą 17 Juni (czerwiec) 1926.

Nad tytułem istnieje trudny do odczytania ręczny dopisek: „*Material gegen Konowaletz von dessen früheren Mitarbeiter Dumin, übergeben den Herrn Bandriwskij*” (Materiał przeciw Konowalcowi od jego uprzedniego współpracownika Dumina przekazany Panu Bandriwskiemu).

2. Mowa tu o wojnie toczącej się w latach 1918-1919 między nowopowstałym Państwem Polskim a proklamowaną 1 listopada 1918 roku Zachodnio-Ukraińską Republiką Ludową (ZURL). Wynik tej wojny był niepomysłny dla Ukraińców, a rząd republiki ukraińskiej schronił się za granicą.

nocześnie pragnącego pozostawać na wygodnych i dobrych posadach urzędniczych.

Program i plany Wojskowej Organizacji UWO

Zadaniem UWO była nieustanna i bezwzględna walka przeciw Polsce. Celem UWO było zniszczenie polskiego panowania we wszystkich ukraińskich dzielnicach, podkopanie polskiego autorytetu państwowego, materialne i moralne niszczenie polskich organów władzy państwowej, a wreszcie zdobycie i ustanowienie własnego niezależnego państwa ukraińskiego. W przeciągu pierwszych dwóch lat istnienia UWO praca ta rozwijała się w myśl założeń, czego dowodem było wiele czynów.

Przez ustanowienie oddziałów miała UWO stworzyć prawdziwą, tyle tylko że tajną, armię ukraińską, mogącą w odpowiedniej chwili rozpocząć otwartą walkę przeciw polskiemu okupantowi. Niestety, kierownictwo organizacji bynajmniej nie spełniło swego zadania. W końcu 1925 roku założyciele UWO zorientowali się, że kierownictwo umyślnie unika walki i robi wszystko możliwe, aby uspokajać bojowy nastrój mas. Można to wszystko udowodnić faktami. Nawet sami przywódcy UWO mawiali: „gdyby teraz doszło do wojny i gdybyśmy stanęli przed zadaniem rozpoczęcia oczekiwanego od nas czynu — bylibyśmy całkowicie skompromitowani”.

Pan Konowalec i UWO

Główną przyczyną smutnego upadku i rozkładu UWO było, że od 1922 roku kierowniczą rolę w organizacji odgrywał pan Konowalec³. Historia wstąpienia Konowalca do UWO jest następująca: Z resztkami ukraińskiej grupy strzelców Konowalec prze-

3. Ewgen Konowalec (14. 6. 1891 - 23. 5. 1938) działacz wojskowy i polityk, pułkownik armii ukraińskiej. W 1920 roku współdziałał z atamanem Petlurą. W 1921 roku wrócił do Lwowa i tu objął kierownictwo tworzącej się Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO). W 1922 roku ucieka z Polski. Przebywa do 1929 roku w Berlinie, następnie w Genewie i Rzymie. W 1929 roku obejmuje kierownictwo faszystowskiej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która wraz z UWO podjęła wzmożoną akcję terrorku na terenie Wschodniej Galicji i Wołynia.

W 1938 roku Konowalec zostaje zamordowany w Rotterdamie przez Ukraińca, agenta NKWD, który wkradł się w jego zaufanie, był nim Norbert Waluch-Janenko.

szedł, razem z Petlurą, do Polaków⁴. Przebywał kilka miesięcy w Warszawie. Potem Petlura wysłał go do Czechosłowacji⁵, aby tam działał przeciw prezydentowi Petruszewiczowi, i aby wśród internowanych oficerów i żołnierzy galicyjsko-ukraińskiej armii werbował stronników Petlury. Praca agitacyjna Konowalca, prowadzona dużymi środkami finansowymi, nie miała powodzenia. Petlura odwołał Konowalca z powrotem do Galicji Wschodniej, aby z jego pomocą, przy znacznym finansowym zaopatrzeniu, rozpowszechniać swoją polonofiską politykę i zastraszoną polskim terrorem ludność ukraińską pogodzić z Polakami, a przede wszystkim propagować rzekomą beznadziejność dalszej walki przeciw Polsce, walki której zwolennikiem był i pozostawał prezydent Petruszewicz. Konowalec wiedział, że otwarty werbunek na rzecz Petlury i nieprzyjazne nastawienie do prezydenta Petruszewicza są nie do przeprowadzenia w Galicji Wschodniej. Starał się więc przeprowadzić swe plany na dalszą metę. Na razie próbował dostać się do UWÓ — jako rzekomy bojownik ukraiński w walce o niepodległość. Plan mu się udał, gdy publicznie oświadczył, że zerwał wszelkie stosunki z Petlurą i że przechodzi na stronę politycznego programu prezydenta Petruszewicza, to znaczy na stronę nieprzejeđnanej walki przeciw Polsce. Po złożeniu takiego [oświadczenia Konowalec został najpierw członkiem UWÓ, a wkrótce potem dostał się do kierownictwa UWÓ. Tu najpierw starał się wykorzystać swoją pozycję do przeprowadzania swych zapatrywań. Nie przebieirał przy tym w środkach] (fotokopia mało czytelna — tłum.).

Posługiwał się bądź intrygą, bądź przekupstwem (właśnie to ostatnie Konowalec stosował najchętniej). A jeśli to nie skutkowało — próbował osiągnąć cel groźbami i szantażem. Te fakty można potwierdzić wieloma dowodami. Po króćce można stwierdzić, że od czasu kiedy Konowalec znalazł się w kierownictwie

4. W 1919 roku przeważna część walczących oddziałów Armii Halickiej została przez wojska polskie wyparta za Zbrucz na teren Ukrainy Wschodniej. Podczas gdy rząd emigracyjny Zachodniej Ukrainy pod przewodnictwem Ewgena Petruszewicza zachował nieprzejeđnane stanowisko wobec Polski, część oddziałów podporządkowała się atamanowi Semenowi Petlurze, który zawarł porozumienie z rządem polskim w sprawie wspólnej walki przeciw wojskom sowieckim. W czasie wyprawy kijowskiej niektóre oddziały galicyjskie weszły do Kijowa wraz z wojskami polskimi i oddziałami Petlury.

5. Część oddziałów zachodnio-ukraińskich wycofała się na teren Czechosłowacji i tam zostały one internowane. Utrzymano je jednak do 1923 roku w formacji zwartej na terenie Rusi Podkarpackiej. W pierwszych zwłaszcza latach Czechosłowacja stała się terenem ożywionej działalności politycznej i kulturalnej emigrantów ukraińskich, której ostrze skierowane było przeciw Polsce.

UWO — organizacja zesłała na złe drogi i prezentuje się dziś jako grupa oszustów i hochsztaplerów, a mając środki — nie prowadzi walki przeciw Polsce, tylko przyczynia się do dalszej korupcji i zabagnienia tych środowisk w kraju (w Galicji Wschodniej) i na emigracji, które dawniej były zapalonymi nieprzyjaciółmi Polski. O tym wszystkim będzie jeszcze mowa.

Zamach studenta Fedaka

Tym zamachem warto zająć się dokładniej, gdyż Konowalec starał się przy tej sposobności wyciągnąć korzyści dla siebie. Jest stwierdzone, że student Fedak nikogo ze swej rodziny nie powiadomił o planach dokonania zamachu na Piłsudskiego. Mimo powinowactwa z Fedakiem, Konowalec również nic o tym nie wiedział⁶. Dobrze poinformowani ludzie z otoczenia Konowalca twierdzą, że gdyby wiedział starałby się wszelkimi sposobami zapobiec zamachowi. O samym zamachu Konowalec dowiedział się dopiero *post factum*. Ale potrafił — jak już wspomniałem — wykorzystać go dla siebie. W podobny sposób został też wykorzystany zamach Olszańskiego na Wojciechowskiego, o czym również będzie jeszcze mowa.

Jesień 1922. Rola pana Konowalca

Jako protest przeciw polskiej okupacji — senat UWO zdecydował przeprowadzić akcję sabotażową przed rozpoczęciem w Genui⁷ obrad nad dalszymi losami Galicji Wschodniej. Ponieważ Konowalec występował przeciw niszczeniu polskiego dobra pań-

6. Ponoć ta wersja Dumina jest autentyczna. 21 września 1921 roku student Stefan Fedak, syn wybitnego adwokata lwowskiego i ukraińskiego działacza politycznego, będącego zarazem szwagrem Konowalca, dokonał zamachu na przybyłego do Lwowa naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Stefan Fedak był podobno młodzieńcem egzaltowanym i zamachu, który zakończył się niepowodzeniem (ranny został wojewoda Grabowski) dokonał jakoby na własną rękę, bez należytego przygotowania. Z drugiej strony wiadomo, że w nacjonalistycznym ruchu ukraińskim była przyjęta zasada, że ilekroć głowa państwa polskiego przybędzie na teren Galicji Wschodniej należy to potraktować jako akt prowokacyjny i zareagować zamachem.

7. Konferencja w Genui (10. IV. - 19. V. 1922) dotyczyła kwestii odszkodowań wojennych. M.in. poruszona na niej została sprawa Galicji Wschodniej. W czasie trwania tej konferencji Niemcy i Rosja Sowiecka podpisują 22 kwietnia słynny pakt w Rapallo.

stwowego i wojskowego, powodzenie akcji było znikome⁸. Mogą to poświadczyć świadkowie, którym Konowalec wydawał rozkazy w tej sprawie. W akcji z jesieni 1922 Konowalec, ogólnie biorąc, odegrał dość niewyraźną rolę i jego stanowisko było stale dwulicowe i niezdecydowane. Niemniej cytował on tę akcję jako dowód swego antypolskiego nastawienia. Jednocześnie próbował podkreślać swe antybolszewickie przekonania, choć już wtedy starał się wszystkimi siłami nawiązać kontakt z bolszewikami, a przede wszystkim wydostać od nich pomoc materialną. Petlura w tym czasie przegrał już swoją rolę w Polsce. Bliższe rozważania tego faktu w dalszych wywodach tego referatu.

Rok 1923

W roku 1923 powiadomiono Konowalca, że w najbliższym czasie zapadnie decyzja w sprawie Galicji Wschodniej i że z tego względu będzie konieczna bardzo aktywna działalność w kraju. Konowalec na to oświadczył, że w kraju jakakolwiek akcja jest niemożliwa i rzeczywiście — żadnej szerszej akcji nie podjęto, zaś kierownictwo UWO w tym właśnie czasie zabroniło jakiegokolwiek akcji w kraju, choć nastroje wśród ludności, a specjalnie wśród oddziałów bojowych UWO, były bardzo dobre i nawet większa akcja niż w 1922 roku byłaby łatwa do przeprowadzenia. Jest to punkt zwrotny w historii UWO. Od tego czasu nie rozwinięto żadnej działalności godnej wzmianki, przeciwnie — mnożyły się oznaki rozkładu i późniejszego zabagnienia. Jedynym pozytywnym czynem było utworzenie kursu wywiadowczego w Monachium, zorganizowanego przez referat wywiadu UWO. Działalność oddziału wywiadu była jednak jedyną czynnością UWO.

Doprowadzono do tego, że inne działalności UWO zostały odsunięte na dalszy plan, albo w ogóle zaniechane. Ale, wychodząc z założenia, że aparat wywiadowczy nadal będzie dobrze działał, układano różne plany, których właściwym celem było jedynie wydostawanie dalszych funduszy dla Konowalca i jego towarzyszy.

8. Według informacji ze źródeł polskiej administracji, w ciągu pierwszych tygodni 1922 roku zarejestrowano 470 wypadków podpalenia. Masowe aresztowania sparaliżowały na pewien czas działalność UWO, ale w 1923 roku zaktywizowała się ona ponownie. Wzmocniono akcję podpalenia, napady ekspropriacyjne na poczty i inne akty terroru (S. Mikulicz, *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1971, str. 139).

Ustąpienie pułkownika Melnyka

Kryzys w UWO zaostrzył się w lipcu 1923 roku tak dalece i beznadziejnie, że ówczesny komendant w kraju, pan Melnyk, ustąpił ze stanowiska. W niektórych dzielnicach (Kołomyja, Przemysł, Drohobycz) doszło do otwartego zerwania z kierownictwem, spowodowanego jego niedbałą działalnością. Masowo także występowano z organizacji.

Indiszewski i Jurewicz

Po ustąpieniu Melnyka, kierownictwo UWO przejęli Indiszewski i Jurewicz. Pierwszy został komendantem, drugi — dowódcą oddziałów bojowych. Działalność Indiszewskiego nie jest mi znana, natomiast działalność Jurewicza w ciągu całego drugiego półrocza równała się zeru, chociaż UWO w tym czasie (okres inflacji) miała duże fundusze do dyspozycji.

Od Litwinów UWO dostawała 1.000 dolarów, a od bolszewików 500 do 600 dolarów miesięcznie. Większość tych pieniędzy wędrowała do kraju, niby na „aktywną działalność”. Najlepszym dowodem co się z tymi pieniędzmi działo, jest brak działalności UWO w ciągu ostatnich trzech lat. Gdy członkowie żądali od kierownictwa UWO aktywności, słyszeli od Jurewicza: „Chwilo wo nie jesteśmy zdolni do żadnej akcji”.

Dużą część pieniędzy zużywano na przedstawienie się z działalności rewolucyjno-wojskowej na legalistycznie-polityczną.

Sprawa Białoruska

Tak zwana sprawa białoruska z roku 1923 a częściowo i 1924 była wymownie hochsztaplerskim wyczynem panów z kierownictwa UWO. W 1922 roku zostały nawiązane stosunki z Litwinami. Przedstawiciele UWO mieli polecenie by dać Litwinom do zrozumienia, że UWO jest tajną armią ukraińską i że jest dostatecznie mocna, aby każdej chwili przeprowadzić powstanie przeciw Polsce. Przy tych pertraktacjach użyto takich samych metod jak później w rozmowach z RM [Niemcami]. Litwini uwierzyli. Na propozycję UWO, okazali także gotowość utworzenia podobnej organizacji na białoruskich terenach będących pod polskim panowaniem. W tym celu postawili pieniądze do dyspozycji UWO, która miała współdziałać w tej akcji. Ażeby

Litwinów utwierdzić w dobrej wierze UWO wysłała swego delegata do Wilna. Ten po 4 miesiącach wrócił do kraju nic nie zdziaławszy, gdyż pieniądze, które dali Litwini na białoruską organizację zostały podobnie zużytkowane jak wszystkie poprzednie. Naturalnie kierownictwo UWO nie omieszczało przesyłać w ciągu tego czasu sprawozdań do Kowna, że praca na Białorusi postępuje i że sieć organizacji białoruskiej rozprzestrzenia się już na cały kraj. Litwini ufali UWO aż do końca 1924 roku. Ale gdy w końcu 1924 roku zażądali od kierownictwa UWO dokonania wspólnego litewsko-ukraińsko-białoruskiego ataku przeciw Polsce, panowie z UWO zaczęli szukać wykrętów. Nic to nie pomogło, gdyż Litwini wstrzymali dalsze finansowanie. Jedyne, co Kono-walec zdołał jeszcze uratować, było to, że litewska organizacja strzelców utrzymuje ze swego etatu przedstawiciela UWO w Kownie.

Gdy z litewskiej strony przestały nadchodzić pieniądze, panowie z kierownictwa UWO zdecydowali prosić o fundusze bolszewików, którzy dali, ale nie wiem na jakich warunkach. Starania UWO o wydostanie pieniędzy od bolszewików były prowadzone jednocześnie w kraju i w Berlinie. W kraju odbywało się to następująco: dzisiejszy redaktor „Nowego Czasu”, Dymitr Palijiw⁹, pojechał do Charkowa i prosił tamtejszy rząd o materialne wsparcie UWO. W Charkowie mu przyrzekli pod warunkiem, że organizacja wypowie się „bez zastrzeżeń za przyłączeniem ziem zachodnio-ukraińskich do Ukrainy Sowieckiej”. W zgodzie z kierownictwem UWO — Palijiw na to poszedł. Kierownictwo UWO utrzymywało ten układ w tajemnicy, tak że tylko niewielu członków o nim wiedziało. Jednak do dalszej pomocy nie doszło, gdyż Charków miał w Galicji możliwość przekonania się, że UWO nie istnieje.

Za to starania UWO w Berlinie były skuteczniejsze. Tu UWO wydostała od bolszewików już wspomniane 500 do 600 dolarów miesięcznie. Później jednak mniej. Gdy bolszewicy zorientowali się z kim mają do czynienia, wstrzymali dalsze wypłaty. Dlatego dziś panowie z kierownictwa UWO tak bardzo podkreślają swój wrogi stosunek do Związku Sowieckiego.

Jako ilustracja obecnego nieprzyjaznego nastawienia kierow-

9. Dymitr Palijiw (Palijew) ur. 1869, oficer Siczowych Strzelców, polityk i dziennikarz. Wydawał we Lwowie pismo ukraińskie „Nowyj Czas”. Jeden z twórców grupy politycznej „Zahrawa”, był następnie członkiem Centralnego Komitetu UNDO. Poseł na sejm od 1928 roku. Po dojściu do władzy Hitlera Palijew, uprzednio radykał, stał się skrajnym rzecznikiem współpracy Ukraińców z Niemcami hitlerowskimi.

nictwa UWO do Związku Sowieckiego, ale przyjaznego do ich pieniędzy, może służyć dołączony list Konowalca do Bandriwskiego, z sierpnia 1924. W tym czasie bolszewicy już nie chcieli dawać pieniędzy i Konowalec próbował wydostać fundusze od RM [Niemców]. (Załącznik Nr 1). Jest bardzo wątpliwe czy Konowalec utrzymywałby dziś tak wrogie stanowisko w stosunku do bolszewików, gdyby dostawał od nich w dalszym ciągu pieniądze. Jeszcze w lutym 1926 roku Konowalec zlecił mi nawiązanie kontaktu z bolszewikami, aby im sprzedać materiał informacyjny.

UWO w roku 1924

Po beczynnie przebyłym roku 1923, kierownictwo UWO uznało za konieczne wykazanie aktywności. Na wiosnę 1924 zapowiedziano kilka aktów sabotażu i zamachów. Ale nic się nie stało. Bezczynność kierownictwa UWO w roku 1924 odebrała szeregom resztki zaufania, tak że faktycznie cała UWO składała się z kierownictwa i około 20 członków.

Jaką moralną i rewolucyjną wartość przedstawia kierownictwo UWO uwidoczni najlepiej znana sprawa pani Bessarabowej. W pierwszej połowie 1924 polska policja aresztowała panią Bessarabową i zamęczyła ją na śmierć w bestialski sposób za murami więzienia, w przeciągu kilku dni. Obowiązkiem UWO było jej śmierć, spowodowaną przez polską policję, pomścić — tym bardziej, że Bessarabowa była członkiem UWO. Żądała tego cała ukraińska opinia publiczna. Osobiście podjąłem zorganizowanie zamachu na polskiego komisarza policji, Kajdana, który spowodował śmierć pani Bessarabowej. Ale kierownictwo UWO zabroniło mi tego, dodając że zamach na Kajdana już jest przygotowany. Później okazało się, że była to nieprawda, gdyż kierownictwo UWO na posiedzeniu zajmującym się tym zagadnieniem powzięło decyzję by nie przedsięwziąć nic w tej sprawie, żeby się nie narażać na niebezpieczeństwo „aresztowań”.

Mój przyjazd do Berlina

Przy rewizji mieszkania Bessarabowej skonfiskowano kompromitujące mnie dokumenty. Aby uniknąć kilkuletniego więzienia, musiałem wyjechać za granicę. Pojechałem do Berlina. Tu poznałem panów z kierownictwa zagranicznego UWO i zaznajomiłem się z ich robotą.

Zaraz po moim przyjeździe poinformowałem Konowalca, że sytuacja UWO w kraju jest beznadziejna i nie do wytrzymania, względnie że organizacja w jej zamierzonym sensie już nie istnieje. Konowalec składał całą winę na kierownictwo w kraju, a siebie tłumaczył tym, że wszystkie większe sumy pieniężne otrzymane od bolszewików — przesłał do kraju.

Przyjazd Celewicz z Ameryki

Prawie w tym samym czasie przyjechał Celewicz z Ameryki do Berlina. UWO wydelegowała go przed rokiem do Ameryki aby wydobył od tamtejszych ukraińskich emigrantów pieniądze dla UWO. Misja jego zakończyła się fiaskiem. Celewicz przypisywał to bezczynności UWO w kraju: Ukraińska emigracja w Ameryce odmawia wsparcia rewolucyjnej organizacji, która od lat nie daje znaku życia, co jest dowodem, że UWO w kraju w ogóle nie istnieje (a to odpowiadało całkowicie rzeczywistości).

Ponowne starania o pieniądze od bolszewików

W tym czasie organizacja była finansowo w bardzo ciężkiej sytuacji. Bolszewicy ukrócili swe datki. Litwini przesyłali tylko od czasu do czasu niewielkie sumy za materiały informacyjne. A rozmowy z Niemcami (RM) w tej sprawie jeszcze nie były odpowiednio zaawansowane. Żeby się wydostać z tej sytuacji rozpoczęła UWO ponowne pertraktacje z bolszewikami, ale nie osiągnęła żadnej podwyżki poprzednich kwot.

Plany otrzymania pieniędzy od Niemców (RM)

Już od dłuższego czasu były utrzymywane kontakty między UWO a RM. Niemcy godzili się na wspieranie służby informacyjnej UWO. Chcąc szybciej dojść do jakiegoś rezultatu, kierownictwo UWO zleciło swemu przedstawicielowi w Królewcu, panu Jary¹⁰, wyrzucić za pomocą kapitana Weissa, z którym Jarry już był w kontakcie, wpływ na RM. Do tego miały też

10. Riko Jary (Jaryj) polityk i łącznik Ukraińców do Reichswehry (Abwehry), a następnie mąż zaufania władz hitlerowskich do spraw ukraińskich. Był on równocześnie członkiem ścisłego zarządu (Prowid) OUN. Z ramienia mocodawców niemieckich prowadził zawsze dwuznaczną, pełną intryg grę polityczną wśród emigracji ukraińskiej.

służyć sprawozdania o rzekomej pomocy i aktywności UWO w kraju. Jary je napisał i wręczył kapitanowi Weissowi. Gdy zwróciłem Jaremu uwagę, że takie postępowanie w stosunku do Niemców jest nieuczciwe i że może nam tylko zaszkodzić, gdyż Niemcy mogą się ewentualnie na miejscu przekonać o siłach i moralnej wartości UWO w kraju — Jary odpowiedział mi, że w takim wypadku nie byłoby zbyt trudne wydać danego Niemca z RM polskiej policji. Miałoby to jeszcze dodatkową korzyść, gdyż tenże Niemiec mógłby po ewentualnym powrocie do Berlina opowiadać w jak trudnych warunkach pracuje UWO w kraju.

Zamach Olszańskiego na Wojciechowskiego

Inscenizacja tego zamachu nie wywodziła się z rewolucyjnych motywów, jak by się należało spodziewać od rewolucyjnej organizacji, tylko była jedynie po to robiona, aby przyspieszyć wlokące się [rozmowy UWO z RM w sprawie finansowania. Ten zamach miał być dowodem gotowości do walki. Ale rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Wystarczy wskazać, że wśród ludzi UWO nie znalazł się nikt], kto mógłby zamach wykonać, a i dalej — nikt nie był skłonny robić to pod egidą skompromitowanej w kraju UWO. Sytuację uratował gimnazista z ósmej klasy — Olszański.

Czy kwalifikacje Olszańskiego wystarczały do wykonania tak politycznie brzemienne go zamachu — kierownictwo UWO winno wiedzieć. Również winno sobie zdawać sprawę, że przy ewentualnym procesie Olszański mógł skompromitować UWO swoją niedojrzałością. Poza tym niedbałe przygotowanie zamachu wskazuje, że UWO nie brała go poważnie i że chodziło jedynie o wydarzenie ułatwiające rozmowy z RM w sprawach finansowych. Konstrukcja bomby była zła, a rewolwer, który dano Olszańskiemu, był bez iglicy. W tej sprawie istnieje osobiste pisemne oświadczenie Olszańskiego¹¹.

11. — 5. IV. 1924 członek UWO Teofil Olszański, syn księdza greckokatolickiego z Chyrowa, dokonał zamachu na prezydenta Wojciechowskiego, który przybył do Lwowa na otwarcie Targów Wschodnich. Prymitywnie wykonana bomba rzucona na prezydenta nie wybuchła. Zamach był zarówno pod względem organizacyjnym jak i technicznym bardzo źle przygotowany.

Ze sprawą tą wiąże się dramatyczna „dreyfusjada” lwowska lat 1924-1925. Otóż niezwłocznie po zamachu policja aresztowała żydowskiego studenta Stanisława Steigera. Mimo braku realnych dowodów a zwłaszcza motywów przestępstwa, Steiger został, w wyniku sfabrykowanego przez władze śledcze i policję oskarżenia, postawiony przed sąd doraźny, a następnie po rocznym śledztwie, przed sąd przysięgłych we Lwowie. Długotrwały proces zakończył

Cel jest osiągnięty. Niemcy (RM) zaczęli dawać pieniądze, choć początkowo tylko w skromnym wymiarze. By podnieść zainteresowanie RM, zorganizowano kurs wywiadowczy w Preussisch-Holland [Pasłęk — 25 km na południe-wschód od Elbląga]. Kurs trwał od listopada 1924 do 10 stycznia 1925 roku. Z 12 uczestników kursu trzech było z Gdańska, a reszta z kraju. W charakterystycznej dla Konowalca i Jarego formie, kursanci otrzymali ostre zakazy nierozmawiania z niemieckimi instruktorami ani o UWO, ani o sytuacji w kraju. Bali się widać, że kursanci mogliby Niemcom zdradzić prawdę o UWO, gdyż już wtedy okazywali otwarcie swe niezadowolenie z dowództwa.

Jednocześnie Smuga otrzymał od Konowalca i Jarego zlecenie i środki na to, aby Niemców poza godzinami instrukcji i odczytów odsuwać od kursantów.

Miałem wtedy okazję rozmawiać osobiście z kursantami. Wszyscy bez wyjątku byli rozczarowani dowództwem UWO. Otwarcie mówili, że UWO w kraju właściwie już nie istnieje i że jest to wina jedynie dowództwa i jego ugodowej działalności.

UWO w roku 1925

Po kursie w Pasłęku dowództwo UWO uspokoiło się trochę, mając nadzieję, że zdoła pracą służby wywiadowczej zataić nieistnienie UWO. Dostałem rozkaz, by pojechać do kraju i zorganizować służ[bę wywiadowczą, co też uczyniłem].

Mój pobyt w kraju

W początku maja 1925 roku przyjechałem do Lwowa i rozpocząłem organizację aparatu informacyjnego. Przy tej sposobności spotkałem się z wieloma byłymi członkami organizacji i dowiadywałem się od nich wielu ciekawych rzeczy o UWO w kraju. Przede wszystkim dowiedziałem się, że UWO jako taka właściwie w kraju nie istnieje. Cała organizacja składa się z Jure-

się uniewinnieniem Steigera. Sprawie Steigera towarzyszyła jednak zajądła kampania antysemitka, rozpetana przez sfery Narodowej Demokracji.

Tymczasem Olszański zdołał schronić się do Niemiec, gdzie uzyskał azyl polityczny. Jest rzeczą charakterystyczną, że kierownictwo UWO nie ujawniło roli Olszańskiego, nawet gdy ten już był bezpieczny w Niemczech. Również władze niemieckie przez długi czas nie ujawniały roli Olszańskiego. Dopiero w ostatnim stadium sprawy Steigera pod naciskiem opinii publicznej rząd niemiecki przekazał sądowi lwowskiemu materiały o roli Olszańskiego.

wicza i 8 lub 10 jego trabantów; wszyscy mieszkają we Lwowie i są utrzymywani przez Jurewicza. Nie ma więc mowy o jakimkolwiek wpływie UWO na prowincji. Dlatego też miałem w mej robocie duże trudności, bo nikt nie chciał się angażować pod egidą UWO.

Po powrocie do Berlina zdałem Konowalcowi dokładnie sprawę z sytuacji i warunków UWO. Kategorycznie zażądałem, żeby nareszcie zlikwidował hochsztaplerstwo Jurewicza i zmusił go do poważnej rozbudowy UWO w kraju. Na to Konowalec odpowiedział mi, że nie pokłada w Jurewiczu żadnych nadziei, ale i nie ma sposobu na ukrócenie jego wybryków. Od tego czasu krytykowałem działalność Jurewicza przy każdej nadarzającej się sposobności. Skutkiem mej szczerości były najpierw napięte stosunki między nami, aż wreszcie — we wrześniu 1925 roku — doszło do całkowitego zerwania.

„Rewolucja pałacowa” Jurewicza w krajowym UWO

W tym czasie ówczesny referent wojskowy, Jurewicz, dokonał przewrotu w dowództwie UWO. Obalił dotychczasowe dowództwo; przewodniczącego UWO, Indiszewskiego, wykluczył z organizacji, a siebie obwołał dyktatorem. Powodem były osobiste różnice w zapatrywaniach między Jurewiczem a innymi członkami dowództwa. Jurewicz przyjechał do Berlina i zażądał od Konowalca pieniędzy. Ponieważ jego wymagania nie zostały zaspokojone, postanowił, wróciwszy do kraju, sprzedać organ UWO „Nowy Czas”, choć nie miał po temu najmniejszych uprawnień. „Nowy Czas” kupił Palijiw za 900 dolarów. Ten sam Palijiw, który w swoim czasie prowadził rozmowy w Charkowie.

De facto zapłacił tylko 350 dolarów, gdyż pozostałe 550 dolarów darowano mu, gdy udało się pozyskać go z powrotem dla organizacji. Za tę sumę więc kupiła UWO Palijiwa. Zobowiązał się on za to wpływać na poszczególnych członków „UNDO”¹² i — jeżeli nie będą chcieli współpracować z UWO — występować w swoim piśmie przeciw „UNDO”.

12. UNDO — Ukraińska Narodowo-Demokratyczna Organizacja utworzona w 1925 roku jako legalnie działające stronnictwo, była polityczną nadbudową ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego w Polsce. Od 1928 roku UNDO miała silny klub poselski w sejmie. Oficjalnie UNDO odżegnywała się od działalności terrorystycznej UWO, faktycznie jednak utrzymywała z nią bliskie kontakty i korzystała z subsydiów przyznawanych UWO przez władze niemieckie. Przewodniczącym UNDO był przez długie lata dr Dymitr Lewicki poseł na sejm od 1928 roku i wydawca gazety ukraińskiej we Lwowie „Diło”.

Przystawienie się na teren polityczny było dla tych panów konieczne, gdyż czuli, że już nie zdołają podnieść UWO, ponieważ w tych kołach stracili grunt pod nogami. Uciekli się też do tego manewru, żeby ukryć przed Niemcami nieistnienie UWO.

Poprzez Palijiwa udało się nawiązać kontakt z UNDO, czy też z jej sekretarzem, Celewiczem. Początkowo Celewicz nie chciał nic o tym wiedzieć i napisał tak do Konowalca. Ale pokusa pieniądza była większa niż zasady polityczne. Celewicz i Palijiw przeszli na etat UWO — pakt był zawarty.

Co skłaniało UNDO, tzn. Dymitra Lewickiego, do współpracy z UWO? Dymitr Lewicki orientował się jaką wartość ma UWO. Ale wiedział także, że UWO dostaje od RM dość dużo pieniędzy i że nie jest wykluczone zwiększenie dotacji. Jest więc UWO kontrahentem z którym warto rozmawiać. Tym bardziej teraz, gdy wielu członków UNDO chciało przy najbliższych wyborach wejść do polskich Izb jako posłowie lub senatorowie. Potrzebowali więc pieniędzy na prowadzenie walki wyborczej. UNDO — tzn. Dymitr Lewicki — miało wesprzeć moralnie Konowalca który miał kandydować przy najbliższych wyborach. Teraz się wyjaśnia po co Konowalec sprowadził na koszt UWO Lewickiego i Czerkawskiego do Berlina i po co oni przyjeżdżali.

Dr Dymitr Lewicki

Do charakterystyki Lewickiego chciałbym jeszcze dodać, że podzielał polityczne zapatrywania Petlury. W latach 1918-1919, gdy nasza armia wykrwawiała się w walkach z Polakami, Lewicki przesiadywał jako poseł Petlury w Kopenhadze i składał wizyty polskiemu posłowi. Nawet gdy Petlura okazał brak zainteresowania Galicją Wschodnią i zawarł z Polską odpowiedni układ, Lewicki pozostał nadal w jego służbie.

Kopiowanie niemieckiego materiału

Podczas kursu w Pasłęku porucznik Rauch przywiózł fotografie polskich dokumentów, żeby pokazać kursantom jak wyglądają tajne dokumenty dotyczące polskiej armii. Te dokumenty po zakończonym kursie złożył porucznik Rauch u Jarego, który wróciwszy do Królewca, kazał Smudze te dokumenty sfotografować i zrobić kopie, żeby móc je sprzedać dalej. Potem kopiowano wszelkie materiały, jakie UWO dostawała od RM w 3-5

egzemplarzach. Także i materiały, które UWO dostawała od RM do tłumaczenia — były kopiowane.

Z rozkazu Konowalca i Jarego sprzedano część tych materiałów bolszewikom, a część Litwinom. Klisze i kopie materiałów zestawilem i spis dołączam osobno (załącznik nr 2)¹³.

*Broszura Kuczabskiego*¹⁴

Broszurę tę chcę bliżej omówić ponieważ została przez UWO przyjęta jako podstawa ideologiczna, choć później kierownictwo próbowało temu zaprzeczyć. Zresztą bliższe omówienie broszury byłoby i dlatego wskazane, że może wywołać różne dyskusje.

Po ukazaniu się broszury zapanowało w kołach UWO ogólne oburzenie. Wszyscy — oprócz Konowalca — odrzucali ją. W pewnej rozmowie Urban zapytał: „Czegóż właściwie chce ów Kuczabski od UWO? Jeżeli odrzuca sabotaże i tajną robotę przeciw polskim władzom, a w nas widzi zbrodniarzy i skrytobójców?”. „Kuczabski jest zadowolony, że polskie bagnety stoją nad Zbruczem i my się mamy także z tego cieszyć? Już samo to powinno wystarczyć do wykluczenia go z organizacji”. Podobnie wypowiadał się Czuczma w rozmowach w biurze referatu informacyjnego. Podkreślał wciąż, że takiej ideologii nigdy by nie przyjął. Specjalnie oburzony był antybolszewicką polityką, którą UWO teraz chciała wprowadzić. Górski i Smuga byli także bardzo przeciwni tej broszurze.

13. Dwustronnicowego załącznika-wykazu dokumentów nie przedrukowujemy.

14. Kuczabskij Wasyl (1895-?) historyk publicysta i działacz wojskowy. Dowódca II pułku Piechoty Siczowych Strzelców. Przepadł bez śladu w 1945.

W kierownictwie UWO pełnił funkcję szefa propagandy. Reprezentował we władzach emigracji ukraińskiej nurt umiarkowania i realizmu w stosunku do państwa Polskiego. We wspomnianej przez Dumina broszurze *Bolszewizm i aktualne zadania Ukrainy Zachodniej* (po ukraińsku), Lwów 1925. Kuczabski wyraża pogląd iż fakt, że część Ukraińców znalazła się pod dominacją polską jest szczęśliwym wypadkiem. Kuczabski obawia się bowiem rezultatów „ukrainizacji” w republice sowieckiej, która jego zdaniem natrafia wśród chłopstwa na podatny grunt. Nie obawia się natomiast polonizacji, co więcej widzi tu istnienie nieocenionych warunków. — W tym wypadku powtarza w pewnym sensie słowa innego polityka ukraińskiego Pannejko, który witał „bagnety polskie nad Zbruczem jako ostoję Galicji Wschodniej”.

Powyższe koncepcje Kuczabskiego wracają w późniejszych jego pracach *Ukraińcy i Polska 1934 roku* oraz w najbardziej znanej jego monografii *Die West-Ukraine im Kampfe mit Polen und dem Bolschewismus in den Jahren 1918-1923* (Berlin 1934).

W czasie pobytu w Berlinie Dymitr Lewicki opowiadał, że załatwiając swoje papiery w lwowskiej policji słyszał bardzo pochwalne słowa o tej broszurze. Polski komisarz policji żałował, że Ukraińcy odrzucają tak rozsądne (w jego mniemaniu) myśli i że ukraiński dziennik „Diło” jeszcze ciągle wojuje z Polakami, zamiast walczyć z bolszewikami.

Bezspornie celem tej broszury było przygotowanie odpowiedniego gruntu do porozumienia między kierownictwem UWO a UNDO. Przecież UNDO zmierza do zbliżenia i — jeśli możliwe — do porozumienia z Polską, tym głównym wrogiem ukraińskiego narodu. Najlepszym tego dowodem są dalsze rozważania, prowadzone w UWO od grudnia 1925 roku. Mam na myśli dyskusje o przyjęciu autonomii z „polskiej łaski”.

Rozmowa z 18 lutego 1926 roku

18 lutego 1926 roku odbyła się rozmowa z Celewiczem (generalnym sekretarzem UNDO). Przy tej rozmowie byli obecni: Konowalec, Celewicz, Kuczabski, Jary i Dumin. Po referacie Kuczabskiego odbyła się dyskusja, w której zapytałem, jak zamierza się zachować kierownictwo UWO w stosunku do polskich propozycji, odnośnie przyznania Ukraińcom autonomii. Celewicz oświadczył, że w takim wypadku UWO nie powinna zwalczać, ani takich propozycji, ani ich przyjęcia. Odwrotnie, powinna dopomóc do założenia partii politycznej, która byłaby gotowa praktycznie przeprowadzić i wykorzystać autonomię. Należałoby nawet wydelegować członków UWO do tej partii, aby w tym duchu wpływać na pozostałych zwolenników. Konowalec chciał usłyszeć moje zdanie na ten temat. Oświadczyłem, że UWO bezwzględnie musi pozostać przy swej zasadzie i że nikt nie powinien wdawać się w takie rozważania, czy nawet rozmowy z Polakami, póki polskie wojska stoją na zachodnio-ukraińskiej ziemi. Konowalec, Celewicz i Kuczabski próbowali mnie wtedy przekonać, że polityczna akcja nie może się tak bezwzględnie trzymać zasad, jak ja to sobie wyobrażam, tylko musi się dopasowywać do danych okoliczności i nastrojów. Było dla mnie od razu jasne, że dowództwo UWO ostatecznie odsunęło się od swej dawnej, zasadniczo antypolskiej postawy i że swą taktykę próbuje dopasować do danej sytuacji. Jeżeli Polska ujarzmionym Ukraińcom chce nadać pewien samorząd, to się go bierze oboma rękami i na dodatek odkomenderowuje się członków organizacji bojowej — może by stłumić ewentualne opory we własnym obozie. Dalsze komentarze są zbędne. Zamiast wszystkimi siłami prowadzić da-

lej dawno wypróbowaną walkę przeciw Polsce i w ten sposób wymuszać ustępstwa ufa się podaniom o łaskę i żebranie. Nie trzeba być politycznie specjalnie dalekowzrocznym żeby wiedzieć, że gdy minie walka wyborcza, polska polityka eksterminacyjna rozpocznie się znów ze wzmożoną siłą. Broszura Kuczabskiego ma przygotować podkład do takiej polityki, tzn. do polityki „porozumienia” i „współpracy z Polakami”. Jej celem jest osiągnięcie autonomii.

Odnosnie Broszury Kuczabskiego warto jeszcze wspomnieć, że w gazetce znanego przyjaciela Polaków, prof. Tomaszowskiego, tak ją nadmiernie wychwalano, że aż samemu Kuczabskiemu było przykro. Broszura ukazała się we Lwowie, bez najmniejszych trudności ze strony polskiej cenzury. Znaleźli się sprytni, którzy twierdzą, że broszura Kuczabskiego zawiera bardzo mocne antypolskie tendencje; trzeba tylko umieć ją czytać. Jeżeli tak jest, to znaczy, że Urban, Czuczman, Górski i ja nie potrafiliśmy jej zrozumieć. Ale czego należy oczekiwać od młodszej generacji ukraińskiej inteligencji? Jak ona ma umieć prawidłowo czytać i rozumieć tę broszurę? Oświadczam raz jeszcze, że na oficjalnym posiedzeniu dowództwa UWO, 18 lutego 1926 roku prychylnie dyskutowano możliwość przyjęcia autonomii z „łaski Polski”. Moje wywody o przebiegu rozmów i o wypowiedziach miarodajnych ludzi trzymają się ściśle prawdy. Twierdzenie odwrotne, że takie posiedzenia i takie rozważania nigdy nie miały miejsca, jest wymysłem wprowadzającym w błąd, dla uspokojenia inaczej myślących. Notowałem sobie szczegóły tego posiedzenia i mogę te notatki każdej chwili okazać.

Kurs wywiadowczy we Wrocławiu

Dowództwo UWO postanowiło urządzać kurs wywiadowczy, podobnie jak w ubiegłym roku, aby uspokoić Niemców (RM) i wywołać wrażenie, że UWO działa. Kurs miał się odbyć tym razem we Wrocławiu. Przyjęci mieli być na kurs przede wszystkim młodzi, inteligentni ludzie, którzy jesienią rb. musieliby wstąpić do polskiego wojska jako rekruci. Tu się okazało do czego dowództwo krajowe (tzn. Jurewicz) było zdolne. Zamiast właśnie tych młodych uczestników dopuścić, na kurs przyjęto starszych, którzy albo już służyli w wojsku, albo byli w ogóle do służby nie zdolni. Bez zastanowienia brano takich jacy byli pod ręką i dali się zwerbować.

Następująca lista może to najlepiej zilustrować. Na kurs we Wrocławiu byli zgłoszeni:

- | | | |
|-----------------|--------|-------------------------------------|
| 1. Schulz | 30 lat | |
| 2. Schulz | 26 " | |
| 3. Doroszenko | 25 " | (przed 3 laty odsłużył w artylerii) |
| 4. Duczeminski | 25 " | (niezdalny do służby w wojsku) |
| 5. Michanski | 25 " | (niezdalny do służby w wojsku) |
| 6. Meszehirskij | 26 " | (zwolniony ze służby w wojsku) |
| 7. Czipak | 24 " | (odsłużył przed 2 laty w Warszawie) |
| 8. Sałyj | 26 " | (zwolniony ze służby w wojsku) |
| 9. Biłyj | 25 " | (zwolniony ze służby w wojsku) |

Przed wyjazdem do Wrocławia otrzymałem ścisły rozkaz trzymać uczestników kursu z dala od Niemców. Przede wszystkim miałem uważać, aby major Just i porucznik Rauch nie kontaktowali się z tymi ludźmi. Spełniałem ten rozkaz w nadziei, że dowództwo UWO będzie musiało się samo wreszcie zorientować, że takiej taktyki nie można stale stosować i że należy coś przedsięwziąć, aby działania bojowe w terenie znów odżyły. Po przyjeździe do Wrocławia zapoznałem się z uczestnikami kursu. Gdy dowiedziałem się, że z nich nikt nie będzie służył w polskim wojsku — zrobiłem awanturę. Panowie z kierownictwa próbowali mnie uspokoić i kazali milczeć. Na wszelki wypadek instruowano każdego z uczestników jak ma na ewentualne pytania Justa, w sprawie służby w polskim wojsku, odpowiadać. Dziś bardzo żałuję, że się wtedy dostosowałem, zamiast zdemaskować całe to towarzystwo i położyć kres ich brudnej i oszukańczej działalności. Po zakończeniu kursu skrytykowałem w Berlinie w ostry sposób zauważone braki i niedociągnięcia. Jak zwykle, powiedziano mi, że Konowalec ponosi odpowiedzialność za te czy inne działania, a mnie to nie powinno nic obchodzić. Ta sprawa znacznie zaostrzyła napięte już stosunki między mną a dowództwem UWO.

Konferencja przewodniczących ekspozytur wywiadowczych

Jednocześnie z kursem wywiadowczym we Wrocławiu powstał plan zwołania konferencji przewodniczących ekspozytur. Po dług mnie taką konferencję można by zwołać dopiero w grudniu,

albo styczniu, ponieważ N.R.* ledwie rozwinął swoją działalność. Poza tym wtedy było obsadzonych tylko 5 ekspozytur. RM przeznaczyło 2.000 marek na tę konferencję. Konowalec powiedział mi któregoś dnia przed samym moim wyjazdem do Wrocławia, że w sprawie konferencji rozmawiał z RM i że Niemcy są za tym, aby konferencja odbyła się jednocześnie z kursem, tzn. w końcu września. Zaprotestowałem zwracając uwagę, że taka konferencja nie może stać się farsą i że takie rzeczy muszą być poważnie i skrupulatnie przygotowane. Odpowiedź Konowalca była krótka: konferencja musi się odbyć, pieniądze już nadeszły i z tej sumy absolutnie nie można zrezygnować. Na moje ponowne zastrzeżenia, że w tej chwili tylko trzy ekspozytury działają i że do końca grudnia możemy rozwinąć 6 do 7 ekspozytur, odpowiedzieli Konowalec i Jary: „No to dla Niemców już istnieje 6 ekspozytur”. Kierownicy trzech istniejących — Lwowa, Warszawy i Krakowa — będą je reprezentować, a dla nie egzystujących ekspozytur (Stanisławów, Tarnopol i Przemyśl) sprowadzi się trzech statystów z Czechosłowacji. Konowalec zaproponował swego brata na przedstawiciela Stanisławowa, na reprezentanta Tarnopola znalazł studenta z Czechosłowacji, a ponieważ nie można było wynaleźć żadnego statysty dla Przemyśla, wzięto jednego z kursantów.

Na dowód ścisłości mych wywodów załączam fotografię dr. Hołoba, recte Konowalca-brata (załącznik nr 3) i studenta z Pragi, Nowotnego (załącznik Nr 4 + 5). Ponieważ spodziewam się, że i te fakty będą kwestionowane — mogę dostarczyć i innych dowodów.

Na kilka dni przed zakończeniem wrocławskiego kursu, płk Gompf zapowiedział swoją wizytę. Żeby uniknąć jakichś niezręczności, które łatwo mógłby popełnić któryś z kursantów w rozmowie z Niemcami, a co by naturalnie zaszkodziło sprawom Konowalca, Konowalec i Jary przyjechali już kilka dni wcześniej. Instruowali pośpiesznie i trenowali uczestników kursu do ich ról. Na każde pytanie przygotowane były z góry odpowiedzi. Niemieccy wizytatorzy na pewno zauważyli, że Konowalec podczas rozmów z kursantami siedział w pierwszej ławce pod pretekstem, że musi rodakom wyjaśniać po ukraińsku niezrozumiałe niemieckie pytania. Przy tym podpowiadał co mają odpowiadać. Konowalec próbował kilkakrotnie przerwać moje sprawozdanie. Gdy się nie dałem zastraszyć, uderzył kilka razy pięścią w ławkę i wzrokiem kazał mi milczeć.

* N.R.: Nachrichten Referat (tłum.).

Jurewicz we Wrocławiu

Na zakończenie kursu przyjechał do Wrocławia Jurewicz. Wygłosił odczyt na temat propagandy. Po odczycie doszło do ożywionej dyskusji. Jurewicz musiał wówczas wysłuchać gorzkiej lecz słusznej krytyki swej osoby i działalności. Spośród uczestników kursu podniosły się ostre zarzuty przeciw brudnym machinacjom kilku panów z UWO. Wówczas też doszło do ostatecznego zerwania mojego z Jurewiczem. Główną przyczyną była — po moim powrocie z kraju — krytyka działalności dyktatora. Nasz stosunek zaostrzył się dodatkowo przez następujące wydarzenie: w czasie mojej nieobecności, Jurewicz bawiąc w Berlinie przyszedł do Smugi i zażądał pieniędzy. Smuga prowadził kasę N.R. Na zapytanie Smugi odpowiedziałem, że z kasy N.R. absolutnie nic nie ma być wydawane na inne cele. Smuga powtórzył to Jurewiczowi. Oburzony groził, że spowoduje rozbięcie N.R.

Projektowany zamach na ministra Grabskiego

Od wiosny 1925 roku brano stale pod uwagę konieczność dokonania zamachu na polskiego ministra oświaty, Grabskiego. W kilku listach Jurewicz naglił dowództwo zagraniczne UWO w Berlinie, aby koniecznie zdobyli na ten cel pieniądze i możliwie rychło przesłali je do kraju. Gdyby dowództwo zagraniczne nie miało żadnych pieniędzy do dyspozycji, to należało się niezwłocznie starać o otrzymanie pożyczki od Niemców. Dowództwo zagraniczne próbowało też dostać na ten cel większą sumę od RM, wykorzystując zamach Olszańskiego. Jednocześnie planowany zamach miał dowieść istnienia nieegzystującej UWO. Ten plan jednak zarzucono, gdy się wyjaśniło, że nie ma on wpływu na decyzję finansowego poparcia. Konowalec uznał że zamach i tak nie ma sensu, a Jary uzasadniał swój sąd o bezsensowności planowanego zamachu tym, że Polacy mogliby dyplomatyczną drogą spowodować wydalenie członków UWO z Niemiec. Ta wzmianka najlepiej naświetla rzekomo „narodowo-rewolucyjny duch” panujący w dowództwie UWO.

Osobiście już od 3 lat jestem członkiem UWO, ale przy najlepszych chęciach nie mogę zrozumieć co to takiego ten stale przez zarząd UWO podkreślany „rewolucyjny duch”. Czy są to może częste wyjazdy Jurewicza, Celewicza i innych zagranicę, czy też rozmowy z UNDO albo wydawanie OEK*, czy też służba wywiadowcza? W końcu dowództwo UWO w ogóle przestało przysparzać sobie kłopotów przez jakieś „niebezpieczne roboty”.

* Biuletyn w jęz. niemieckim: *Osteuropäische Korrespondenz*.

W rozumieniu niektórych panów jest dużo wygodniej spokojnie „pracować” za granicą. Rozpoczęte rozmowy z UNDO wykluczają wszelkiego rodzaju aktywność UWO, gdyż przywódcy UNDO nie dopuściliby nigdy — ze względu na zbliżające się wybory do polskiego Sejmu — aby ich cicha lojalność w stosunku do Polaków była zamącona.

W konkluzji można powiedzieć: Jeżeli zarząd UWO przez pewien czas rozważał zrobienie zamachu, to tylko po to, aby zrobić na tym interes. Sama myśl nie odpowiadała ani przekonaniom, ani duchowemu nastawieniu, ani programowi polityczno-komercyjnego stowarzyszenia, które tylko dla świadomego wprowadzania w błąd nadużywało imienia dawnej aktywnej organizacji rewolucyjnej.

Referat Kadr

Gdy UWO weszła przez swe stosunki z UNDO na teren polityki — zaczęła, w związku z nadchodzącymi wyborami, rozbudowywać referat kadr. Zadaniem tego referatu na zewnątrz — tzn. dla RM — miało być złączenie kółek gimnastycznych i straży pożarnych w jedną tajną armię, lecz w rzeczywistości był to instrument wyborczy dla UNDO i tych panów, którzy zamierzali kandydować. We Lwowie Jary zamówił fotografie z różnych zabaw tych kółek i wysłał to łącznie ze wspaniałymi sprawozdaniami do RM, aby Niemców łudzić, że UWO już tam wywiera swój wpływ. Mistyfikacja udała się, gdyż RM zostało prawie że przekonane jakoby owe sportowe i strażackie kółka znajdowały się całkowicie w rękach UWO. Z tych sprawozdań Jarego śmieli się sami członkowie dowództwa i gratulowali mu jego bujnej fantazji i pomysłów.

Konkurencyjne przedsiębiorstwo por. Raucha i plany Jarego

Już wspominałem, że dowództwo UWO budowało całą egzystencję na działalności referatu wywiadowczego. W zasadzie wydawała się im ta działalność niegodną, jednak starali się zebrać możliwie dużo materiałów nie dlatego, że byłoby konieczne dla nas, lub dla naszych sprzymierzeńców, wiedzieć wszystko co ważne o nieprzyjacielu, lecz żeby mieć instrument do wydostawania dalszych pieniędzy i móc mówić, że praca postępuje.

RM miało oprócz służby wywiadowczej UWO jeszcze inny aparat informacyjny w Prusach Wschodnich, w którym działał

por. Rauch. Przed rozpoczęciem kursu we Wrocławiu, jesienią 1925 roku, była mowa o niewygodnej konkurencji por. Raucha. Jary chciał unieszkodliwić jego działalność. Zaproponował mi, żebym się wywiadał jacy agenci pracują w Gdańsku dla Raucha, aby ich móc wydać Polakom. Gdy odmówiłem tego zadania, Jary powiedział mi dosłownie: „Jeżeli ty tego nie zrobisz, to ja to sam załatwię; temu sukinsynowi trzeba kark skrócić”. Obecni byli przy tej rozmowie Konowalec i Smuga. Przy tej okazji chciałbym wspomnieć jeszcze o jednym fakcie ilustrującym sposoby, jakimi Jary walczył z konkurencją por. Raucha.

Latem 1925 odbywały się na Wołyniu manewry polskiej kawalerii. Rauch dostał o tym dużo dobrego materiału. Jary kazał mi napisać fałszywe sprawozdanie. Gdy zwlekałem — sam zebrałem sprawozdanie, wykorzystując relacje w „Polsce Zbrojnej” i podał to dalej do A[bwehr]G[ruppe], oświadczając, że są to dane zebrane przez naszych współpracowników. Sprawozdanie uznano za dobre i zapłacono 150 czy 200 marek.

Zarzuty, że jako referent ponoszę odpowiedzialność za służbę wywiadowczą, mogą być częściowo uzasadnione. Muszę jednak podkreślić, że główna wina leży w dowództwie UWO, gdyż osobiście byłem przeciwny takim robotom, ale musiałem słuchać rozkazów Konowalca i Jarego. Zarzuca mi się, że się odłączyłem od UWO razem ze swoim aparatem, bo planowałem założenie osobnej organizacji wewnątrz UWO. To się zgadza, gdyż chciałem się na tyle odsunąć, aby choć tam gdzie ja mam coś do powiedzenia, wykluczyć metody pracy Konowalca i Jarego.

Jurewicz i referat wywiadowczy

Zasadniczo Jurewicz był przeciwnikiem działalności wywiadowczej — jak zresztą i całe kierownictwo UWO. Tolerował ją tylko dla płynących stąd niemieckich pieniędzy do jego dyspozycji. Kilkakrotnie żądał żeby mu referent wywiadu przysyłał raz na miesiąc całą kwotę prosto do kraju. Odmówiłem tego. Jurewicz wówczas oświadczył, że poprowadzi służbę wywiadowczą na własną rękę.

Po zakończeniu wrocławskiego kursu, RM zwróciło się do N.R. z prośbą o dostarczenie polskiego karabinu. Jurewicz, przebywający właśnie w Berlinie, wyraził gotowość załatwienia tego, pod warunkiem, że konieczne na to pieniądze będą wypłacone tylko jemu osobiście. Wkrótce po wyjeździe Jurewicz napisał, że karabin zakupiono i że się znajduje we Lwowie. W kilka

dni później pisał, że karabin jest już w Krakowie u przewodniczącego ekspozytury. Jednocześnie zażądał za ten karabin 500-600 dolarów, które niezwłocznie należy przesłać pod jego adresem. Sprawa wydała mi się niezupełnie w porządku, bo krakowski przewodniczący ekspozytury zawiadomił mnie, że postara się dostać polski karabin. Gdy potem, w listopadzie 1925 roku spotkałem się w Bytomiu z krakowskim przewodniczącym ekspozytury, spytałem go, czy Jurewicz przywiózł do Krakowa karabin; oświadczył, że nie Jurewicz, tylko on sam wystarał się o karabin. Jednocześnie powiedział, że Jurewicz prosił go by tej sprawy nie poruszać w rozmowie ze mną.

Wkrótce wyłoniła się we Lwowie inna afera. Przewodniczący lwowskiej ekspozytury, Bednarski, oświadczył w swoim czasie, że zdobędzie tajne instrukcje polskiej armii (Operacyjne wskazówki dla oficerów sztabu generalnego). Jednocześnie Jurewicz napisał do Jarego, że będzie mógł instrukcje zdobyć, ale potrzebuje na to koniecznie 200 dolarów, a na inny, związany z tym materiał, dodatkowo 400 dolarów.

Potem się okazało, że Jurewicz kazał lwowskiemu przewodniczącemu instrukcję wydostać i jemu doręczyć, a N.R. zawiadomić, że Jurewicz już materiał zdobył.

Do uzupełnienia charakterystyki Jurewicza i jego działalności w służbie wywiadowczej warto jeszcze wymienić następującą sprawę. W czasie spotkania w Gdańsku, Stroński opowiedział mi, że przyjechał do niego do Krakowa jeden z uczestników wrocławskiego kursu, lwowianin, i zażądał 40 dolarów na zdobycie materiałów. Prosił jednocześnie, aby Jurewiczowi w żadnym wypadku nic o tym nie mówić, gdyż Jurewicz zadysponował, że połowa wynalezionych materiałów ma być zawsze pozostawiona do jego dyspozycji. Stroński był oburzony, ale na żądanie Jurewicza musiał milczeć, o czym będzie jeszcze mowa.

Sytuacja w początku 1926 roku

Atmosfera w 1926 roku była tak napięta, że stosunki w dowództwie UWO dojrzały do konieczności radykalnej zmiany kursu w składzie personalnym. Albo zrobi się generalne porządki, albo wszystko się załamie. Z jednej strony zajmowało się dowództwo UWO, z Konowalcem na czele, sprawami które nie powinny mieć nic wspólnego z działalnością wojskowej organizacji, z drugiej strony — dowództwo w kraju przeprowadzało, pod kierownictwem Jurewicza, wysoce polityczne akcje, których głównym zadaniem było intrygowanie przeciw prezydentowi Petruszewi-

czowi. Celem tego było przygotowanie w kraju korzystnego podłoża przed zbliżającymi się wyborami sejmowymi, a na dalszą metę — do spółki z UNDO — pacyfikacja Ukrainy Zachodniej i uгода z Polską.

Działalność dowództwa zagranicznego ograniczyła się do umożliwienia kredytu na założenie banku, w którym szef Organizacji miał objąć dobrze płatną pozycję dyrektora¹⁵. Te starania są ogólnie znane i wywołały już przed kilkoma miesiącami oburzenie wśród członków w Berlinie. Protesty przeciw temu żeby rewolucyjna organizacja została przemieniona w firmę handlową, sięgały od Urbana aż do Górskiego. Jednak zabrakło im odwagi aby dopuścić do całkowitego zerwania. Grożono im, że ogólny bunt mógłby bardzo zaszkodzić „całości sprawy”. A tą „całością sprawy” było, w rozumieniu dowództwa, przede wszystkim zahamowanie finansowania z niemieckiej strony. To było u tych panów najważniejsze.

Ażeby zapobiec wszelkiego rodzaju nieporozumieniom, oświadczam, że się wypowiadałem za radykalnym rozwiązaniem kryzysu w UWO nie tylko dlatego, że Konowalec zajmował się komercyjnymi sprawami, ale i dlatego, że razem z Jurewiczem rozniecał intrygi polityczne, zamiast rozbudowywać Organizację. Byłem za całkowitym usunięciem wszystkich hochsztaplerów, intrygantów i agentów z organizacji. Tylko w ten sposób można było uzdrowić i wznowić działalność organizacji. Planowałem atak na rozpanoszonego w UWO system korupcji. Publicznie wypowiadałem swoje zarzuty, a było wielu członków o podobnym nastawieniu.

Jesienią 1925 roku wprowadzono w N.R. miesięczne konferencje. Odbywały się one w Gdańsku, a brali w nich udział moi współpracownicy z kraju i ja. Na tych konferencjach miały być omawiane i załatwiane wszystkie sprawy dotyczące służby wywiadowczej. Wtedy też wypłacałem różnym ekspozyturom pieniądze, zbierałem materiały, czy informacje poszczególnych ekspozytur jakich materiałów mogłyby dostarczyć. W czasie konferencji omawiano także różne ogólne zagadnienia, ale przede wszystkim problemy łączące się z obecnym kierownictwem UWO. Najważniejsza z tych konferencji odbyła się w ostatnich dniach lutego br. Ze strony N.R. brali udział: Galiński — szef ekspozytury w Gdańsku; Stroński — szef ekspozytury w Krakowie; Poniatowski — współpracownik fabryki „Pocisk”; Boguski — współpracownik z Gdańska i niżej podpisany. Ze strony RM byli wyznaczeni do udziału: major Just i kpt. Forster.

Drugiego dnia po naszym przyjeździe do Gdańska odbyło się

15. Zob. Wstęp przypis 2.

coś w rodzaju wspólnej kolacji w jednej z kawiarni, na którą przybyli wszyscy wyżej wymienieni. Temat rozmów był początkowo ogólny. Dopiero gdy mjr Just i kpt. Forster przesiedli się do stolika komisarza Raillego, pozostałem sam ze współpracownikami N.R. W trakcie rozmowy Galiński poruszył problem UWO. Stwierdził, że UWO już nie istnieje i że w kraju rozszerza się niechęć do przywódców UWO z powodu ich bezczynności. Dlatego jest zadaniem naszym, członków N.R., jedyne aktywnego referatu, zaprowadzić znów porządek. Stroński to potwierdził. Opowiedział przy tej okazji, że Jurewicz kiedyś specjalnie po to przyjechał, by dostać zamek polskiego karabinu. Stroński wyśmiewał się z dowódcy UWO, który zajmuje się takimi drobiazgami, a zaniedbuje rozbudowę organizacji. Poza tym Galiński i Stroński znajdowali już tylko słowa oburzenia, drwiny i kpiny dla dowódcy UWO. Wreszcie zaproponowano mi, abym w ich imieniu rozpoczął walkę przeciw obecnym warunkom w UWO, a gdyby to miało być konieczne — podjął rewolucyjne kroki przeciw obecnemu dowódcy UWO. Świadcami tej rozmowy byli Bogucki i Poniatowski. Galiński i Stroński nie przeczyli temu w czasie ostatniego pobytu w Berlinie. Jednakowoż twierdzili, że ich fałszywie informowałem o sytuacji w UWO i że na tej podstawie wyrobili sobie fałszywą opinię. Ja natomiast oświadczyłem, że takie twierdzenie odbiega od prawdy. O sytuacji w kraju informowali mnie Stroński i Galiński, a nie na odwrót. Sami kategorycznie twierdzili, że oprócz N.R. nie ma żadnej organizacji i że całe dowództwo — to grupka hochsztaplerów. Wiedzieli także o ugodowo-autonomicznych tendencjach w UWO. Galiński poufnie zawiadomił mnie o zamiarze Konowalca kandydowania do polskiego Sejmu, o czym dowiedział się Jurewicz. W tych warunkach twierdzenie obu, że ich fałszywie informowałem, jest przekręcaniem faktów. Ja sam informowałem obu tylko o wydarzeniach berlińskich.

Opowiadałem np. o intrygach Konowalca i Jarego przeciw prezydentowi Petruszewiczowi, co się całkowicie zgadza z prawdą. Dalej, wspominałem, że Konowalec stara się po otrzymaniu kredytów o posadę dyrektora banku. Wreszcie dodałem, że organizacja w Berlinie jest przedstawiana jako mocna i wpływowa. Czyli mówiłem same fakty zgodne z prawdą.

Wracam do tematu. Na propozycję Strońskiego i Galińskiego abym stanowczo wystąpił przeciw dzisiejszym stosunkom w UWO — odpowiedziałem, że jestem gotów to wykonać. Przecież już dawno zarzucałem dowódcy UWO hochsztaplerstwo, brak aktywności i bawienie się w intrygi. Ale teraz zdecydowałem, moralnie poparty przez dwóch odpowiedzialnych członków, silniej

działać przeciw mafii prowadzącej UWO do przepaści. Problemy UWO omawialiśmy zresztą kilkakrotnie. Z Galińskim roztrząsaliśmy to podczas kursu we Wrocławiu, a potem w Gdańsku. Za każdym razem zgadzaliśmy się, że UWO jest bagnem, którego uzdrowienie może być rozpoczęte tylko od górnych szczebli. W innym wypadku nie ma mowy, abyśmy mogli podjąć walkę przeciw Polsce.

Między innymi opowiadał mi Stroński o działalności Jurewicza. Oprócz szczegółu o zamku polskiego karabinu, dowiedziałem się, że Jurewicz próbował namówić Strońskiego aby przeszedł „na jego stronę”, obiecując wyższą pensję. Rzuca to jaskrawe światło na osobę najwyższego komendanta i dyktatora, który się nawet nie waha przekupywać własnych ludzi, jeśli to tylko osłabia referat, którego kierownik jemu się nie podoba¹⁶.

Po powrocie z Gdańska zdałem sprawę Konowalcowi z działalności Jurewicza. Zażądałem od Konowalca, jako od dowódcy zagranicznej komendantury, żeby pociągnął Jurewicza do odpowiedzialności, gdyż ten nie wykonując żadnej organizacyjnej pracy — chce zniszczyć jedyny aktywny referat (N.R.). Konowalec nic na to nie odpowiedział i niczego nie przedsięwziął. Od tego czasu rozpocząłem z całej siły walkę z dowódcami UWO. Robiłem to w przekonaniu, że dowódcy którzy nic nie robią, posługują się korupcją, zaś chętnym do pracy piętrzą trudności — nie są dowódcami. Wszyscy inni panowie [członkowie N.R.] byli tego samego zdania i uznali Jurewicza za awanturnika. Przy Konowalcu nazwałem Jurewicza, z powodu jego działalności, zbrodniarzem.

Sposoby „uzdrowienia” stosunków w UWO

Po ostatniej rozmowie w Gdańsku, w czasie której odpowiedzialni członkowie N.R. w tym duchu się wypowiedzieli a mnie zlecili „podjęcie kroków” prowadzących do uzdrowienia UWO — zacząłem działać w tym kierunku. Przede wszystkim [próbowałem nawiązać kontakt z zastępcami prezydenta Petruszewicza i prosiłem ich, by prezydent zechciał zająć się sprawami UWO. Dla każdego znającego historię] UWO jest jasne dlaczego musiałem się zwrócić właśnie do prezydenta Petruszewicza. Organizacja pracowała w pierwszych latach, tzn. 1921-22, według zleceń biura prezydenta i była powołana do przeprowadzenia antypolskich akcji, co prezydent stale popiera. Aż do początku 1925 roku

16. Dumin ma na myśli Referat Wywiadowczy przezeń kierowany.

UWO uznawała prezydenta Petruszewicza za swego moralnego najwyższego zwierzchnika, tym bardziej, że popierał on i wspomagał organizację moralnie i finansowo. Z początkiem 1925 roku Konowalec intrygami przeciw prezydentowi dopiął celu, a Petruszewicz doszedł do przekonania, że organizacja, jako organizacja bojowa — nie istnieje. Wtedy zaczął się rozbrat z UWO, a wkrótce potem niesłychana nagonka na osobę i politykę Petruszewicza. Konowalec i jego ludzie trzymali się tak długo prezydenta, jak długo stawiał im do dyspozycji dostateczne sumy (zebrane wśród ukraińskich emigrantów). Ale gdy udało się dostać pieniądze bezpośrednio od Niemców — Konowalec zmienił stanowisko i przerzucił się na oportunistyczny kierunek. Napady na prezydenta były coraz sroższe i wreszcie nazwano go komunistą. Początkowo wierzyłem tym intrygom, choć nie mogłem znaleźć żadnych uzasadnionych punktów zaczepienia przeciw prezydentowi, gdyż trzymał się on swojego, wrogo do Polski nastawionego kierunku. Próbowałem więc przeniknąć politykę Konowalca i wkrótce znalazłem przyczynę zmiany jego przekonania. Prezydent, oczywiście, nawet nie rozważał możliwości kooperacji z Polską. Odrzucał także zdecydowanie kombinację samorządu z „łaski Polski”. Są to fakty, które były dla Konowalca niewygodne. Nie zamierzam pisać apologii prezydenta Petruszewicza, gdyż on tego nie potrzebuje. Każdy kto zna jego przekonania i polityczne nastawienie wie, jaką wartość mają podłe intrygi Konowalca i jego wspólników. Wspominam to tylko, bo panowie z UWO twierdzą, że każdy broniący prezydenta, albo zgadzający się z jego polityką (bezkompromisowe zwalczanie polskiej okupacji w ukraińskich ziemiach) jest zdrajcą. Towarzystwo, które się w UWO dopchało do władzy, ma swoją własną moralność, której przepisy głoszą, że każda podłość i każde gałganstwo przynoszące im korzyść, nie powinno dochodzić do wiadomości ogółu. Każdy z członków musi zachowywać całkowitą tajemnicę, a w razie konieczności musi bronić sprawy (patrz kurs w Pasłęku i we Wrocławiu). Kto odważy się wyciągnąć te machinacje na światło dzienne i żąda sprawozdania, ten zdrajca — w ich rozumieniu — „całość sprawy” (czy „ogólną sprawę”) jak to się mówi. A ta „ogólna sprawa” to nic innego jak ohydne prywatne przedsiębiorstwo Konowalca, Jurewicza et consortes. Tam więc ostem-płowano i mnie jako zdrajcę „ogólnej sprawy”.

Konferencja w Gdańsku w marcu 1926 roku

W Gdańsku odbyła się w marcu br. konferencja, w której

brało udział kilku przewodniczących ekspozytur, jak Gliński, Stroński, Górski i Boguski. Wszyscy uczestnicy, a szczególnie Galiński, mocno atakowali działalność Konowalca i krytykowali go bardzo ostro. Zarzucano mu, że zamiast się troszczyć o organizację, szuka kredytów. Stroński opowiedział mi przy tej okazji, że Jurewicz był u niego i ponownie proponował mu, aby dla niego pracował. Obaj się kategorycznie za tym wypowiadali, aby skończyć z obecnym dowództwem UWO, ponieważ stanowi ono tylko przeszkodę na drodze do uzdrowienia organizacji.

Konferencja umocniła mnie w moim przedsięwzięciu i potwierdziła, że moje zdanie o konieczności przyjęcia jawnego stanowiska przeciw dowództwu UWO było prawidłowe. Od razu po powrocie do Berlina poinformowałem Konowalca o działalności Jurewicza i żądałem raz jeszcze, aby Jurewicza pociągnięto do odpowiedzialności. Konowalec obiecał rozpocząć śledztwo i dodał, że trzeba by przesłuchać Strońskiego i Galińskiego. Aby sprawy nie przewlekać, napisałem do obu, żeby przyjechali do Berlina. [...] ¹⁷.

Stanowisko majora Justa

W opisywanej sprawie często występuje nazwisko majora Justa. Zarzucają mu, że był moim inspiratorem i protektorem, że był duchowym twórcą moich poczynań przeciw dowództwu UWO. Aby zadośćuczynić prawdzie, stwierdzam, że ani jedno słowo z tych zarzutów nie jest słuszne. Podkreślam raz jeszcze, że moje niezadowolenie z działalności dowództwa UWO zaczyna się nie dopiero w 1926 roku, lecz już dużo wcześniej, jeszcze nim mjr Just został oficerem łącznikowym między UWO i RM. Poza tym przypuszczenie, że mjr Just mógłby mieć jakiegokolwiek osobiste korzyści z mojej walki z Konowalcem, Jurewiczem i innymi, jest wręcz śmieszne. Rola mjr. Justa w tej sprawie była następująca: na jego pytania dotyczące ukraińskiej organizacji bojowej, które mi od czasu do czasu zadawał, odpowiadałem zgodnie z prawdą, a on podawał te informacje drogą służbową swym przełożonym. Informacje dotyczyły na ogół mego referatu. Do-

17. Opuszczamy 8 stron tekstu, w którym Dumin opisuje przebieg konfliktu, stanowisko poszczególnych działaczy ukraińskich itp. Ostatecznie w wyniku dramatycznego posiedzenia w Gdańsku w dniach 23 i 24 marca 1926 roku Dumin oświadczył, że nie uznaje autorytetu obecnego kierownictwa UWO i opuścił salę. W efekcie został on usunięty z kierownictwa Referatu Wywiadowczego a faktycznie również z UWO.

piero w lutym br. rozmawiałem z mjr. Justem o ogólnej sytuacji UWO. Pozostaje jeszcze odpowiedź na drugie pytanie: czy miałem prawo informować mjr. Justa o tym wszystkim i czy moją działalność należy piętnować jako zdradę spraw narodowo-ukraińskich. Rzeczywiście, jeśli milczenie, aprobowanie, czy tolerowanie łgarstw, hochsztaplerstwa i ugodowej zarazy w UWO (o czym i tak przez 2 lata milczałem, czego bardzo żałuję) miałyby być uznane za zdradę interesów narodowych, to wezmę chętnie cały ciężar oskarżenia na siebie i jestem gotów do odpowiedzialności.

Mój pobyt [w Gdańsku] 18 marca 1926 roku

Z powodu rozmów w sprawie ekspozytury warszawskiej byłem 18 marca br. w Gdańsku. Przy tej okazji omawiałem z Galińskim aktualne zagadnienia. Podkreślałem, że podług mnie byłoby najlepiej, gdyby się organizację podporządkowało znów wpływom prezydenta Petruszewicza, gdyż jego zdecydowana wrogość do Polski nie ulega żadnej wątpliwości. Powiadomiłem też Galińskiego, że w tym duchu prowadziłem rozmowy z zastępcami prezydenta i że mam nadzieję nie spotkać z tej strony żadnych specjalnych trudności. Jeżeli chodzi o Niemców, to także powieǳiałem Galińskiemu, że poinformowałem mjr. Justa, jako oficera łącznikowego, o prawdziwej sytuacji UWO. Nie zataiłem również, że mjr. Just bardzo się przejął tą wiadomością i że mnie prosił o pozwolenie zawiadomienia o tym jego urzędu. Zgodziłem się, gdyż nie ma sensu zatajać tych spraw. W końcu i tak wyдостаłyby się na światło dzienne.

Po moim powrocie do Berlina w końcu marca, Galiński uległ wpływom panów z UWO i skonstruował legendę, jakoby mu powiedział, że mjr. Just był promotorem walki przeciw dowództwu UWO).

Gdy Galińskiego poinformowałem o przebiegu spraw, poprosiłem go aby mi szczerze powiedział swoje zdanie czy mam dalej tak postępować, czy ewentualnie zmienić, i dalej cierpieć działalność obecnego dowództwa. Galiński uznał moje wywody za prawidłowe i powiedział: „Niech pan robi wszystko, co pan uważa za korzystne. Najważniejsze jest, żeby aparat wywiadu na tym nie ucierpiał, gdyż od tej jedynej aktywnej pozycji musi się rozpocząć wznowienie i uzdrowienie UWO”. Z tym wróciłem do Berlina, pokrzepiony w moich planach i przekonany, że myśl Galińskiego jest prawidłowa, że w referacie wywiadu tkwi zdrowy rdzeń.

Stanowisko Strońskiego

Po moim powrocie dostałem także list od Strońskiego, utrzymany w tym samym duchu i szeroko omawiający możliwości uzdrowienia UWO. List jest ponadto specjalnie interesujący, gdyż jest w nim wyraźnie mowa, że panowie z dowództwa nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko prowadzić intrygi. Później Stroński zaprzeczał temu. Treść listu jest następująca: (załącznik 6). 22 marca br. Stroński przyjechał do Gdańska. Stąd telefonem porozumieliśmy się, gdyż nie mógł przyjechać do Berlina. Zgadzał się z moją działalnością i podkreślał, że odnowienie UWO jest możliwe tylko według zasad z lat 1921-22.

Przyjazd Jurewicza do Berlina

Około 15 marca br. Jurewicz przyjechał do Berlina. Któregoś dnia spytał mnie Konowalec, czy nie zechciałbym omówić z Jurewiczem różnych zagadnień. Odpowiedziałem, że mi nie zależy na rozmowie z Jurewiczem, natomiast żądam, żeby go nareszcie pociągnięto do odpowiedzialności za następujące przestępstwa:

1. Za rozkaz, że zebrany przez członków N.R. materiał musi być postawiony do jego dyspozycji.
2. Za wpływanie na poszczególnych członków N.R. aby wystąpili z N.R., zaprzestali swej działalności, itp., co się równało całkowitemu sparaliżowaniu N.R. Widzę w tym przestępstwo w stosunku do organizacji.
3. Za osobiste podkopywanie nielubianych osób, które nie mogły dawać mu pieniędzy do dyspozycji.

Moje żądanie było ostatecznie sprecyzowane w następujący sposób: „Jurewicz musi być najpierw zauspendsowany, a moje zarzuty zbadane przez sąd”. Jednocześnie wniosłem żądanie aby Jurewicz zdał sprawozdanie z dochodów i wydatków za ostatnie lata. Wiedziałem, że Jurewicz gospodarował pieniędzmi od lat bez żadnej kontroli. Moje oświadczenie bardzo zdeprymowało Konowalca. Nie roztrząsając dalej sprawy — pożegnał się.

Kontrola kasy

W swoim czasie Konowalec zadysponował kontrolę kas UWO i N.R. Komisja mająca kontrolować kasę N.R. składała się z panów Urbana i Górskiego oraz z samego N.R. — pana Smugi.

Rewizja odbyła się 12 marca br. Do księgi kasowej wpisano uwagę, że wpisy zgadzają się z dokumentacją, a wszystkie załączniki są prawidłowo wystawione. Do kontroli głównej kasy UWO wyznaczono Kuczabskiego i mnie. Do kontroli jednak nigdy nie doszło, bo ją ciągle przesuwano, tłumacząc, że jeszcze nie wszystkie dokumenty i kwity są zestawione i dlatego chwilowo zamknięcie kasy jest nie do przeprowadzenia. Myślę, że nie chciano dopuścić mnie do tej kontroli, gdyż już wtedy stawiałem zarzuty fatalnej gospodarki. Kontrola umożliwiłaby mi dokładny wgląd w gospodarkę finansową. Dalszą przyczyną mogło być jeszcze to, że mógłbym skonstatować brak wszelkich kwitów dotyczących Jurewicza. A poza tym, miałbym dowody, że z tych pieniędzy finansowane są wydatki o czysto politycznym charakterze, jak np. pensje dla osób z UNDO, podróże polityków, etc. Księga kasowa N.R. jest u mnie na przechowaniu. Jestem każdej chwili gotów wydać ją uprawnionej komisji rewizyjnej. Odmawiam jednak wydania księgi U. W. Organizacji, bo obawiam się, że niektórzy panowie z kierownictwa byliby gotowi księgę według własnych potrzeb skorygować, kwity wyrzucić lub zmienić. Ponieważ znam metody tych ludzi, wyciągnęliby potem wszystkie możliwe oszczerstwa i zarzuty przeciw mnie. (Co zresztą Czuczman już zrobił).

Posiedzenie z 23 marca 1926 roku

23 marca br. odbyło się pod przewodnictwem Konowalca posiedzenie, w którym brali udział Jurewicz, Jary, Kuczabski i ja. Konowalec otworzył posiedzenie mową o treści mniej więcej następującej: „Ostatnio wydarzyły się w naszych kołach bardzo przykre rzeczy. Pan Dumin oskarża pana Jurewicza, członka kierownictwa UWO, o różne przestępstwa, a poza tym zgłasza także zarzuty przeciw dowództwu”. Następnie Konowalec spytał mnie czy podtrzymuję swe oskarżenia. Potwierdziłem to i podałem swe powody. Konowalec próbował mnie przekonać, że moje zarzuty są bezpodstawne i że źle zrozumiałem, albo nawet przekreśliłem, informacje Galińskiego i Strońskiego. Potem zwrócił się do Jurewicza i zapytał go co ma do powiedzenia. Jurewicz cynicznie uśmiechając się przedstawił moje twierdzenia jako nieprawdziwe i fałszywe. To oświadczenie wystarczyło Konowalcowi; uznał sprawę Jurewicza za zakończoną. Odpowiedziałem na to: „Dla pana sprawa ta może jest zakończona — dla mnie jednak nie. Pozostaję przy swoim oskarżeniu i żądam raz jeszcze, aby Jurewicz został zwolniony ze służby, a sprawa przekazana sądowi”. Konowalec nie zareagował na moje ponowne żądanie.

Zapytał czy uznaje kierownictwo UWO. Na to odpowiedziałem, że moje żądanie nie ma nic wspólnego z uznawaniem czy nieuznawaniem kierownictwa UWO.

Byłem tego dnia zdenerwowany i zmęczony. Poprosiwszy o przesunięcie posiedzenia na następny dzień, wyszedłem. Było mi przykro, że Urban, który dawniej nie raz wypowiadał swe niezadowolnienie z kierownictwa UWO, a szczególnie występował przeciw Konowalcowi, teraz zajął stanowisko przeciw mnie.

Posiedzenie kontynuowano 23 marca rb. [? — chyba 24?]. Zapytano mnie jeszcze raz czy uznaje kierownictwo UWO. Po dłuższej debacie, która w końcu wyrodziła się w osobiste ataki, oświadczyłem, że nie uznaje autorytetu obecnego kierownictwa, po czym opuściłem salę. Jurewicz powtórnie zapewniał, że wszystkie stawiane mu zarzuty, jak również informacje Galińskiego i Strońskiego, oparte są na nieprawdzie.

Telegram do Galińskiego i Strońskiego

Stroński obiecał przyjechać 27 marca do Gdańska i stąd jechać razem z Galińskim dalej do Berlina, gdzie mieli złożyć wspólne oświadczenie. Poza tym jeszcze Stroński chciał potwierdzić, że Jurewicz żądał od niego, za plecami N.R., wydawania materiałów. Dowiedziałem się że Jurewicz 26 marca wyjechał do Gdańska, aby Galińskiego i Strońskiego złapać i przeciągnąć na swoją stronę. Słyszałem także, że rozpoczyna przeciwakcję, by namówić wszystkich współpracowników N.R. do złożenia oświadczenia przeciw mnie (jako przewodniczącemu N.R.).

Chcąc uprzedzić Jurewicza, a ostrzec Galińskiego i Strońskiego, wysłałem do Gdańska telegram z prośbą, aby nie wdawali się w żadne rozmowy z Jurewiczem, tylko żeby jechali wprost do Berlina. Byłem przekonany, że obaj przy konfrontacji powtórzą jasno i otwarcie swe zarzuty i krytykę, tak jak przystało na ludzi honoru i jak mi obiecali.

Zwolnienie mnie ze służby

W dwa dni po moim oświadczeniu przeciw teraźniejszemu dowództwu UWO — uzasadnionej obecnością w dowództwie osób nieudolnych i niegodnych piastowania takich urzędów — otrzymałem od Konowalca zawiadomienie, że decyzją głównego dowództwa jestem zwolniony ze stanowiska referenta wywiadu.

26 marca mjr Just odwiedził Konowalca, który mu oświadczył, że zwolniono mnie ze służby z następujących powodów:

1. Bo w Gdańsku instruowałem Boguskiego, żeby niemieckiej placówce kontr-wywiadu w Królewcu zdawał relacje w sposób dla UWO niekorzystny. Innymi słowy — próbowałem skłonić Boguskiego do prowokacji.
2. Bo byłem przeciwny obsadzaniu królewieckiej i wrocławskiej placówki kontrwywiadu naszymi współpracownikami i próbowałem wszelkimi środkami sabotować ich działalność.
3. Próbowałem działalność N.R. odizolować od pozostałej UWO.

Wszystkie trzy powody są zmyślane i oparte na złośliwym przekręcaniu faktów.

Na życzenie i w imieniu Konowalca przyszedł do mnie mjr Just z zawiadomieniem o zwolnieniu mnie ze służby. Zażądał ode mnie zwolnienia referatu, dodając, że powody które mu podano są dostatecznie poważne, by mnie zwolnić ze służby. Odpowiedziałem, że te powody są skłamane i zmyślane i wyjaśniłem mu rzeczywiste powody, które doprowadziły do mej dymisji. Mjr Just spisał moje oskarżenia, a ja je podpisałem. Sam fakt mojej dymisji uwidocznia zmyślność sprawiedliwości Konowalca. Ja oskarżam Jurewicza i podaję dowody, a Konowalec zamiast Jurewicza zwolnić ze służby i wytoczyć mu sprawę sądową, unieszkodliwia oskarżającego dymisjonując go. Tak więc interesy kliki są ważniejsze niż potrzeby ogólnej sprawy. Apelowanie do poczucia sprawiedliwości u tych ludzi jest beznadziejnym przedsięwzięciem. Wiem z własnego doświadczenia co ono jest warte.

Podróż Jurewicza do Gdańska

Po listownym zawiadomieniu mnie o zwolnieniu, Jurewicz wyjechał do Gdańska. W międzyczasie przybył tam już Stroński. Jurewicz oczywiście nie żałował trudu, by przekonać Strońskiego i Galińskiego że moje postępowanie jest zdradą narodu ukraińskiego. Przy tym zwracał i na to uwagę, że Niemcy (RM) przestaną udzielać subsydiów, jeśli się dowiedzą o naszych wewnętrznych sprawach. Ten argument prawdopodobnie przekonał Galińskiego i Strońskiego, ponieważ Galiński już w czasie naszej rozmowy 18 marca prosił mnie, abym uzdrawianie UWO przepro-

wadzał w taki sposób, żeby Niemcy nie byli zaskoczeni i nie wstrzymali wypłat. W dalszej rozmowie powiedział: „Zgadzam się ze wszystkim co Pan proponuje. Trzeba jednak wszystko robić ostrożnie, żeby N.R. mógł dalej pracować i — tak jak do tej pory — otrzymywać pieniądze od Niemców (RM). Najważniejsze więc były pieniądze. Gdy Stroński i Galiński dowiedzieli się, że dowódcy UWO otrzymali od Niemców (RM) zapewnienie dalszej współpracy — zapomnieli ni stąd ni z owąd o skandalicznym wpływie Jurewicza na UWO i o uzdrawianiu warunków w organizacji.

Rozmowa z Galińskim i Strońskim

29 marca br. przyjechali do Berlina Galiński i Stroński, obaj odpowiednio poinstruowani przez Jurewicza. W godzinach przedpołudniowych zawiadomili że o 2-ej po południu przyjdą do mnie. Nim jednak przyszli, konferowali z Konowalcem, Jarym i Urbanem. W czasie narady zapewniono ich raz jeszcze, że RM w dalszym ciągu będzie współpracowało z UWO. Galiński i Stroński przyszli o 4-ej po południu. Od razu zauważyłem, że było im nieprzyjemnie ze mną rozmawiać. Byli zażenowani. W czasie następującej rozmowy obaj wyjaśniali swe stanowisko. Okazało się, że byli gruntownie instruowani. W urywanych zdaniach dali mi do zrozumienia, że to wszystko, o czym niedawno rozmawialiśmy i co było naszym wspólnym celem (uzdrowienie stosunków w UWO), jest rzeczą nie do przeprowadzenia. Ażeby umotywować w jakiś sposób zmianę zdania, zaczęli krytykować moje postępowanie i zarzucali mi, że powiedziałem mjr. Justowi o prawdziwych powodach mej dymisji.

„Wszystko, co się u nas dzieje, nawet najgorsze, musi zostawać między nami i nie wolno tego obcym (tzn. Niemcom) opowiadać”. Tak obaj oświadczyli. Zwróciłem im uwagę, że Niemcy są naszymi sprzymierzeńcami i że byłoby czymś niedopuszczalnym w dalszym ciągu wprowadzać ich w błąd. Nie powinno być także możliwe, aby przywódcy UWO prowadzili za niemieckie pieniądze ugodową, prawie że polonifilską politykę (i tylko politykę).

Pieniądze dawane nam przez Niemców do dyspozycji nie mają służyć do pacyfikacji kraju, czy do osiągnięcia mandatu w polskim sejmie. Poza tym wyjaśniłem obu panom, że gdyby kierownictwo UWO poprawnie postępowało, Jurewicz, którego oskarżyłem, powinien być zwolniony ze służby, nie ja.

Na to odpowiedzieli mi, że „Niemcy nie powinni nic o naszych wewnętrznych sprawach wiedzieć”. A odnośnie mego zwolnienia — Galiński cynicznie dodał, że „dowództwo może wszyst-

ko zrobić, nawet zwolnić referenta ze służby, choćby był całkiem niewinny”.

Po tym oświadczeniu uznałem, że należy naszą rozmowę przerwać.

Uwagi końcowe

Cały mój referat uwidacznia każdemu bezstronnemu dlaczego przeciwstawiłem się władzom UWO, dlaczego na pytanie, czy uznaję tę władzę, odpowiadałem zwięzłym „Nie”. Zestawie jeszcze raz w skrócie powody, które mnie skłoniły do wystąpienia przeciw władzom UWO i do rozpoczęcia akcji ratowania samej Organizacji. Zrobiłem to, gdyż kierownictwo tworzą ludzie, których poprzednia działalność nie daje żadnej poręki, że im szczerze chodzi o rozbudowę UWO, tzn. organizacji zdolnej do walki przeciw Polsce.

Weźmy na przykład Konowalca, który już w latach 1920-21 spełniał na zlecenie Petlury krecią robotę przeciw Zachodnio-Ukraińskiemu Rządowi prezydenta Petruszewicza. Konowalec i dziś pracuje w tym kierunku, aby Ukraina pogodziła się z polską okupacją. Nawet w latach 1922-23 utrzymywał Konowalec stosunki z Petlurą, choć pozornie zgadzał się z prezydentem Petruszewiczem. W roku 1925 przeciwstawił się znów prezydentowi, gdyż konsekwentnie nieprzyjazny stosunek Petruszewicza wobec Polaków przekreślał plany Konowalca. Ażeby to ukryć, próbował imputować Petruszewiczowi bolszewizm. Poza tym Konowalec jest znany jako zręczny korupcjonista. Od ludzi, którzy obserwowali działalność Konowalca w Austrii i Czechosłowacji w latach 1920-21, można się dowiedzieć, jak dobrze Konowalec potrafił wykorzystywać dla swych planów ciężkie materialnie warunki niektórych ukraińskich emigrantów. Liczne przykłady z ostatniego okresu działalności Konowalca udowadniają, że doprowadził on ten swój talent do doskonałości. Drogą pomocy finansowej zyskał Palijiwa i Celewicz i wielu innych. Poza tym przeprowadził transakcję z Jurewiczem. Daje Jurewiczowi pieniądze za jego działalność, a za to Jurewicz rezygnuje ze swej skandalicznej dyktatury. W ten sposób Konowalec został komendantem UWO. „Po to istnieje dla nas UWO, ażeby zrobić karierę polityczną” — otwarcie kiedyś powiedział Konowalec Bandriwskiemu. W tej chwili staje się coraz wyraźniejsze, że Konowalec miał na myśli swoją kandydaturę do polskiego sejmu.

O innych członkach kierownictwa UWO, tzn. o Palijiwie i Celewicu, już się wypowiedziałem. Specjalnie Palijiw trzymał

się wiernie Konowalca. Także i o byłym „dyktatorze” Jurewiczu było dość mowy. W szanującej się organizacji musiałby on być pociągnięty do odpowiedzialności z racji następujących przestępstw:

1. Z powodu demoralizowania UWO w ciągu czterech lat;
2. Z powodu marnowania pieniędzy w wysokości około 2×200.000 dolarów, z których się nigdy nie wyliczył;
3. Z powodu bezprawnej sprzedaży gazety „Nowy Czas”;
4. Z powodu ekspropriacji także i ukraińskich chłopów;
5. Z powodu korumpowania członków władz UWO.

Takich władz UWO nie uzna żaden Ukrainiec stojący na stanowisku nieustannej walki przeciw polskiemu reżymowi, aż do całkowitego wyzwolenia Ukrainy Zachodniej. Żaden Ukrainiec, dla którego jest hańbą godzenie się z polskim jarzmem, nie będzie wspierał takiej organizacji, której kierownicy mają na celu pacyfikację Ukrainy Zachodniej. A że tak jest — pokaże najbliższa przyszłość.

(Z niemieckiego przełożyła Nina Kozłowska)

WSPOMNIENIA

Tadeusz ROMER

MOJA MISJA JAKO AMBASADORA R.P. W ZWIĄZKU SOWIECKIM

I. W S T Ę P

Zamierzam przedstawić moim czytelnikom mało znany w szczegółach przebieg wydarzeń sprzed lat bez mała trzydziestu, a więc z okresu poprzedzającego w polskiej akcji wojennej i dyplomatycznej śmierć gen. Władysława Sikorskiego. Utrzymywanie nadal tych spraw w tajemnicy nie jest już uzasadnione, a wiedza historyczna zyskać może tylko na znajomości faktów, które świadczą o tym, że u zarania 1943 roku dojrzała u sterników polskiej nawy państwowej świadomość niebezpieczeństw grożących sprawie polskiej w samym łonie koalicji przeciwniemieckiej.

Zabieram głos w tej sprawie nie jako historyk, który doszukuje się prawdy w odkrywanych dokumentach i wspomnieniach, ani jako pamiętnikarz, który wygrzebuje po latach z własnej pamięci zabarwione późniejszymi przeżyciami fragmenty. Jako świadek i uczestnik opisywanych wydarzeń jestem w tym wygodniejszym położeniu, że posiadam własne, autentyczne i nieogłaszane dotychczas dokumenty z tamtych czasów, które cytować będę dosłownie, w miarę chwil mi na to przydzielonych, aby uniknąć wszelkiej dowolności oceny *ex post*. To zaś ułatwi fachowcom wyciąganie wniosków i formułowanie konkluzji.

* Referat prof. Tadeusza Romera w Sekcji Historycznej II-go Zjazdu Naukowców Polskich Ameryki Północnej w Nowym Jorku 24 kwietnia 1971 roku pod egidą Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce.

2. OKREŚLENIE MOJEJ ROLI W ROSJI

Po wylądowaniu we wschodniej Afryce wraz z moimi towarzyszami przedziwnej podróży wymiennej dyplomatów stron wojujących, pod osłoną emblematów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, otrzymałem przekazane mi telefonicznie z Pretorii zaproszenie mego Rządu w Londynie, by udać się bezpośrednio do Rosji dla objęcia tam wakującego w niezmiernie trudnych warunkach stanowiska Ambasadora R.P. Zgodę moją i podziękowanie za okazane mi zaufanie potwierdziłem w liście do Ambasadora Raczynskiego, kierownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, datowanym w Lourenço Marques 12 września 1942. Cytuję z niego:

„... W normalnych warunkach uważałbym wybór mnie, przybywającego z Japonii i nieobeznanego gruntownie ze sprawami sowieckimi, a który po bez mała rocznym odcięciu od świata, ma teraz przystąpić do pracy bez skontaktowania się z własnym Rządem i zapoznania się z jego polityką — za rzecz nie do pomyslenia. Jednak już z tych pierwszych ech, które do mnie dochodzą, widzę jak bardzo sytuacja jest poważna, bolesna i ciężka i mówię sobie, że może macie rację spróbować przeznaczyć tam kogoś całkiem nowego, bez uprzedzeń, zdolnego do wniesienia nowych elementów sądu i taktyki oraz do przeanalizowania dla Was całej sytuacji od podstaw.

Dlatego bez chwili wahania stanąłem do apelu, pomijając ciężkie dla mnie względy rodzinne, niemałe wyczerpanie fizyczne długim pobytem na Dalekim Wschodzie i olbrzymią trudność wyznaczonej mi roli. Uważam się w tym wypadku nie za uprzywilejowanego ambasadora, ale za prostego żołnierza na posterunku i proszę Ciebie o zapewnienie Rządu, że dam z siebie, bez oglądania się na nic, wszystko — do końca — na co mnie tylko stać będzie...”.

3. PIERWSZE WRAŻENIA I WNIOSKI

Skierowawszy morzem do Londynu towarzyszący mi z Dalekiego Wschodu sztab urzędniczy naszych zlikwidowanych placówek w Tokio, Szanghaju i Charbinie oraz ochotników do woj-ska, pozostawiwszy moją rodzinę w Południowej Afryce, udałem się pilnie drogą lotniczą na mój nowy posterunek. Po drodze spotkałem się po raz pierwszy z działaniami wojennymi na nieboskłonie Kairu, a w Teheranie zetknąłem się z naszym woj-

skiem ewakuowanym z Rosji, z bliskim mi z dawnych czasów gen. Andersem na czele, ale i zarazem z tragedią konających po szpitalach, wolnych już ale nie dających się odratować zesłańców, kobiet, mężczyzn i dzieci.

Po rozejrzeniu się w Kujbyszewie nad Wołgą (dawna Samara), gdzie wraz z ewakuowanym z Moskwy korpusem dyplomatycznym mieściła się nasza Ambasada a z nią obszerny, częściowo już sparaliżowany represjami aparat opieki społecznej, udałem się w końcu października do Moskwy dla złożenia listów wierzytelnych. Stolicę Rosji zastałem zaciemnioną, towarzyszył mi tam huk pobliskich armat niemieckich, uderzyła determinacja walki, pomimo dotychczasowych niepowodzeń a dzięki coraz wydatniejszym dostawom z Zachodu. W ramach wstępnych kontaktów świadczone mi uprzejmości, które odwzajemniałem. Badając się wzajemnie, unikaliśmy celowo okazji przedwczesnych starć.

Już w dniu 27 listopada, po powrocie do Kujbyszewa, zdobyłem się na pierwszą analizę moich wrażeń w liście do mego poprzednika, prof. Stanisława Kota, który miał właśnie wrócić z Palestyny na swe dawne stanowisko rządowe w Londynie. List mój został w całości ogłoszony przez niego w 1956 roku w Londynie w polemicznej książce pt. „Listy z Rosji do gen. Sikorskiego”¹. Ograniczę się tutaj do cytaty:

„... W moich pracach i rozmowach na każdym prawie kroku prześlizguję się nad trudnościami, w których głębi tkwi w tej czy innej postaci otwarta sprawa naszych granic wschodnich. Ale i to — zdaniem moim — jest raczej symptomem niż istotą napięcia w naszych stosunkach z Sowietami. Mam wrażenie, że dla takiego Stalina, granica, wytyczona przyłączeniem naszych kresów, nie stanowi żadnego kanonu i posiada znaczenie koniunkturalne, zgoła drugorzędne. Cała rzecz w tym, jaki będzie stosunek sił u zarania zwycięstwa i pod którym wpływem kształtować się będzie Europa powojenna. Ogromny niepokój, jaki do niedawna dawał się odczuwać na tym tle u szczytów sowieckich, bodajże zmniejsza się zwolna pod wpływem wypadków usprawiedliwiających większą pewność siebie. Z naszego punktu widzenia nie dowodzi to jeszcze niczego. Ale nad wyraz przykra jest dla nas konieczność uświadomienia sobie, jak mało w gruncie rzeczy możemy sami rzucić na szalę naszych najżywotniejszych spraw przyszłości, oglądanych od wschodu i jak dużo wpływu na te sprawy mieć

1. Prof. Stanisław Kot: *Listy z Rosji do Gen. Sikorskiego*, Londyn 1955, „Jutro Polski”.

będzie niezależny od nas taki czy inny układ sił w decydującym momencie, a ściślej mówiąc warunki dojścia do mety naszego wschodniego sąsiada. Nie jest to już zatem problem zaufania czy kompromisu, ale kwestia programu i ideologii. W tej dziedzinie nie możemy oczywiście znaleźć i nie zamierzamy szukać wspólnego języka ze Związkiem Sowieckim. Całe szczęście, że w podobnym do naszego położeniu pod tym względem są oba mocarstwa anglosaskie, choć mniej bezpośrednio i mniej od nas dotkliwie odczuwają całą praktyczną żywotność tych zagadnień...”.

4. NAWIĄZANIE KONTAKTU Z WŁASNYM RZĄDEM

W miarę tego jak pilnie wgłębiałem się w splot zagadnień polsko-sowieckich dojrzewała w moim umyśle analiza problemu i coraz konieczniejszym stawało się rozważenie go z naszym Rządem w Londynie dla wyciągnięcia praktycznych konkluzji. Otrzymawszy zezwolenie na podróż, powierzyłem Ambasadę zaraz po Świętach Bożego Narodzenia, rzewnie spędzonych w naszym liczonym i żytym gronie, w wytrawne ręce Radcy Zawadowskiego i ruszyłem w okreśną drogę lotniczą. Nie omieszkalem uprzednio — zobaczymy wkrótce z jakim skutkiem — upewnić się u Wicekomisarza Spraw Zagranicznych Wyszyńskiego, najgorszego, zdaniem moim, intryganta wśród góry sowieckiej, że pod moją krótką nieobecność nie nastąpią żadne fakty dokonane, które mogłyby utrudnić wzajemne starania o polepszenie stosunków polsko-sowieckich i otrzymałem jego solenne w tym względzie zapewnienie. Utknęłem z niezrozumiałych dla mnie wówczas powodów na dobre dziesięć dni w Kairze. Przyczyną tego, jak wyjaśniło się później, było otoczone głęboką tajemnicą lądowanie wojsk amerykańskich w Afryce północnej.

Gryząc niecierpliwie munsztuk, wypoczywałem wśród kwitnących żakarand w klimacie i dostatku o jakich zapomniałem w głębi Rosji. W tych warunkach powstał na piśmie mój ściśle tajny memoriał o 6 bitych stronach tekstu pt. „Polska a ZSSR”, jako materiał do sprawozdań w Londynie, który, jako znamienny w treści, przytoczę tu w całości, nie był on bowiem dotychczas ogłoszony nigdzie:

„I. ZAŁOŻENIE.

Czynniki trwałej potęgi Niemiec i Rosji w Europie wykluczają się wzajemnie. Różnice ideologiczne lub ustrojowe nie

grają w tym większej roli wobec podobieństwa metod rządzenia. Zbliżenie niemiecko-rosyjskie może być zatem tylko funkcją przemijającej zbieżności interesów taktycznych albo lokalnych. Tak było w 1939 roku. Niemcy potrzebowały chwilowej przyjaźni sowieckiej, ażeby zgnieść Polskę i uniknąć reakcji ze strony mocarstw zachodnich, a przynajmniej ją unieszkodliwić. Rosja sowiecka przeciwnie liczyła wówczas na to, że skutkiem tej przyjaźni będzie wojna europejska, w której Sowietom przypadłaby rola arbitra, a której wynikiem byłoby usunięcie niebezpieczeństwa niemieckiego i zwiększenie szans rewolucji powszechnej.

Wypadki potwierdziły raz jeszcze, że zguba Polski leży w porozumieniu niemiecko-rosyjskim. Równocześnie jednak sztuczny charakter tego porozumienia wskazał nam drogi ocalenia. Stanęliśmy więc konsekwentnie, ofiarnie i bezkompromisowo w obozie przeciwniemieckim i zdołaliśmy uchować na obczyźnie ciągłość suwerenności państwowej oraz polskie siły zbrojne.

Rozwój wojny przywrócił w 1941 roku normalne warunki rozgrywki niemiecko-rosyjskiej. Dla rozprawienia się z Anglią, zanim Stany Zjednoczone przystąpią do wojny i zaważą na szali, Hitler musiał uwolnić się od groźby ciosu sowieckiego w plecy, a zarazem uzupełnić zaopatrzenie Niemiec na południu Rosji. Napaść niemiecka na Związek Sowiecki wprowadziła ten ostatni do obozu państw sprzymierzonych, uruchomiła olbrzymie zasoby wojenne Rosji i z czasem wyzwoliła niespodziewane w tej skali ani w tej jakości energie i zalety bojowe społeczeństwa sowieckiego.

Przystąpienie Rosji do naszego obozu było dla Polski faktem niezmiernego znaczenia. Nie tylko przekreślało najnowszą próbę rozbioru, ale wybitnie zwiększało szanse pokonania Niemiec. Zdyskontowanie tych korzyści zależało jednak od porozumienia polsko-sowieckiego. Polityczna konieczność takiego porozumienia była oczywista. Z polskiego punktu widzenia rozbicie sojuszu niemiecko-sowieckiego musiało być wykorzystane zarówno na rzecz walki z Niemcami, jak dla ocalenia i uaktywnienia rzesz zesłańców i jeńców polskich w głębi Rosji. Wywołanie wrażenia, że strona polska utrudnia porozumienie, poddałoby w wątpliwość u naszych sojuszników szczerą intencję i konsekwencję polityki rządu polskiego.

Strona sowiecka również potrzebowała porozumienia z Polską. Miało być ono w oczach świata, a zwłaszcza Ameryki, probierzem i legitymacją nie utylitarnego tylko, ale i programowego związania się Rosji sowieckiej z obozem wolnościowym. Lecz Rosja

była w tej fazie wojny zbyt cennym partnerem dla sojuszników, aby można było liczyć na narzucenie jej warunków ugody z Polską. Mogła również Rosja wysunąć własne rozwiązanie sprawy polskiej. Kto zna wstępne koncepcje negocjatorów sowieckich, a także żywiołowy pęd społeczeństwa polskiego w Rosji do wolności i czynu, ten nie zaprzeczy, że w razie zwłoki i wahań ze strony rządu polskiego istniała możliwość powstania w Rosji pod egidą sowiecką samoistnego, polskiego ośrodka władzy i oddzielnej polskiej siły zbrojnej. Bezwzględne uchwycenie przez gen. Sikorskiego inicjatywy porozumienia zapobiegło temu niebezpieczeństwu, które groziło naszej sprawie gorszym w następstwach rozdwojeniem, od tego, jakie przeżyła Francja.

Jasne było skądinąd, że polityczny punkt ciężkości leżał nie tyle w warunkach porozumienia, co w samym fakcie i w terminie jego zawarcia. Układ sił po zwycięskiej wojnie, a przede wszystkim rola i udział Rosji sowieckiej w etapach decydujących o zwycięstwie i o przyszłym pokoju, będą miały nierównie większe znaczenie od wszelkich spisanych dzisiaj aktów dyplomatycznych. W chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej powszechne było, nawet wśród znawców wojskowych, mniemanie, że Związek Sowiecki padnie łatwo i prędko ofiarą potężnej agresji. Stąd wniosek, że spełni on rolę opóźnienia biegu niemieckiej machiny wojennej, ale w jej zniszczeniu przez siły anglo-amerykańskie uczestniczyć już nie będzie. Gen. Sikorski nie podzielił tego poglądu. Był on od samego początku jednym z rzadkich mężów stanu, którzy wbrew opinii rzeczoznawców doceniali szanse i siłę oporu, z jakim spotkać się miała w Rosji agresja niemiecka. Dlatego, nie zważając na opozycję, przeprowadził układ z Sowietami z pominięciem takich warunków lub formuł, które groziły jego udaremnieniem. Dlatego również, w czasie swej wizyty w Moskwie w grudniu 1941 roku, określił zbliżenie polsko-sowieckie nie jako chwilowy produkt koniunktury wojennej, ale jako punkt wyjścia do przyjaznego współżycia sąsiedzkiego obu krajów po odniesionym nad Niemcami zwycięstwie. W tymże duchu Stalin narzucił porozumienie z Polską administracji sowieckiej, pomimo jej niechęci.

II. NASTĘPSTWA

Bezpośrednie wyniki porozumienia polsko-sowieckiego odpowiedziały obustronnym oczekiwaniom. Układ z Polską przyczynił się niemało do rozwiania, a przynajmniej do osłabienia w naszym obozie, a zwłaszcza w Ameryce, uprzedzeń pod adresem Sowietów; wykazał też całą sztuczność krucjaty przeciwbolsze-

wickiej, głoszonej przez Hitlera. Polsce przyniósł on wyraźne wzmocnienie autorytetu politycznego. Zysaliśmy na Bliskim Wschodzie nową, bez mała stutysięczną armię polską, wyprowadziliśmy z Rosji do lepszych warunków egzystencji, kilkadziesiąt tysięcy zesłańców cywilnych, w tym znaczną ilość dzieci. Na terenie Rosji stworzyliśmy fakt dokonany przywrócenia praw znacznej części zesłanych tam obywateli polskich i otoczyliśmy ich własną opieką państwową przez uruchomienie na szeroką skalę aparatu i środków pomocy.

Nie obeszło się jednak bez cieniów i wzajemnych zawodów. Ich opis byłby w tym wywodzie zbędny. Wystarczy nam podmalowanie ich tła i oświetlenie ich następstw.

Pogląd, że w Związku Sowieckim wszystko dzieje się z wiedzą i za zgodą Stalina jest zbyt uproszczeniem rzeczywistości. Podobnie jak inni dyktatorzy i pomimo władzy, jaką skupia w swym ręku, Stalin jest nie tylko rozkazodawcą i inicjatorem, ale także, do pewnego stopnia, wyrazicielem tendencji, które nurtują w jego społeczeństwie, a co najwyżej ich prekursorem. W ustroju sowieckim tendencje te nie mogą dziś objawiać się gdzie indziej niż w wojsku z jednej strony, a w administracji, a więc przede wszystkim w potężnym aparacie N.K.W.D. z drugiej. Ten ostatni czynnik musiał od początku odnosić się niechętnie do praktycznych następstw porozumienia polsko-sowieckiego.

Wystarczy przytoczyć kilka głównych przyczyn tej niechęci: Obozy pracy traciły najlepsze siły robocze polskie, bez których wypełnienie norm programowych przestawało być w wielu wypadkach możliwe. Po raz pierwszy w historii ustroju sowieckiego powstała na jego terytorium i za jego zgodą obca, autonomiczna siła zbrojna. Po raz pierwszy również obcy ośrodek dyspozycyjny otrzymywał do rozporządzenia własny aparat wykonawczy i informacyjny, złożony z kilku tysięcy współpracowników, rozsianych po całej Rosji. Aparat ten, powołany do spełnienia funkcji opiekuńczych względem setek tysięcy obywateli polskich, do niedawna pozbawionych wszystkiego, zaczął dostarczać im pomocy materialnej i zapewniać warunki swobody osobistej, które w oczach przeciętnego obywatela sowieckiego musiały uchodzić za niezwykle uprzywilejowanie, a zatem budzić wątpliwości i rodzić niezadowolenie.

Jak długo położenie wojenne Związku Sowieckiego było niepokojące, a braterstwo broni z tworzącą się armią polską mogło wyrazić się we współdziałaniu na froncie niemieckim, powyższe zastrzeżenia nie ujawniały się w sposób dobitny. Skoro jednak

napór niemiecki został powstrzymany, a nawet w ciągu zimy z 1941 na 1942 spotkał się z pierwszymi objawami skutecznego przeciwdziałania armii czerwonej, stosunek władz sowieckich do spraw polskich ulegać począł stałemu, coraz to drastyczniejszemu pogarszaniu się. Przyznać należy, że z naszej strony przyczyniliśmy się niemało do tego.

Pośpieszna rekrutacja w terenie licznego personelu opiekuńczego, na ogół niewykwalifikowanego, a nieraz zupełnie nieodpowiedniego, dokonana przez nasze czynniki bądź to cywilne, bądź wojskowe, była w tych warunkach zapewne nieunikniona. W rezultacie jednak zaopatrzyła sowieckie organy bezpieczeństwa w dowody nie tylko dyskredytujących naszą akcję niewłaściwości i nadużyć, ale nawet poczyną, których żadne państwo nie zgodziłoby się tolerować u siebie, zwłaszcza podczas wojny. Gdy się zważy, jak bardzo niewystarczające jest do dziś dnia zorientowanie w sprawach sowieckich naszego aparatu administracyjnego, to nie można dziwić się, że podówczas wielu takich przygodnych funkcjonariuszy cywilnych lub wojskowych polskich kierowało się w pracy dawnymi hasłami prometejskimi lub zrozumiałymi na skutek przeżyć osobistych pobudkami zemsty i odwetu. Przedsiębrane na tym tle sporadyczne próby wywiadu wojskowego, gospodarczego lub politycznego, albo poczynania niezgodne z ustawodawstwem lub przepisami miejscowymi, były, rzecz jasna, dziecinne pod względem niefachowości i bezużyteczności dla nas i jako takie zostałyby słusznie zbagatelizowane przy każdym rzeczowym i bezstronnym dochodzeniu. Te same fakty natomiast przeinaczały się i rozrastały w zgola niesamowite zbrodnie w rękach praktyków N.K.W.D., tym bardziej, że nie wszystkim w taki sposób zwerbowanym naszym współpracownikom starczyło charakteru do odmówienia swego podpisu na wymuszonych, pod grozą i presją, nieraz najbardziej fantastycznych zeznaniach. W tych właśnie okolicznościach nastąpiło latem 1942 roku rozbicie przez władze sowieckie delegatur terenowych Ambasady polskiej w Kujbyszewie, połączone z aresztowaniami personelu Ambasady, represjami różnej natury i wzajemnymi rekryminacjami, które zaciążyły tak poważnie na atmosferze politycznej stosunków polsko-sowieckich.

Składną zaciążyła na niej również ewakuacja armii polskiej i rodzin wojskowych. Nie wchodząc w szczegóły tej sprawy, wystarczy stwierdzić, że nastrój ewakuowanej armii jest zdecydowanie przeciwsowiecki, o czym władze sowieckie są doskonale poinformowane. Ich zdaniem armia polska na wschodzie gotuje się do walki nie tyle z Niemcami co z Sowietami. W świetle

tego argumentu warto byłoby sprawdzić, czy Sowiety nie czyniły starań w celu utrudnienia lub przynajmniej opóźnienia będącego w toku uzbrojenia tej armii przez naszych anglosaskich sojuszników. Ze swej strony przedstawiciele naszej armii w Iraku tłumaczą jej antysowieckie nastroje zatrzymaniem w Rosji znacznej jeszcze ilości rodzin wojskowych, niewyjaśnieniem losu zaginionych oficerów, lekarzy, policjantów itd. ze zlikwidowanych obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie, zawieszeniem dalszej rekrutacji do wojska polskiego i zakusami Sowietów na integralność ziem polskich na wchodzie. Nie kwestionując rzeczowej ani emocjonalnej wartości tych argumentów zauważmy tylko, że pośpiech i chaos, w jakich dokonana została przez nasze wojsko na wschodzie ewakuacja towarzyszącej mu ludności cywilnej nie zwalniają go od odpowiedzialności za rażąco niewłaściwy w wielu wypadkach dobór tej ludności, ani za nieobjęcie ewakuacją wielu pozostałych w Rosji rodzin wojskowych. W konkluzji stwierdzić trzeba również, że fakt całkowitego wycofania z Rosji polskich sił zbrojnych uczynił bezprzedmiotowymi nasze umowy wojskowe z Rządem sowieckim i pozbawił nas głównych atutów politycznych w dalszych stosunkach z Sowietami.

Impas, w jakim znalazły się te stosunki jesienią 1942 roku wymagał tym bardziej zastosowania jakichś środków zaradczych, że żadna ze stron nie mogła życzyć sobie otwartego zerwania, skoro założenia i podstawowe cele porozumienia nie uległy zmianie. W braku drugiego frontu presja lub pośrednictwo wspólnych sojuszników w Moskwie pokazały się nieosiągalne, albo mało skuteczne. Przed podjęciem dyskusji w zasadniczych sprawach spornych, z widokiem poprawy, a nie dalszego pogorszenia stosunków polsko-sowieckich, należało zatem dążyć do przywrócenia w miarę możliwości atmosfery uspokojenia i zaufania wzajemnego. Od tego rozpoczęła się w listopadzie 1942 roku misja nowego Ambasadora Rzeczypospolitej w Związku Sowieckim.

III. WNIOSKI

Z wyjątkiem wyżej wspomnianych zagadnień wojskowych, do których powracać nie ma racji, głównym przedmiotem różnicy zdań pomiędzy Polską a Sowietami jest kwestia wzajemnych granic. W umowie z 30 lipca 1940 roku nie zdołano osiągnąć porozumienia w tej sprawie i zamknięto ją niedomówieniem, które każda ze stron interpretuje od początku po swojemu, nie zrezygnowawszy ani krokiem ze swego zasadniczego, pierwotnego stanowiska. Stwierdzone w umowie wyrzeczenie się przez Sowiety paktów podziałowych, zawartych z Niemcami na niekorzyść Pol-

ski, oznacza w naszej wykładni nawrót do prawnego stanu posiadania, określonego Traktatem Ryskim. Natomiast według tezy sowieckiej inkorporacja do Związku naszych ziem wschodnich, pod nazwą „Białorusi zachodniej” lub „Ukrainy zachodniej” nie wywodzi się z unieważnionych paktów niemiecko-sowieckich, ale z rzekomych aktów samostanowienia o swym losie ludności tych ziem, uświęconego zmianą konstytucji związkowej. Pierwotnie obie strony unikały drastycznego przeciwstawiania sobie tych sprzecznych poglądów. Rząd polski wszakże nie tylko nie pozostawił żadnej wątpliwości co do swego stanowiska w tej sprawie, ale zapewnił sobie od razu jego wzmocnienie solidarnym orzeczeniem poufnym Rządu Brytyjskiego. Co do Rządu Sowieckiego to istnieją dokumenty, w których traktuje on sprawę granic z Polską jako zagadnienie sporne i zaleca jego nieporuszanie przez obie strony aż do chwili, gdy dojrzeje jego zgodne rozwiązanie. Z czasem jednak, temat ten pojawił się we wzajemnej korespondencji dyplomatycznej, w coraz to ostrzejszej formie i sformułowany został z całą brutalnością przez Rząd Sowiecki w notach z grudnia 1941 i stycznia 1942 roku. Doszło do tego, że strona sowiecka odmówiła pisemnie i ustnie przyjmowania naszych wystąpień, których treść byłaby niezgodna ze stanowiskiem Rządu Sowieckiego w tej sprawie. Te próby wymuszenia spotykały się każdorazowo z należytą odprawą z naszej strony.

Ażeby zdać sobie sprawę z tego jak bardzo istotnym i centralnym stało się to zagadnienie granic w stosunkach polsko-sowieckich wystarczy przytoczyć, że występowało ono w każdej niemal ważniejszej kwestii poruszanej przez nas z Rządem Sowieckim i tylko z trudem mogło być omijane. Czy to były sprawy obywatelstwa, paszportyzacji, poszukiwania, zwalniania z więzień, obozów pracy, przymusu służby wojskowej, pomocy prawnej, konsularnej i społecznej, ewakuacji, rekrutacji do wojska polskiego, czy też akcji dywersyjnej sowieckiej na ziemiach polskich, albo propagandy prasowej, wydawniczej i radiowej, zawsze na ich dnie czaiła się w tej czy innej postaci różnica zdań na temat granic. Spostrzeżenie to pozwala nam obecnie sprowadzić dla uproszczenia do tego jednego, wielkiego problemu całokształt zagadnień polsko-sowieckich, oczekujących na rozwiązanie.

Znaczenie sprawy z punktu widzenia polskiego jest dla nas zbyt oczywiste, by trzeba było je tu analizować. Inaczej ma się rzecz z punktu widzenia sowieckiego. Po dwumiesięcznym zaledwie pobycie w Rosji i rozmowach prowadzonych jak dotychczas na poziomie poniżej samego Stalina, Ambasador R.P. nie widzi się w możliwości innego przedstawienia tej sprawy jak w formie

zapytań. Czy Rząd Sowiecki przywiązuje do zagadnienia granic z Polską znaczenie zasadnicze, czy też tylko taktyczne? Inaczej mówiąc, czy jest ono dla niego, lub nie jest, kwestią koniunktury i przetargu? Pogłębiając te pytania, czy ustosunkowanie się Rządu Sowieckiego do tej sprawy wynika z własnych przesłanek politycznych i strategicznych bezpieczeństwa, zarówno w sensie obronnym jak zaczepnym (na przykład kwestia nie pozostawienia żadnej irredenty mniejszościowej poza swymi granicami), czy też z oceny przyszłej polityki Polski względem Sowietów, z niezrozumienia jej wartości jako silnego państwa oddzielającego Niemcy od Rosji i z chęcią osłabienia i uzależnienia Polski od wschodu przez jej pozbawienie tak żywotnych politycznie, kulturalnie i geograficznie ośrodków jak Lwów i Wilno? Jaką rolę gra w tej sprawie niechęć Związku Sowieckiego do wysuwanych przez nas koncepcji Federacji środkowo-europejskiej, jako cieszących się sympatią Ameryki, zapewniających Polsce poważną rolę międzynarodową i poczytywanych przez Rosję za jej samej jak i Niemcom wrogie? Jak wielkie obawy żywią Sowiety z racji oporu uznania ich terytorialnych pretensji na Zachodzie, z którym liczyć się muszą zwłaszcza ze strony Stanów Zjednoczonych?

Nie przesądzając odpowiedzi na te pytania zauważyć należy, że jak długo ziemie wschodnie Polski pozostają pod okupacją Niemiec, problem granic polsko-sowieckich ma charakter w dużym stopniu i obustronnie emocjonalny. W tym leży zresztą obecnie jego duże niebezpieczeństwo dla dalszego kształtowania się stosunków wzajemnych. Pod wpływem ostatnich zwycięstw Armii Czerwonej rośnie pewność siebie ze strony sowieckiej, a zarazem niepokój i nacisk polskiej opinii publicznej w kierunku wyjaśnienia i zabezpieczenia integralności naszych granic wschodnich. Emocjonalne podejście do tego zagadnienia nie pozwala społeczeństwu polskiemu zdać sobie należycie sprawy z tego, jak mało w gruncie rzeczy atutów posiada obecnie Rząd Polski do międzynarodowej dyskusji na ten temat, jak niedostatecznie jest on znany dotychczas przez opinię zachodnio-europejską i amerykańską i ile niebezpieczeństwa taktycznego kryje się w równoczesnym wysunięciu przez nas zasady rewizji granic Polski od Zachodu i ich nienaruszalności od Wschodu.

Linia postępowania Rządu Polskiego w tych sprawach opierać się musi nie na względach emocjonalnych, ale na chłodnej analizie szans i możliwości. Jeżeli idzie o nasz stosunek do Rosji Sowieckiej, to na podstawie powyższych wywodów jest jasne, że zasadnicza dyskusja z Rządem sowieckim nie może dziś ominąć sprawy granic i że bez jej rozwiązania wyjaśnienie do gruntu

większości życiowych spraw bieżących pomiędzy Polską a Sowietami nie jest możliwe. Niemniej jasne jest, że w atmosferze niezdecydowanych jeszcze losów wojny na frontach wschodnio-europejskich, ale coraz poważniejszych zwycięstw Armii Czerwonej, jako jedynej po dziś dzień walczącej z Mocarstwami „Osi” na kontynencie europejskim, dyskusja taka miałaby dla nas możliwie najmniej szans powodzenia. Przypuszczać wolno, że w tych warunkach już samo doprowadzenie do formalnego uznania przez obie strony, przy zachowaniu ich zasadniczego stanowiska, sprawy wspólnej granicy za sporną i otwartą, oraz niepodlegającą dyskusji wzajemnej do czasu wkroczenia sił zbrojnych któregokolwiek z członków koalicji na ziemie polskie w granicach sprzed września 1939 roku — uznane byłoby ze strony sowieckiej za daleko idącą koncesję.

Zostaje do rozwiązania ewentualność odroczenia przez nas dyskusji w sprawie granic, pomimo wszelkich trudności rzeczowych i emocjonalnych, które taka decyzja pociągnęłaby za sobą. Prowadzi nas to do analizy trzech możliwości zakończenia wojny na frontach wschodnio-europejskich.

W razie mało prawdopodobnego, pełnego zwycięstwa Rosji nad Niemcami, niezrównoważonego równoczesnym zwyciężeniem Niemiec przez mocarstwa anglosaskie, Sowiety będą miały wpływ decydujący na przyszłe losy Europy, w szczególności wschodniej i środkowej i w takiej ewentualności jakiegokolwiek ich dawniejsze związanie w naszych sprawach pozostałoby praktycznie bez znaczenia. Natomiast moment solidarności naszej z mocarstwami anglosaskimi na tle niebezpieczeństw przewagi Rosji Sowieckiej w świecie, zyskałby od razu na wadze i sile.

W razie zwyciężenia Niemiec zarówno przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone wraz z sojusznikami, jak przez Rosję Sowiecką, z tym jednak, że ta ostatnia wyszłaby z walki poważnie osłabiona, szanse nasze będą w dużym stopniu zależeć od wpływów jakie tymczasem zdołamy sobie zapewnić w Waszyngtonie i w Londynie. Na podkreślenie zasługuje przy tej sposobności współpraca takich krajów, na razie jeszcze neutralnych, jak Turcja i Szwecja. W tej ewentualności odroczenie na później dyskusji w sprawie granic polsko-rosyjskich miałoby poważne uzasadnienie.

W razie pokonania Rosji przez Niemcy, co wydaje się dziś nieprawdopodobne, interesuje nas tutaj tylko ewentualność ich zwyciężenia przez mocarstwa zachodnie, jako jedyną, w której polska racja stanu jest do utrzymania. W tym wypadku przede

wszystkim, każde związanie nas już dzisiaj sprawą granic z Rosją Sowiecką byłoby przedwczesne i niewskazane.

Rozważania powyższe dowodzą, że jedynie absolutna konieczność podjęcia przez nas już teraz zasadniczej dyskusji z Rządem Sowieckim i to na szczęblu najwyższym, a także dostateczne przygotowanie oparcia w Waszyngtonie i w Londynie, usprawiedliwić mogą z naszej strony ryzyko poruszenia obecnie sprawy granic wschodnich.

Kair w styczniu 1943 r.”.

Wylądowałem nareszcie w Londynie 18 stycznia 1943 roku w przeddzień powrotu Premiera Sikorskiego ze Szkocji z podróży do Stanów Zjednoczonych, Meksyku i Kanady. Cały dzień czwartkowy 21 stycznia poświęcony został na posiedzenie Rady Ministrów w obecności Prezydenta Raczkiewicza i Przewodniczącego Rady Narodowej, prof. Stanisława Grabskiego. Zostałem na nie i na następne zaproszony i posiadam z nich obszerną, własną, poufną i nieogłoszoną dotychczas relację, w której opisałem, niemal bezpośrednio po obradach, sprawozdanie Premiera z jego podróży oraz obszerniej moje własne z Rosji. Oparte było ono na przytoczonych powyżej danych, opracowanych przeze mnie w Kairze. Wolę zacytować je tutaj w całości, nawet gdyby to pociągnęło za sobą pewne powtórzenia, ponieważ dokładna znajomość tych danych potrzebna być może do prawidłowej oceny całego biegu ówczesnych wydarzeń.

„We czwartek 21 stycznia 1943 o godz. 11.15 rozpoczęło się w Prezydium Rady Ministrów, przy Kensington Palace Gardens 18, posiedzenie Rady Ministrów z udziałem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, W. Raczkiewicza, Przewodniczącego Rady Narodowej, prof. Stanisława Grabskiego i Rządu *in corpore* z Premierem Sikorskim na czele i PP. Ministrami: Mikołajczykiem (Sprawy Wewnętrzne), Stońskim (Informacja i Dokumentacja), Raczyńskim (Sprawy Zagraniczne), Seydą (Prace Kongresowe), Strasburgerem (Skarb), Stańczykiem (Praca i Opieka Społeczna), Kwapińskim (Przemysł, Handel i Żegluga), gen. Kukielem (Obroń Narodowa), Komarnickim (Sprawiedliwość), gen. Hallerem i Popielem. Na zebranie to i następne zostałem zaproszony. Protokował Dyrektor Adam Romer z pomocą stenotypistki.

Premier Sikorski wygłosił blisko 3 godzinne *exposé* ze sprawozdaniem ze swej podróży do Ameryki, z rozmów z Prezydentem Rooseveltem, Sekretarzem Stanu C. Hullem, Sumner Welles'em i innymi amerykańskimi mężami stanu, na temat prze-

biegu wojny i jej zakończenia, cytując złożone przy tej sposobności memoriały i opracowania oraz wymienioną korespondencję polityczną. Przedstawił uzyskane konkretne wyniki w tych kontaktach oraz przebieg swych rozjazdów po Stanach, a następnie wizyty złożonej w Meksyku. Swą rzeczowością i umiarem, a zwłaszcza pozytywnymi osiągnięciami, które odmalował, *exposé* zrobiło duże wrażenie na obecnych. Dał temu wyraz Pan Prezydent Rzeczypospolitej w przemówieniu, wyrażającym uznanie dla wyników podróży gen. Sikorskiego i zarysowującym zadania, jakie stoją w tej chwili przed Rządem.

Po przerwie, w ciągu której Premier zaprosił obecnych na obiad do sąsiedniej restauracji, posiedzenie Rady Ministrów wznowione zostało o 16-tej. Wszyscy Ministrowie po kolei zabrali głos, komentując z głębokim i jednomyślnym uznaniem, także w imieniu własnych stronnictw, *exposé* Premiera, po czym uchwalona została rezolucja w formie komunikatu prasowego, stwierdzająca, że po wysłuchaniu sprawozdania Premiera o wynikach jego podróży do Ameryki, Pan Prezydent Rzeczypospolitej dał wyraz jednomyślnemu uznaniu swemu i Rządu R.P.

Następnie wygłosiłem półtoragodzinne przemówienie, dotyczące spraw polskich z ZSSR i mojej tam misji. Zaznaczyłem na wstępie, że szereg obecnych, jak Pan Premier, prof. Grabski, min. Kwapiński i inni mają osobiście lepszą ode mnie znajomość zagadnienia, do którego ja podchodzę, tak jak lekarz zalewany na pierwszą konsultację i pozbawiony wszelkich uprzedzeń.

Omówiłem następstwa układu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 roku, który przyniósł korzyści zarówno Rosji Sowieckiej (osłabienie uprzedzeń w Ameryce, wykazanie absurdalności antybolszewickiej krucjaty Hitlera) jak i Polsce (wzmocnienie naszego autorytetu międzynarodowego, stworzenie stutysięcznej armii polskiej, ewakuacja osób cywilnych, przywrócenie praw pozostałym w ZSSR zesłańcom). Wskazałem jednak również i na cienie sprawy i przy tej sposobności określiłem rolę Stalina w ZSSR, który nie jest wszechmocny ani wszytkiego świadomy, wskazałem na przyczyny niechęci NKWD do porozumienia polsko-sowieckiego (osłabienie obozów pracy, pojawienie się w głębi kraju obcej siły zbrojnej, powstanie obcego aparatu wykonawczego i informacyjnego, uprzywilejowanie, dzięki pomocy oraz ewakuacji, naszej ludności w ZSSR w porównaniu z jej otoczeniem miejscowym), wreszcie podniosłem również zmianę nastrojów wśród kół rządzących w Rosji, związaną z ewolucją położenia na froncie. Zaznaczyłem, że jednak i z naszej strony przyczyniliśmy się do wzrostu tych niechętnych nastrojów sowieckich, na czego dowód

przytoczyłem niedociągnięcia, zapewne nieuniknione, w danych warunkach, rekrutacji naszego personelu terenowego i jego nieostrożną nieraz działalność, błędy popełnione z okazji ewakuacji Armii polskiej, a zwłaszcza towarzyszącej temu ewakuacji osób cywilnych, a wreszcie pozbycia się przez nas tak ważnego atutu politycznego, jaki stanowiła obecność wojska polskiego w ZSSR.

Misja moja, jako nowego Ambasadora w Moskwie — ciągnąłem dalej — miała na celu diagnozę i próbę zaradzenia złemu, które uwidoczniło się w całej pełni w lipcowym kryzysie delegatur terenowych Ambasady. Po pewnych oznakach odprężenia, dzisiaj stoimy znowu przed poważnymi trudnościami, związanymi z notą sowiecką z 16 stycznia 1943 roku. Tu omówiłem sprawę spornego obywatelstwa w stosunkach polsko-sowieckich i stojącą w jej cieniu sprawę granic.

Następnie przedstawiłem dość szczegółowo liczebność, skład rozmieszczenie i położenie ludności polskiej w ZSSR oraz udzielaną jej przez nas pomoc w gotówce i naturze (żywność, odzież i lekarstwa) a dalej aparat i instytucje opiekuńcze stworzone przez nas w tym celu. Ta część mego sprawozdania oparta była na danych, zawartych w obszernym raporcie „Opieki”, przywiezionym przeze mnie do Londynu.

Na tym przemówienie moje zostało z powodu spóźnionej pory przerwane i zakończenie jego odroczone do następnego posiedzenia.



W poniedziałek 25 stycznia 1943 roku o godz. 11.15 Pan Premier Sikorski otworzył następne posiedzenie Rady Ministrów, tym razem bez obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Prezesa Rady Narodowej, profesora Grabskiego. Minister Raczyński odczytał zredagowany przeze mnie projekt odpowiedzi na notę Rządu Sowieckiego z 16 stycznia 1943 roku, który po krótkiej dyskusji został przyjęty bez zmian (Nota w języku francuskim wysłana została na ręce Ambasadora Bogomołowa 26 stycznia 1943 roku²).

Po udzieleniu mi głosu przystąpiłem do politycznych kon-

2. Tekst w języku francuskim noty Ministra Raczyńskiego, datowanej z Londynu 26 stycznia 1943 roku do Ambasadora Bogomołowa w odpowiedzi na notę z 16 stycznia 1943 roku w sprawie prawnego położenia obywateli polskich w ZSSR — Nr 286 na str. 474 do 476 tomu I, 1939-1943 dzieła *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945* wydane u Heinemann'a w Londynie w 1961 roku przez Instytut Historyczny Generała Sikorskiego.

kluzji mego sprawozdania. Argumentacja moja trzymała się następującej linii (w streszczeniu):

Komu nie wystarczyło Rapallo, tego przekonała jesień 1939 roku o śmiertelnym dla Polski niebezpieczeństwie porozumienia niemiecko-sowieckiego. Ale na nasze szczęście porozumienie to jest tylko funkcją przemijającej zbieżności interesów taktycznych i lokalnych. Czynniki trwałej potęgi Niemiec i Rosji w Europie wyłączają się wzajemnie.

Ażeby sytuacja z 1939 roku nie powtórzyła się więcej, musimy szukać trwałego porozumienia z jednym z naszych wielkich sąsiadów i wybraliśmy Rosję Sowiecką. Nie tylko dlatego, że znaleźliśmy się z nią w jednym obozie, ale dlatego, że Niemcy są i będą naszym najgroźniejszym wrogiem nawet po ich pokonaniu, bowiem rozbicie Niemiec i ich utrzymanie w stanie słabości pchać je będzie stale na drogę odwetu. Ale czy zwycięska Rosja nie może stać się dla nas niebezpieczniejsza od zwyciężonych Niemiec? I owszem: tylko stuprocentowo zwycięskie Sowiety, czyli takie, których powodzenie nie byłoby zrównoważone równoczesnym powodzeniem mocarstw anglosaskich od Zachodu, nie wchodzi w kalkulację naszej ani nawet europejskiej racji stanu, ponieważ wykluczają ją zupełnie.

Nie należy przy tym tracić z oczu oznak głębokiej ewolucji Rosji Sowieckiej od wewnątrz, która po ukończeniu wojny zaakcentuje się jeszcze silniej niż dotychczas czy to na tle roli elementu młodowojskowego, czy też w związku z koniecznością odbudowy życia gospodarczego i podniesienia nareszcie poziomu życia mas ludności, co jest nie do osiągnięcia bez współpracy z zagranicą.

Jak dotychczas Niemcy i Rosja osłabiają się wzajemnie. Ale wojna nie zbliża się jeszcze do końca i czekać nas może jeszcze dużo gorzkich niespodzianek. Toteż podstawą naszej polityki jest i być musi nadal solidarna i ścisła współpraca z całym obozem zjednoczonych mocarstw z Rosją Sowiecką włącznie, nad pokonaniem Niemiec.

A zatem podkreślamy stale i wszędzie naszą gotowość porozumienia i współdziałania z Rosją Sowiecką. Oczywiście nie kosztem rezygnacji z naszych praw, ani z naszych najżywotniejszych interesów. Ale z oceny tychże i z naszej polityki wyeliminować winniśmy momenty emocjonalne, które tak silnie oddziałują niestety na naszą opinię publiczną, zwłaszcza w środowisku emigracyjnym i zaciemniają horyzont naszej obserwacji politycznej.

Musimy dbać o to, by nie rozmienić na drobną monetę wielkiego i poważnego dobytku ostatniej podróży Pana Premiera

do Stanów Zjednoczonych. Nie możemy nigdy dopuścić do tego, by w oczach świata dać się postawić w roli odpowiedzialnych za złamanie solidarności obozu sprzymierzonych, a nawet za przeszkody i trudności w ich wzajemnej współpracy.

Zalecenie końcowe:

1) Chwilowa niemożność zasadniczej dyskusji polsko-sowieckiej (np. w sprawie granic) w płaszczyźnie odwiedzin Pana Premiera w Moskwie, w chwili gdy zwycięstwa uderzają Sowietom do głowy, i gdy starają się one nam narzucić pewne fakty dokonane. Natomiast próba wyjaśnień i stałe trzymanie ręki na pulsie; unikanie krótkiego spięcia.

2) Nienadawanie naszym wystąpieniom ani posunięciom ostrza anty-sowieckiego. Jako przykład postępowania: Argumentacja w sprawie federacji środkowo-europejskiej i świetne uzasadnienie przez Pana Premiera w Ameryce naszego stosunku do państw bałtyckich.

3) Nawet najsilniejsze prawnie, ale nie poparte wrażeniem siły własnej lub choćby uruchomionej przez nas cudzej, argumenty spływają po Sowietach jak deszczowa woda. Przykładem tego jest korespondencja dyplomatyczna polsko-sowiecka w sprawie obywatelstwa i jej konkluzja sowiecka w postaci noty z 16-go stycznia. Natomiast obie strony liczą się wrażeniem wywołanym na stronach trzecich. Stąd wskazówka taktyczna, żeby dyskusję, w której nie mamy chwilowo szans dogadania się, ale w której podtrzymywać musimy pewne zasady, prowadzić nie w Kujbyszewie, ani w Moskwie, ale w Londynie. Tam Ambasador polski obciążony jest interesami naszych rodaków, a władze sowieckie są w pozycji z reguły silniejszej, tutaj zaś Ambasador Bogomół jest dla nas tylko skrzynką do listów, a przy tym chodzi nam nie tyle o ich sowieckiego odbiorcę, co o anglosaskich obserwatorów. Przykład analogicznej taktyki w postępowaniu dają nam zresztą Sowiety, rezerwując z reguły wszelkie przykre wystąpienia dla Ambasady R.P. w Kujbyszewie.

Zakończenie:

Czuję się nie tylko opiekunem z ramienia Rządu R.P. naszych Rodaków zesłanych w głąb ZSSR, ale dzięki mej kilkuletniej roli, rozpoczętej jeszcze w Tokio i pozyskania ich zaufania, także poniekąd ich Ambasadorem wobec Rządu. To mnie upoważnia do oświadczenia tutaj, w głębokim przekonaniu, że nie

znajdzie się dobry Polak w ZSSR, który by słowom moim zaprzeczył, że Rodacy nasi liczą na dalszą pomoc i opiekę, ale gdyby miały one przyjść kosztem żywotnych interesów państwa polskiego, kosztem naszej przyszłości państwowej czy narodowej, to pierwsi z pomocy tej zrezygnują i poświęcą siebie i rodziny swoje. Mają oni jednak prawo wiedzieć i rozumieć, że ofiara taka, gdyby okazać się miała nieunikniona i konieczna, nie będzie bezcelowa i nieskuteczna.

W ich imieniu również czuję się powołany, w chwili gdy od Zachodu świtać już nam zaczyna jutrzienka wolności, podczas gdy od Wschodu kłębią się jeszcze groźne chmury, do najgorętszego nawiązania do pięknego apelu końcowego Pana Premiera o jedność i zgodę narodową, które zdolne są jedynie do zwycięskiego wyprowadzenia nas z wszelkich niebezpieczeństw i przeciwności.

Po moim przemówieniu zabrał głos Pan Premier Sikorski, który zauważył najpierw, że nie przewiduje, byśmy mogli znaleźć się wobec tak tragicznej alternatywy, jaką stanowiłby wybór pomiędzy naszą racją stanu a bytem naszych rzesz wygnanych w ZSSR. Następnie oświadczył, że zdaniem jego, a zapewne i wszystkich obecnych członków Rządu, wywody moje były od początku do końca najzupełniej przekonujące i zadawalające i pokrywają się w zupełności z poglądami Rządu R.P. Premier zadowolony jest z tego, że okoliczność ta potwierdza słuszność wyboru mego na trudne i odpowiedzialne stanowisko, które zostało mi powierzone i zapewnia, że w dalszej mej działalności po powrocie do ZSSR, gdzie czekają mnie trudne i ważne rozmowy, liczyć mogę na pełne zaufanie i poparcie Rządu R.P.

Po otwarciu dyskusji przez Pana Premiera głos zabierają PP. Ministrowie Stroński, Kwapiński, Stańczyk, Seyda, Mikołajczyk i Haller, którzy korzystnie oceniają moje wywody, przyłączają się do zdania wyrażonego przez Pana Premiera i dają wyraz uznaniu dla mojej dotychczasowej działalności i dla przedstawionego przeze mnie programu.

Reasumując dyskusję Pan Premier wyraził mi podziękowanie w imieniu własnym i Rządu i po pożegnaniu się ze mną, upoważnił mnie do opuszczenia sali obrad”.

5. ROKOWANIA W MOSKWIE

Przebieg mojej pierwszej rozmowy w Moskwie z Komisarzem do Spraw Zagranicznych Mołotowem w dniu 20 lutego

1943 roku oraz mojej rozmowy na Kremlu w nocy z 26 na 27 lutego 1943 roku z Premierem Stalinem i Mołotowem ukazał się w druku w przekładzie angielskim³ i⁴. Do samego tekstu obu tych rozmów nie powracam zatem. Ale interesujące może będzie zapoznać się z moim własnym i współczesnym komentarzem do tych rozmów, zawartym w moim tajnym, dotychczas nieogłoszonym liście do Ministra Raczyńskiego, datowanym z Moskwy 4 marca 1943 roku, który tu przytaczam zatem w całości:

„... Mołotow przyjął mnie na trzeci dzień po przyjeździe i zwróceniu się o audiencję, z pełną kurtuazją i z tak niewinną i uprzejmą miną na wstępie, jak gdyby „między nami nic nie zaszło”. Równocześnie jednak z charakterystyczną dla stosunków sowieckich precyzją inscenizacyjną cała prasa sowiecka rozbrzmiewała znanym artykułem Korniejczuka, obliczonym na wywołanie przeciwko nam hałasu w świecie.

Licząc się z tym, że decydujące w tych warunkach znaczenie może mieć tylko rozmowa z samym Stalinem i sam fakt przyjęcia mnie lub nie przyjęcia przez niego, rozpocząłem i zakończyłem pierwszą wizytę u Mołotowa wygranem listu gen. Sikorskiego do Stalina i pełnym nęcącą tajemniczości wabikiem w sprawie naszych możliwości dywersyjnych w Polsce. Cała pierwsza część rozmowy z Mołotowem, poświęcona była zreferowaniu mu działalności dyplomatycznej i planów ogólnopolitycznych Pana Premiera i Rządu R.P. Starałem się być przy tym możliwie ścisły, ale dostatecznie ogólnikowy i uzasadnić w ten sposób, bez szkody dla nas, naszą dobrą wolę w kontaktowaniu się na te tematy z Rosją Sowiecką podobnie jak z mocarstwami anglosaskimi. W istocie jednak chodziło mi przede wszystkim o to, by wyciągnąć z Mołotowa to, co ich w tych sprawach drażni i boli, ażebyśmy mogli zorientować się czy dysponujemy jakimiś atutami i ewentualnie jakimi, do wymiany za potrzebne nam ustępstwa w dziedzinie stosunków polsko-sowieckich. Mołotow okazał się

3. W wydawnictwie j.w. za Nr 291 na str. 483 do 486 tomu I, wyciągi ze sprawozdania z rozmowy na Kremlu 20 lutego 1943 roku Ambasadora Romera z Komisarzem Mołotowem w sprawie napięcia w stosunkach polsko-sowieckich w przekładzie z polskiego na angielski.

4. W wydawnictwie j.w. za Nr 295 na str. 409 do 501 tomu I z uzupełnieniem za Nr 12 na str. 692 do 694 tomu II 1943-1945, wydane go w Londynie w 1967 roku sporządzony przez stronę polską protokół rozmowy Ambasadora Romera z Premierem Stalinem i Komisarzem Mołotowem na Kremlu w nocy z 26 na 27 lutego 1943 roku dotyczącej zasadniczych zagadnień powodujących stan napięcia w stosunkach polsko-sowieckich, w przekładzie z polskiego na angielski.

wytrawnym graczem i farby nie puścił. Nie miałem czasu ani możliwości powtórzyć to samo doświadczenie ze Stalinem, który byłby na pewno przystępniejszy.

Ale i tak wyczuwam doskonale przez skórę, że ci panowie są z nas, także na najszerszym tle międzynarodowym, mocno niezadowoleni. Nie tyle może z racji czynnej i ruchliwej samodzielności naszej polityki zagranicznej, gdyż z właściwym sobie, mocno materialistycznym realizmem, występującym zwłaszcza u Mołotowa, nie przeceniają z pewnością naszej siły ani naszych możliwości w świecie. Dlatego też skłonny jestem przypuszczać, że jeżeli kiedykolwiek lub gdziekolwiek wyrażają się krytycznie o naszych planach środkowo-europejskich, to jest to z ich strony raczej kwestią taktyki niż dowodem istotnych obaw. Natomiast niewątpliwie razi ich i niepokoi, z tytułu zakorzenionego z dawna jakiegoś kompleksu niższości na tym tle, stosunek świata kapitalistycznego z Ameryką na czele do ZSSR, za którego to stosunku instrument czy wykładnik poczytywać mogą właśnie Polskę na obczyźnie, niezależną, wszędobylską, skontaktowaną w bliski i zaufany sposób z Rooseveltem, Churchilllem i innymi możliwymi tego świata. A przecież Rząd Sowiecki nie może oprzeć się wrażeniu, że cały świat ten, żywiący głęboką nieufność i zrozumiałe uprzedzenie do bolszewizmu i jego widoków na przyszłość, posługuje się dziś skwapliwie siłą sowieckiego oręża by zwyciężyć Niemcy ale zarazem liczy na dostateczne wykrwawienie się i przemęczenie Rosji i swoją bezczynnością przyczynia się do tego, by móc bez jej udziału spożyć owoce zwycięstwa. Tu leży właśnie geneza pojawiających się znowu utyskiwań sowieckich na brak drugiego frontu na kontynencie europejskim. Z tych właśnie nastrojów u kremlewskich szczytów korzystają bez wątpienia wykonawcze czynniki administracji sowieckiej z takim Wyszyńskim i kierownikami N.K.W.D. na czele, ażeby wykończyć prędko i na dobre nie po ich myśli stworzone i rażące ich nad wyraz obiekty i instrumenty polskich zainteresowań i polskiego wścibstwa na terytorium Związku Sowieckiego.

W drugiej części mojej rozmowy z Mołotowem starałem się stworzyć i zafiksować dyskusyjnie dowody naszej nieprzerwanej aktywności w wojnie i w naszej na tym tle niewygasłej wartości nawet dla Sowietów. Było mi to potrzebne zarówno dla przygotowania sobie do dalszych rozmów pewnych atutów wymiennych, których niestety posiadamy dziś tak mało w stosunku do ZSSR, jak dla wyeliminowania zarzutów, których już nie od dziś nie szczędzi nam propaganda sowiecka, zwłaszcza na tle losów armii polskiej na Wschodzie. Ten ustęp rozmowy również nie wywołał

ze strony Mołotowa żadnych interesujących wynurzeń, ale nie mniej spełnił, jak sądzę, przewidzianą rolę.

Zakończenie rozmowy z Mołotowem dotyczyło samej istoty obecnego sporu polsko-sowieckiego, tj. sprawy obywatelstwa i granic, do których podszedłem defensywnie i z całą ostrożnością, od strony humanitarno-opiekuńczej, w której jesteśmy niewątpliwie najmocniejsi w oczach świata. Gdy jednak Mołotow okazał się nawet w tej dziedzinie nieprzystępny i „pryncypialno” nieugięty i gdy dyskusja zahaczyła o najdrażliwsze argumenty, sformułowałem bez wahania nasze stanowisko w sposób taki, że mój rozmówca nie znalazł nań merytorycznej odpowiedzi i musiał dość prymitywnie i niezręcznie powtarzać systemem Ollendorfa niezwiązane logicznie formułki. Konsekwencją tego była oczywiście w naszej dyskusji ślepa uliczka, w którą dałem się zapędzić, licząc na to, że czeka mnie jeszcze rozmowa ze Stalinem.

Przeszedł tydzień, upiękuszony nowymi zwycięstwami Armii Czerwonej i ich jubileuszowym święceniem przez roztkliwiający się świat burżuazyjny; tydzień urozmaicony echami prozy Korniejczuka i związaną z nimi ekscytacją korespondentów zagranicznych w Moskwie, a także mego brytyjskiego kolegi (amerykański po dziś dzień nie nadjechał jeszcze z Kujbyszewa na skutek bardzo utrudnionych połączeń), z którym pozostawałem w bliskim i przyjaznym kontakcie, a którego nieopisaną troską przejmowała perspektywa dorzucenia na swe barki moich kłopotów do własnych; tydzień, który przeżyłem w napięciu oczekiwania z jednej strony na zaproszenie Stalina a z drugiej na coraz to nowe zamachy sowieckie na nasz organizm opiekuńczy, na narodowe i ludzkie prawa naszej ludności w ZSSR, a nawet na aparat dyplomatycznej pracy naszej Ambasady. W piątek 26 lutego wieczorem wybrałem się z moimi współpracownikami do teatru na interesującą sztukę N. Pogodina pt. „Kremlowskie Kuranty”, obrazującą w zręczny scenicznie i propagandowo sposób pierwsze lata władzy bolszewickiej z udziałem na scenie Lenina i Stalina. W antrakcie, gdy trawiłem te niecodzienne wrażenia, zawezwano mnie przez dyrektora teatru (z dobrze mi znaną sprawnością ustrojów dyktatorsko-policyjnych) do telefonu, z którego dowiedziałem się, że za godzinę będę przyjęty na Kremlu przez Stalina, o ile uprzejmie wyrażę na to zgodę. Nie nadużyłem tej pozostawionej mi swobody i w godzinę później siedziałem już przy stole konferencyjnym w jego gabinecie, przystępując do najtrudniejszej chyba i kto wie czy nie najciekawszej rozmowy dyplomatycznej w moim życiu. Pomimo udziału w niej Mołotowa nie rozwinęła się ona wcale trybem podobnym do tej, którą mnie przed tygodniem zaszczycił Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych.

Sam wygląd i zachowanie się Stalina, niepozbawione stron ujmujących i sympatycznych⁵, dyktują jak najprostsze i niekonwencjonalne podejście do niego. Skróciłem więc do minimum formułki powitalne i gratulacyjne i nie nawiązując już nawet do listu gen. Sikorskiego, który to list tak skutecznie rolę swoją był spełnił, przystąpiłem od razu do spłacenia weksla, wystawionego w rozmowie z Mołotowem, w postaci zapowiedzi ujawnienia naszych planów współdziałania dywersyjnego w Polsce z ofensywą Armii Czerwonej. Liczyłem się z tym, że ten temat, związany bezpośrednio z wojną, zainteresuje Stalina i rozwiąże mu usta, że korzystne wrażenie zrobi nań fakt, że zamiast od skarg i żalów, zaczynam rozmowę od motywów solidarności polsko-sowieckiej w walce ze wspólnym wrogiem. Wyczuwałem jednak instynktownie pewne niebezpieczeństwo zbyt wyraźnego ujawnienia intencji przetargu, kryjącej się za naszą propozycją. Zauważyłem już nieraz w ustrojach dyktatury, bez wysiłku identyfikujących we własnym postępowaniu skrupuły z przesadami, zabawnie przesadną dbałość o zachowanie pozorów i wrażliwość na ich respektowanie. W tym świetle niepotrzebne i niesłuszne nawet narażenie się na zarzut, że działamy przeciw Niemcom interesownie i dla innych zgoła celów niż dla samej z nimi rozprawy, mogłoby mieć w rozmowie ze Stalinem bardzo niepożądane wyniki. Dlatego też odłożyłem konkluzje praktyczne na później i starałem się w dyskusji doprowadzić Stalina do wyraźnego uznania korzyści płynącej dla Armii Czerwonej z naszego projektu. Udałem się jednak zupełnie prostolinijnie i wcale zręcznie te moje zamiary. Najpierw uchylał się przez czas dłuższy od doprowadzenia do sformułowania przeze mnie zapytania, a zatem od potrzeby niedwuznacznej odpowiedzi — co sądząc z dalszego przebiegu rozmowy jest u niego stałą metodą — następnie zaskoczył mnie opinią tak obiektywnie i przyzwoicie uwzględniającą nasze własne, polskie interesy, że nie dawała mi po prostu pola do dalszej rozgrywki.

Przeszedłem więc do drugiej sprawy wojskowej, a mianowicie do postulatu odstępowania armii polskiej Polaków wcielonych przymusowo do armii niemieckiej, którzy by przeszli z własnej woli na stronę sowiecką bojowego frontu. I tu również konkluzje pozostawiłem na koniec i operowałem argumentami przemawiającymi do wyobraźni. Dyskusja nie była pozbawiona obustronnie ciekawych, nieraz technicznych a czasem nawet ofen-

5. Użyte przeze mnie w tym liście określenia wyglądu i zachowania się Stalina wydają się dziś mnie samemu rażące. Są one jednak autentycznym wyrazem moich wrażeń z okresu przed ujawnieniem potwornej zbrodni katyńskiej i późniejszych rewelacji Chruszczowa, który sam był katem Ukrainy.

sywnych elementów, utrzymanych jednak zawsze w tonie żartobliwie przyjaznym. Stalin zakomunikował mi niejedną cenną dla nas wiadomość. Przypchnięty do muru, starał się przy pomocy Mołotowa przenieść rozmowę na niewygodną dla mnie płaszczyznę tarć polsko-sowieckich z okresu ewakuacji naszej armii na Wschodzie, co pośpieszyłem uchylić. Nie zdołałem wszakże uniknąć negatywnego ustosunkowania się z jego strony, w ślad za konsekwentnym postępowaniem cywilnych i wojskowych władz sowieckich w tej sprawie, do naszych żądań i musiałem zadowolić się możliwością wznowienia debaty w innym ujęciu — oddziałów ochotniczych polskich w ZSSR na okres wojny — którego wołałem nie precyzować ani dopuszczalności jego z naszej strony nie przesądzać.

W drugiej części rozmowy przeszliśmy do trudności polsko-sowieckich, których zażegnanie przedstawiłem jako konieczność podyktowaną naszą solidarnością w ramach obozu przeciwniemieckiego. Dotychczas milczący Mołotow ożywił się niezwłocznie i zaczął odgrywać rolę rzeczoznawcy i mentora, strzeżącego swego szefa, jak gdyby niedość otraskanego z detalami, przed jakimiś zbyt liberalnymi lub zbyt daleko idącymi wynurzeniami. Stalin nie sprzeciwiał się temu i podążył w ślad za Mołotowem, gdy ten ostatni z talentem żonglera lub kameleona politycznego w tak dobrze mu znanej roli — wyparł się w żywe oczy przede mną własnych najwyraźniejszych twierdzeń w rozmowie sprzed tygodnia, dotyczących obywatelstwa przygodnych mieszkańców kontestowanego terytorium w terminie z pierwszego na drugi listopada 1939 roku. Sukces ten może zresztą z czasem okazać się pozornym i dlatego powinniśmy go na razie przynajmniej otoczyć ścisłą dyskrecją. Nie wątpię, że zarówno Stalin jak Mołotow zdali sobie już przed rozmową ze mną najdokładniej sprawę z tego, że stanowisko zajęte uprzednio przez Rząd Sowiecki jest nie do utrzymania i okazać się może na gruncie międzynarodowym szczególnie niewygodne. Dla tej samej przyczyny, a także dla jak najdobitniejszego przypieczętowania odwrotu sowieckiego, przeciągałem, z pominięciem naszej zasadniczej tezy, dyskusję na ten temat i wreszcie położyłem kres tej sielance przez przytoczenie drastycznego i miażdżącego przykładu Erlicha i Altera. Na to już nawet Mołotow nie znalazł odpowiedzi, a Stalin szukał nie przekonywującego ratunku w objęciach Wandy Wasilewskiej i w przeniesieniu się do antysowieckiej propagandy, przypisywanej prasie polskiej i naszym działaczom politycznym.

Teraz dyskusja nabrała silnych akcentów polemicznych, pomimo moich usilnych starań by nie dopuścić do jej sprowadzenia

z właściwego toru na bezkonkluzyjne manowce. Na zarzuty i zaczepki, zwłaszcza zaś na próby ustawienia pewnych tez zasadniczych dla nas nie do przyjęcia, musiałem jednak oczywiście odpowiadać podobną bronią. Stałem się czynić to spokojnie i rzeczowo i w niejednym punkcie rundy poczułem się silniejszy. Natomiast zupełną niespodzianką była dla mnie poślyszana po raz pierwszy z ust Stalina wiadomość o uchwale Rządu R.P. z 25 lutego 1943 roku w sprawie granic wschodnich Polski. Zrozumiałem o co chodzi dopiero z telegramu, który otrzymałem nazajutrz z Kujbyszewa z powtórzeniem komunikatu PAT. Podejrzewam, że telegram bezpośrednio nadany do mnie z Londynu, który doszedł moich rąk dopiero po dwóch dniach i pozbawiony drugiej połowy tekstu, stał się może właśnie pierwszym źródłem informacji N.K.I.D. Jest to jednak drobny szczegół wobec poważnych następstw tego faktu, jak tego dowiodła drastyczna reakcja Rządu Sowieckiego w kilka dni później, spowodowana — jak przypuszczam — przez Mołotowa, już po mojej rozmowie ze Stalinem.

Sprawy tej, która jest przedmiotem nieukończonych jeszcze w tej chwili korespondencji telegraficznej między nami, nie będę na tym miejscu merytorycznie rozważał. Nie mogę jednak ukryć przed Tobą mego przykrego zdziwienia, że Rząd, który mnie obarczył tak odpowiedzialną i tak niezwykle trudną i ciężką misją, jak rozmowy w obecnych warunkach w Moskwie, uznał za stosowne bez porozumienia się ze mną, bez uprzedzenia mnie nawet i zasięgnięcia mojej opinii, a chociażby uzgodnienia terminu, który kolidował tak blisko z decydującą rozmową ze Stalinem, zrobić krok tak doniosły i rozpętać taką burzę polityczną. Pozwalam sobie podkreślić, że już sam fakt przyjęcia mnie przez Stalina, który został rozgłoszony przez całą prasę sowiecką aż do najodleglejszych zakątków ZSSR, poczytany tam został wszędzie jako dowód wyraźnego odprężenia polsko-sowieckiego po interpretowanym przeciwnie niedawnym artykule Korniejczuka. Twierdzę to nie na własną odpowiedzialność, ale na podstawie poufnych wynurzeń pani Usijewiczowej, wybitnej działaczki bolszewickiej, która jest dobrym barometrem nastrojów N.K.I.D. w Kujbyszewie. Okoliczność powyższa mogła mieć niepoślednie znaczenie w terenie dla wstrzymania a przynajmniej dla zwolnienia tempa likwidacji lub sowietyzacji urządzeń opiekuńczych naszej Ambasady, zanim jeszcze zdołamy może je zabezpieczyć w innej drodze. Obawiam się, że obecnie, po komunikacie TASS w odpowiedzi na uchwałę Rządu R.P. ten efekt rozprysł się bezpowrotnie. Chwila jest dla nas zbyt poważna, żebym chciał czy myślał utrudniać ją jeszcze z mojej strony jakimikolwiek

rekryminacjami osobistymi natury formalnej i proceduralnej pod Waszym adresem. Ale chcę mieć nadzieję i w interesie sprawy apeluję o to do Ciebie jak najgoręcej, że na przyszłość konsultowany będę z góry w sprawie wszelkich pociągnięć mających bezpośrednie i zasadnicze znaczenie dla powierzonej mi misji.

Powracam do zakończenia mojej rozmowy ze Stalinem. Godzina upływała za godziną, dyskusja zaciągała się i wielka i rzadka okazja mogła w rezultacie spełznąć na niczym. Zorientowawszy się w tym niebezpieczeństwie zacząłem wielkim szydłem łątać wiotką nić pajęczą możliwości jakiegoś kompromisu, którą oświadczenia Stalina, to chwilami nieogłędne, to znów powściągliwe i ostrożne, raz rwały, a raz namotywały znowu. W konkluzji i po poruszeniu przeze mnie wszystkich najważniejszych aspektów praktycznych wyjściowego zagadnienia obywatelstwa, nie uzyskałem wprowadzić żadnych konkretnych zobowiązań czy ustępstw, ale stworzyłem niekrępujące mnie również w niczym platformę negocjacyjną do dalszych rozmów z Mołotowem w Moskwie.

Starałem się usilnie o to, by te moje pierwsze rozmowy przyniosły Rządowi możliwie jasny obraz sytuacji, by dały możliwie wyczerpującą odpowiedź na zapytania, do czego dąży, czego właściwie chce od nas Rząd Sowiecki. Lektura moich sprawozdań przynosi wrażenie, że to mi się nie udało. Ale wrażenie takie jest jednak raczej pozorne, gdy bliżej rozważyć wszystkie szczegóły zachowania się moich rozmówców. Stwierdziłem, że od rozmów z nami nie stronią, zerwania sobie nie życzą i z nim się właściwie nie liczą, a dogadaliby się najchętniej bez obcych pośredników. Upór i nieustępliwość jakie cechują przynajmniej na razie ich stanowisko w sprawach zasadniczych, jak granice i ustawodawstwo własne, też nie są stuprocentowo przekonywujące. Dlaczego zatem to wszystko? Bo w moim przekonaniu nie czują się oni całkowicie pewni jeśli idzie o dalszy rozwój sytuacji wojennej i, rozumiejąc dobrze całą wagę jaką może i musi mieć jeszcze w przyszłości rola mocarstw anglosaskich a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych w dogrywce wojennej i organizacji pokoju, wolą nie ryzykować obciążenia się w ich oczach niezręcznym z nami konfliktem na podłożu ideologiczno-humanitarnym. Poza tym kto wie, czy plany organizacji na razie tu w Rosji a potem może i u nas w kraju jakiejś Polski bez Rządu polskiego, uległej i mniej więcej komunistycznej, plany, które z pewnością tułają się po niejednej głowie sowieckiej, nie napotykają już przy pierwszych sondażach i próbach, np. na gruncie czysto wojskowym, na niepokonalne trudności, na duże rozczarowania? Ograniczam

się na razie do rzucenia tego pytania, na które dopiero przyszłość odpowie.

Cała sprawa stosunków polsko-sowieckich pozostaje niesłychanie trudna i drażliwa, zwłaszcza w związku z poruszeniem naszej opinii publicznej. Oczekuję teraz z dnia na dzień na zakomunikowanie mi przez Ciebie instrukcji Rządu, do której zastosuję się jak najskrupulatniej. Jeżeli — jak przypuszczam — pomimo wszelkich trudności nie uchylimy się od rokowań, to nie przesądząc ich wyniku ani nawet ich szans, przewiduję, że uda się nam przynajmniej zyskać na czasie bez niedopuszczalnych katastrof czy też rezygnacji z naszej strony i tym samym zwiększyć nasze możliwości doczekania się korzystniejszej dla nas ogólnej koniunktury wojenno-politycznej...”.

6. EPILOG MOJEJ MISJI W MOSKWIE

Ujawnienie przez Niemcy zbrodni katyńskiej i następstwa tego w postaci brutalnego „zawieszenia” — jak mówiło się wówczas — przez Rosję w dniu 25 kwietnia 1943 roku stosunków dyplomatycznych z Rządem polskim na obczyźnie, znane jest zbyt powszechnie, by tu powracać do niego. Dotkliwie uderzony przez propagandę Goebbelsa, a nie mając na razie jeszcze możliwości wylania swej zemsty na Niemcy, Rząd sowiecki w kłopotliwym położeniu wołał odwrócić uwagę od własnej odpowiedzialności i uderzyć kijem wolnych Polaków, uwalniając się jednocześnie od dalszych niewygodnych dlań z nimi rokowań. Rady na to w tym stanie rzeczy być nie mogło. Odpierając stanowczo bezpodstawne zarzuty, godzące w nasz honor alianta i odmawiając przyjęcia składanej mi w tym duchu noty, starałem się o zachowanie zimnej krwi, o publiczne stwierdzenie, że pozostajemy nadal w tym samym obozie walki do końca z Niemcami i o zabezpieczenie losu zesłańców polskich pozostałych w Rosji. Przestrzegając stale tej linii postępowania, opuściłem bez incydentów, na czele mojej Ambasady Rosję okrężną drogą lądową i przybyłem w połowie maja do Teheranu. Tu zająłem się likwidacją agend Ambasady i użytecznym rozmieszczeniem jej personelu.

Już 26 maja witałem w Kairze gen. Sikorskiego, przybyłego z Londynu na inspekcję polskich sił zbrojnych na Bliskim Wschodzie. W ciągu dni następnych zdałem mu sprawę z ostatniego etapu mojej misji w Moskwie. Tekstu moich wywodów nie mam na piśmie, ale w oparciu o luźne zapiski pozostał mi on w tak żywej pamięci, że mogę tu streścić jego główną punktację.

1. W toku walnej rozprawy wojennej Sowiety czują się coraz pewniejsze siebie i coraz bardziej zdeterminowane do zrealizowania w jej wyniku swoich celów strategicznych i politycznych. Wpływają na to nie tylko powodzenia na własnym froncie walk, ale świadomość, że rola Rosji w wojnie, nie zrównoważona dotychczas utworzeniem przez jej zachodnich sojuszników drugiego frontu na kontynencie europejskim, pozwala jej bez niebezpieczeństwa dla siebie wygrywać coraz skuteczniej Stany Zjednoczone przeciw Wielkiej Brytanii i na odwrót.

2. Zerwanie z Rządem polskim na wygnaniu ma charakter bardziej taktyczny niż merytoryczny. Kładzie bowiem kres kłopotliwej sytuacji dla Sowietów, które chcą mieć wolne ręce, gdy wkroczą do Polski i krajów sąsiednich. Że jednak trudno im polegać na nieprzygotowanych do roli administratorów, niedobitków srodze przetrzebionych w swoim czasie w czystkach stalinowskich polskich komunistów, przeto mogłyby się skłaniać do porozumienia nawet z nami pod warunkiem, że wyłączyłoby ono wszelką ingerencję Zachodu w nasze sprawy.

3. Takie izolowanie nas w wyłącznej zależności od Rosji byłoby dla nas oczywiście nie do przyjęcia, jako sprzeczne z zasadą niepodległości Polski i jej sąsiadów i na dalszą metę zupełnie iluzoryczne. Dlatego stajemy przed zapytaniem czy i jak dalece liczyć możemy na podtrzymanie nas ze strony mocarstw zachodnich w naszych zabiegach o prawdziwą niezależność odbudowanego po wojnie państwa polskiego, o zapewnienie mu słusznych granic i uzdrowionej ekonomii, o repatriację polskich rzesz zesłańczych z głębi Rosji i o udział regularnych polskich sił zbrojnych w uwolnieniu kraju spod okupacji wroga.

Odniosłem wrażenie, że gen. Sikorski, aczkolwiek dał wyraz, wojskowym odnaczeniem mnie, swemu uznaniu dla mego wywiązania się z końcowej fazy misji w Rosji, czuł się zakłopotany naciskiem tych moich zapytań, skierowanych jak gdyby pod jego adresem. A że nie lubił odsłaniać na poczekaniu swych najgłębszych myśli, wolał odroczyć na później rozmowy na ten temat i decyzję co do sposobu wykorzystania moich usług na przyszłość. Wezwał mnie przeto do ponownego przyjazdu z Teheranu na zjazd i naradę w Bejrucie szefów placówek dyplomatycznych i konsularnych polskich tego rejonu w dniu 23 czerwca, pod koniec jego pobytu na Bliskim Wschodzie.

Po tej naradzie, gen. Sikorski zaprosił mnie na kilka dni do Brumany, uroczej miejscowości wypoczynkowej, położonej w górach nad Bejrutem. Tam dopomagałem mu w redagowaniu instrukcji dla Kraju w związku z wiadomością o dzikich represjach

niemieckich w Polsce, które przejmowały go głęboką troską, a także jego przemówienia radiowego do Kraju i do żołnierzy polskich, nadanego przez radiostację „Lewant” w Bejrucie 27-go czerwca 1943. W międzyczasie ustalone zostały także moje własne losy na przyszłość. Po zorientowaniu się naocznym w zawiłym i nieraz drażliwym splocie interesów i potrzeb wojskowych, cywilnych, społecznych i administracyjnych polskich na Bliskim Wschodzie, gen. Sikorski uznał za niezbędne stworzyć przejście — z siedzibą w Kairze urząd Wysokiego Komisarza dla spraw polskich, jako przedstawiciela Premiera R.P. i niejako mediatora i arbitra i powierzyć go mnie. Po moich doświadczeniach z Moskwy sama nazwa Komisarza nie bardzo mi się uśmiechała, ale interesujące choć trudne zadanie przyjąłem służyć i kto wie czy nie zawdzięczać mu życia, gdyż w przeciwnym razie towarzyszyłbym może gen. Sikorskiemu i jego świcie w dalszym etapie tragicznej podróży przez Gibraltar do Londynu.

Krótkie dni wypoczynku miały w Brumanie. Znając usposobienie Generała, nie narzucałem się mu z wznowieniem naszej niedokończonej rozmowy kairskiej. Któregoś wieczora, przed wspólnym odlotem do Kairu, zwierzył mi się wreszcie Generał z własnej inicjatywy i w zatroskaniu, że w obecnym stanie rzeczy nie liczy się z możliwością urzeczywistnienia swego najdroższego życzenia, tj. powrotu z wojskiem do Polski pod koniec wojny. Tak niezwykle u niego smutek i ból z jakim tę myśl przede mną rozwijał, wiązał się niewątpliwie z moim sprawozdaniem z Moskwy i z naszą niedokończoną rozmową w Kairze. Pokrzyżowanie naszych planów finału wojennego w lojalnej współpracy z Rosją, ale w oparciu militarnym, politycznym i gospodarczym o Zachód — mówił — nie wynikało z naszej winy, ale wystawia nas na poważne niebezpieczeństwa. Istotnie jedyną drogą, jaka nam pozostaje w tych warunkach jest pilne i poważne upewnianie się co do zasięgu poparcia na jakim będziemy mogli polegać u mocarstw zachodnich. Przyłożyć się do tego musimy wszyscy, nie ustając w działaniu.

Melancholię zawartą w tych słowach potwierdziła mi tegoż dnia bodaj córka Generała, pani Zofia Leśniowska, jego ukochana powierniczka, która towarzyszyła mu do końca w podróży na Bliski Wschód z racji funkcji pełnionych w sztabie ochotniczej służby kobiet. Mimo podniosłych wrażeń z inspekcji wojskowej ojca na terenach szkoleniowych 2-go Korpusu, nie kryła przede mną czarnych myśli o tym co czekać nas może. Czy warto żyć w tych warunkach? — zapytała nawet. Było to chyba wyrazem nastroju a nie przecucia.

Wkrótce wyruszyliśmy wszyscy razem samolotem gen. Sikor-

skiego w drogę powrotną do Kairu. Po drodze, wizyta u naszych junaków i junaczek w Palestynie, a nazajutrz rozmowy gen. Sikorskiego w Kairze i śniadanie z moim udziałem, którym gościł w naszym Poselstwie Króla greckiego, nie pozostawiły u Premiera i Wodza Naczelnego ani śladu posępnych myśli. Był znowu w całej pełni dynamicznym mężem stanu, pełnym żaru i pomysłowości. Wiało od niego optymizmem. Czyżby przyśnił mi się — dumałem — niedawny wieczór, który tak wbił mi się w pamięć?

3 lipca 1943 roku żegnaliśmy gromadnie na lotnisku kairskim odlatującego do Londynu gen. Sikorskiego z otoczeniem. 5 lipca obecny byłem na śniadaniu w Poselstwie polskim. Odwołany do telefonu nasz gospodarz, Poseł Zażuliński, powrócił za chwilę ze zmienioną twarzą do stołu i załamany głosem obwieścił: „Wszystko skończone! Generał i całe jego otoczenie zginęli w wypadku lotniczym w Gibraltarze!”.

W kilka dni potem znalazłem się na żądanie Rządu w Londynie dla zdania sprawy z ostatnich działań gen. Sikorskiego. Zaskoczony propozycją nowodesygnowanego Premiera, Stanisława Mikołajczyka, objęcia teki Ministra Spraw Zagranicznych, przyjąłem ją po namyśle w pełnej świadomości, że staję w najmniej sprzyjającej chwili przed najcięższym zadaniem mego życia, ale wciąż mając w pamięci wskazanie usłyszane owego pamiętnego wieczoru w Brumanie z ust zmarłego tragicznie patrioty i męża stanu.

Tadeusz ROMER

B. K. PIEKARSKI

ZIELNA 25

PRZEDSŁOWIE

„ZIELNA 25” — to zapiski z ostatnich dni sierpnia i początkowych dni września 1939 roku. Pod tym właśnie adresem mieścił się centralny gmach Polskiego Radia w Warszawie, wraz z jego studiami, Wydziałami Aktualności i Transmisji, Dziennikami Radiowymi i innymi biurami. Można by te zapiski równie dobrze zatytułować bardziej rutyniarsko „Ostatnie Dni Polskiego Radia Warszawa”, ale wolę pierwszy tytuł.

Zapiski nie są kroniką wypadków literacko stylizowaną. Jest to raczej swego rodzaju reportaż. Byłem poprzednio wielokrotnie sprawozdawcą radiowym najpierw w Wilnie, a później w Warszawie, więc z przyzwyczajenia reporterskiego mówiłem raczej niż pisałem, jakbym mówił do mikrofonu o tym co się dookoła mnie dzieje do nadania „w powietrze”. Tym stylem, jeżeli tak można nazwać tę narrację, pisałem o tym co widziałem i odczuwałem w dniach zbliżającej się wojny i po jej wybuchu w gmachu Polskiego Radia na Zielnej i w samej Warszawie.

Spisywałem to wszystko w pośpiechu w kawiarenkach Bukaresztu w październiku po wybuchu wojny i w zimnym pokoiku małego hoteliku na Rue Pouchet, w XVII Arrondissement Paryża w grudniu 1939. Nie było czasu ani ochoty na silenie się na szlifę literacką. Być może zresztą, oddało to lepiej i prawdziwiej ówczesną atmosferę Radia i Warszawy, bo wypadki toczyły się tam wówczas w takim natłoku wydarzeń. A poza tym, w zasadzie chciałem tylko ponotować wszystko za świeżej pamięci, jako surowy materiał do późniejszego opracowania. Jeżeli czasem podawałem jakiś opis wizualny, to bezwiednie. Ponościło mnie po prostu przyzwyczajenie radio-sprawozdawcze. Reportera, który musiał być w radiowych sprawozdaniach także i wzrokiem słuchaczy.

Mając zamiar opublikować zapiski w odcinkach w wychodzącym w Londynie *Dzienniku Polskim* i *Dzienniku Żołnierza* w połowie 1941 roku, kiedy poprzednio zdołałem się przedostać do Wielkiej Brytanii z francuskiego frontu przez Afrykę, przejrzałem notatki na nowo. Byłem już wówczas w Londynie i pracowałem w *Polsce Walczącej* redagowanej przez Tymona Terleckiego. Postanowiłem nic tymczasem nie zmieniać. Oddałem manuskrypt do przeczytania redaktorowi *Dziennika*, Czarnockiemu, taki jaki był. Czarnocki miał pewne wątpliwości, czy publikacja „ZIELNA 25” nie będzie „jątrzeniem nie zagojonych jeszcze ran”, szczególnie tuż niemal po nowej klęsce dla Polaków — upadku Francji. Ale do ostatecznego zaopiniowania oddał manuskrypt ówczesnemu ministrowi informacji w londyńskim rządzie generała Władysława Sikorskiego, profesorowi Strońskiemu.

Stroński wezwał mnie do siebie do Stratton House. Powiedział: „To dobre. Ma wartość dokumentarną. Ale nie czas jeszcze ogłaszać to drukiem. Cytuje pan nazwiska. Część z tych, których pan wymienia pozostała w Polsce, pod okupacją. Mogą im grozić represje. A jakby pan zastąpił nazwiska zmyślnymi, odebrałoby to autentyzm teraz, w Londynie. W przyszłości zaś straciłoby prawdziwą wartość historyczno-dokumentarną”. Kiedy z kolei sam zapytałem czy ten materiał, kiedy będę miał trochę czasu nieco przerobić, wygładzić stylistycznie, profesor Stroński aż się oburzył: „Ani jednego słowa! Ani jednej litery! To wylizanie może tylko zaszkodzić. Jak pan będzie mógł drukować, drukować tak jak jest. Ale z publikacją niech pan czeka do czasów po wojnie”.

Tak więc manuskrypt pozostał w niezmienionej formie wraz z innymi papierzyskami składanymi w dwóch wielkich walizach: a więc z wycinkami niektórych moich artykułów i felietonów w pismach i czasopismach, skryptami reportaży z lotnisk Polskich Dywizjonów myśliwskich i bombowych w Anglii, z wizyt w bazach polskich okrętów Marynarki Wojennej w bazach brytyjskich — całe pliki. Nadawało to na anteny radiowe z Londynu BBC do Polski. I jak wiem, znajduje się do dzisiaj w archiwum BBC European Service przebrane z płyt na taśmy magnetofonowe. A i stosy maszynopisów — sprawozdań, depesz i teleprintów — nadanych z obozów prasowych Alianckich Sił Ekspedycyjnych po inwazji Kontynentu. Z Francji, Belgii, Holandii i wreszcie Niemiec, kiedy byłem korespondentem wojennym akredytowanym przy SHAEF, *Suprime Headquarters Allied European Forces*. W końcu, kopii moich raportów dla ambasadora Lipskiego, wówczas majora w Londynie, z Berlina, do którego wjechałem z grupą pierwszych korespondentów prasowych z Zachodu — i pierwszy stamtąd Polak.

Po wojnie, obie moje walizy prywatnego i chaotycznego archiwum w sierpniu 1946 roku przywiozłem do Szkocji na jedenaście lat ciężko zarabianego, emigranckiego chleba. Stały nietknięte na strychu. A później, niemal równie nietknięte przez dalszych siedemnaście lat pracy w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium, w piwnicy.

Dzisiaj dopiero, kiedy dobrowolnie przeszedłem na przedwczesną emeryturę, mając więcej czasu przed wyjazdem na słońce uroczej Majorki, zacząłem żmudnie, powoli sortować stare papiery w jakieś kategorie.

Już w pierwszej walizce znalazłem grubą kopertę ze sporą pliką żółtych arkuszy spiętych wielką klamrą żartą przez rdzę.

I stąd „ZIELNA 25”. Bez zmiany słowa, bez zmiany litery, jak mnie polecił profesor Stroński.

Bolesław Kasper PIEKARSKI

Monachium, styczeń 1974

„Jak państwo widzą, jest tu kilka rodzajów kart z nadrukami: czerwone, zielone, żółte i białe. Tutaj, zapieczętowany w tej kopercie spis kryptonimów taki jak ten — proszę zobaczyć. Rzecz jasna kryptonimy nie są takie same jak te, które pokazuję — bo to co w kopercie to ściśle tajne. Kopertę można otworzyć jedynie, podkreślam jedynie na rozkaz telefoniczny z dowództwa OPL. Rozkaz ten zostanie przekazany w razie potrzeby, powiedzmy szczerzej, wybuchu wojny, przez telefon

bezpośredniego połączenia z dowództwem OPL, właśnie instalowanym w studio speakerskim. Tym także telefonem będą wydawane rozkazy nadania komunikatu, innymi słowy odczytania hasła. Rozkaz będzie brzmiał karta koloru takiego i takiego, a później cyfra, jedna z dwunastu, poczynając kolejno w górę od „jedynek” do „dwunastki”. Na karcie kryptonimów w tajnej kopercie, pod żądanym numerem trzeba wyszukać odpowiedni kryptonim, wpisać na kartkę podanego rozkazem koloru, ot tutaj, w tym miejscu, proszę się przyjrzeć uważnie, a później natychmiast, trzykrotnie wygłosić przez mikrofon. Tak na przykład pełny tekst na kartce czerwonej, jeśli cyfra wypadnie dzieśnięć na tej mojej sfingowanej liście, będzie brzmiał: „Hallo, hallo! Uwaga, uwaga! Nadchodzi. KA-WU 27” tekst jest przeznaczony dla jednostek naszej obrony przeciwlotniczej. Tyle tylko mogę państwu powiedzieć. Czy wszyscy państwo zrozumieli? Czy jasno to przedstawiłem?” — pan z OPL spojrzał na nas pytająco.

„Tak. Nic specjalnie skomplikowanego...” — zamieniliśmy między sobą nad plikami różnokolorowych kartek trochę niepewne spojrzenia — inspektorzy audycji i speakerzy Polskiego Radia Warszawa.

Szczupły pan z OPL spojrzał na zegarek, zawahał się przez chwilę, jakby oczekując jakichś spóźnionych pytań, ale widząc że nikt nie ma zamiaru zabierać głosu, ukłonił się i bez słowa wyszedł.

Była to połowa sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.



Poderwałem się z łóżka nie bardzo jeszcze rozumiejąc o co chodzi. Aha! Telefon... Przecierałem sklezione snem oczy. Która godzina? Po szóstej... Dzwonek telefonu powtarza dwukrotne sygnały miarowo, cierpliwie. Trrr, trrr... trrr, trrr. Sięgam po słuchawkę. W tej chwili rozbudzona ze snu świadomość poddaje myśl, że może to już? Tak, chyba na pewno! Inaczej nie budziłoby mnie tak wcześniej. Wie przecież Czerwiński, że to moja pierwsza noc w domu po sześciu nie przespanych dniach i nocach w Radio. Miano mnie obudzić jedynie w wypadku, gdy zaszło coś naprawdę ważnego... Podnoszę słuchawkę...

„Piekarski, słucham. To pan?” — z trudem poznaję podniecony głos Czerwińskiego w słuchawce — „Co? Gimnastyka, kiedy wojna! Nie! Zaraz... Niech pan powie speakerowi żeby dawał jakąś muzykę, najlepiej marsze wojskowe... Na pewno

wojna? Czy sprawdzone? Aha, na tej specjalnej linii... Tak. Zaraz się ubieram i lecę do Radia. Będę za dziesięć minut”.

Więc wojna!

Wszystko się miesza w pamięci. Ostatnie dni harówki na Zielnej, bezsenne noce spędzone w gmachu Radia. Biegania z pierwszego piętra do piwnic Warszawy Drugiej. Przygotowania i chaotyczne instrukcje, niemal z reguły sprzeczne. Boże! A nic jeszcze nie gotowe. Nikt nie myślał, albo nie chciał myśleć o wojnie, zanim nie było bezpośredniej grozy. Nic nie gotowe. Co będzie?...

Za oknami świt kapryśnego, jesiennego dnia... będzie deszcz, albo i pogoda — pomyślałem mechanicznie co włożyć. Nie było czasu na golenie. Zrobię to w Radio.

Znowu dzwonek telefonu. Ostry, zdawałoby się bardziej jeszcze natarczywy niż poprzedni.

„Piekarski”.

„Tu Libicki” — brzmi w słuchawce. — „Panie inspektorze, kto panu pozwolił zmienić program na własną rękę w ten sposób, żeby zamiast gimnastyki kazać dawać płyty z marszami. Przecież to skandal! Telefonuję do Radia, a tam mówią że to pan tak zarządził. Audycje muszą iść normalnie, normalnie! Musimy być przykładem zwartej organizacji wewnętrznej, a nie bałaganu! Żadnych zmian! Zmiany dyktuję tylko ja, lub dyrektor Górecki!”

„Przecież to wojna, panie ministrze” — próbuję oponować.

„Tak, właśnie! Właśnie w takich czasach program musi iść jak co dzień. Normalnie. Żeby nie było żadnej paniki właśnie my pierwsi musimy dać przykład normalnej, codziennej pracy. Żegnam. Resztę omówimy w Radio”.

Konrad Libicki, dyrektor naczelny Polskiego Radia. „No” — pomyślałem — „będę miał przyjemną rozmowę!”. Aż na chwilę zapomniałem, że to przecież wojna. Zobaczymy...

Zza okna dobiegło wycie pierwszej syreny alarmowej, której wkrótce zawtórowały inne. Nalot! Chyba pierwszy nalot na Warszawę. A może pierwszy zaspąłem? Trzeba jak najszybciej dostać się do Radia. Jak policja, albo ktoś zatrzyma, to mam przecież przepustkę. I na szczęście mam tylko kilka kroków. Tylko przez bramę na plac Dąbrowskiego, na Marszałkowską i przez Świętokrzyską na Zielną. A tu skok na wskos do Radia.

Na dole, w hallu, kilku nocnych woźnych rozprawia ze strażnikiem. „Panie inspektorze” — pytają — „czy to prawda, że wojna? Tak mówią na górze. Ale może to tylko ćwiczenia?”.

„Nie, to naprawdę wojna, moi drodzy” — mówię i przeskakując po kilka stopni schody jestem na górze i w inspektoracie.

Tam, w pokoju inspektorów tłok. Naczelnicy Libicki, dyrektorzy Kosidowski i Górecki — cały prawie naczelny sztab Radia w komplecie. Witam się na co nikt nie zwraca zbytnej uwagi i przemykam czym prędzej do studia speakerskiego. Tu przynajmniej cisza i spokój. Audycja z płyt.

„Jakie wiadomości? Jaka sytuacja?”

„Jak dotychczas nic” — mówi Zbyszek Świętochowski. — „Jedno tylko wiadomo, że wojna wybuchła. Dziś w nocy, czy też o świcie Niemcy zaatakowali granicę. Zresztą masz dowód, bo już jest pierwszy alarm”.

„A co Francja, Anglia?”.

„Mówiłem ci przecież, że nic nie wiemy co się dzieje. W porannym dzienniku tylko ogólniki. Chcesz, to możesz przeczytać tekst. Bodaj dotychczas nikt w Polsce nie wie jaka jest sytuacja. Tak naprawdę”.

Przechodzę do małego pokoju, który mnie służył za rodzaj biura w ciągu ostatnich dni, gdzie starałem się coś zrozumieć z chaosu stosów papierzyśk — jakichś przedawnionych i nowych spisów inwentarza i instrukcji OPL.

Zostałem komendantem OPL Obiektu Wydzielonego Polskiego Radia w dość dziwny sposób. Przed tygodniem wpadł do Radia już w mundurze porucznikowskim jeden z moich kolegów-inspektorów audycji, Zbyszek Jaworski, roześmiany, zadowolony. „Zmobilizowali!” — stuknął obcasami długich, wygłancowanych jak na paradę butów. — „No, idę na wojnę. Przyjechałem pożegnać się. Aha. Żeby nie zapomnieć. Po to właśnie tutaj... Byłem komendantem OPL Radia. Przekazuję to wszystko tobie Bolek, bo nie było oficjalnie wyznaczonego następcy. Ty masz kategorię „C”, to ciebie tak prędko do wojska nie wezmą. Chyba dasz sobie radę. Ten klucz od kasety z tajnymi dokumentami, ten od biurka, a ten od schowka na sprzęt przeciwpożarowy i przeciwgazowy. Czołem! Auto czeka!”.

Nie zdążyłem nawet spytać gdzie ta kaseta, gdzie to biurko i schowek.

Zaczęła się harówka. Trzeba było szybko rozejrzeć się w OPL-owej sytuacji od ABC. Zwolniłem się chwilowo od inspektorki audycji, ale okazało się że i dwóch innych inspektorów audycji też zmobilizowano. Obiecano mnie przysłać kogoś z biura administracji, kogo miałem szybko przeszkolić. Wreszcie znalazłem biurko i kasetę. W szufladach biurka stosy papierzyśk.

W kasecie jakieś instrukcje i numery telefonów pod skrótami literowymi, których nie mogłem rozszyfrować. Chaos.

Poświęciłem pięć dni, każdą wolną chwilę poza dorywczymi, zwyczajnymi funkcjami inspektora audycji szamotając się z tym nieładem. Przecież wojna, chociaż w nią nie wierzyłem jak wszyscy, a może po prostu nie chciałem uwierzyć tak jak i inni, mogła wybuchnąć lada chwila. Skomunikowałem się z szefem służby bezpieczeństwa Polskiego Radia.

„Mówi pan, że co? Schron?” — powiedział przez telefon. — „Panie inspektorze, schron jest dopiero w projekcie, już nawet od dłuższego czasu... Od kilku lat o to zabiegam... Ale studio 6 w piwnicy jest w tej chwili miejscem właśnie najbardziej niebezpiecznym w całym gmachu. Sufity nie umocnione. To samo zresztą jest ze studiem Warszawa II. Trudno, będziemy jakoś radzili. Wszystko da się zrobić, ale nie tak od razu szast-prast. Za miesiąc schron będzie gotów. Maski? Ma pan przecież w składnicy maseczki przeciwgazowe, takie na nos i usta, na gumce? Co? Tylko jedenaście? To źle. Ale ja nic temu nie mogę teraz zaradzić kiedy wojsko odmawia mi tak, jak ja panu. Rozumiem doskonale, że sprzęt i maseczki konieczne, żeby się personel pracujący w radio, przynajmniej personel, czuł się jakoś bezpiecznie. Przyślę chyba nieco maseczek, takich zastępczych. Dobrze? A jak tylko wojsko przyśle dostanie pan więcej, w pierwszym rzędzie dla tych, którzy są najbardziej narażeni — więc Zielną obdzielę. Teraz mogę tylko dać panu kilku podręcznych apteczek...”

Mimo wszystkich trudności i braków zdawało się mnie, że jakoś dojdę do ładu. Za miesiąc przynajmniej przyzwoity schron będzie zbudowany... Już układałem w myśli jak w piwnicach Warszawy II wydzielić jeszcze jedno studio — przecież jest tylko jedno speakerskie, a to nie wystarczy. Dobrze chociaż, że już potrafiłem zorganizować zmiany służby sanitarnej i zespoły przeciwpożarowe. To ważne, bo gdzie jak gdzie, ale chyba w nasz rejon miasta Niemcy będą siać pierwsze swoje bomby. Przecież to samo centrum miasta a do tego takie obiekty jak Radio, tuż niedaleko Dworzec Główny, Centrala Telefoniczna PASTY, Centrala PKO na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej... Po pierwszym alarmie, który w międzyczasie odwołano, bomb nie było. Może tylko samolot zwiadowczy?

Głowa boli nieznośnie. Woźny melduje jakiegoś pana Zabłockiego. Kto? Czy na pewno do mnie? Aha! To chyba wyblągany pomocnik dla spraw OPL. Tak, prosić natychmiast.

Pan Zabłocki, młody, o sympatycznym wyglądzie „wiem co robię” człowieka na którym można się oprzeć jest naprawdę

osobą opatrnościową, Spokojny, zrównoważony, nie przeraża się nadmiarem pracy, chaosem organizacyjnym i brakami, które mu przedstawiam.

„Będziemy robić co się da i jak się da” — mówi bezemocjonalnie — „byle jak najlepiej. Wszędzie taki sam chaos. Ale wybrniemy” — stwierdza z przekonaniem i uśmiechem na szerokiej, szerokiej twarzy.

Dodaje to mnie sporo potrzebnej otuchy.

Daję mu do przejrzenia papiery i spisy jako tako posegregowane przeze mnie. Informuję, że nie możemy liczyć na pełne składy służb pożarowych, bo brak ludzi. Wielu woźnych, co młodszych, gońców i nawet strażników dostało nakazy mobilizacyjne. Oprawadam po gmachu, zaznajamiam Zabłockiego z personelem, pokazuję prowizoryczne urządzenia i sprzęt obrony OPL gmachu. Zastanawiamy się nad bezpieczeństwem gmachu od zewnątrz. Tyle tu zwykle kręci się ludzi potrzebnych i niepotrzebnych — personel, wykonawcy audycji, interesanci. Wprawdzie to nie nasza sprawa, ale trzeba jakoś zaostriżyć kontrolę osób przebywających w biurach i studiach. Trzeba...

Nowy alarm przeciwlotniczy. Na zewnątrz piękny, pogodny, pełen słońca dzień raczej lata niż wczesnej jesieni.

Przeprowadzamy szybką inspekcję. Dwóch woźnych wyznaczonych do służby przeciwpożarowej siedzi już na strychu gmachu w hełmach strażackich, z oskardami, przy workach i skrzyniach z piaskiem. To dobrze, że wczoraj kazałem przywieźć piasek, to najlepsze antydotum na bomby zapalające — przynajmniej według instrukcji OPL — myślę sobie. Na strych wbiega zadyuszany woźny. „Panie inspektorze” — krzyczy prawie — „... panie inspektorze, pan inspektor zakazał w czasie alarmu wpuszczać do szóstego studia, a tam zebrali się teraz wszyscy panowie i panie z gmachu, bo mówią że tam jest schron przeciwbombowy. Strażnik nie dał rady i musiał wpuścić!”.

Zjeżdżam starą windą na sam dół. Rzeczywiście, szóste studio przepełnione urzędniczkami i urzędnikami z wszystkich biur gmachu. Tłumaczę więc, że tu wcale nie jest bezpiecznie, bo miało tak być, ale nie jest teraz. Za miesiąc, dopiero po koniecznych przeróbkach budowlanych tutaj będzie schron. Nic nie pomaga. Któraś z pań płacze. Ktoś pyta się racjonalnie, gdzie jest więc schron radiowy, jeżeli nie w piwnicy. Muszę przedstawić sprawę jaśniej. Gmach Radia nie ma schronu. Nie urządzono go dotychczas. Ale... Zagłuszają mnie głosy: dlaczego? dlaczego? to nie mamy schronu? czemu? zapewniano nas, że my pracownicy Radia...

Na te pytania nie mam już żadnej odpowiedzi.

Nalot wciąż trwa. Słychać jak artyleria ostrzeliwuje niemieckie samoloty. Nawet tutaj, w piwnicznym studio. Ale atmosfera paniki już się uspokaja. Ci i inni wychodzą ze studia. Zostawiam Zabłockiemu nadzór nad piwnicą. Na zewnątrz, przez dwa stopnie biegnę na górę do Emisji. Właśnie odebrano tam telefon, że to gdzieś na Kole Niemcy trafili duży blok mieszkalny. Podobno dużo ofiar. Ciekawe, że nie bombardują centrum. Zostawiają widać na później, lub Bóg wie, może nasza artyleria przeciwlotnicza jest tak silna?... albo nie mogą trafić? Płaczą się myśli.

Alarm odwołany.

Zabłocki mówi, że wszyscy ze studio sześć rozeszli się już po biurach. Patrzy na mnie. „A panu przydałoby się coś do zjedzenia. Chyba tak. Ja tu zostanę, a niech pan zmyka póki czas. Ja poradzę, jestem świeży, wyspany. Niech pan idzie. Chociaż na dziesięć minut”. Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem piekielnie głodny. Zostawiam Zabłockiemu ostatnie instrukcje, a już wie gdzie są listy telefonów i tak dalej i szybko idę do kawiarni Gogolewskiego. Najbliższej. Kawa, jajko. Chleb? Niestety nie ma chleba. Kelner proponuje babkę lub ciastko. Słodkie pieczywo w ilościach jakich chcą — tylko chleba nie ma. Nie dostarczono.

Alarm odwołano, więc na pustych ulicach pojawiły się tłumy ludzi. Większe nawet niż zwykle o tej porze. Czytają nadzwyczajne dodatki pism, południowe wydania dzienników, rozprawiają, gromadzą się grupami przed właśnie rozplakatowaną odezwą Prezydenta Rzeczypospolitej do narodu. Da się zauważyć pewna nerwowość, podniecenie, ale na ogół spokój i opanowanie.

Wiadomości nie najlepsze. Niemcy uderzyli potężnie ze wszystkich kierunków granicy Rzeszy. Dowiaduję się o tym już po powrocie do Radia. Zaatakowali także od Prus Wschodnich i Słowacji. Jednakże podobno nasza kawaleria wdarła się daleko w głąb Prus Wschodnich z kierunku Suwałk. Nic jednak pewnego. Brak łączności. Podobno musimy tylko wytrzymać pierwszy impet ataku, a później będzie lepiej — przynajmniej tak twierdzą prawie wszyscy. Ale jak naprawdę — nikt nie wie. Program Radia, pomimo że miał być „wzorem codzienności” według słów „naczelnego” Libickiego, ulega ciągłym zmianom. Libicki widział mnie kilkakrotnie, ale jakoś do zapowiedzianego „porozmawiamy o tym w Radio” nie doszło. Komponuje się teraz program jak się da zależnie od okoliczności. Co pewien czas idą na antenę komunikaty: „Hallo, hallo! Uwaga, uwaga! Nadchodzi!”, lub „przeszedł” czy „wypatrywać” i litery i cyfry kodu.

W pokoju inspektorów jakiś harmider. Co się stało? Złapaliś-

my szpiega! Jak? Co?... „Przyszedł jakiś jegomość” — ktoś tłumaczy — „coś tam chciał, że to może pomóc w audycjach propagandowych, bo to biegle mówi po niemiecku. Skierowano go do wydziału Aktualności, ale dano zlecenie woźnemu, żeby go zaprowadził i pilnie na niego uważał. W Aktualnościach powiedział, że chce pójść do ubikacji, ale poszedł sam, jakby znał gmach od dawna. Woźny jednak widać czekał i podsłuchiwał pod ubikacją, bo usłyszał że ten gość drze jakieś papiery. Więc nie wiele myśląc wywalił drzwi i rzeczywiście widzi, że ten jegomość drze notatnik i wrzuca do ustępu. Część już nawet wrzucił, tylko nie zdołał spuścić wody...”. A czy nie dał wypadkiem papieru toaletowego — ktoś zadowcipkował. „Co?” — oburzył się pierwszy, pewnie pracownik jakiegoś biura, który niepotrzebnie zawędrował na piętro studiów — „Przecież się bronił, ale odebrano wszystko i zatelefonowano po policję. W tym notatniku to miał same cyfry. Teraz siedzi tam w korytarzu. Strażnik go pilnuje”.

Musiałem interweniować. Proszę się rozejść do swoich biur. Tu są studia, z których nadajemy audycje. Żadnego hałasu. Na górę!

Tego dnia, na interwencje pośrednio moją a w rezultacie władz bezpieczeństwa dyrekcja Radia wydaje zarządzenie, że nikt nie może być wpuszczony w obręb gmachu bez „czerwonej przepustki”, a do piętra studiów i podziemia Warszawy II tylko z podpisem dyrektora programów, Piotra Góreckiego. Dla większej ochrony zaczęto budować rodzaj parkanu wysuniętego na chodnik Zielnej, przed wejściem do gmachu. Pewnie przyszły i dodatkowe posiłki z policji, bo podwojono liczbę strażników. Zabroniono szatni przyjmować jakichkolwiek paczek. Ba, nawet nie wpuszczano z paczkami do gmachu. Miałem nawet z tego powodu niemały kłopot, gdyż wskutek nieporozumienia i zbyt rygorystycznie stosowanych instrukcji nie chciano wpuścić do Radia paki z oczekiwanymi przeze mnie maseczkami zastępczymi obrony przeciwgazowej. Paka niemal powędrowała z powrotem skąd ją wysłano. Na szczęście dano mi znać na czas.

Drugą instrukcją dyrekcji było zarządzenie pozostawania na nieokreślony czas budowy odpowiedniego schronu podczas alarmów lotniczych wszystkich pracowników biur na swoich miejscach służbowych. Dziękowałem Bogu, bo w tym wypadku było to na interwencję Zabłockiego, że mam jego jako zastępcę. Sam o tym nie pomyślałem.

W ogólnym chaosie, który się jako tako zaczął uładzać, jeszcze jedna — tym razem niezmiernie miła niespodzianka — dla

całego zespołu Emisji. Powrót speakerki Joasi Poraskiej z zagranicy. Przyjechała już poprzedniego dnia i chociaż urlopu jeszcze nie skończyła, zgłosiła się do pracy. Było to ogromnie na rękę, gdyż przecież szczerpła ekipa speakerów ledwie mogła wydołać pracy w normalnym czasie, a cóż dopiero pracy trwającej całą dobę na Warszawa I i Warszawa II. Poraska przejeżdżała Niemcy w drodze z Francji ostatnim tranzytowym pociągiem do Polski. Następnego dnia wstrzymano wszystkie połączenia kolejowe polsko-niemieckie, a w dzień później wybuchła wojna. Opowiadała, że w pociągu powybijano szyby, szykanowano polskich podróżnych na wszystkie możliwe sposoby. Rewidowano i sprawdzano dokumenty nie tylko na granicy, lecz także podczas przymusowych czasem postojów. Byłem mile zaskoczony tym, że zwykle temperamentna i nieopanowana nasza jedynaczka-speakerka, kiedy zaszła rzeczywista potrzeba spokoju i równowagi, była przykładem trzymania się w ryzach i wydajności pracy. Zgłosiła się poza swoją zwykłą pracą natychmiast do mojej służby sanitarnej, pełniła dyżury czasem przez niemal całą dobę i pomagała, gdzie tylko mogła.

Nie mogąc podołać naraz obydwu obowiązkom, proszę Dyrekcję o zwolnienie mnie z moich prac inspektora audycji. Długie targi, ponieważ brakuje koordynatorów bieżących audycji — ale wreszcie zgoda. Układam się więc z nieocenionym Zabłockim co do dyżurów. Będziemy się zmieniali co osiem godzin, żeby mieć od czasu do czasu trochę koniecznego wypoczynku. Zresztą mieszkam bardzo blisko Radia, więc w każdej chwili może mnie wytelefonować i natychmiast się zjawię.

Odwiedza Emisję dyrektor Emisji Comte, który już kilka dni temu został zmobilizowany. Opowiada, że jest w grupie oficerów zgromadzonych w Warszawie w jakichś koszarach, czekających na jakieś przydziały. Piekli się na bezczynność. „Co z nami będzie, nic nie wiem...” — mówi. Wydostał się na kilkugodzinną przepustkę. Musi już wracać.

Z miasta dochodzą wiadomości o dużych szkodach na Kole, gdzie Niemcy zrzucili bomby dużego podobno kalibru, które trafiły w bloki mieszkalne. Jest rzekomo kilkuset zabitych i rannych. Ale strącono kilka samolotów niemieckich. Mówią, że piloci, którzy dostali się do niewoli, bo skoczyli na spadochronach, to młodzi chłopcy zaledwie osiemnasto-, dziewiętnastoletni i w dodatku pijani, lub pod jakąś narkozą. Możliwe...

Telefony Radia urywają się od rozmów. Przeważnie zapytania, nawet przez ukryte numery, w najróżniejszych sprawach. Mężczyźni dotychczas nie zmobilizowani proszą o informacje gdzie

można wstąpić do wojska ochotniczo. Dużo fantastycznych plotek o jakichś szpiegach. Ciągłe pytania czy to już Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę? Ktoś zgłasza własny, podobno niezawodny, wynalazek wykrywania samolotów nieprzyjacielskich już z odległości stu kilometrów. Odsyłam go do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Na większość pytań nie mogę dokładnie odpowiedzieć. Sam jestem zdezorientowany.

Chodzę z Zabłockim po biurach rekrutując do prac pomocniczych OPL — do zespołów sanitarnych, przeciwpożarowych i obrony przeciwgazowej. Zgłasza się dużo. Zwłaszcza pań spośród urzędników.

Żle z maskami gazowymi. Rozeszła się plotka, że Niemcy — tu i ówdzie — używają gazów trujących. Więc niesamowity popyt na maski. Na maski, których jeszcze nie mam. A wszyscy się ich domagają. „Jak bez masek pod ręką można pracować!”, „Człowiek nie czuje się bezpiecznie, tak nie można! Musi się pan o maski wystarać. To co? Oni zapomnieli o Radiu?”. Zapewniam, że robię co mogę.

Rozdaję najbardziej potrzebującym ze służb to co mam. Jednaście starych masek typu R.S.C. nie zdalnych już chyba do użytku, ale uszczęśliwiając ich posiadaczy. Rozdaję poza tym wszystkie dosłane maseczki zastępcze i tłumaczę tym, którzy jeszcze nie dostali obdzieleni, że lada dzień, lada chwila nadejdzie dalszy transport. Nawet sam w to wierzę. Ale nic nie pomaga. „Nie przychodzę jutro do pracy, jeżeli nie będę miał choćby maseczki zastępczej. Czemu woźny dostał, a ja nie?”. „Bo woźny pełni zarazem służbę pogotowia drużyny odkażającej. Jak mógłby bez maski odkażać teren zaiperytowany?” — tłumaczę bez większego skutku.

Reszta dnia schodzi na ciągłej krzątaniu. A przy tym, co chwila wpadam do inspektoratu, lub wprost do studia speakerkiego po nowe wiadomości. Nic. Dosłownie nic. Sprzeczne wiadomości. Zaglądam do wszystkich biur. Sprawdzam zaciemnienie. Spisuję braki. Dzięki pomocy i energii Zabłockiego praca nabiera bardziej realnych kształtów.

Idę znów do Emisji. Przez kilka godzin siedzę jako speaker w studio 1, żeby zwolnić upadającego ze zmęczenia Zbyszka Świętochowskiego. Zmobilizowano kilku speakerów zastępczych, nawet panie obeznane nieco z pracą Emisji pomagają ochotniczo, ale brak im rutyny. Wszystko jednak, pomimo napięcia i nerwowej atmosfery idzie jakoś równo, składnie, bez jakichś zahaczeń. Tylko te wiadomości! Dochodzą nas coraz mniej pomyślnie i coraz rzadsze telefonami z Katowic, Poznania i Krakowa.

Wkrótce i te połączenia przerwane i nie możemy z tym radiostacjami rozmawiać. „Linia nie czynna” — odpowiada poczta na nasze interwencje. Z programu ogólnopolskiego w naszych zapowiedziach speakerskich ubywają kolejno Rozgłośnia Katowice, Poznań i Kraków...

„Niech pan nareszcie idzie coś zjeść. Wygląda pan jak nie z tego świata” — doradza nasza sekretarka Zembruska. Zabłocki już wrócił z kolacji i też wyrzuca mnie z Radia: „Dam już sobie sam radę. A pan, ponieważ zmęczony, jest tu raczej zawadą niż pomocą”.

Niby protestuję, ale wiem że trzeba zjeść i przespać choćby kilka godzin. Idę jednak przedtem do wszystkich biur, żeby raz jeszcze wszystko sprawdzić. W Transmisjach wpadają na mnie, że muszę jechać na reportaż z lotniska. Mówią, że trzeba zrobić krótkie sprawozdanie z walk powietrznych. To konieczne dla morale, że nasze lotnictwo myśliwskie broni.

Dobrze, zgadzam się na odczepnego, ale nie teraz, w nocy. Tylko żeby mnie jutro przypomnieli.

Zanim wyszedłem z Radia zapadł zmrok. Na Marszałkowskiej, zwykle jasnej od kolorowych neonów, pełnej gwaru o tej porze, płynnie milczący tłum w beświele. Mignęła jakaś latarka batoryjna. Już krzyki: „Zgaś pan!”, „Zaciemnienie!”. I po chwili znów szara procesja w mroku ku jakiejś wielkiej nieznannej przeznaczenia...

W „Bukiecie”, w barze, na stojąco łykam doskonały bulion z krokietami z kurczęcia. Mała porcja cynaderek, jeden głębszy i mocna kawa. Czym prędzej do domu. Spać.

Noc zesłała spokojnie. Właściwie pół nocy, ale bez nalotów. Budzi mnie Zabłocki, bo tak się umówiliśmy. Ubieram się prawie już przy goleniu i w dwadzieścia minut jestem w Radio.

„Nic ważnego nie zaszło” — informuje mnie Zabłocki — „ambulatorium umieściłem w studio dwa, które i tak nie jest potrzebne do audycji. W pokoju reżyserów muzycznych panie same zorganizowały bufet. Może pan dostać kawę i kanapki”.

W Emisji rozpytuję o wiadomości. Odpowiedzią bolesny uśmiech i wzruszenie ramion. W Amplifikatorni, technicy powtarzają starą, bo wczorajszą wiadomość o zerwaniu połączeń telefonicznych z Katowicami, Poznaniem, Krakowem. Teraz jednak z pewną zmianą, bo i Łódź... Idę w obchód gmachu Radia.

Wracam do Emisji. Tłumaczą tam jeden przez drugiego, że telefonowali z dziesięć razy z Wydziału Transmisji i Reportaży. Poszukują mnie, bo obiecałem pojechać na reportaż. Co? Reportaż? Aha, prawda, obiecałem. Tylko już teraz Zabłocki wyszedł

i jestem sam. Ale w Transmisjach mówią że wóz do nagrań stoi już od pół godziny, że to konieczność. „Gdzie inni sprawozdawcy?” — pytam. Wzruszenie ramion. Instrukcja Libickiego, że ja.

Myślę sobie, że tymczasem spokój, że znajdę kogoś kto w braku Zabłockiego będzie za mnie odbierał telefony w moim pokoju. Wszystko chyba potrwa krótko i za pół godziny będę z powrotem w Radio. Umawiam się tylko, żeby w razie czego telefonowano do mnie na Okęcie, gdzie mam jechać. Chwała Bogu, że telefony jeszcze sprawnie działają przy tej całej dezorganizacji!

Trzeba pójść jeszcze po jakieś specjalne instrukcje. Instrukcje brzmią: reportaż ma być o sprawności naszej obrony przeciwlotniczej. Trzeba kłaść nacisk na naszą zdolność obronną, żeby w społeczeństwie wzbudzić zaufanie, że jest bronione, osłaniane, bezpieczne. Może po drodze jakieś inne rzeczy. Jak społeczeństwo z zimną krwią i poświęceniem przyjmuje kryzys wojenny. Wszystko nagrywać. Zrobi się ze wszystkich tych fragmentów dużą audycję.

Prawie że biegnę do samochodu transmisyjnego przed wyjściem z Radia, na Zielnej. Szofera i techników nie ma. Wartownik mówi, że poszli do baru. Piekłę się, bo czas stracony, ale się w końcu znajdują i szofer i technicy. Jesteśmy wreszcie w komplecie. Jedziemy na Okęcie. Po drodze wciąż sprawdzają nasze legitymacje. Denerwuję się, bo to zabiera czas. Na lotnisku pustym, jakby wymarłym, jedynie warty, które uprzedzone telefonicznie o naszym przyjeździe przepuszczają bez trudu nasz wóz transmisyjny. Rozglądam się co właściwie mógłbym nagrywać, żeby z tego zrobić reportaż. Na jakim tle, i o czym i co, mam powiedzieć? Lotnisko chyba wyewakuowane. Ani jednego samolotu w polu widzenia. Nikogo, kto by mógł udzielić jakichś informacji. Wreszcie w gmachu portu lotniczego znajduję kilku oficerów lotnictwa. Starają się mnie wyraźnie zbyć z głowy. Z tego co się dowiedziałem nic nie mogę niestety użyć. Same złe wiadomości. Brak wszystkiego. Nie ma artylerii pelot. Jeden z oficerów mówi mi w „sekrete”, że do skutecznej obrony stolicy trzeba by było co najmniej dwudziestu ośmiu baterii przeciwlotniczych, a mamy podobno tylko sześć. Na lotnisku, przy wozie, technicy wyciągnęli kable. Przygotowali wszystko do nagrania. Dają mi ciężką butlę z telefunkenskim — o ironio, niemieckim — mikrofonem. Naprawdę nie wiem co mam robić. Chyba wracać z niczym?

Nagle gorączkowa bieganina, krzątanie. Za chwilę dźwięki syren alarmowych, które wyciem oznajmiają o nalocie. Natych-

miast startuję mikrofon. Przez okno wozu transmisyjnego technik ze słuchawkami na uszach macha do mnie ręką, że zaczął nacinać płytę. Pierwszy, ostry dźwięk strzału armatniego. Gdzieś wysoko w górze niewidoczny niemal, czarny punkcik samolotu. Wybiegam na pole ciągnąc za sobą kabel. Igła maszyny do nagrania już rejestruje na płytę warkot nie jednego, lecz teraz i więcej niemieckich samolotów. Niemieckich? Oczywiście! Do swoich nie strzelałaby artyleria. Idą kluczem... Trójkątami, jak na defiladzie... dziewięć, dwanaście, jeszcze jedna, dwie trójki nieco w tyle za resztą... ile ich jest? Artyleria z kierunku Mokotowa strzela już ciągle, bez przerwy jakby ktoś w dzień zapalał na niebie małe gwiazdki i szybko je gasił chmurką dymu rozplywającego się w powietrzu. „To ogień zaporowy” — mówi mnie ktoś niby na ucho, ale tak głośno żebym dosłyszał przy chaotycznym, ostrym trzasku raczej niż grzmocie wystrzałów. Niech to idzie na mikrofon — myślę. Oglądam się. To młodziutki podporucznik w mundurze lotnika, który nagle, nie wiadomo skąd znalazł się przy mnie. Staram się przekazać na płytę jak najwierniej cały obraz pojedynku niemieckich bombowców z naszą artylerią.

Samoloty zniżyły widać lot, bo baraż ognia prawie ich sięga. Nieskazitelny dotychczas szyk bombowców nagle się łamie. Bombowce rozlatują się w pozornym bezładzie. Jedne wciąż trójkami pikują w dół, inne rozlatują się na różne strony. „Starają się przedostać nad miasto” — to znów mój adiutancki reporter. „Kiwają” — komentuje fachowo. „Ohoo! Jeden dostał! Jak Boga kocham dostał! Ooo... tam! Widzi pan? Dostał, psia jego... Ale cholera dymi!”. Wszystko nagrywam.

Mówię w mikrofon wszystko co widzę i czuję. Co tam instrukcje, że to trzeba propagandowo. To jest mimowoli propagandowo! Niby naszej artylerii nie ma dosyć, a jest! Bronimy się i to bronimy skutecznie. Słowa i dźwięki cierpliwie rejestruje gładka powierzchnia płyty jedno nacięcie za innym.

Z portu lotniczego biegnie ktoś do nas. „Panowie z Radia? Był telefon, żeby panowie natychmiast wracali”.

„Czemu? Co mówili?”.

„Nic. Tylko żeby zawiadomić, że natychmiast wracać”.

„Szkoda” — mówi podporucznik-lotnik — „chciałem panu pokazać takiego jednego co tu latają, co tu nadział się na naszego, tu, nad Okęciem. Samolot poszedł w drzazgi, a z Niemca została tylko głowa i jedna ręka. Leży to wszystko w kupie ot tam” — zastanowił się. — „Głowa jeszcze w hełmie lotniczym... Ot, lotnik...”.

Spieszmy się jednak. Zanim syreny zdążyły odwołać alarm po odlocie ostatnich, buszujących nad miastem niemieckich bombowców, jesteśmy już z powrotem w Radio.

Po drodze pytam technika nagrywającego płytę ile czasu nagrałem. „Tak na oko, trzy i pół minuty. Mogę zmierzyć” — odpowiada. „Dobrze wyszło?” — jestem ciekawy technicznej strony. „Dobrze. Dźwięki doskonałe, a i pan miał swój dobry dzień. Dobrze pan gadał, a i ten lotnik w takt się wtrącał. Nagrywaliśmy wszystko, jak pan powiedział”. Oddycham z ulgą i znowu czuję zmęczenie.

W Radio zastaję dwie wiadomości. Przede wszystkim mówią mi o przywiezieniu jeszcze jednej skrzyni z maseczkami przeciwgazowymi. Ludzie się jakoś o tym dowiedzieli już od pół godziny czekają przed przezornie zamkniętym na klucz pokojem, w którym skrzynię umieszczono. Nie chcą odejść. Czekają na mój przyjazd, bo się boją że wszystko pierwsi rozdrapią, że kto się spóźni już nie otrzyma. Po drugie, dowiaduję się w Transmisji, że reportaż nie pójdzie. „Czemu?” — protestuję. — „Akurat trafiłem...”. Bo sprzeciwił się delegat wojskowy, czy władze lotnicze. Tajemnica wojskowa. Tych rzeczy nie wolno w ogóle dawać w programie. Było podobno w „kołach wojskowych” wielkie zdziwienie, że zdołaliśmy się dostać na lotnisko. „Więc płyta na szmelc!” — pytam rozżalony. „Nie. Do archiwum. Nadamy po wojnie. Dokumentacja”.

Szkoda. Czuję, że był to jeden z moich lepszych reportaży. Byłem tam. Po prostu czułem co się dzieje. Słowa same przychodziły. Byłem po prostu... nie wiem jak to określić... Głupstwo!

Wydawanie maseczek zajmuje mi sporo czasu, ale przynajmniej już teraz wszyscy obdzieleni. W międzyczasie przychodzi administrator naszych domów radiowych by mnie zawiadomić, że ma nieco zbędnego dla siebie sprzętu przeciwpożarowego, który może mi odstąpić. Prócz gaśnic zapasowych ma też i kilka latarek elektrycznych, o które teraz w mieście trudno, a które mogą się przydać. Zresztą chce ze mną omówić kilka innych spraw dotyczących bezpieczeństwa gmachów Radia, szczególnie studio nadawczych. W tej chwili nie ma czasu, więc umawiamy się na czwartą, na obiad. Przypominam sobie nagle wszystkie zapachy kuchni, ale trzeba poczekać.

Obchodzę znowu wszystkie biura. Nastroje nieco lepsze niż wczoraj. Trochę „zaprawy wojennej” nalotów niemieckich, z których jakoś żaden nie zagroził Zielnej, dodało pewności siebie urzędnikom — wszyscy pracują, czy udają że się krzątają przy pracy. Nie moja sprawa. Byle by tak dalej.

Około czwartej spotykamy się z administratorem gmachów Radia. Idziemy na obiad, jak się umówiliśmy do „Nowej Gospody”. Omawiamy sprawę zsynchronizowanego działania na wypadek zagrożenia któregoś z budynków radiowych. W knajpie, dzięki znajomości z barmanem, dostajemy po głębszym koniaku w szklankach do herbaty, mimo że jest zakaz sprzedaży alkoholów. Jakaś młoda panienka widzi to. Prosi nas, żeby „przez protekcję” i ona mogła dostać jakiś jeden kieliszek wszystko jedno czego, byle by alkoholu. „Obeszłam już sześć barów” — mówi prawie z płaczem — „wszędzie odmawiają, a ja muszę wypić, chociaż normalnie nigdy nie piję. Muszę jakoś zaradzić, bo nerwy nie wytrzymują. Poszedł mąż i dwóch braci na wojnę, jestem sama...” — tłumaczy nam. „Lepiej by pani zrobiła i poszła do apteki po walerianum” — doradza mój towarzysz — „to lepsze lekarstwo niż alkohol. Bo alkohol powoduje tylko dalsze podrażnienie nerwów”. „Dobrze panu mówić” — patrzy na nasze puste już szklanki — ale może pan ma rację. Spróbuję”.

Dziwne osłabienie. Po kolacji? Po tym jednym głębszym? To chyba jakaś reakcja nerwowa, bo ani jedzenie, ani ten koniak nie mógł zaszkodzić — myślę racjonalnie. Ale zmęczony to jestem i w jakiś inny sposób niż kiedykolwiek poprzednio w życiu. Jakies nowe doświadczenie, brrr... nieprzyjemne. Trzeba trochę odpocząć. Pójdę chyba do domu na godzinę, czy dwie. Później całonocny dyżur w Radio. Żegnam się ze swoim towarzyszem obiadu.

Na Mazowieckiej spotykam zupełnie wypadkiem swojego kolegę jeszcze z czasów przeduniwersyteckich, Stacha Ordę. Gdyby nie to, że idąc zamyślony potrąciłem go i odwróciłem głowę, by przeprosić, na pewno ani on ani ja nie wiedzielibyśmy, że minęliśmy się przed chwilą. Orda w mundurze porucznika lotnictwa. Prawda, jeszcze za czasów studenckich należał do aeroklubu... przypominam sobie.

„Co z tobą?” — pytam.

„A nic. Przyjechałem z Modlina. Idę na parę godzin do kuzynki. Ledwo mnie dziś diabli nie wzięli!” — wybuchnął. — „Goniło mnie dwóch, a mnie psia krew karabin maszynowy się zaciął! I ani w przód, ani w tył, ani na boki...”.

„Ale żyjesz... i w jednym kawałku” — pocieszyłem. — „Na myśliciach latasz?”

„At, taki tam myśliwiec!” — zaperzył się. — „Pudło, mówię ci pudło! Oni, psia ich mać, mają na czym latać! Cacy sprzęt. U nas bryndza...” — zmienił ton siłąc się nagle na wesołość, pewnie nakazaną przy wydawaniu przepustki. Poklepał mnie po

ramieniu, szturchnął żartobliwie w bok: „Trzymaj się Bolek. Czołem, bo się spieszę...”.

Idę dalej do domu. Mazowiecka 11 tuż, tuż.

Spać się jakoś odechciało. Pakuję na wszelki wypadek co cenniejsze rzeczy. Zdejmuję ze ściany oprawioną w cieniotkie proste ramki bułhakowską fotografię Matki Boskiej Ostrobramskiej. Bez bogatej szaty obwieszonej wotami i strzelistych, złotych promieni wokół głowy jest bardziej boska, bolejąca, ale i bardziej kojąca i wyrozumiała niż w łuku kaplicy nad Ostrą Bramą... Chcę się modlić, ale słowa modlitw mieszają się bez składu... Ale wiem, że jest to moja najszczerza modlitwa od dziecinnych czasów.

Godzina niemal ósma.

Idę znowu do Radia. Tu cisza i spokój. Program idzie jak się *ad hoc* ułoży, ale idzie względnie normalnie. Zaciemnienie satynowych kotar okazało się niedostateczne, a zresztą trzeba było czasem uchylać okna żeby przewietrzyć pokoje. Pozasłaniano więc silne żarówki niebieską kalką od maszyny do pisania. W fioletowej poświacie, prawie w półmroku, zmęczone twarze wydają się jeszcze bledsze i beznadziejnie smutne. Działają to na nerwy wszystkich, co jeszcze pogłębia ogólne przygnębienie.

W Aktualnościach na piątym piętrze przy odbiornikach radiowych siedzą spece od obcych języków, notując ważniejsze komunikaty rozgłośni zagranicznych. Niemcy podają coraz to nowe wiadomości o zajęciu dalszych terenów. Nazwy miejscowości jedna za drugą. Szybkość z jaką się posuwają naprzód wydaje się nieprawdopodobna. Ze względu na brak ścisłych, własnych źródeł redagowanie dzienników radiowych przedstawia ogromne trudności. Wiadomości PAT'a są niejasne, często sprzeczne. Co tu dużo mówić — chaotyczne. Cała prawie służba informacyjna zdeorganizowana.

Wracam do Emisji. W pokoju inspektorskim głośnik brzmi ostatnimi słowami codziennego przemówienia pułkownika Umiaszowskiego: „Pozdrawiam swoich synów walczących na froncie...”.

Nagle zamieszanie. Do Inspektoratu włącza się cały sztab naczelnej dykcji — Konrad Libicki, Piotr Górecki, Zygmunt Kosidowski, pani Sosnowska, Karaffa-Korbut... Zamieszanie. Co się stało? Pierwszy komunikat Sztabu Naczelnego Wodza za chwilę pójdzie na antenę. Ogólne poruszenie. Ktoś z Dzienników, a może z Aktualności przepycha się przez tłum, który się tutaj wcisnął. Gdzie woźni? — myślę. Ale i ich widzę w tyle — zamiast na korytarzu pilnujących drzwi. Ten „ktoś” z Aktualności, czy Dzienników podnosi ponad głowę bibułkę. Bibułka

zapisana maszynopisem wędruje do studia speakerskiego, tuż przez drzwi pokoju Inspektorów.

Czekamy przy głośnikach w napięciu.

„... zniszczono trzydzieści czołgów nieprzyjacielskich... w walkach powietrznych, lub wskutek akcji naszej artylerii przeciwlotniczej zestrzelono dwadzieścia siedem samolotów niemieckich... walki w rejonie... Wódz Naczelny pozdrawia bohaterską załogę Westerplatte...

Wszystko to już wiemy... Ogarnia znowu apatia wyczekiwania co będzie dalej, co będzie...

Inspektorat nagle niemal opustoszał.

„Wiecie” — mówi inspektor dyżurny — „niektórym jeszcze to nawet wczoraj nie chciało się wierzyć w wojnę. Wyobraźcie sobie, wczoraj rano w drodze do Radia spotkałem inżyniera Płatka, no wiecie, tego z Wiejskiego Wydziału. Właśnie kolejką podmiejską przyjechał z Leśnej Podkowy. Z oburzeniem mi wykłada, że te ćwiczenia lotnicze omal nie spowodowały katastrofy jego pociągu elektrycznego, którym jechał do Warszawy. „Można urządzać ćwiczenia na poligonie” — mówi — „a tu samoloty zrzucały jakieś bomby, ale takie wybuchowe, tuż koło naszych wagonów! To skandal! Widać młodzi lotnicy przy okazji ćwiczeń chcieli postraszyć cywilów. A o nieszczęście nie było trudno”.

„Ja mu zaraz klaruję” — mówi dyżurny — „panie inżynierze, to nie były nasze samoloty. To były niemieckie. Wojna, rozumiesz pan, wojna! A Płatek tylko rozdziawił gębę i mówi: co? nieprawda!”.

Do starych dochodzą i nowe kłopoty. Kłopoty bardzo istotne.

Wydział techniczny melduje, że stacje nadawcze Warszawa 1 i Warszawa 2, przygotowane do emisji programów nawet w nocy na wypadek nadawania specjalnych komunikatów, nie mogą wydostać bez przerw na przegląd aparatur. Diabli wezmą wszystko jeżeli nie będziemy mieli kilku godzin przerwy — twierdzi Raszyn.

Nie wiem co zrobić. Nie wiem jak się połączyć z dowództwem wojskowym, bo nikt mi tego nie powiedział.: Dowództwo wojskowe — to przysłowiowa „tajemnica wojskowa”. Jak ONO chce, to wydaje rozkazy, ale jak trzeba się spytać o wskazówki — to mur nieprzebytej zasłony.

Telefonuję więc do dowództwa OPL’u, żeby pośredniczyli. Tam mówią mi, że wszelkie przerwy są wykluczone. Nie ma przerw, jest wojna! Ale — tłumaczę, a raczej usiłuję wytłumaczyć — to przecież może w końcu unieruchomić stacje nadawcze. Nie będziemy mogli w ogóle nadawać audycji. Proszę o tym donieść dowództwu wojskowemu — krzyczę niemal przez tele-

fon. Nic nie pomaga. Mówią mi tylko z dowództwa OPL, że „wyższe władze wojskowe” są w tej chwili zbyt zajęte wojną, a nie jakimiś głupstwami technicznymi Radia, i że musimy „jakoś zaradzić”. Nie wiedziałem nawet z kim rozmawiałem — z generałem, czy... kapralem. TAJEMNICA WOJSKOWA w jej najbardziej dla mnie niezrozumiałej, bo nielogicznej formie.

Telefonuję do Wydziału Technicznego i przekazuję im tylko wiadomość. Na protesty odkładam słuchawkę. Co mogę zrobić?

Obchodzę znowu gmach. Wszędzie w tych godzinach pustki. Nic właściwie nie mam w tej chwili do roboty, ale i spać się już dawno odechciało. Niby bez sensu, bo przecież ile to godzin ostatnio spałem? Liczę na palcach, ale się nie doliczam, bo po co? Marnowanie czasu — przecież teraz coś trzeba robić. Ale co?

Noc idzie bezszelestnym, długim krokiem nieskończonych sekund i minut, prawie martwych godzin, ku nowemu świtowi nowego dnia wojny, który musi nastąpić niechybnie, jak nieubłagane jest prawo czasu.

Wyciągam się jak mogę w wygodnym fotelu. Może trochę podrzemie. Telefon pod ręką — obudzi w razie potrzeby.

Tak schodzi do późnego, wrześnieowego świtu.

Razem z rozjaśnieniem nieba spływa z góry, z Wydziału Aktualności dobra nowina, najlepsza, mimo że oczekiwana: Anglia i Francja wypowiadają Hitlerowi wojnę.

Czy aby nie fałszywy alarm?

Nie, to prawie pewnik! — cieszą się wszyscy. — Niedługo zostanie ogłoszone oficjalnie.

Mimo że mój zastępca przyszedł już żeby mnie zmienić, pozostaję w Rozgłośni.

Nadzwyczajne, po ogólnej apatii i gnębiących przecuciach podekscytowanie. Twarze wszystkich rozpogodzone nadzieją lepszego jutra. Francja i Anglia! Uderzą z Zachodu, no i oczywiście nasz front zostanie natychmiast odciążony i da się utrzymać. Radość i niecierpliwość oczekiwania. Płyty gramofonowe z nagraniem hymnów angielskiego i francuskiej Marsylianki już przygotowane w studio speakerskim. Telefonuję do wujostwa Zaniewskich, by koniecznie słuchali radia — dobra nowina. Jaka? Jeszcze nie mogę powiedzieć. Telefonuję do innych przyjaciół i znajomych.

Przed jedenastą, w pokoju inspektorskim zebrał się cały naczelny sztab Radia. Już wiadomo na pewno, że Anglia jest w stanie wojny, a Francja też, chociaż jakieś techniczne powody nie pozwalają ogłosić nowiny oficjalnie — i nawet nieoficjalnie... Około jedenastej MSZ pozwala ogłosić komunikat o przystąpieniu

niu Anglii do wojny. Tłumnie idziemy do studia speakerowskiego. Komunikat czyta drżącym ze wzruszenia głosem nasz speaker, hymny polski i angielski i wszyscy jak jesteśmy w studio, przy otwartym mikrofonie wiwatujemy na cześć alianta. Krzyczymy aż do schrypięcia upojeni, zdawałoby się niedługim zwycięstwem, wybawieniem. Dyrektor Sosnowska podaje speakerowi jakąś kartkę. Czyta do mikrofonu: ... wzywamy ludność Warszawy do manifestacji przed ambasadą brytyjską na cześć naszego wielkiego alianta... Jeszcze długie wiwaty... Całujemy się wszyscy z radości. Powtarzamy sobie nowinę i optymistyczne spekulacje już dobrze znane, byle by upewnić się brzmieniem własnych słów, że to prawda, prawda!

Mówią o Francji, że ze względów techniczno-dyplomatycznych Francuzi wypowiedzą wojnę oficjalnie dopiero o godzinie siedemnastej. Głupstwo tych kilka godzin!

Ktoś rozsądniejszy zastanawia się słusznie nad tym, czy wezwanie do masowej manifestacji przed ambasadą brytyjską miało sens. Szczególnie przez Radio, którego na pewno Niemcy słuchają. Mogą zrobić nalot i tysiące ludzi mogą zginąć.

Mikrofonem idzie odwołanie manifestacji. Radio, oczywiście, dla „zachowania twarzy” nie mówi o powodach, mówi o „potrzebie zachowania porządku publicznego”. Nic to jednak nie pomaga. Z miasta mamy telefony o tysiącnych tłumach przed ambasadą brytyjską. Kordony policji nic nie pomagają. Podobno histeria. W pół godziny wraca wóz transmisyjny z nagraniami sprzed ambasady na Nowym Świecie. Reportaż idzie natychmiast na antenę. Sprawozdawcy, Małgorzewski i Wiktor Trościanko opowiadają, że jeszcze w życiu takiego entuzjazmu nie wiedzieli.

Uśmiechy radości — od wielu dni nie widziany gość na naszych twarzach. Matowe ze zmęczenia i przygnębienia oczy nabrały nieco blasku, jakby chcąc dopowiedzieć to, co już trudno wysłowić. Nadzieję wzbudza pewność, że nie jesteśmy osamotnieni w walce.

Nie wychodzę z Radia. Zmęczenie ustąpiło nagłemu przypływowi energii. Dopiero około piątej wpadam na chwilę do domu, żeby się wykąpać.

Przez cały dzień nie było nalotów. Może tak będzie do wieczora?

Mylę się jednak w swoich rachubach, bo już kiedy otwierałem drzwi swojego mieszkania zajęczały syreny alarmowe. Wyglądam przez okno. Niebo pogodne. Ledwie gdzieś tam małe chmurki-obłoki znaczą białymi kłębkami waty pastelowy błękit wypłowiałego już jesienią dnia. Przez otwarte okno wpada znieśniona powiewem nic pajęczyny. Babie lato... Z ogrodu Philipsa.

Z okna widać jak na dłoni potrójne klucze drobnych na pułapie kilku tysięcy metrów formacji samolotów. Skrzydła na wirażach i przy woltach lśnią i mienia się w słońcu niby przezroczyste skrzydła łątek. Artyleria strzela nieprzerwanie. Daleko — może poza miastem — głucho stąd wybuchy bomb. I naraz bliżej, gdzieś od strony Wisły. Cały gmach zadygotał od wstrząsu. Może to Krakowskie, lub Nowy Świat? Trzeba zrezygnować z kąpieli i do Radia.

Alarm trwał około dwóch godzin. W Radio opowiadają mi, że nalot był tak niespodziewany i nagły, że Warszawa II nie zdążyła nawet nadać płyty z nagraniem syren i głosu zapowiadającego „alarm dla miasta Warszawy”.

Wieczorem, dyrektor Górecki przywozi sam około czterdziestu masek przeciwgazowych. Prawdziwe, wojskowe! Na każdej z nich stempel z datą 1939. Najnowsze! Pewnie wprost z fabryki.

Z moim Piętaszkiem-Zabłockim, który nie chce opuścić Radia, mimo że jestem z powrotem, rozdajemy je technikom, speakerom i innym pracownikom, którzy w wypadku ataku gazowego byłiby najbardziej zagrożeni w służbie.

Przychodzi z płaczem do hallu Radia żona Julka Krzyżewskiego, mojego bliskiego kolegi z Inspektoratu Audycji. Wywołuje mnie telefonem na dół. Julek wyjechał nagle powołany do wojska. Zostawił upoważnienie na pensję za wrzesień, ale kasa radiowa nie chce wypłacić. Co robić? Jest bez grosza, a chce wyjechać do swoich rodziców, bo przecież z kilkumiesięcznym dzieckiem nie może pozostać w Warszawie... Doradzam co mogę. Uspakajam. Proszę żeby przez kilka minut została. A sam idę na górę i telefonuję do dyrektora Góreckiego. Dobrze. Jutro otrzyma pieniądze, jak tylko kasa będzie otwarta. Spokojna idzie do domu serdecznie mi dziękując za interwencję — za co?

Coraz więcej osób wyjeżdża z Warszawy. Nawet pracownicy z niezbędnych wydziałów Radia. Słyszę o tym mimochodem ze zdawkowych rozmów. Boję się użyć nawet sam, w głębi świadomości słowa — uciekają. A przecież to wojna! Slogany „Każdy musi pozostać na swoim stanowisku!”, „Obowiązkiem każdego obywatela...”, „Każdy żołnierzem!”. Tak, wojna...

W tej chwili uprzytamniam sobie, że jeszcze kilka dni temu było zupełnie inaczej.

Przypominam sobie dzień, jeden z ostatnich przedwojennego sierpnia. Jestem w Wydziale Transmisji. Omawiamy właśnie szczegóły wyjazdu na nagranie jakiegoś wręczenia nowowyprodukowanych karabinów maszynowych wojsku przez fabrykę, kie-

dy do pokoju wpada kierownik transmisji, Tadeusz Strzetelski. „No! Nie mówiłem? Wojny nie będzie! Mogę się założyć o butelkę najlepszego szampana. Radca Łasiński telefonował z MSZ i polecił zmienić ton wobec Niemców na bardziej ugodowy. Pamiętajcie panowie, żadnych Grunwaldów, Psich Pól itd. w waszych transmisjach. Szczególnie w reportażach wojskowych proszę unikać bojowości w stosunku do Niemców”.

„To może już i Kisielewskiemu pośpiesznie skonfiskowano ZIEMIA GROMADZI PROCHY?” — ironizuje Witek Trościanko.

„Ja mówię na serio, panie Wiktorze” — przerywa mniej już rozentuzjasmowany Strzetelski. — „To są instrukcje, których trzeba przestrzegać”.

A było to na kilka dni przed wojną. I w wojnę naprawdę nikt nie wierzył, lub nie chciał wierzyć i gotów był zakładać się o szampany, że jej nie będzie. Przygotować się do niej nikt, wydaje się, nie chciał, bo i po co kiedy wojny na pewno nie będzie? Sama przyszła do nas przewidywana tylko na serio przez nielicznych, odosobnionych, „urodzonych pesymistów”.

W nocy, kiedy wychodzę z Radia, spotykam na Świętokrzyskiej jednego z moich znajomych.

„Miałem dziś rzeczywisty przedsmak wojny” — opowiada. — „Siedzieliśmy z żoną w piwnicy przy Mokotowskiej, a wszystko dokoła nas aż się trzęsło”. „Aha” — dodaje — „podobno nasi bombardowali Berlin, a ten komunikat po wieczornym Dzienniku Radiowym, że to „Szary wzywa dzieci do powrotu” to mówią, że właśnie do nich był skierowany, bo się tak zacierzwili, że nie chcieli sponad celu powracać! Prawda?”. Nie odpowiadam ani twierdząco, ani przecząco. Idziemy w milczeniu, ale tylko przez chwilę. „A czy to prawda, że Francuzi są już w Zagłębiu Saary?”. To jeszcze nie sprawdzone — mówię. Na skrzyżowaniu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej zegnamy się w milczeniu. Idę dalej sam przez puste i ciche ulice. Czuję się naraz piekielnie zmęczony fizycznie i psychicznie.

Księżyc przejął światło nocy po wygaszonych latarniach i neonach kładąc ostre cienie załomów kamienic na asfalt jezdni i chodniki ulic.

Nie zazdroszczę Zabłockiemu tej nocy — myślę sobie — no, ja miałem tę wątpliwą przyjemność wczoraj.

Noc schodzi spokojnie.

Nazajutrz, już przed rozpoczęciem codziennego programu jestem w Radio. Poranne dzienniki nie przynoszą niemal żadnych wiadomości z frontu i o jakichkolwiek działaniach wojskowych naszych sprzymierzeńców, natomiast pełno rozporządzeń wew-

nętrno-wojennych w kraju. Omawiane jest utworzenie nowego ministerstwa propagandy i nominacja wojewody Kostka-Biernackiego ministrem bez teki, ale z przeznaczeniem nadzoru resortu zwalczania akcji szpiegowskiej i dywersji. Może to trochę uspokoi opinię publiczną, która podobno zarzuca władzom brak organizacji ochrony przed sabotażystami wewnątrz kraju.

Wobec najróżniejszych i sprzecznych komunikatów i zarządzeń mobilizacyjnych, zostawiając Radio, gdzie „wszystko szło” normalnie, poprosiłem dyżurnego w Inspektoracie o ewentualne zastępstwo w razie potrzeby i pojechałem taksówką, które jeszcze krążyły po Warszawie, do PKU. Chciałem się szczegółowiej dowiedzieć, czy aby pomimo mojej kategorii „C” nie muszę się stawić do wojska. Jadę więc na Pragę. Przed PKU tłumy, tysiące mężczyzn. Urzędnicy załatwiają interesantów przez okna biur parteru budynku. Stoję w jednej z licznych kolejek, nie wiedząc nawet czy we właściwym ogonku. Staram się coś-niecoś dowiedzieć od innych, ale i oni są tak samo zdezorientowani i nic nie wiedzą. Ktoś jednak idzie wzdłuż kolejek i co pewien czas krótko oznajmia: „Kategoria 'C' i 'D' do domów!”.

„Panie, a czy na ochotnika nie można?” — padają zewsząd pytania. „Nie. Tymczasem nie! Rozchodź się. Rozchodź się”.

Więc próżna podświadoma nadzieja. Człowiek byłby rad gdyby musiał pójść do wojska. Pozbyłoby się kłopotów, którym nie można było zaradzić. I „raz kozie śmierć”.

Trzeba wracać. Idę poszukując taksówki. Już jednak i one zniknęły z ulic. Pewnie zabrakło benzyny. Dopiero na Królewskiej łąpię konną dryndę. Myślę sobie, po drodze wpadnę do domu i zabiorę co cenniejsze manatki. Spakowałem je przecież, myśląc że może pójdę do wojska i miałem zamiar zabrać te dwie walizki i zostawić je u wojostwa. Teraz, chociaż z wojska nici, też na wszelki wypadek odwiozę. Z Mazowieckiej, przez Plac Napoleona i po Świętokrzyskiej dojeżdżamy do Marszałkowskiej i wolno ku Placowi Zbawiciela. Bo ruch ogromny. Auta prywatne, tramwaje, autobusy tłoczą się przepełnione po brzegi. Zatrzymuję dorożkarza przy kiosku z papierosami. Tylko najdroższe gatunki, a zapatek w ogóle nie ma. Chwilę tylko spędzam u wojostwa. Od nich telefonuję do Radia. Tam spokój, ale i wyczuwalne wyraźnie nawet podenerwowanie. Wyczuwalne nawet przez telefon. Staruszkowie Zaniewscy nie poddali się fali przygnębienia, są dobrej myśli. Dopiero na odchodnym, kiedy ciotka Ludka daje mi mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, nie może powstrzymać się od płaczu. „Noś ten obrazek zawsze ze sobą. Ona ciebie potrafi zawsze zachować w każdym nieszczęściu. Nic

jeszcze nie wiadomo co jeszcze trzeba będzie ci przeżyć, a Ona zawsze będzie ci pomocą...”.

Z powrotem jadę tramwajem. Ledwo się wciskam na platformę. Taki tłok, że konduktor nie sprzedaje już biletów. Na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Wilczej tłumy ludzi, że tramwaj nie może przejechać. Co się stało? Złapano szpiega! Chcą go zlynczować. Policja ledwie może go obronić. Z platformy tramwajowej widzę wleczonego przez policjantów starszego już mężczyznę. Dokoła groźny, wrogi tłum. Tramwaj wreszcie rusza. Koło Dworca Głównego znowu zator. Idzie transport wojskowy — długim sznurem ciągną konne wozy. Ludzie wiwatują na cześć wojska. Na twarzach żołnierskich nie widać jednak radości, tylko ogromne zmęczenie bo pewnie już od kilku dni nie spali. Przez opaleniznę skóry wygląda bladość znużenia. Kolumna wozów ciągnie się w nieskończoność, chyba więc na piechotę będę prędzej niż tramwajem. Wsiadam. Idę Alejami, Bracką, żeby ominąć ścisk Marszałkowskiej. Plac Napoleona jest wielkim mrowiskiem ludzi. Przed Komisariatem Policji największe zgęszczenie. Każdy chce widać dotrzeć do wywieszonych tu ogłoszeń mobilizacyjnych i ciągle uzupełnianych zarządzeń. Pomimo jednak tłoku spokój i jakieś wewnętrzne skupienie, zamknięcie w sobie i atmosfera szmerów raczej niż harmideru, pomimo klaksonów aut i warkotu rozbieganych po mieście motocykli wojskowych gońców. Na ścianach domów porozklejane plakaty: obnażone bagnety broniące kraju przed zachłanną sięgającą po nasze ziemie pruską łapę. Czerwień plakatów znaczy ściany domów jak językami ognia pożarów. Wchodzę do gmachu Poczty Głównej. Czy kartka wysłana do Wilna dojdzie? — pytam. Odpowiedzią jest tylko wzruszenie ramion. Pomimo to piszę kilka słów do mojej najbliższej rodziny i nadaję ekspresem. „Szkoda pieniędzy na ekspres...” — mówi urzędnik pocztowy. „Nikt już dzisiaj nic nie wysyła, bo po co? I tak nie dojdzie. Widzi pan jakie pustki przy okienkach?”.

Patrzę na zegarek. Mam jeszcze nieco czasu, a dom tuż pod bokiem. Idę dalej Mazowiecką i skręcam w przejściową bramę do mojego domu. W ścianach mieszkania niemal absolutna, niemal dotykalna cisza. Znowu telefonuję do Radia. Spokój, nic nowego. Nastawiam odbiornik na Warszawę I. Jakaś muzyka symfoniczna, już nie marsze wojskowe i nagle przerwa. Wiem co to oznacza. Widzę prawie speakera chwytającego gorączkowo za słuchawkę aparatu OPL. Słyszę niemal jak powtarza słowa rozkazu: kolor, liczba, kod... W głośniku słyszę głos Tadeusza Bocheńskiego: „Hallo, hallo! Uwaga, uwaga! DU-MA 27. Przeszedł”. Kartka biała — myślę mechanicznie. Ależ te sygnały złe

pomyślane: To przecież dla całego obszaru Polski, a ludność Warszawy przyjmuje to wyłącznie na swój rachunek! Po co na próżno denerwować?

Dopiero dzwonek telefonu budzi mnie ze snu. Sam nie wiem jak zasnąłem w fotelu. To Zabłocki prosi żebym przyszedł go zmienić. Mówię, że za chwilę będę w Radio. Przepraszam za spóźnienie.

Kiedy wchodzę w bramkę prymitywnej barykady przed wejściem do Radia, nadjeżdża limuzyna. Wsiada prezydent Warszawy, Stefan Starzyński. Mija mnie przy wejściu nie poznając. W hallu wita się szybko z dyrektorem Góreckim, który widać zszedł na dół na spotkanie. Natychmiast idą do Inspektoratu, ale już za chwilę widzę ich w korytarzu prowadzącym do studia odczytowego, do „piątki”. W silnym świetle lamp korytarza widzę zmęczoną, prawie ponurą twarz prezydenta. Wchodzę do Inspektoratu Audycji. Za chwilę zapowiedź speakera i głosniki powtarzają słowa Starzyńskiego: „... wzywam do spokoju i skupienia... wzywam do pracy potrzebnej ojczyźnie w jej ciężkich chwilach, które przeżywamy...”.

Dzień czwarty wojny zbliża się ku nocy. Wychodzę z Radia, by pójść do biur radiowych naprzeciw naszego gmachu, żeby samemu skontrolować z przeciwległych okien, czy nasze zaciemnienie jest pełne. Księżyc już wzeszedł delikatnie srebrząc kamienie ulic i, tu i ówdzie, odbłyskiem promieni od szyb domów rozproszył monotonię wymarłej ulicy. Mam wrażenie, że idę po zaczarowanym mieście, nagle uśpionym jakimś potężnym zaklęciem. Echo kroków odbija się od murów i powraca do mnie spotęgowane kontrastem wszechwładnej ciszy. Żaden błysk lampy zza kotar i zasłon nie przekrada się ku ulicy. Mogę wracać. Wszystko w porządku.

Nawet nie wchodzę do Inspektoratu po najnowsze wiadomości. Po co się denerwować? Po wczorajszym, jaśniejszym dniu nowiny o wypowiedzeniu Niemcom wojny przez zachodnich sprzymierzeńców, a później po coraz gorszych wiadomościach, a raczej zupełnym ich braku z frontu, radosne nastroje zmieniły się znowu w ogólną depresję. Siedzę w moim gabinecie i bezmyślnie kreślę na arkuszu papieru jakieś zawijasy i figury geometryczne.

Przychodzi Sulistrowski. Mówi że dostał „przez znajomość” butelczynę. Pyta się czy nie wypilibyśmy razem po kieliszku. Oczywiście! Z wielką ochotą!

Butelczyna okazuje się pół-litrówką spirytusu. „Rozcieńczyć wodą?” — pyta Sulistrowski. Po jakiego licha. Nie trzeba. Masz co do zjedzenia — nagle czuję się piekielnie głodny. „Są sardyn-

ki i trzy bułki jeszcze 'sprzed wojny'. Szczerstwiało...". Pycha, uczta. „Aha” — przypomina sobie Sulistrowski. — „Szukał ciebie Zbyszek Świętochowski. Jest teraz w studio speakerskim na dyżurze. Idź się dowiedzieć co mu tam brakuje”.

Idę. Rzeczywiście czegoś brakuje. Maski przeciwgazowej dla żony.

„Słuchaj” — mówi — „nie mogę jej oddać swojej maski, bo jest zarządzenie, żebyśmy nosili ze sobą na dyżury w Radio. Wiesz, że żona jest przewrażliwiona po niedawnym porodzie. Nic, tylko maska i maska...”. Rozumiem — uspakajam jak mogę. — Jutro mają przyjść maski dla rodzin pracowników. Cały transport. Na pewno jedną zarezerwuję dla twojej żony.

Program już skończony, więc w studio cisza. Światło stojącej lampy rzuca ostre światło na pulpit speakerski i na mikrofony, przełączniki do Amplifikatorni. Jeszcze sięga do talerzy aparatury płytowej. W kątach pokoju wyłożonego celoteksem i suknem błyszczą cienie półmroku. Siedzimy tak w fotelach nic nie mówiąc, każdy pograżony we własnych myślach.

No, idę do siebie — klepię Zbyszka po ramieniu. — Może być telefon z OPL, a zaspany woźny na korytarzu może nie usłyszeć. „Ja tu czekam na to samo” — mówi Świętochowski.

Zaraz. Sprawdzimy na wszelki wypadek linię twego telefonu — podnoszę słuchawkę połączenia studio speakera z OPL. Nikt się nie zgłasza. Kręcę korbą induktora długo, coraz bardziej niecierpliwie. Znowu żadnej odpowiedzi. Może się pospali! Nie do pomyślenia! Ekspozowana placówka wojskowa... Na wszelki wypadek łączę się miejskim telefonem z OPL i pytam czemu bezpośrednia linia nie odpowiada. Lecz u nich wszystko w porządku. Dyżurny telefonista i oficer ani myśleli o śnie. Zaraz przyślą technika, żeby zbadał nasz aparat. Może coś uszkodzone u nas, czy na linii.

Rzeczywiście, w pół godziny później zjawia się technik wojskowy. Sprawdza telefon. Ten jest „zdrowy” — orzeka. Idzie linią po korytarzu, nagle staje i pokazuje mi zerwane połączenie. Sam nigdy bym tego nie zauważył. Druty najwidoczniej przecięte jakimiś ostrymi ciężkami. „To jakaś nieczysta sprawa” — twierdzi technik. Natychmiast naprawia uszkodzenie.

Rozpytuję strażnika i dyżurnego woźnego czy aby nie zauważyli czegoś podejrzanego, kogoś kto by niepotrzebnie walał się po korytarzu, w którym druty zostały poprzecinane. Są nową zmianą i dyżur zaczęli dopiero o godzinie dwudziestej drugiej. W tym czasie nie było tu nikogo oprócz znanych im pracowników Emisji. Trzeba jednak zwracać większą uwagę, trochę jeszcze bardziej zaostrzyć kontrolę wchodzących z zewnątrz — no-

tuję sobie w pamięci. Przydałoby się oddać gmach w opiekę policji, czy wojska... Ale z drugiej strony to utrudniłoby pracę. A zresztą oni pewnie by się odżegnali, mając dosyć własnych kłopotów. Nawet, pomimo moich nalegań, posterunków przed gmachem nie postavili.

Telefonuję jednak do naszego Komisarjatu Policji, ot tak, na wszelki wypadek. Odpowiadają, że sprawa rzeczywiście poważna, ale cóż oni na to mogą poradzić, kiedy sami są przepracowani. Telefonuję także do OPL, gdzie już technik złożył swój meldunek. Mówią, że coś postarają się uzyskać od wojska, by zapewnić bezpieczeństwo gmachu Radia, ale dopiero jutro. Wydają więc własne zarządzenia zaostrenia kontroli wewnątrz budynku. Może coś pomoże...

Idę do podziemia Warszawy II. Panie w fartuchach pielęgniarskich śpią na noszach rozstawionych pod ścianami. Obchodzę dalej gmach. W Aktualnościach praca. Częstość mnie dobrą kawą. Nasz pierwszy bufet pań, po chwilach pierwszego zrywu entuzjazmu jakoś teraz nie dopisuje — myślę sobie — ale ci nasi redaktorzy Aktualności sami sobie dobrze radzą.

„Mógłby się pan ogolić” — ktoś doradza. — „A może zapuszczasz sobie brodę?” — dowcipkuje inny. Nic to — odgrazam się. — Jak się jutro zmienię z zastępcą pójdę do fryzjera. Rzeczywiście, nie goliłem się od wczoraj, bo już po północy. „Aha” — ktoś jeszcze mówi. — „Pan teraz jest OPL. Trzeba żeby pan ogłosił, by maski gazowe noszono przewieszane z przodu, bo złapano kilku jegomości co szpikulcami przekłuwali maski przez torbę. Dywersanci”.

Wracam do siebie na dół i kurczę się na maleńkiej kanapce obok biurka z telefonem. Trzeba choć na chwilę zmrużyć oczy.

Rano, kiedy tylko zjawił się Zabłocki, idę najpierw do fryzjera i coś szybko zjeść, ale szybko wracam do Radia, ponieważ w ciągu nocy sytuacja podobno bardzo się pogarsza. Nasze urzędy i ministerstwa ewakuują się z Warszawy. Z początku nie wierzyłem, myślałem że to tylko plotki. Jednak to rzeczywistość przekreślająca nikłe nadzieje, których się człowiek chwycił jak pasa ratunkowego.

Więc co? Co z Warszawą? Nikt nie wie.

Wszyscy chodzą jak błędni. Każdy unika rozmów z innymi, bojąc się jeszcze gorszych wiadomości. Nawet urodzeni plotkarze przymilkli. Pesymiści już nie roszczą sobie pretensji do stereotypowego „Ja to dawno przewidziałem!”.

Mechanicznie, z przyzwyczajenia raczej niż z obowiązku, sprawdzam wszystkie piętra Radia z Zabłockim. Ten jednak, już nie jak zawsze w dobrym humorze. Dzisiaj — przygnębiony.

Nadchodzi zawiadomienie, że o dziesiątej wszyscy pracownicy w gmachu Radia mają się zebrać w pierwszym studio, „koncertowym”.

Już przed zabranieniem dowiaduję się o co chodzi. Znowu nie chcę z początku wierzyć, bronię się przed myślą, że tak stać się może. Ale w głębi serca wiem, że to prawda.

Na zebraniu, w imieniu naczelnej dyrekcji Radia, pani Żebrowska oznajmia, że z dniem dzisiejszym wszystkie kontrakty pracowników zostają rozwiązane. Dwumiesięczną pensję jeszcze dzisiaj wypłaci kasa radiowa.

Co? Dlaczego? — padają zewsząd pytania pełne rozpacz. Pytania te pozostaną już bez odpowiedzi.

Staram się jeszcze pełnić normalne funkcje. Praca jeszcze trwa. Program klecony na prędko nadają jeszcze obie Rozgłośnie. Nie mając chwilowo nic do roboty zamieniam na dyżurce speakerowskim na Warszawa II Jeremiego Przyborę. Idzie podjąć pieniądze. Po pół godzinie wraca.

„Idź i ty” — doradza.

Trzeba pójść. Wypłacają nowiutkimi stużłotówkami z grubszą zaokrąglone sumy. Plika tego. W drodze powrotnej do Radia, żeby mieć jak najwięcej drobnych, kupuję w sklepie Gonzagi na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej jakąś niezbyt potrzebną koszulę. Po znajomości wymienia mi aż trzy stużłotówki na mniejsze banknoty.

W Radio zastaję przekazaną mnie wiadomość: dziś o czwartej po południu ewakuacja szkieletowego personelu Radia. Mamy się stawić na Placu Dąbrowskiego. A program Warszawy? — pytam. Zostają tylko wyznaczeni i ci, którzy ze względów na rodzinę, czy innych nie chcą wyjechać. Kto? — pytam znowu. Odpowiedź: Jeszcze nie ma konkretnych instrukcji naczelnej dyrekcji.

Już teraz nikt nie wie co robić. Większość urzędników rozeszła się do domów. Jedynie Emisja pracuje bez przerwy, no i technicy w amplifikatorni i w Raszynie, skąd idą programy na powietrze. Nie ma nikogo z dyrekcji.

Przyjeżdża wreszcie dyrektor Sosnowska, opanowana bardziej niż niejeden z mężczyzn. Oznajmia nam, że cała Warszawa ma być dzisiaj ewakuowana i co więcej, że jest rozkaz żeby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni jeszcze dzisiaj opuścili miasto. Więc koniec mojej pracy w Warszawie. Jeszcze telefonuję do OPL. Nikt nawet nie odpowiada. I technika już teraz na pewno nie przyśła, bo „połączenie uszkodzone”.

Przed czwartą przychodzi do mnie Przybora. Namawia żeby pójść na Plac Dąbrowskiego, może się czegoś dowiemy. Idziemy.

Tam uszeregowane przed gmachem naszej administracji auta osobowe, wozy transmisyjne i propagandowe z wielkimi głośnikami na dachach. Trzeba się dowiedzieć dokąd i kto jedzie. Sztab jest w budynku administracji w jego biurach. Idziemy tam z Przyborą. Z trudem dowiadujemy się, że wyjazdem zarządza dyrektor Karaffa, popularnie nazywany „karafką”. Odnajduję go w pokoju dyrektora administracji w mundurze pułkownikowskim. Był w Legionach Piłsudskiego. Zarządza właśnie przydziałem miejsc w autach. Pytam dokąd wyjazd? Odpowiada, by zorganizować nową radiostację na tyłach frontu, w Łucku. Więc Przybora i ja może się przydamy? I tak wszyscy mężczyźni mają opuścić Warszawę. „Ależ oczywiście!” — zgadza się Karaffa. — „Tylko nie mam w tej chwili dokładnego planu rozmieszczeń. Idźcie sami do aut i szukajcie miejsca.

Idziemy do aut. Wszędzie więcej osób niż miejsc. Ewakuacja w wielu wypadkach z całymi rodzinami. Nawet nianie do dzieci. Jeden z kolegów* obiecuje, że jeżeli się uda, może się znaleźć miejsce przy szoferze „na trzeciego”. Dobrze, ale co z Przyborą? Ale i ten znalazł sobie miejsce w wozie technicznym.

Teraz tylko ostateczna decyzja czy jechać, czy zostać w Warszawie. Przybora waha się. Zostawiłby tu swoją narzeczoną, jedną z trzech „Sióstr Burskich”, uroczą dziewczynę. Idzie do gmachu administracji telefonować do niej. Wraca. Nie mógł się dozwonić, więc nie jedzie. Żegna się z nami. Staram się jeszcze go przekonać, ale bez zbytniego przekonania. Wiedziałem, że zostaje.

Stoimy przy wozach z godzinę. Znowu syreny alarmowe. Na lot. Jeden z najcięższych. W zbliżającym się zmroku Niemcy bombardują już niemal bezbronną Warszawę. Człowiek już prawie nie reaguje na nic zupełnie, ogłuszony i stępiały na wszystkie wrażenia.

Do domu, przez bramę od Placu Dąbrowskiego mam zaledwie kilka niemal kroków. Czuję silną pokusę — ot, pójść, położyć się i spać, spać. Wszystko jedno co później będzie.

Robi się zimno. Pytam czy będę miał pięć minut czasu, by wpaść do domu po płaszcz? Stanowcze NIE. W każdej chwili możemy ruszyć.

Czekamy tak do godziny dziewiętej. Jest nawet błaha nadzieja, że sytuacja wygląda nieco bardziej różowo i nie trzeba będzie opuszczać Warszawy. Ale już w pół godziny potem komenda: wsiadać do wozów. Ruszamy.

Nasze auto, spora limuzyna, jest na końcu konwoju. Przez

* Karol Pieńkowski-Wagner.

szybę samochodu patrzę na pustkę mijanych ulic. Sygnały na skrzyżowaniach ulic niepotrzebnie zmieniają kolory świateł. Oprócz naszych aut, żadnego ruchu po tłocznych zwykle ulicach głównych arterii Warszawy. Nawet tramwaje już nie chodzą.

Kierowca nastawił odbiornik radiowy na jakąś muzyczkę z zagranicy. „Zamknijcie to radio!” — krzyczy ktoś histerycznie z tylnego siedzenia. „Niech gra” — uspakaja inny — „zobaczcie, dojedziemy tylko do Wilanowa i zawrócimy. Już ja wam to mówię!”.



W wieczornym komunikacie Deutschlandsender na antenie Królewca i Wrocławia podano wiadomość o ewakuacji polskiego rządu i wszystkich ministerstw z Warszawy. Część personelu Polskiego Radia — dodało radio niemieckie — ewakuowano wieczorem z Dobrowski Platz.

Bolesław K. PIEKARSKI

Bukareszt, październik 1939.

Paryż, grudzień 1939.

Wiktor Tomir DRYMMER

WSPOMNIENIA (4)

(ciąg dalszy)

Część III

Rozdział VI

LIGA MORSKA I KOLONIALNA

Popularność Ligi Morskiej i Kolonialnej była niewątpliwa, liczebność członków wielka, ofiarność hojna. Cele romantyczne, przestarzałe i nierealne, pobudzały wyobraźnię. Dynamizm kawalerski gen. Orlicz-Dreszera prezesa Ligi i jego elokwencja robiły swoje. Trudno było bardzo walczyć z tą rozbuchaną ale źle zorganizowaną organizacją. Ich akcja w kraju miała, owszem, cechy dodatnie, zbliżała ludzi do morza do sportów wodnych, do szukania przygód na szerokim świecie. Zaroilo się od zarejestrowanych

i niezarejestrowanych podróżników na łodziach, kajakach, motorach i rowerach na wszystkich bodaj kontynentach.

Natomiast na terenie międzynarodowym L.M.K. nie popisała się, tym bardziej, że buszowała na nieznanym sobie terenie, co kończyło się i dla prestiżu Ligi i dla zaangażowanych w tym ludzi, więcej niż niefortunnie. Tak było z zakupionymi terenami w Brazylii pod nazwą Morska Wola i osadzeniem na nich ludzi zworbowanych w Polsce; tak było i z prywatną inicjatywą, nazwijmy ją niedelikatnie, „handel ludźmi i terenami” przez spółkę warszawską Towarzystwo Kolonialne, inspirowaną przez L.M.K. i jej niesławną kolonię Aguia Blanca (Orzeł Biały); tak było wreszcie z zawarciem umowy międzynarodowej między Liberią a Ligą Morską i Kolonialną. Najwidoczniej Liberia nie bardzo wiedziała co to jest L.M.K., sądzili zapewne, że to jakieś państwo europejskie.

O tym wyczynie L.M.K. dowiedziałem się od min. Becka, który powrócił z Genewy, gdzie był na posiedzeniu Ligi Narodów na którym, dla notyfikacji, odczytywano ostatnio zawarte umowy międzynarodowe. Ku swemu zdumieniu usłyszał, że La Sérénissime republika Liberyjska i la Sérénissime Liga Morska i Kolonialna zawarły wzajemną umowę. Czego tam nie było: wzajemna wymiana konsulatów, dóbr kulturalnych, studentów, surowców, lekarzy, osuszanie błot itp. — mówił, śmiejąc się, Beck — jednocześnie polecając mi pogadać z Ligą, by takie rzeczy się nie powtarzały. Na razie wyglądało to zabawnie i niewinnie. Była jeszcze jakaś podobna inicjatywa Ligi w Ameryce Południowej, ale udało mi się temu zapobiec. Śmierć Orlicz-Dreszera i objęcie „protektoratu” nad Ligą Morską i Kolonialną, przez gen. Sosnkowskiego, wprowadziły tam ład i porządek oraz hierarchię jej planów.

Nie upłynęło wiele miesięcy od sprawy liberyjskiej, jak zgłosił się do mnie z wizytą oficjalną, czarny pan, konsul generalny Liberii. Pochodził z Nowego Jorku, w Liberii był od paru lat. Po zakończeniu wizyty oficjalnej, już na odchodnym, zapytał mnie ile i gdzie będzie pobierał pensji. Odpowiedziałem mu, że to jest sprawa jego rządu. Po dłuższej rozmowie okazało się, że według interpretacji liberyjskiej to Polska czyli sérénissime Liga powinna mu płacić. W L.M.K. nie mogłem nic wyjaśnić, autorów umowy już nie było, pływali na jakimś statku; dokumentu nie można było odnaleźć, wreszcie zdecydowałem się na wypłacanie panu Konsulowi generalnemu — by nie kompromitować polskich władz — 600 zł. miesięcznie i tak było do 1939 roku. Liga wysłała do Liberii jakichś plantatorów dla zbierania kau-

czuku, wysłano znakomitego dra Rudolfa Weigla, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, dwóch inżynierów, którzy mieli osuszać bagna w pobliżu stolicy tej republiki, Monrowii. My, z naszej strony, otworzyliśmy wicekonsulat i posłaliśmy tam R. Rathausa. Zakupiony przez Ligę Morską i Kolonialną statek żaglowy, naładowano cementem w Gdyni. Popłynął niedaleko, już na Bałtyku zatonął.

Proba „kolonialna” Ligi w Liberii skończyła się kompletnym fiaskiem już po dwóch latach. Liberia nie miała ani możliwości ani pieniędzy dla badań prof. Weigla, ani na osuszenie błot, ani nawet urządzenie jakiegoś takiego portu.

Druga sprawa była gorsza. Tu chodziło o ratowanie setek istnień ludzkich: Liga zakupiła w Brazylii okazałe tereny, które ochrzczono nazwą „Morska Wola”. Działki sprzedano osadnikom w Polsce, posadzono na okręty, wygłoszono piękne mowy i tyle. Jednocześnie inspirowane przez Ligę M. i K. Towarzystwo Kolonizacyjne wysłało kolonistów do wspomnianych terenów w Agua Blanca. W rok czy w dwa po osadzeniu tych ludzi, dostałem alarmujące raporty, a potem depesze domagające się by zarówno Liga Morska i Kolonialna, jak i Towarzystwo Kolonialne, ratowało ginących z głodu osadników. Długotrwała susza, nieurodzaj, brak jakichkolwiek zapasów czy to w postaci zbóż, bydła czy pieniędzy — skazały tych ludzi na głód. Moje domagania się pomocy od zainteresowanych organizacji nie dały żadnych rezultatów; wysłana doraźna pomoc finansowa nie rozwiązywała zagadnienia. Wysłałem do Brazylii, specjalnie w tym celu urlopowanego z wojska, kapitana korpusu geografów Felicjana Kopczyńskiego, którego miałem możność poznać nie tylko z sumienności i pracowitości, ale i z zacięcia społecznego i życzliwego stosunku do człowieka. Kopczyński pochodził ze wsi i zagadnienia rolne na szczeblu osadnika były mu i bliższe i zrozumialsze niż jakimkolwiek urzędnikowi z Min. Spraw Zagranicznych. Ponadto sam dość dużo podróżował i znał biegle portugalski. Po dwóch latach ciężkiej pracy i to często pracy fizycznej, kapitan Kopczyński uznał, że tereny te nie nadają się do osadnictwa i zaproponował przeniesienie wszystkich ludzi na tereny urodzajniejsze i zdrowsze — na przykład na tereny dawno zakupione na cele osadnicze przez MSZ. Przenosiny, zagospodarowanie i opiekę nad tymi ludźmi przeprowadził kapitan Kopczyński z funduszów MSZ. Podobnie zrobił z większością ludzi pracujących na Agua Blanca.

Kapitana Kopczyńskiego zmuszony byłem odwołać do Warszawy gdyż nabawił się groźnej choroby tropikalnej oczu.

Po wyzdrowieniu zaproponowałem mu przejście do służby w MSZ. Ostatni jego przedwojenny przydział: kierownictwo konsulatu w Tuluzie, gdzie również miał możliwość zajmowania się polskim osadnictwem. Podczas ostatniej wojny powrócił do wojska, służył w 2-im Korpusie, awansował na majora. Po wojnie emigrował do Brazylii gdzie dołączył do starych swoich przyjaciół Lepeckiego, Zarychty i Fularskiego. Mieszkał w Bela Horizonte, gdzie zakończył swoje pozytywne życie.

R o z d z i a ł VII

EMIGRACJA I OSADNICTWO

Polska, dźwigająca się z gruzów niewoli, wojny światowej i wojny polsko-sowieckiej, była siłą rzeczy nadal, państwem emigracyjnym.

Mieliśmy dwa rodzaje emigracji:

a) emigrację zarobkową — sezonową⁵ do Niemiec, Francji, Belgii i na Łotwę. Z czasem emigracja we Francji stawała się i emigracją osiadłą i emigracją sezonową.

b) emigrację zarobkową — osiadłą, dotyczyło to krajów zamorskich: Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna, Brazylia.

Emigracja zarobkowa (sezonowa czy osiadła) rekrutowała się głównie z ludności wiejskiej, rolniczej. W małym procencie z górników i robotników przemysłowych (Francja), górników (Belgia) i robotników przemysłowych (Niemcy).

W pierwszych latach naszej niepodległości grasowały po Polsce wszelkiego autoramentu misje rekrutacyjne czy to na roboty sezonowe czy też na tereny osiedleńcze, „kolonizacyjne”, jak się to pospolicie mówiło. Najbezczelniej sobie poczynają i „szarogęsiły się” w Polsce francuskie misje rekrutacyjne, traktujące Polskę jak swoją kolonię. Zupełnym przypadkiem zobaczyłem w Katowicach procedurę takiej rekrutacji: do szeregu ustawionych młodych ludzi: chłopców i dziewcząt, podchodziło kilku małego wzrostu Francuzików, którzy obmacywali ludzi jak bydło na jarmarku, zaglądając w zęby i w oczy, robiąc nieprzystojne gesty pod adresem dziewcząt. Byłem wstrząśnięty i do głębi zbulwersowany tym widokiem. Nie mogłem zrozumieć, że rząd, że wła-

5. O Francji piszę również w innym miejscu.

dze państwowe pozwalają na ten jawny, chamski, bydlęcy sposób traktowania naszych obywateli. Po powrocie do Warszawy poruszyłem niebo i ziemię. Dzięki Bogu moja interwencja pomogła. Usunięto z ziem polskich francuskie misje rekrutacyjne. Ochotnicy (z musu) na wyjazd byli załatwiani tylko i wyłącznie przez polskie urzędy emigracyjne.

Po zbadaniu zagadnienia emigracyjnego wraz z gronem naszych specjalistów, doszedłem do wniosku, że skoro „Polska ma być macochą (czas jakiś), a nie matką” jak mi to powiedział premier Aleksander Prystor, to trzeba aby emigracja ta była jak najsprawniej zorganizowana, otoczona troskliwą opieką od chwili opuszczenia Polski aż do ustalenia się na nowym miejscu pobytu.

To co nazywałem *zorganizowaną emigracją*⁶ było daniem wychodźcom maksimum tego na co Polskę materialnie było stać: podstawową znajomość terenu, na który mają się udać, kilkadziesiąt słów języka obcego, którym będą musieli się posługiwać, opiekę w czasie drogi, opiekę prawną i zdrowotną na terenie zamieszkania czy zatrudnienia, szkolnictwo dla dzieci, podstawowe znajomości z higieny osobistej, podstawowe znajomości klimatu, fauny i flory, zmiany w położeniu słońca i gwiazd (dla Ameryki Południowej), podstawowe wiadomości praw obowiązujących w kraju nowego zamieszkania itd., itd.

Tę stronę „zorganizowanej emigracji” udało mi się rozwiązać, w zależności od czasu jakim emigranci dysponowali, gdy zebrani już razem mieli opuścić kraj. Do każdej grupy czy transportu przydzielałem opiekuna, tj. urzędnika bądź MSZ, bądź poleconego przez Min. Pracy i Opieki Społecznej, który dostawał opracowany przez MSZ cykl pogadań na poruszone wyżej tematy i który musiał być przygotowany na szereg pytań zadawanych przez emigrujących. Po odbyciu podróży, opiekun a jednocześnie i nauczyciel, składał mi osobisty lub na piśmie meldunek i swoje uwagi lub postulaty. Transportowi towarzyszył aż do chwili przekazania go Konsulowi w porcie docelowym.

O ile tę część zajęcia się potencjalnym emigrantem udało się zrealizować, to część pierwszą tj. od zamysłu emigracji i rozgła-

6. Nie mogliśmy marzyć o zorganizowanej, jak w Japonii, emigracji rolniczej. Tam tworzone zespoły emigrantów, które żyły własnym życiem takim jak będą je prowadzić na terenie imigracyjnym. Każdy członek zespołu miał wyznaczoną funkcję, w której się specjalizował. Wykłady wraz z pokazami fauny i flory, próbkami i własnościami gleby, znajomość podstawowa obcego języka itd. Kursa takie trwały czasami szereg tygodni i szereg tygodni zespół mieszkał i pracował razem oraz uczył się pracy, którą miał sprawować w terenie.

dania się za ewentualnym kupcem sprzedawanego (za bezcen) kawałka ziemi w Polsce, nie mogłem w żaden sposób nakłonić wieloletniego ministra rolnictwa, Juliusza Poniatowskiego. Chciałem by ziemię potencjonalnego emigranta kupowało państwo, Bank Rolny czy, jak to proponowałem, Bank Emigracyjny, do którego należało wnieść jako udział, posiadane przez MSZ pod firmą „Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze” tereny w Brazylii, Argentynie i Francji. Skupywanie ziemi od potencjalnych emigrantów, pozwalałoby prowadzić racjonalną migrację wewnątrz kraju i niezaprzaszczanie jej w obcych rękach. Chciałem doprowadzić do tego by potencjalny emigrant mógł za sprzedaną ziemię w Polsce, dostać opcję na odpowiedni teren w Argentynie czy Brazylii. Niestety żaden argument nie trafiał do Poniatowskiego. Byłem wściekły. Powtarzałem sobie to co Komendant o nim mówił: „porządny to on jest, porządny, ale jak wchodzi do pokoju to się ciemno robi”. Poniatowski był uparty jak muł. Chciał rozwiązać problem mało-rolnych i robił „poniatówki” ale na to potrzeba było tysięcy lat, a nam paliło się pod nogami. Co rok przybywało pół miliona ludzi. Rostło uprzemysłowienie, rozbudowywały się miasta, ale ciągle kłopoty finansowe i gospodarcze szły równoległe z przyrostem ludności. Cierpieliśmy ciągle na nadmiar rąk do pracy.

Chciałem zainteresować nasze banki (oczywiście mowa tylko o państwowych bankach) sprawą naszego osadnictwa poza granicami Polski. W pierwszym rządzie myślałem, że zainteresuje się tym Poczta Kasa Oszczędności (PKO), która już od dawna posiadała we Francji swój oddział. Umówiłem się z prezesem Henrykiem Gruberem i wspólnie zrobiliśmy kilkudniowy objazd okolic Tuluzy, gdzie najpierw powstało samorzutnie małe zgromadzenie osadnicze, które, wspomagane przez Dep. Konsularny poprzez zakup terenów i przysłanie paru instruktorów rolnych, mogło stać się, po rozszerzeniu polskiej spółki osadniczej, poważnym polskim ośrodkiem rolniczym. Widzieliśmy ciężką, ale jakże owocną pracę naszych osadników, byłych górników z okolicy Lille, lub robotników metalowych z okolic Marsylii, którzy mieszkali w opuszczonych lub zapuszczonych sadybach francuskich, a niekiedy w kurnych chatkach!!!

Oglądaliśmy piękne zbiory pszenicy, a nawet uprawę winorośli prowadzoną ręką inteligentnych górników ze Śląska i z Olkusza (mieli winnicę na spółkę).

Niestety prezes Gruber nie mógł się zdecydować na inwestycje, ale przyrzekał...



Patrząc na pracę społeczną takich dużych organizacji jak Światowy Związek Polaków czy Liga Morska i Kolonialna, z ambicjami prowadzenia samoistnej, autonomicznej polityki, wkraczających na delikatne pola polityki międzynarodowej, stale przekraczających ich możliwości, wiedzę i umiejętności — począłem odnosić się bardzo krytycznie i podejrzliwie do poczynąń społecznych, usiłujących dublować funkcje państwa. Powiększały koszta i wносиły chaos.

Przyznaję, że jest potrzebna kontrola, nawet daleko posunięta, wszystkich poczynąń rządowych, ale musi być robiona przez znawców przedmiotu, obdarzonych rozsądkiem, bezinteresownością i odpowiedzialnością.

Rozdział VIII

HANDEL I EKSPORT

Politykę handlową poza granicami RP robiło Ministerstwo Przemysłu i Handlu, zawsze w porozumieniu z Radcą Handlowym MSZ.

Wykonawcami tej polityki byli radcy handlowi, mianowani przez ministra Spraw Zagranicznych i przedzielani do większych placówek zagranicznych.

Konsulowie, wicekonsulowie, agenci konsularni i konsulowie honorowi przy pomocy przydzielonych urzędników robili codzienną, żmudną robotę nawiązując, rozwijając i podtrzymując stosunki handlowe z krajem przy którym byli akredytowani. Ministerstwo nasze ze swoim skromnym budżetem nie było w stanie rozwinąć dostatecznej ilości placówek konsularnych, toteż posługiwaliśmy się ich namiastką w postaci konsulatów honorowych.

Polska przy eksportowaniu swoich towarów traciła wiele z powodu braku polskich domów handlowych czy importowych za granicą. Polonia jeszcze nie dorosła do tego by móc stworzyć własne instytucje tego typu na większą skalę. Żydzi polscy, na których instynkt i kontakty zagraniczne liczylismy, zawiedli kompletnie.

Toteż niezwykłym wydarzeniem w naszych warunkach było powstanie w latach trzydziestych pierwszego polskiego domu

handlowego w Stanach Zjednoczonych pod nazwą — jeśli mnie pamięć nie zawodzi — AMCO czy AMPOL, który importował z Polski do Stanów Zjednoczonych szynki wędzone. Szynki te miały duże powodzenie.

Również dużym wydarzeniem w rozwoju naszego handlu z krajami Dalekiego Wschodu (Chiny, Indochiny, Kambodża, Malaje) było powstanie również w latach trzydziestych firmy eksportowo-importowej, założonej przez młodego człowieka — Krosnowskiego. Firma nazywała się „Towarzystwo dla Handlu z Azją”. Pamiętam, byłem wtedy jeszcze w wojsku, wyjazd por. Krosnowskiego do Mandżurii, przez Rosję, celem wyegzekwowania spadku po zmarłym ojcu inż. Krosnowskim, budowniczym Kolei Dalekowschodniej. Krosnowski powrócił po długim pobycie na Dalekim Wschodzie i zaczął handel z Mandżurią i Chinami. Gdy objąłem Departament Konsularny stał już na czele poważnej firmy. Wpadał do mnie kilkakrotnie dla załatwienia czy szukania ułatwień dla swoich spraw związanych z eksportem i importem. Od niego dowiedziałem się, że zatrudnia szereg młodych ludzi, których wysyła następnie w świat. Na próbę wziąłem dwóch jego młodych urzędników, którzy powrócili z Dalekiego Wschodu. Po pobycie w centrali i zdobyciu sobie świetnej opinii, zaproponowałem obu przydziały do konsulatów honorowych jednemu do Rangoonu drugiemu do Singapooru. Próba wypadła znów bardzo dobrze. Coraz częściej dostawałem od p. Krosnowskiego dobrych, przeszkolonych praktycznie urzędników; brałem ich początkowo na kontrakt, a po przejściu praktyki i zdaniu egzaminów stawali się w przyszłości urzędnikami etatowymi, przed którymi kariera stała otworem.

Kiedyś, dla zbadania stopnia odpowiedzialności finansowej p. Krosnowskiego, zapytałem dyrektora Banku Handlowego czy go zna. Oczywiście i z jak najlepszej strony — odpowiedział. Na jego telefon możemy mu wyasygnować 100 tys. złotych czekając spokojnie na pokwitowanie.

Chciałem Krosnowskiego zachęcić do handlu z Afryką, gdzie było trochę Polaków rozproszonych po całym kontynencie. Nie chciał się tego podjąć.

(Po wojnie spotkałem Krosnowskiego w Londynie, gdzie pracował jako tapicer i odnawiacz antyków. Po długiej i serdecznej rozmowie, dowiedziałem się, że ma nadal wielką firmę handlową z głównym oparciem w Londynie, Paryżu i Rio, że posiada duże tereny rolne w Brazylii. Pod koniec rozmowy proponował mi dożywotne mieszkanie, wyżywienie, opał i światło na jakiejś swojej farmie. Byli tam już koledzy z MSZ: Skiński

(b. nacz. wydziału prasowego) i Kłopotowski (b. poseł w Rydze). Podziękowałem serdecznie i odmówiłem uważając, że jeszcze nie dorosłem do emerytury. Istotnie po tej rozmowie pracowałem jeszcze lat prawie 20.



Przypadek zrzucił, że na kilka lat przed wojną powrócił do Warszawy młody, żonaty człowiek, który kilka lat spędził w Kongo belgijskim, jako dyrektor handlowej firmy belgijskiej. Porzucił Kongo, chciał swych dwóch synów kształcić w Polsce. Szukał jakiejś posady, która odpowiadałaby jego znajomościom terenu i fachu. Zebrałem o nim opinie — wypadły jak najlepiej.

Rozmawiałem z nim długo na temat ewentualnego utworzenia czegoś podobnego do Towarzystwa do Handlu z Azją, które założył Krosnowski. Idea podobała mu się, dorzucił kilka swoich pomysłów. Z tym poszedłem do Romana Góreckiego, dyr. naczelnego Banku Gospodarstwa Krajowego, i przedstawiłem mu plan utworzenia firmy do handlu z Afryką.

Powiedziałem mu również o moim kandydacie, prosząc by sobie sam jeszcze zebrał o nim opinię. Po paru miesiącach opracowaliśmy wspólnie statut. Bank Gosp. Krajowego i MSZ dawało po 250 tysięcy złotych każde. Mój znajomy uważał że z kapitałem pół miliona złotych można zaczynać. Niestety przyszedł rok 1939 i związane z tym niepokoje wojenne. Całą sprawę musieliśmy zawiesić na kołku.

Tuż przed wojną zgłosił się do mnie Polak, inżynier chemik, który założył czy odkupił, opuszczoną kopalnię miedzi w Mozambiku. Przyjechał na werbunek ludzi. Znalazł ich. Wyjechał z Polski na miesiąc przed wybuchem wojny. Doszły mnie wiadomości, gdy byłem na Środkowym Wschodzie, że kopalnia miedzi w czasie wojny prosperowała znakomicie, a był on w Afryce zaledwie 14 lat.

W latach 1937/38 zaangażowałem jako pracownika kontraktowego p. Jerzego Giżyckiego, znanego podróżnika i znawcę Afryki. Mianowałem go, po przejściu przeszkolenia w MSZ, konsulem honorowym w Addis-Ababa. Był to świetny punkt obserwacyjny dla przyglądania się dobrym włoskim metodom osadniczym, jak również doskonały punkt wypadowy dla naszych możliwości handlowych, przemysłowych i ewentualnej penetracji dla polskich fachowców technicznych na całym wielkim obszarze Afryki Wschodniej.

Wojna zaskoczyła p. Giżyckiego w Londynie, gdzie przebywał czasowo z ramienia MSZ.

Rozdział IX

SUROWCE STRATEGICZNE

Jako dyrektor Biura Personalnego Prezydium Rady Ministrów zetknąłem się nie tylko z przerostami urzędniczymi w niektórych dziedzinach, ale także i z niezrozumiałym dla mnie lekceważeniem niektórych zagadnień tak ważnych dla obronności państwa jak Surowce Strategiczne. Zajmowały się tym zagadnieniem dwie małe komórki państwowe: jedna w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, druga równie mikroskopijna w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Szefowie obu komórek, ku memu zdumieniu, wiedzieli mało o surowcach polskich, operując ogólnikami w rodzaju: „nasze olbrzymie możliwości surowcowe” albo „nasze bogactwa surowcowe” (wiadomości z podręczników dla uczniów szkół średnich). Poznany przeze mnie płk Pikusa z Min. Spraw Wojsk. powiedział mi: „nic nie jest nam wiadome o surowcach strategicznych, ani gdzie się znajdują, ani jaką drogą przychodzą do Polski, ani kto i jak je dostarcza”.

Ze smutnymi refleksjami na temat surowców, poszedłem do Szefa Sztabu Głównego, gen. W. Stachiewicza i jego zastępcy, gen. Malinowskiego. Po rozmowie z nimi doszedłem do przekonania, że musi się tym zagadnieniem zająć MSZ.

Puszczenie tego zagadnienia na „drogę urzędową” — zagubi się w czasie i powodzi papierków a czas naglił. Był rok 1935.

Powołałem do życia komórkę, składającą się z paru młodych urzędników, ekonomistów przy Wydziale Emigracyjnym Departamentu Konsularnego, dając im za zadanie przemyślenie zagadnienia Surowców Strategicznych. Nazwałem tę nieoficjalną komórkę „Komisją Migracyjno-Surowcową przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych”, zapraszając do niej przedstawicieli ministra Przemysłu i Handlu i ministra Spraw Wojskowych. Po kilku posiedzeniach mogłem wysłać do niektórych placówek konsularnych kwestionariusz z szeregiem zapytań, na które chciałem dostać odpowiedź na Zjeździe Konsularnym zwołanym na 18-23 października 1937 roku.

Opracowania odczytane na tym zjeździe, w sprawie przywozu surowców do Polski, dały bogaty materiał nie tylko dla naszego ministerstwa, ale i dla innych resortów, które były zainteresowane sprawą surowców.

Najwszechstronniejszą i bardzo cenną pracę zrobił na ten temat Konsul Generalny z Amsterdamu, dr T. Skowroński.

Zjazd wykazał naszą absolutną zależność od pośrednictwa obcego, w szczególności niemieckiego. Wykazał ponadto bezpłatność i rozdrobnienie zamówień i przepłacanie za pośrednictwo.

W wyniku konferencji⁷ poczęliśmy planowo dążyć do usunięcia tych błędów, organizować własne drogi zakupów, eliminować pośrednictwo, dążyć do najlepszych i najtańszych źródeł surowcowych, wykorzystując maksymalnie firmy polskie, dostawców polskich i przewóz surowców na statkach polskich, używając również transportu lotniczego.

Pod kierownictwem dr. Zarychty grupa naszych młodych ekonomistów, urzędników MSZ, pracowała od roku 1936 nad monografią poszczególnych surowców. Praca trwała dość długo, ale na początku roku 1938 mogłem doręczyć min. Beckowi ściśle tajny raport z monografii. Minister zażądał jeszcze dwóch egzemplarzy monografii dla doręczenia marszałkowi Śmigłemu i gen. Stachiewiczowi. Od siebie dałem jeden egzemplarz niezawodnemu współudziałowcowi w tej pracy płk. Pikusa z M.S.Wojsk.

W wyniku tej pracy powstało przy premierze Biuro Surowcowe, którego zadaniem było skupienie i koordynacja prac, oraz Towarzystwo Importu Surowców Strategicznych (TISSA) na czele którego stanął płk Jan Kowalewski.

R o z d z i a ł X

WSPÓŁPRACA Z WOJSKIEM

TAJNA ORGANIZACJA DLA DYWERSJI POLITYCZNEJ I WOJSKOWEJ NA WYPADEK WOJNY

Na początku 1934 roku rozmawiałem z moim przyjacielem mjr-em Edmundem Charaszkiewiczem na temat ewentualnej przyszłej wojny. Doszliśmy do przekonania, że wojna z Niemcami jest nieuchronna, jest to tylko kwestia czasu. Demografowie obliczali, że największe nasilenie ludności w Niemczech nastąpi około roku 1940; ludzie ze sfer gospodarczych uważali, że rozwój przemysłu niemieckiego w tym stanie w jakim jest obecnie nie może zaopatrzyć potężnej armii niemieckiej wcześniej niż w latach 50-tych. Niektórzy moi rozmówcy, jak kier. referatu sowieckiego

7. Obszerny artykuł na ten temat ukazał się z podpisem Janusza Gwiazdowskiego w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym* nr 4 z roku 1961 w Warszawie.

w Wydziale Wschodnim, Stanisław Zabiełło, straszili niebezpieczeństwem sowieckim i przestrzegali przed lekceważeniem sobie tego przeciwnika.

W kilka miesięcy po tej rozmowie, mjr Charaszkiewicz zgłosił się do mnie i powiedział mi w wielkiej tajemnicy, że Oddz. II Sztabu Głównego postanowił rozpocząć prace przygotowawcze na terenie Niemiec i Czechosłowacji celem zbadania gruntu pod zorganizowanie akcji dywersyjnej. Powołano w tym celu Ekspozyturę Oddziału II w Warszawie, dając jej nazwę Ekspozytura nr 2 i mianując go jej szefem. Szef Oddz. II, pamiętający o rozmowach ze mną na temat pracy wśród mniejszości polskiej, polecił mjr. Charaszkiewiczowi zgłosić się do mnie. Zadeklarowałem mu z miejsca pomoc i nawet współudział w pracy, uważając że utworzenie organizacji ściśle zakonspirowanej, z dobrze wyselekcjonowaną młodzieżą, będzie doniosłym czynnikiem nie tylko dla dywersji zbrojnej ale i dla dywersji politycznej. Ustaliliśmy w następnych rozmowach, że trzeba utworzyć kierownictwo (zarząd) nadrzędne, składające się w połowie z oficerów Ekspozytury Oddz. II, w połowie z urzędników MSZ. Mjr Charaszkiewicz zaproponował mi zarząd tej organizacji, co przyjąłem.

Do Zarządu weszli, jako mój zastępca, mjr Edmund Charaszkiewicz, z wojska mjr Ankerstein i kpt. W. Lipiński; z MSZ'u zaś nacz. dr W. J. Zaleski, zast. nacz. T. Kawalec i radca T. Kowalski.

Zastanawialiśmy się chwilę nad nazwą tej organizacji. Zaproponowałem, ponieważ nas jest siedmiu, by ją nazwać Komitetem Siedmiu, co w skrócie K.7. — nadawało posmak tajemniczości. Nazwa została przyjęta.

Praca została podzielona na dwa piony: dywersji politycznej i dywersji bojowej. Do organizacji mogli należeć ludzie młodzi (obojsza płci), wypróbowani, starannie dobrani, dyskretni i nieprzeciętnie inteligentni no i oczywiście oddani Polsce ideowcy. Pracę rozpoczęliśmy w październiku 1934 roku.

O powstaniu tej organizacji powiadomiłem min. Becka, który akceptował zarówno formę jak i koncepcję. Minister poinformował o tym marszałka Śmigłego i szefa Sztabu Głównego, gen. W. Stachewicza.



Werbunek do K.7. był przeprowadzany wśród młodzieży polskiej w Czechosłowacji (Spisz, Orawa, Zaolzie) w Niemczech (Śląsk Górny, Prusy Wschodnie, Berlin) na Litwie, Łotwie i na Bukowinie rumuńskiej. Młodzież zwerbowana szkolona była w

małych zespołach na terenie Polski, tak pod względem ideowym jak i bojowym; kładliśmy nacisk, że ich wystąpienie nastąpi dopiero w czasie wojny i na wyraźny rozkaz. Nadzór nad wyszkoleniem ideowym zleciłem paru urzędnikom MSZ, wtajemniczonym w K.7. Najwybitniejszym był mój stary przyjaciel, znany działacz społeczny, Jan Bociański, konsul w Opolu i Morawskiej Ostrawie.

Wojna i jej szybki przebieg, odciął nas od naszych terenów zarówno w Niemczech jak i Czechosłowacji. Doszły mnie, już na emigracji niesprawdzone wieści o sporadycznych akcjach członków K.7. na Górnym Śląsku.

TWORZENIE WOJSKA POLSKIEGO WE FRANCJI

W myśl zasady patrzenia naprzód na wypadek ewentualnej wojny z Niemcami, myślałem o tym jak użyć półmilionową masę emigrantów zarobkowych we Francji, z których wielu będzie rwać się do wojska — być może nawet francuskiego. Nie można było do tego dopuścić. Polacy, obywatele polscy, muszą się znaleźć w Wojsku Polskim, które na wypadek wojny powinno się organizować we Francji.

Poszedłem z tym do min. Becka, któremu myśl ta bardzo się podobała, ale miał mi odpowiedzieć po porozumieniu się z marszałkiem Śmigłym. Uzyskałem i zgodę marsz. Śmigłego i wytyczne. Z tym poszedłem do gen. Stachewicza, szefa Sztafu Głównego, celem omówienia z nim tego zagadnienia. Powtórzyłem gen. Stachewiczowi wytyczne marsz. Śmigłego: formowanie dużych jednostek, pod dowództwem polskim z obsadą oficerską i podoficerską polską przyslaną z kraju; użycie wyłącznie na froncie niemieckim. Francuzi powinni dać umundurowanie, broń i wyżywienie. Żołd polski. Gen. Stachewicz potwierdził te zasady, pytając mnie ile emigracja może wystawić wielkich jednostek. Odpowiedziałem mu, że sądząc z przeciętnie młodego wieku naszych emigrantów 2 do 3 dywizji piechoty.

Podczas bytności ambasadora Łukasiewicza w Warszawie, omówiłem z nim te sprawy, po czym wysłałem dość szczegółową instrukcję do radcy emigracyjnego w Paryżu, Aleksandra Kawałkowskiego, zalecając mu, by działał w porozumieniu z attaché wojskowym płk. Fydą. Odbyłem też wkrótce szereg rozmów z Kawałkowskim, którego wezwałem do Warszawy.

Zaczęły się przewlekłe — jak to zawsze z Francuzami — pertraktacje. Francuzi woleli bowiem, by Polacy pracowali w kopalniach i w przemyśle, a poza tym ciągle nie wierzyli,

czy nie chcieli wierzyć w nieuniknioną wojnę. Ostatecznie umowa podpisana stała przez amb. Łukasiewicza w pierwszych dniach wojny. Do Francji pojechał jako szef Polskiej Misji Wojskowej gen. Burhard-Bukacki⁸.

R o z d z i a ł X I

POWSTANIE NA ŚLĄSKU ZAOLZIAŃSKIM

Po zagrabieniu przez Czechów Śląska Zaolziańskiego, stosunki nasze z nimi nie układały się dobrze. Złożyły się na to także i inne elementy, jak powstrzymanie w roku 1920 tranzytu kolejowego z bronią i amunicją, która szła dla nas z Francji. Stan wrogości trwał do roku 1925, kiedy to min. Spraw Zagranicznych Aleksander Skrzyński wystąpił w stosunku do Czechosłowacji z inicjatywą przekreślenia przeszłości i nawiązania nie tylko stosunków dobrosąsiedzkich, ale nawet sojuszu. Wyciągnięta ręka — zawisła w powietrzu. Motywem — strach przed Niemcami. Prasa czeska daje do zrozumienia, że „korytarz” pomorski to groźba dla niepodległości Polski i sugeruje nam zrzeczenie się go.

W roku 1933 min. Beck podejmuje ponownie inicjatywę Skrzyńskiego, która znów zostaje przez Benesa odrzucona. Stefania Stanisławska w wydanej w Warszawie książce pt. „Wielka i mała polityka J. Becka” — pisze (powołując się na dokumentację brytyjską⁹), że Benesz zwierzył się w Genewie premierowi MacDonaldowi i jego ministrowi John Simonsowi, że musiał odrzucić wysuniętą przez Becka propozycję sojuszu, gdyż sojusz taki mógłby być zrozumiany przez Niemcy, jako próbę ich okrażenia. Aż do roku 1939 Czechy uchylały się od jakiegokolwiek współpracy politycznej z Polską. Gdy w czasie ostatniej wojny Sikorski wydzwignął politycznie Benesa z zapomnienia, po długich rozmowach z naszymi politykami, Benesz wycofał się ze współpracy z nami — tym razem ze strachu przed Rosją sowiecką.

Przed wojną Czechosłowacja była azyłem dla wszelkiego ro-

8. Łączny wysiłek mobilizacyjny we Francji wyniósł 84.500 ludzi, w tym z ewakuacji (z Rumunii i Węgier) 38.000 z mobilizacji we Francji — 46.500. Po upadku Francji uratowano z tej ilości i ewakuowano do Anglii tylko 27.614.

9. *Documents on British Foreign Policy*, Vol. IV i V. „Poland and Western Powers”.

dzaju działań antypolskich i schronem nawet dla morderców politycznych, Ukraińców — obywateli polskich.

W Czechosłowacji na ziemi Zaolziańskiej mieszkało około 250 tysięcy Polaków. Dobrze zorganizowani z dobrym szkolnictwem, instytucjami gospodarczymi i społecznymi z prosperującymi pismami i wydawnictwami, byli gorącymi patriotami, mimo iż mówili, że Polska ich zapomniała. Polska zajęta wojną z Rosją, po czym urządzaniem i ugruntowaniem granic, odbudową zrujnowanego przez dwie wojny kraju, nie miała siły, aby zająć się Polakami na Zaolziu.

Ponadto w Polsce zapadła jakby „zmowa milczenia”, zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu istnienia państwa. Prasa „narodowa” popierała doktrynalne stanowisko Narodowej Demokracji z jej słowianofilstwem no, i odwieczną przyjaźnią dla „siostrzycy” Francji. Na ołtarzu więc słowianofilstwa, której najbardziej bojową i zaangażowaną jednostką była Czechosłowacja — złożono Śląsk Zaolziański i jej mieszkańców. Tymczasem w teje Czechosłowacji bardzo poważne wpływy polityczne i ekonomiczne miała potężna mniejszość niemiecka, bo *wynosząca 24 % całej ludności*. Jeśli się weźmie pod rozwagę bardzo nikłe wpływy Słowaków, Węgrów, Ukraińców (zwanych w Czechosłowacji Rusinami), represje czeskie w stosunku do Polaków Śląskich, były więcej niż na rękę Niemcom, zarówno w samej Czechosłowacji jak i Rzeszy.

Do tej zmowy milczenia, jak zauważyłem, należał jeden z „papieży” Zetu — dr Michał Grażyński, wojewoda śląski, który prowadził własną politykę w stosunku do Niemiec i Czechosłowacji. Taka była „rzeczywista rzeczywistość” w naszym obozie piłsudczyków.

Czesi wykorzystywali ten stan rzeczy bardzo umiejętnie, strasząc Niemcami i ich wpływami, stosując surowe represje w stosunku do ludności polskiej.

Starałem się przerwać tę z mowę milczenia i lukę w wiadomościach o Śląsku Cieszyńskim. By wypełnić lukę w znajomości Zaolzia, zwróciłem się w pierwszym rzędzie do Melchiora Wańkowicza, którego reportaże z różnych dziedzin życia polskiego, zawsze mnie fascynowały. Niestety nie znałem dobrze faceta. Zażądał tak wielkiego honorarium, że musiałem z jego „łaskawości” zrezygnować. Na szczęście przypadkiem dowiedziałem się, że nad tym zagadnieniem pracuje od dawna Paweł Hulka-Laskowski. Wysłałem do niego do Zakopanego, gdzie leczył gruźlicę, list w którym poinformowałem go o moich projektach. Podał mi warunki więcej niż przystępne. W kilka miesięcy potem w roku 1939 na półkach księgarskich ukazała się jego

książka. O Polakach w Niemczech pisano i napisano wiele. Z drukowano tony papieru, toteż społeczeństwo było dobrze informowane, ale o Polakach w Czechosłowacji — nie! By zbliżyć zagadnienie zaolziańskie do umysłów polskich, wysyłałem na teren Czechosłowacji ekipy dziennikarskie, polecając je opiece konsulatów. Pożyteczną rolę odgrywali praktykanci wakacyjni zarówno na Śląsku jak i na Spiszu, i Orawie.

W kraju wiadomości o represjach czeskich poczęły przenikać do świadomości społeczeństwa, wywołując niepokój i wzburzenie. Na prowincji, w Krakowie i Lwowie, zorganizowano wielkie, burzliwe wiece. W Warszawie na jakimś wiecu postanowiono utworzyć Legion Zaolziański, którego organizację zaczął inspektor straży ogniowych, płk w s.s. Lgocki, ale było to już po maju 1938 roku, gdy na Zaolziu wrzało. Wrzenie to było spowodowane ustępstwami czeskimi na rzecz Niemców i represjami w stosunku do Polaków. W związku z tymi wydarzeniami min. Beck złożył następujące oświadczenie: „Polska nie ma zamiaru rozbijać państwa Czechosłowackiego... ale Polska nie może zgodzić się, by Zaolzie było traktowane gorzej lub inaczej niż jakakolwiek inna grupa narodowa”. Czesi przyrzekli załatwić pozytywnie postulaty polskie, na równi z postulatami niemieckimi w Sudetach.

W połowie czerwca 1938 roku, rząd francuski powiadomił rząd RP, że Czechosłowacja zapewni Polakom na Zaolziu te same prawa co Niemcom. Ludność polska na Zaolziu została o tym powiadomiona. Gdy jednak przeminął miesiąc a potem drugi a na Zaolziu nie tylko nie ustawały prześladowania, ale robiono próby wywożenia ze Śląska całych rodzin polskich na Morawy — ludność Zaolzia zareagowała gwałtownie. Zareagowała wreszcie i kraj. Miały miejsce wiece i zgromadzenia, początkowo w województwie krakowskim i śląskim, wreszcie olbrzymie wiece i manifestacje w Warszawie.

Na Zaolziu poczęto napastować pojedynczych policjantów, potem posterunki policji straży ogniowej, żandarmerii czeskiej, wreszcie padły strzały. Wybuchło powstanie! Początkowo niezgrane, odruchowe, to tu to tam. Był to sierpień 1938 roku. Nieskoordynowana początkowo akcja, nabrała form bardziej zorganizowanych. Wystąpienia antyczeskie wybuchły i na Spiszu i na Orawie. Przybywali ochotnicy z Polski. Jednym z najbardziej czynnych i dzielnych był inż. Leon Stachórski¹⁰, który kierował radiostacją powstańczą.

10. Inż. Leon Stachórski, b. Komendant Legionu Młodych. Zginął podczas okupacji niemieckiej — rozstrzelany.

Poselstwo RP i konsulat w Morawskiej Ostrawie (konsul Jan Bociański) dostali polecenie czuwania nad interesami RP i ostrzeżenie aby nie pozwolili wciągnąć się w zatarg międzypaństwowy.

Pod koniec września min. Beck postanowił upomnieć się w sposób zdecydowany o prawa Polaków Zaolziańskich i połączenie ich z ojczyzną.

2 października 1938 nasze wojska, za zgodą rządu czechosłowackiego, objęły w posiadanie dawne tereny Zaolzia, część Spi-sza i Orawy.

W końcu października pojechałem na Zaolzie, by poznać ten, znany mi tylko z raportów, kraj. Zostałem zaskoczony serdecznością i gościnnością jaką mnie obdarzono. Spotkały mnie nieoczekiwane zaszczyty.

Rada miejska Karwiny uchwaliła jednomyślnie nazwać jedną z głównych ulic imieniem Wiktora Tomira Drymmera, dyrektora dep. konsularnego MSZ, w uznaniu zasług dla ludności polskiej Śląska Zaolziańskiego.

Również zarząd Tow. Tatrzańskiego „Beskid Śląski” nazwał schronisko górskie na Kozubowej imieniem dyr. Drymmera.

R o z d z i a ł X I I

ŚMIERĆ MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Od kilku dni wiedziałem, że stan zdrowia Komendanta pogarsza się raptownie. Gdy wieczorem 12 maja zadzwonił telefon do mieszkania państwa Becków, u których byłem, doznałem uczucia przerażenia...

Jak automat pośpieszyłem za min. Beckiem do gmachu Rady Ministrów. Ukazał się nam blady i głęboko wzruszony pułkownik Sławek. Szedł na Zamek powiadomić prezydenta Mościckiego...

W salach prezydium Rady Ministrów poczęły się zjawiać bezszelstne postaci ministrów, generałów, dostojników państwowych. Panowała cisza przerywana zmienionym głosem Becka, dyktującego komunikat prasowy... Powlokłem się w kierunku Belwederu, po czym wróciłem do biura. Noc ogarnęła pałac Brülowski... Przyszedł Tadeusz Katelbach¹⁰...

10. Tadeusz Katelbach — działacz społeczny, dziennikarz, senator.

Następny dzień majowy, jakby taki sam, a jednak zupełnie inny. Ludzie na ulicach smutni, skupieni i jakby bardzo sobie bliscy. Na chwilę wrogowie podali sobie ręce.

Z polecenia Prezydenta jechałem do Truskawca, gdzie przebywał na kuracji prezydent Estonii Paets. Miałem go prosić o pośrednictwo u Litwinów, by zezwolili na ekshumację zwłok matki Komendanta i przewiezienie ich przez granicę do Wilna. Życzeniem Syna było, by serce jego mogło spocząć obok matki, na cmentarzu wojskowym na Rossie.



Na pogrzeb Komendanta do Krakowa nie pojechałem. Dostałem polecenie pozostania w ministerstwie. Pojechali Beck i wice-minister Szembek.

Po sprowadzeniu ciała Matki do Wilna, oznaczono dzień eksportacji na cmentarz na Rossie. Beck, wyznaczył mnie jako swego reprezentanta.

W katedrze wileńskiej odbyło się uroczyste nabożeństwo. Szpaler wewnątrz kościoła utrzymywał 5 pułk legionowy.

R o z d z i a ł XIII

FRAGMENTY RÓŻNYCH WYDARZEŃ

Pakt o nieagresji z Niemcami. Wojna prewencyjna?

W połowie 1933 roku wezwał mnie min. Beck do siebie. Był wyraźnie zatroskany. Zaczął mówić, jak zawsze krótko i jasno:

— „Byłem u Komendanta, to co będę mówić musi pozostać w ścisłej tajemnicy. Stosunki polsko-niemieckie są, jak wiesz, napięte. Komendant jest dobrze zorientowany co do Niemiec, zarówno przez nas jak i przez Oddział II Sztabu Głównego. Ale Komendant stoi wobec wielkich decyzji i chce niektóre rzeczy sprawdzić. Zostałem zapytany przez Komendanta czy mamy w Niemczech inteligentnych i pewnych ludzi, którym można powierzyć doniosłe zadanie natury wywiadowczej. Zadanie to wymaga znajomości terenu, inteligencji i ofiarności, by na wypadek

wpadnięcia, nie zdradzić zadań poruczonych, ani osoby która takie zadanie dała. Teraz ja ciebie z kolei zapytuję czy mamy takich ludzi w Niemczech i ilu?” — Odpowiedziałem, że do takich zadań nie mogą być użyci Polacy ob. niemieccy, aby na wypadek wyspy nie obciążyć organizacji polskich zarzutem szpiegostwa. Mogą to być tylko urzędnicy; jeśli mogą być użyci urzędnicy niezależnie od stopnia i funkcji, to mogę liczyć na 15-20 osób, tj. co najmniej po jednym na każdą placówkę (14 konsulatów plus ambasada). Minister uznał, że wystarczy po jednym na każdej placówce. Dalej minister powiedział mi abym w ciągu najbliższych dni porozmawiał z wybranymi urzędnikami. Każdy z nich po wyrażonej zgodzie i zapewnieniu absolutnej tajemnicy otrzyma po jednym egzemplarzu kwestionariusza, na który powinien po upływie miesiąca, odpowiedzieć”. Kwestionariusz opracuje Komendant osobiście” — dorzucił.

Urzędników w Niemczech znałem dobrze. Imienne wezwanie poszczególnych urzędników do centrali nie mogło wzbudzić — z racji mych funkcji szefa Biura Personalnego — żadnego podejrzenia. Między wzywanyimi telegraficznie urzędnikami byli konsulowie i praktykanci. Kierowałem się bowiem jedynie wymogami postawionymi przez zadanie jakie mieli spełnić.

Gdy od min. Becka otrzymałem 15 egzemplarzy kwestionariusza, byłem zdumiony szerokim wachlarzem pytań. O ile pamiętam, było około 30 pytań zarówno natury wojskowej (jak np. dyslokacja, uzbrojenie, nastroje wojska, itp.), jak i gospodarczej.

Poinstruowałem każdego wybranego urzędnika oddzielnie co do wagi i znaczenia państwowego tego doraźnego wywiadu, jak również poinformowałem i prosiłem, by w razie „wyspy” w żadnym wypadku nie zaśniali się rozkazami MSZ, przyrzekając natomiast wszelką pomoc i starania celem wyciągnięcia ich z ewentualnego nieszczęścia. Nikt z *przełożonych* czy *poduładnych* nie może znać ani treści instrukcji, ani rozmowy ze mną. Każdy musi znaleźć pretekst do wyjazdów w teren. Koszta rozjazdów, mieszkania itp. pokryje MSZ. Po upływie miesiąca każdy z wybranych miał osobiście doręczyć mi odpowiedź. „Operacja” ta odbyła się gładko bez wpadnięcia i bez złamania tajemnicy, tak dalece, że wydaje mi się, że ją ja pierwszy odślaniam, po 30 bez mała latach — tak pisałem w liście do redakcji *Kultury* w dniu 29 listopada 1962 roku.

Komendant, jak mi mówił min. Beck, był bardzo z tych odpowiedzi zadowolony.

Czy były to badania terenu przed paktem o nieagresji czy też przed zamysłem wojny prewencyjnej? Nie wiem.

Stosunek marszałka Piłsudskiego do wojny z Niemcami

Jako przyczynek do znormalizowania stosunków polsko-niemieckich po zawarciu w styczniu 1934 paktu o nieagresji, przytaczam wypowiedzi premiera J. Jędrzejewicza — gdy był u Marszałka po złożeniu urzędu premierowskiego (początek 1935) — i min. J. Becka również z tego samego okresu czasu, gdy odwiedzał chorego śmiertelnie, ale w pełni władz umysłowych Komendanta Piłsudskiego:

— „chcą wojny z Niemcami i to nawet ci głupi niedouczeni i leniwi generałowie... Nic nie rozumieją... Gdzie mam tę wojnę prowadzić? Na placu Saskim?... Generałowie, powtarzał, nie uczą się, nie umieją nic, a wojny się im zachciewa”.

Zajęcie Nadrenii przez Niemców

7 marca 1936 roku niemiecka Reichswehra wkroczyła do zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii.

Beck na pierwszą wiadomość o ruchu wojsk niemieckich, nie czekając na jakiegokolwiek kroki Paryża w stosunku do nas, po telefonicznym porozumieniu się z Prezydentem i marsz. Śmigłym, wezwał ambasadora Francji Noëla i oświadczył mu w imieniu Polski, że w razie francuskiej koncentracji wojskowej Polska bez wahania spełni swój obowiązek sojusznicy.

Byłem u min. Becka w kilka minut po opuszczeniu jego mieszkania prywatnego (na Krakowskim Przedmieściu) przez ambasadora Noëla. Beck „na gorąco” powtórzył mi swoją rozmowę z Noëlem, ale z odcieniem ironii dodał: „jak znam naszych sojuszników, nie wyciągną z tego żadnych konsekwencji”.

Rozbrojenie i zmiana na stanowisku Delegata do Komisji Rozbrojeniowej

Komendant chce zmienić Sosnkowskiego w Komisji Rozbrojeniowej¹¹”, powiedział mi kiedyś min. Beck, „ja nie wierzę — mówił mi Komendant — w kompletne rozbrojenie. Powinniśmy domagać się takich rzeczy jak na przykład zmniejszenia kalibru dział. Rozbrojenie powszechne to mrzonka w którą, niestety, Sosnkowski uwierzył. Trzeba budować *bariery dla zbrojeń* i dążyć powoli do zmniejszania destrukcyjnych broni”.

11. Komisja Rozbrojeniowa Ligi Narodów.

„Tak — mówił Beck — Komendant ma rację. Od lat głosi się, i my u siebie powtarzamy, 'rozbrowienie', a nawet 'rozbrowienie moralne'. A kto je praktycznie robi? Nikt. U nas pan August Zaleski jest tego głównym prorokiem, nawet w podręcznikach szkolnych propaguje się rozbrowienie moralne. Ani Rosja ani Niemcy nie rozbrajają się ani moralnie ani fizycznie”.

Na miejsce gen. Sosnkowskiego poszedł do Komisji Rozbrowieniowej gen. Tadeusz Kasprzycki.

Beck — Śmigły

Mianowanie gen. E. Śmigłego-Rydza Generalnym Inspektorem Armii po śmierci Marszałka Piłsudskiego odbyło się na wniosek premiera Walerego Sławka. Następnego dnia po nominacji rozmawiałem z min. Beckiem, który uważał, że nominowanie Śmigłego było lepsze aniżeli gen. Sosnkowskiego, który miał swoich zwolenników w kołach legionowych. Uzasadniał to tym, że Śmigły ma więcej doświadczenia bojowego, że jest opromieniony sławą zdobywcy Kijowa, i że nie poddaje się — jak się wyraził — „niepożądanym wpływom prawicy”.

Przez cały okres mego pobytu w MSZ nie zauważyłem, by pp. Beckowie utrzymywali jakiekolwiek stosunki towarzyskie z pp. Śmigłymi, jak również nie zanotowałem, by min. Beck utrzymywał stosunki służbowe z gen. Śmigłym. Po nominacji i wręczeniu gen. Śmigłemu buławy marszałkowskiej, stosunki Beck - Śmigły nie uległy zmianie. Beck zauważył tylko lakonicznie, że zbyt szybko buława dotarła do rąk Śmigłego (zaledwie rok po śmierci Komendanta).

Po nominacji Śmigłego na marszałka rozpoczęła się dziwna seria rozmów-nacisków na mnie, bym wpłynął na Józka, jak mówili starzy legioniści, lub Jima, jak mówili przyjaciele z okresu ostatniego (tym bowiem imieniem ochrzciła go druga żona), żeby zameldował się u Śmigłego.

Serię tych rozmów rozpoczął gen. Bończa-Uzdowski, który mi powiedział wręcz: „Moglibyście namówić Józka by wreszcie zameldował się u Śmigłego”. Nastąpiły rozmowy inne, wszystkie utrzymywane w tym duchu. Jak mogłem tłumaczyłem, że tak jak ja, dawny podkomendny Śmigłego z I-szego pułku, a potem z d-twa armii w Kijowie, tak samo i min. Beck, lubimy, szanujemy i doceniamy marszałka Śmigłego, ale nie uważamy go za duchowego następcę Komendanta i nie bardzo widzimy konieczności „MELDOWANIA” się Becka, pełniącego funkcję ministra

Spraw Zagranicznych u Śmigłego, bo Śmigły to nie Komendant, kierujący polityką zagraniczną Polski.

Niestety moje stanowisko nie zawsze trafiało na wdzięcznych słuchaczy i nie wiem czy nie zostało przeinaczone; faktem jest że stosunki Beck-Śmigły były poprawne ale chłodne. Chłód ten, jak mnie zaczęły dochodzić wieści, był wykorzystywany do snucia w otoczeniu nowomianowanego marszałka sieci drobnych intryzek. Dotarło to wreszcie do Becka, który nie mógł zrozumieć czemu marszałek ma do niego żal.

Postanowiłem zrobić coś, co by stosunek między obu ludźmi — których ceniłem i do których byłem przywiązany — naprawić. Zwierzyłem się z moimi troskami wojewodzie „Wołodi” Jaroszewiczowi, który był w przyjaźni zarówno z Beckiem jak i Śmigłym. Jaroszewicz miał pod Warszawą niewielką fermę, do której od czasu do czasu przyjeżdżał Śmigły, jedynie w towarzystwie szofera. Szedł w pole lub nad Wisłę, malował, lub po prostu siadał nad brzegiem rzeki. Odpoczywał od ludzi, bo nie chciał by w tych spacerach mu towarzyszył nawet lubiany przez niego, „Wołodia”. Chciał być sam i myśleć w samotności. Czasami zostawał na skromnej kolacji (nie lubił, jak i Komendant, alkoholu) i powracał do Warszawy. Często przyjeżdżał niezapowiedziany; adiutant telefonował — upewniając się tylko czy jest Jaroszewicz. Parokrotnie widywałem tam Śmigłego. Nigdy o nic nie pytał, uciekał jak najszybciej w pole, nad Wisłę.

Jaroszewicz i ja postanowiliśmy przeciwdziałać atmosferze jakiejś wzajemnej niechęci między Śmigłym i Beckiem. Uzgodniłiśmy, że Wołodia od czasu do czasu powie marszałkowi jakiś komplement usłyszany o nim od Becka, ja zaś mówiłem Beckowi o przychylniej opinii Śmigłego o jego polityce. Wkrótce nadarzyły się dwie sposobności, by dobitniej zamanifestować sympatię naszego ministerstwa w stosunku do Marszałka. W Warszawie odbywał się jakiś zjazd Rady czy też prezydium Światowego Związku Polaków. Postanowiłem poprowadzić delegację Polaków z zagranicy do marszałka Śmigłego. Zrobiono wspólną fotografię. Drugą sposobnością był przyjazd Śmigłego z Paryża gdzie był fetowany i ostentacyjnie przyjmowany przez Francuzów. Związek Legionistów i Peowiaków postanowił manifestacyjnie powitać powrót marszałka do Warszawy. Poszedłem na tę uroczystość powitania, pokazując się wielu osobom, które miały stałe jakieś wątpliwości, a może nadzieje, na złe stosunki MSZ z marszałkiem Śmigłym.

W kilka dni po powrocie marszałka z Paryża, Noël, ambasador francuski, postanowił uroczyście i demonstracyjnie powitać przyjaciela Francji wystawnym obiadem w ambasadzie francus-

kiej. Na uroczystość tę zaprosił elitę rządzącą lub mającą wpływ na sprawy polityki zagranicznej R.P. Był oczywiście i min. Beck, którego Noël gorąco nienawdził. Noël poświęcał wiele energii i pracy, by zwalczać Becka. Pomagała mu w tym oddana Francji endecja z przybudówkami i... gen. Sikorski, który posunął się w swej prywacie tak daleko, że przez posła Czechosłowacji Slawika ostrzegł Noëla, by Francja, w zamian za pożyczkę zbrojeniową, która jest negocjonowana przez amb. Łukasiewicza w Paryżu, zażądała „głowy” Becka. Noël nie szczędził wysiłków, by doprowadzić do rozdzwieńców pomiędzy Beckiem i Śmigłym. Tu, po uroczystym obiedzie w ambasadzie, okazał się cały „niewypał” intrygi. Opuszczając ambasadę marsz. Śmigły powiedział głośno do Becka: „Podwiozę pana do domu, porozmawiamy sobie”. Zaskoczony Beck przyjął z radością tę propozycję. Jak mi później mówił, Śmigły świetnie orientował się w intrygach i otwarcie powiedział to Beckowi. Następnego dnia Beck odwiedził Śmigłego. „Myśli nasze spotykają się na półmetku” — parokrotnie mówił mi min. Beck, mówiąc o swoich dość częstych rozmowach ze Śmigłym. W czasie wojny prawie stały pobyt Becka w Kwaterze Polowej, przyczynił się niezawodnie do zaciśnięcia tych węzłów przyjaźni.

Zebrania byłych premierów

Po śmierci Komendanta odbywały się przez dłuższy okres czasu zebrania byłych premierów, żartobliwie zwane „zebraniami lokatorów”. Najczęściej w mieszkaniu pp. Becków na Krakowskim Przedmieściu. Na prośbę ministra spełniałem rolę „pani domu” strzegąc przed ewentualnymi intruzami.

Na zebraniach tych bywali Sławek, Prystor, J. Jędrzejewicz, Świtalski.

Tematem zebrań były przeważnie sprawy zagraniczne.

Sądzę, że min. Beckowi po śmierci Komendanta trzeba było wsparcia ze strony byłych najpoważniejszych premierów. Nie pamiętam aby wysuwano na tych zebraniach jakiegokolwiek sprzeciwu co do linii politycznej min. Becka. Było to grono dobrze ze sobą zgranych polityków. Elita piłsudczykowska.



Najwięcej szacunku i serdeczności okazywał Beck — seniorowi tego grona płk. Sławkowi. Często wraz ze Sławkiem zapra-

szany byłem przez min. Becka czy to do Nałęczowa, czy też na wspólne spędzenie świąt Bożego Narodzenia w Zakopanem.

Pamiętam jedno Boże Narodzenie, które spędzałem z moją córeczką w Zakopanem (żona złamała nogę na nartach i pozostała w Warszawie). Po świątach zostałem zaproszony przez Klub Wysokogórski na Sylwestra do schroniska „wysokogórców” na Roztoce, gdzie tradycyjnie spotykali Sylwestra. Jakież było nasze miłe zdziwienie, gdy zastaliśmy tam pułkownika Sławka. Córka moja, już podłotek, była jedyną kobietą w tym sportowym i spartańskim schronisku. Nie zapomnę nigdy pięknej marsowej twarzy Sławka, szczerze rozbawionego i odmłodzonego w naszym towarzystwie.

Ultimatum polskie do Litwy

Mała poprawka do „Najnowszej Historii Polski” Wł. Pobóg-Malinowskiego (wydanie II). To nie min. Beck wysłał notę z ultimatum do Litwinów, lecz wiceminister Szembek, czego byłem naocznym świadkiem.

W pierwszych dniach marca 1938 roku wiceminister Szembek wezwał mnie śpiesznie do siebie i od razu przystąpił do rzeczy: dzisiaj w nocy Litwini ostrzelali nasz posterunek graniczny, zabijając strzelca nazwiskiem Serafin. „Co robić, jak pan myśli? Ministra złapać telefonicznie nie mogę, jest gdzieś na morzu z Mussolinim” (min. Beck był z urzędową wizytą we Włoszech). Zasugerowałem ponowny telefon do Rzymu, może Beck wrócił, a w każdym bądź razie trzeba powiadomić ambasadora Wysockiego. Wkrótce uzyskaliśmy połączenie. Przy telefonie był amb. Wysocki, który długo i obszernie objaśniał Szembeka, że min. Beck jest na jakimś pokazie morskim. Szembek przerwał wreszcie wywody Wysockiego informując go o incydencie na pograniczu „z północnym państwem, którego ofiarą padł strzelec Serafin”. Wysocki nic nie zrozumiał z tego ustnego „szyfru” najwyraźniej pytając się „z jakim państwem walczył nasz strzelec?” Szembek już nieco podenerwowany, głośno i wyraźnie począł od początku tłumaczyć, że *nasz* strzelec Serafin został zaatakowany i zabity przez żołnierzy państwa, w którym urodził się Marszałek. Musiało paść jakieś dziwne pytanie, bo Szembek już ześlony krzychał: nie Śmigły, lecz Piłsudski i nie w Galicji tylko na Litwie, na Litwie! Nazwisko nie — Carapkin tylko Serafin, tak jak anioł! — Nie Anioł tylko Serafin! — krzychał pełnym głosem Szembek. — Kończę tę rozmowę, przyśle depeszę.

— „Co z głuchym rozmawiać” — rzucił do mnie Szembek.

— „Beck nie wiadomo kiedy powróci, może pod wieczór. Co pan radzi?” — „Wysłać ultimatum” — powiedziałem spokojnie — Szembekiem aż zatrzęsło. — „Czas nie gra na naszą korzyść. Nim depeszę zaszyfrują i odszyfrują w Rzymie, wiele cennych godzin upłynie. Przecież od dawna naszym celem jest nawiązanie stosunków z Litwą, *nota-bene* tego chcą i Litwini”. „Chcą i boją się... Nadarza się do tego sposobność” — kończyłem spokojnie wywód. — „Powiada pan ultimatum — spytajmy jeszcze Kobyłańskiego” (naczelnik Wydziału Wschodniego). Wchodzi Kobyłański, który już jest poinformowany o incydencie granicznym. Minister Szembek mówi: — „Dyrektor Drymmer radzi mi wysłać ultimatum, nie czekając na porozumienie się z min. Beckiem, który jest na manewrach morskich z Mussolinim. Nie wiadomo kiedy powróci do ambasady. Co robić?” — „Myślę że Drymmer ma stuprocentową rację, trzeba wysłać ultimatum” — powiada Kobyłański. Zabieram jeszcze raz głos i radzę porozumieć się z panem Prezydentem i marszałkiem Śmigłym.

Sekretarz łączy Szembeka z marszałkiem Śmigłym. Szembek zwija się przy telefonie, mówi tłumaczy, wreszcie nieśmiało sugeruje wysłanie ultimatum, celem nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych. Chwila ciszy, wreszcie twarz Szembeka rozjaśnia się, kładzie z ulgą słuchawkę: — „Marszałek się zgadza”. Jeszcze telefon do Prezydenta, który najwidoczniej waha się. Wreszcie Szembek używa mego powiedzenia: Litwini na pewno będą zadowoleni jak zostaną zgwałceni, oni chcą nawiązania stosunków, lecz boją się. Prezydent zgadza się. Kobyłański redaguje ultimatum i depeszę do min. Becka.

Nawiązaliśmy stosunki dyplomatyczne.

Posłem w Kownie został Fr. Charwat, który niezwłocznie tam pojechał. Do Warszawy w niedługim czasie przybył z oficjalną wizytą naczelny wódz litewski. Już po wojnie czytałem jego wspomnienia; wyrażał się z dużą sympatią i przyjaźnią o oddziałach polskich, które były zmuszone szukać schronienia na ziemi litewskiej, gdzie zostały internowane.

Rozdział XIV

ZAGROŻENIE NIEMIECKIE

Rok 1939 zaczął się dla nas pod złymi auspicjami. Przyjazd do Warszawy w końcu stycznia Ribbentropa, pogłoski rozpusz-

czane przez towarzyszących mu dziennikarzy, świadczyły o narastającej pewności siebie Niemców i... zbliżającej się nieuchronnie wojnie.

Krótkie rozmowy jakie w tym okresie czasu miałem z min. Beckiem, upewniły mnie że i minister jest bardzo pesymistycznie usposobiony.

Poza przygotowaniem Departamentu Konsularnego na wypadek wojny, wydałem zarządzenia alarmowe dla placówek zagranicznych i... zacząłem się rozglądać i poszukiwać ludzi (mężczyzn i kobiet), nadających się do wywiadu politycznego, który, moim zdaniem, powinno prowadzić nasze ministerstwo w okresie wojny. Zaangażowałem kilka osób, wziąłem od nich zobowiązania, niektórym wypłacałem pensje i poleciłem im literaturę i studia nad zagadnieniem niemieckim i przygotowanie się do wyjazdu za granicę. Gdy szkielet zasadniczy był już zarysowany i szereg fachowców wyszukanych, zameldowałem ministrowi o moich planach i ludziach. Minister pochwycił w lot myśl z dużym zadowoleniem, miał tylko wątpliwości komu powierzyć to stanowisko. Miałem gotową odpowiedź: Marian Chodacki¹² jego doświadczenie z pracy w Oddziale II (referat niemiecki), pobyt jako attaché wojskowy w Helsinkach, obecne doświadczenie zdobyte w Gdańsku, znajomość ludzi i języków, predystynują go do objęcia tego stanowiska. Min. Beck zgodził się ze mną, że kandydatura jest doskonała.

I ta praca jak i K. 7 zawiśła, na skutek losów wojny, w próżni i nie była wykorzystana przez Sikorskiego.

Mowę min. Becka w sejmie w maju 1939 roku przyjęliśmy z wiarą, że może uda się stosunki polsko-niemieckie wynegocjować i ułożyć pomyślnie. Podobał się nam ton godny, poważny i spokojny nie zamykający drogi do układów. Wiarę tę miał i Beck — jak mi to mówił. Z biegiem czasu zaczęły nurtować go wątpliwości, do których nie przyczyniały się wojownicze i hurra-patriotyczne mowy niektórych naszych dygnitarzy z wicepremierem Eugeniuszem Kwiatkowskim na czele. „Napinam łuk do ostatnich granic wytrzymałości”, mówił do mnie Beck, „historia osądzi czy mogłem zrobić inaczej”. Po rozmowach ze Śmigłym powtarzał za Marszałkiem: „Wojsko za parę tygodni będzie zapięte na ostatni guzik”. Mimo tego, przejściowego optymizmu, Beck nie ustawał w wysiłkach by wojnę odsunąć: „musimy robić wszystko, by nie dopuścić do wojny z Niemcami, wszystko, ale... nie za cenę poniżenia Polski”. Dodawał następnie: „Komendant

12. Marian Chodacki — Komisarz Generalny w Gdańsku.

obawiał się wojny z Niemcami” i przytaczał cytowane wyżej powiedzenie Komendanta, już na łożu śmierci.

Prasa nasza, rozhuśtana „słowami bez pokrycia”, lała wodę na młyn propagandy niemieckiej. Rzadkie głosy rozsądku Cat-Mackiewicza czy Studnickiego były tłumione w drodze represji administracyjnych. Czy Beck wiedział o nich? Nie wiem. Nigdy nie poruszał tego w rozmowach ze mną, a ja zajęty ponad miarę, nie wiedziałem. Dowiedziałem się dopiero w Rumunii o tym i o innych rzeczach, jak np. o niepoczytalnym burzeniu cerkiewek prawosławnych na naszych ziemiach wschodnich.



W lecie zostałem wezwany na konferencję do min. Becka. Zastałem tam wicemin. Spraw Zagranicznych i b. posła Arciszewskiego¹³.

Minister zaczął od stwierdzenia, że „wszystko wskazuje na to, że idziemy ku wojnie. Musimy być do niej przygotowani. Dałem polecenie Sokołowskiemu¹⁴ przygotowania planów mobilizacyjnych naszego ministerstwa”, po czym dał ogólny zarys planu swego: podział MSZ na dwa rzuty. Rzut I-szy, *lekki*, pod kierownictwem wicemin. Szembeka miał składać się wyłącznie z Departamentu Politycznego a rzut II-gi, *ciężki*, z Departamentu Konsularnego, Departamentu Administracyjnego wraz z referatem archiwalno-historycznym pod kierownictwem Radcy Malinowskiego, oraz Biura Personalnego. Kierownikiem rzutu II-go zostałem ja. Gabinet Ministra miał być zawsze z ministrem w zależności od tego gdzie będzie przebywać, przy premierze czy przy Naczelnym Wodzu. Na zakończenie konferencji minister Beck zwrócił się do mnie: „Kaź sobie przygotować dekret nominacyjny na II-go wiceministra Spraw Zagranicznych, bym go mógł dać Panu Prezydentowi do podpisu”. Awansem tym byłem równie zaskoczony jak Szembek i Arciszewski. Ponieważ rozumiałem to jako nominację na okres wojny, nie spieszyłem się z jej przygotowaniem, po czym gdy wojna wybuchła zlekceważyłem papierek i nie dałem do podpisu. Jak się o tym dowiedział St. Zabięto — o czym pisze w swojej książce wydanej w kraju pt. „Na Postęunku we Francji” — nie mam pojęcia. U mnie w domu nikt o tym nie wiedział.

M. Arciszewski był przewidywany — jak nas informował

13. Mirosław Arciszewski — były poseł w Rumunii. Po odwołaniu miał przydział do Dep. Politycznego i zlecony nadzór nad Wydziałem Prasowym.

14. Seweryn Sokołowski — wicedyrektor Gabinetu ministra.

min. Beck — albo na ministra propagandy albo na podsekretarza stanu w Prezydium Rady Ministrów.

Po konferencji tej min. Beck radził mi, bym wyjechał na kilkudniowy wypoczynek bo „czeka cię moc pracy”.

Minister zamierzał pozostać w Warszawie jak najdłużej wraz z całym I-szym rzutem, natomiast miał zamiar rzut II-gi ewakuować z Warszawy jak najwcześniej do jakiegoś dużego miasta, np. do Lwowa.



W lipcu wydałem szereg zarządzeń przygotowawczych dla naszych placówek zagranicznych, by nie były zaskoczone zarządzeniami wojennymi w dniu wybuchu wojny:

1. Zarządziłem pogotowie placówek i w Niemczech i w Rosji. Pogotowie polegało na tym by można w każdej chwili odszukać i mieć w zasięgu telefonicznym szefa placówki i wszystkich urzędników.

2. Ustaliłem stałe dyżury telefoniczne i telegraficzne zarówno w centrali jak i na placówkach.

3. Poleciałem placówkom w Niemczech i w Rosji, przystąpić do palenia aktów. Wiedziałem z mego doświadczenia w czasie odwrotu z Kijowa, jak powolną rzeczą jest palenie papierów biurowych.

4. Następne zarządzenie tyczyło ewakuacji placówki na wypadek wojny. Tyczyło to placówek i w Niemczech i w Rosji.

5. Poleciałem dyrektorowi Departamentu Administracyjnego St. Schimitzkowi zaopatrzenie placówek w Niemczech i w Rosji w waluty zagraniczne. Pieniądze te miały służyć ewakuowanym urzędnikom na mieszkanie i wyżywienie w okresie oczekiwania na nowe zarządzenia i przydziały. Jak się dowiedziałem po wojnie, zarządzenie to nie zostało dokładnie wykonane.

6. Urzędnikom w Niemczech i w Rosji poleciłem odesłać rodziny do kraju, przewidując prywacie i kłopoty, na jakie będą narażone podczas ewakuacji.

7. Pod koniec lipca odwołałem wszystkie urlopy.

8. Konsulom w Niemczech, na Litwie, Łotwie i w Rumunii przekazałem 3-miesięczną dotację finansową dla pracy wśród Polaków, którą zwykle przekazywałem przez Światowy Związek Polaków. Dla pośpiechu i dyskrecji, wyrezyłem w tej sprawie Światpol.

Zwiększyłem również dotację dla Zaolzia, bowiem pewne działy pracy *rządowej* na Śląsku nadal obciążały budżet MSZ.



Po powrocie z krótkiego urlopu zameldowałem się niezwłocznie u min. Becka. Mówiliśmy o nieuniknionej wojnie. Beck ufał Anglii i cieszył się, że przynajmniej nie jesteśmy osamotnieni lecz „w dobrej kompanii”. Co do Francji to napawała go pesymizmem: „znam tych partnerów Gamelina i Bonnetta” — mówił z goryczą.

Rozmowy rosyjsko-niemieckie budziły w nim niepokój zwłaszcza po przeczytaniu raportu konsula Feliksa Chiczewskiego z Lipska. Konsul donosił — wiadomość pochodziła z bardzo dobrego i pewnego źródła partyjnego — o planach Niemiec podziału Polski na spółkę z Rosją. Była to pierwsza wiadomość na temat tajnego układu niemiecko-sowieckiego, który Hitler miał zaproponować Stalinowi.

R o z d z i a ł X V

W O J N A

Dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych wojna zaczęła się 25-go sierpnia, to jest w dniu gdy Niemcy zamknęli nasz konsulat w Kwidzynie, internując konsula Edw. Czyżewskiego i personel konsulatu, i poczęli robić trudności w połączeniach telefonicznych z naszymi konsulatami i ambasadą w Niemczech. Od ministra Becka uzyskałem zgodę na zastosowanie retorsyj. Pojechałem do premiera gen. Składkowskiego i poprosiłem go o zamknięcie 3-ch spośród 4-ch konsulatów niemieckich i internowanie konsulów i ich personelu.

Wszystkie nasze starania nawiązania łączności z konsulem Edw. Czyżewskim w Kwidzynie i powiadomienie go, że myślimy o nim i staramy się go wydobyć, nie dawały rezultatu, gdyż nawet radio nie funkcjonowało, Niemcy odcięli dopływ prądu. Zwolniono go wreszcie w dniu 31 sierpnia.



Ostatnim bezpośrednim pociągami z Paryża via Berlin, przy-

jechała moja córka. Nie chciałem jej ściągać przedwcześnie, by nie szerzyć paniki w personelu MSZ.



1 września dyżurny urzędnik MSZ zatelefonował około 5-ej rano, że Niemcy przekroczyli granice Rzeczypospolitej i że bombardują miasta. Wkrótce i ja usłyszałem przez radio wybuchy bomb i sygnały Obrony Przeciwlotniczej.

Pojechałem do biura, z którego powróciłem do domu późną nocą 4 września by spalić fotografie i zbyteczne papiery w moim mieszkaniu na ulicy Suchej.

Panie z Rodziny Urzędniczej zorganizowały wydawanie posiłków dla pracujących dzień i noc urzędników.

Córkę wysłaliśmy do szwagrostwa do Lwowa, sądząc, że tam z czasem przeniesie się Ministerstwo.

W południe pierwszego dnia wojny S. Sokołowski zwołał konferencję w sprawie planu mob (sic). Słuchałem go cierpliwie przeglądając obszerny elaborat pisany na kilkudziesięciu stronach maszynopisu. Wszystko spóźnione, nie aktualne — myślałem. Szkoda mi było czasu i na słuchanie tego wszystkiego. Wyszedłem z konferencji po paru minutach. Wiedziałem tylko, i to było najważniejsze, że mój rzut ma się udać do Kazimierza a rzut I-szy min. Szembeka do Nałęczowa. Byłem zdumiony tą decyzją, zwłaszcza Kazimierzem, który znałem. Miałem wątpliwości czy się tam pomieścimy oraz czy będziemy posiadali możliwości telefoniczne i telegraficzne. Komunikacja kolejowa była zła. Zapomniano również o jakimkolwiek zapasie benzyny dla samochodów. Na szczęście nie zapomniano o tym w Nałęczowie.

Wysłałem niezwłocznie Kwatermistrzów do Kazimierza, dokąd mój rzut miał się udać jako pierwszy, na wyraźne polecenie Rady Ministrów. Rzut min. Szembeka miał pozostać w Warszawie.

4 września wieczorem dostałem polecenie z Prezydium Rady Ministrów od wiceministra J. Piaseckiego, że ewakuacja *o b u* rzutów jest wyznaczona na godzinę 24-tą czyli za 4 godziny! Kolej!

Rozkaz, rozkazem. Nie ma co komentować, trzeba powiadamiać zainteresowanych. Telefony urywają się, na ulicy zaciemnienie, środki komunikacji miejskiej przepełnione, na dworcu tłumy uciekinierów, wojska i ewakuujących się urzędników. Puściłem w ruch całą służbę pogotowia, którą miałem w MSZ. Prosiłem urzędników by zabierano minimum rzeczy, ciepłe rzeczy raczej,

i jedną walizkę na osobę. Zdążyłem jedynie telefonicznie pożegnać się z moją matką staruszką i siostrą. Reszty rodzeństwa nie mogłem złapać. W momencie opuszczania gmachu MSZ przypomniałem sobie, że kilka dni temu widziałem się z żoną ambasadora przy Watykanie, panią Pappé. Zatelefonowałem i do niej mówiąc jej o zabranii niewielkiej ilości rzeczy. Wzięła ze sobą małe neseser i psa, ostrowłosego foxteriera. „Czyż mogłam pozostawić psa samego w domu?” — pytała. Pani Pappé była nie tylko wzorem dyscypliny, skromności i pomocy ale swoją postawą i optymizmem dodawała ducha tym wszystkim, których ogarniała rozpacz i zniechęcenie. Widywałem ją w okresie odwrotu układającą się do snu na gołej podłodze, jak stary wytrawny żołnierz, śmiejącą się i dowcipkującą. Zawsze pierwsza do okazania pomocy, ostatnia w zajmowaniu miejsca w zatłoczonych autobusach czy wspólnych sypialniach.



Przeszedłem po opustoszałym gmachu ministerstwa, w którym spędziłem z górą 10 lat. Pożegnałem moich przyjaciół peowiaków z Ludwikiem Danilukiem i Klencnerem na czele oraz kilku woźnych, którzy postanowili nie opuszczać Warszawy. Urzędnikom starszym wiekiem poruczyłem teoretyczną opiekę nad gmachem. Swoją prywatną Tatrą pojechałem do domu, by zabrać żonę i nasze dwie walizki. Tatra była półsportowym wozem, nie mogła prócz rzeczy i nas dwojga nikogo pomieścić. Swoją służbowy mały Fiat, który mi służył prawie 10 lat, dałem dla zabrania rodziny, p. Liberadzkiemu, memu kierowcy.

Wyjeżdżałem przez zaciemnioną Warszawę, jak w złym śnie.

Byłem tak zmęczony fizycznie i psychicznie, że ledwie mogłem patrzeć. Toteż po przekroczeniu rogatek, zjechałem na bok szosy i postanowiłem przespać się.

Gdy przybyłem do Kazimierza większość naszych kolegów była rozmieszczona. Pierwszą moją czynnością było zameldowanie ministrowi, że jesteśmy na miejscu, następnie powiadamianie urzędów o naszym nowym miejscu pobytu. Na stacji telefonicznej posadziłem dyżurnych urzędników z listą rozkwaterowania i poleceniem utrzymywania ciągłej łączności z rzutem I-szym, oraz ministerstwami dla naszej pracy najistotniejszymi.

Miałem wiadomości, że nasza stacja radiowa pod kierownictwem radcy Weinsteina jest z ministrem i funkcjonuje doskonale.

Jasia Weinsteina pamiętałem jeszcze z czasów tallińskich. Dowiedziałem się od pośła T. Filipowicza z Helsingforsu, że zjawił

się w tym mieście młody wędrownik, który bodajże na gapę przyjechał do Helsinek. Utrzymywał się początkowo z udzielania lekcji esperanto, którego nauczył się od rodziców entuzjastów tego języka. Przy sposobności załatwiania formalności, związanych z dość „nieformalnym” przybyciem do Finlandii, Weinsteina poznał poseł. Zainteresował się rozgarniętym rodakiem. Pani Filipowiczowa otoczyła go opieką macierzyńską, a ponieważ pp. Filipowiczowie mieli młodego chłopca, zaangażowali czy zaprosili Jasia na korepetytora dla młodego Filipowicza. Z czasem poznałem go i ja. W kilka lat potem przyjmowałem go do MSZ. Trafił do Wydziału Prasowego. Pracując w tym Wydziale zastanawiała go niezwykła powolność w informowaniu placówek drogą telegraficzną. Zainteresował tym min. Becka proponując stworzenie własnej sieci radiotelegraficznej. Min. Beck przeznaczył pewną część swego funduszu dyspozycyjnego na zakup sprzętu i zaangażowanie radio-telegrafistów nie tylko w centrali lecz i na ważniejszych placówkach. Świetne funkcjonowanie radio-łączności i powolna ale stała jego rozbudowa pod doskonałym kierownictwem Weinsteina zjednały mu sympatię całego MSZ i żartobliwe przezwisko Radioweinstein.

W czasie wojny w okresie intensywnego bombardowania radiostacji Naczelnego Dowództwa, radiostacja Weinsteina wyręczała stacje wojskowe w przesyłaniu i otrzymywaniu meldunków.

(c.d.n.)

Wiktor Tomir DRYMMER

RECENZJE

Józef GARLIŃSKI

LUDNOŚĆ WALCZĄCEJ WARSZAWY*

Każda praca historyczna, która polega na oszczędnym wyborze dokumentów i materiałów uzupełniających z dużej ilości posiadanych źródeł, jest pracą trudną, odpowiedzialną i kontrowersyjną. Zespół ludzi, który je przeprowadza, musi się kierować wyraźnymi i uzgodnionymi kryteriami. Powinny to być wyłącznie kryteria obiektywizmu i wybierania tego, co jest naprawdę konieczne, ale nigdy tak się nie dzieje. Wszystko zależy od tego, do czego się zmierza, jaką tezę chce się wesprzeć czy udowodnić. Cóż dopiero, gdy w poprzek najbardziej nawet obiektywnych i rzetelnych założeń kładzie się nacisk polityczny w swym najjaskrawszym ucieleśnieniu.

Pamiętając o tych prawdach, wiedząc w jakich warunkach pracują w kraju historycy, tym bardziej należy stwierdzić, że zespół, który dokonał selekcji materiałów do wielkiego trzytomowego wydawnictwa *Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim* wywiązał się doskonale ze swego zadania.

Dotychczas liczne publikacje o powstaniu dotyczyły przede wszystkim jego podłoża politycznego i przebiegu działań wojskowych lub były pamiętnikami uczestników, tu, po raz pierwszy, na dużą skalę, podjęto trud przedstawienia losów cywilnej ludności milionowego miasta, objętego pożarem powstańczej walki.

* *Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim*, praca zbiorowa pod redakcją Czesława Madajczyka. Konsultacja dokumentów, relacji i opracowań oraz kronika ważniejszych wydarzeń powstania: Władysław Bartoszewski. Trzy tomy w czterech woluminach, Warszawa, 1974, str. 2.700, ilustr. 187, map 4. Opracowanie: Instytut Historii PAN, wydawca: Państwowy Instytut Wydawniczy (Biblioteka Syrenki).

Inicjatorzy i redaktorzy wydawnictwa postanowili, że należy uniknąć ponownego rozważania problemów politycznych i nie powracać raz jeszcze do przebiegu walki, ale pokusić się o przedstawienie powstania od drugiej strony, by je odwrócić i zajrzeć poza barykady, do wewnątrz kamienic, do piwnic i bunkrów, do warszawskich ogródków, do zakamarków, w których gnieździła się cywilna ludność. Oczywiście była ona tak blisko barykad, tak blisko walczących żołnierzy, że losy ich wiązały się z nią nieustannie, ale w założeniu swym wyselekcjonowane dokumenty i relacje miały mówić nie o walce, ale o życiu na zapleczu.

Materiał dokumentacyjny, relacyjny i prasowy, z którego czerpano, był tak olbrzymi, że trzeba go było przede wszystkim podzielić na podstawowe grupy.

Tom I (2 voluminy) przeznaczono na relacje i pamiętniki, pisane częściowo w czasie powstania, w formie dzienników, na gorąco; na relacje zdobyte drogą ankiet i na zeznania składane przed Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Wybrano relacje i zeznania ludzi różnego wieku, różnych warstw społecznych, różnej inteligencji i różnych poglądów. Uwzględniono także kilka relacji wybitnych przedstawicieli podziemia. Dało to obraz możliwie pełny, w wielu fragmentach dramatyczny, niejednokrotnie głęboko wzruszający. Nie zawsze barwy obrazu są różowe, malowali go przecież różni ludzie. Specjalne zaciekawienie wzbudzają relacje dotyczące okresu popowstaniowego, gdy w ruinach Warszawy, splondrowanej i spalonej do szczytu przez specjalne niemieckie oddziały i pozornie zupełnie pustej, utrzymali się jeszcze, najmocniej związani z miastem, jego mieszkańcy. Część z nich, pochowana przeważnie w podziemnych bunkrach, trwała tam aż od maja 1943 roku, gdy zakończyły się walki w getcie.

Tom II obejmuje dokumenty polskie, niemieckie i sowieckie. Polskie powstały w biurach władz powstańczych, lokalnych samorządów i ugrupowań politycznych; niemieckie pochodzą z kancelarii władz Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa oraz z punktów dowodzenia niemieckich jednostek, walczących z powstańcami; sowieckie, bardzo nieliczne, odnoszą się do sytuacji walczącego miasta i związanych z tym problemów. Powstały po drugiej stronie Wisły.

Tom III to powstańcza prasa, druki ulotne i wszelkie inne powstańcze publikacje. Były to wszystko wydawnictwa nareszcie jawne, do których zabrano się natychmiast. Pierwsze pismo powstańczej stolicy, *Warszawa Walczy*, wydane przez wydział propagandy Armii Krajowej, ukazało się o świcie dnia 2 sierpnia. W kilka godzin później ukazał się oficjalny organ AK, *Biuletyn Informacyjny*, już jako dziennik. Po nich poszły dalsze pisma AKowskie, pisma Delegatury Rządu, partii politycznych i poszczególnych dzielnic. Tom III zawiera materiały, które wszystkie, bez wyjątku, powstały w czasie walk. Ich niczym nie podbar-

wiony autentyzm daje chyba najplastyczniejszy, najbardziej wierny obraz ogarniętego powstaniem miasta.

Trzy potężne tomy w czterech voluminach dużego formatu, 2.700 stron, prawie 200 ilustracji, tabele, statystyki, mapy — wszystko to przytłacza i pod pierwszym wrażeniem doprowadza do wniosku, że wydawnictwo jest za obszerne, że nigdy się go nie przeczyta.

Jest to wrażenie powierzchowne. Gdy zacznie się lekturę, gdy wejdzie się w gąszcz drobnych, ludzkich spraw, które przecież były ważne, gdy czytającego ogarnie niezapomniana atmosfera wolnego nareszcie miasta, gdy uderzy weń żar palących się domów i tuż obok toczącej się walki, gdy zacznie przerzucać karty powstańczej prasy, gdy spojrzy na fotografie — pochwyci go i pochłonie temat i każe czytać, nie oglądając się na czas.

Ileż w tym wydawnictwie bogatego materiału. Czerpać zeń może i historyk, i socjolog, i badacz psychicznych reakcji ludzi poddanych ciśnieniu wielu atmosfer dramatycznych wydarzeń, i grafik i fotograf. Wybór na pewno był trudny, ale redaktorom udało się zachować konieczne proporcje i ustrzec się od jednostronnej tendencyjności. Oczywiście do wszystkich dokumentów, relacji i publikacji prasowych trzeba podchodzić krytycznie. Czasem przeczą one sobie i trzeba dojść dlaczego; dzienniczek młodej harcerki nie może dać obrazu nastrojów wszystkich mieszkańców stolicy; niektóre dokumenty niemieckie wydają się świadczyć o zasadniczej zmianie stosunku okupantów do Polaków, a to tylko chwilowa koniunktura. Niemniej całość tworzy obraz walczącego miasta tak sugestywny, że trudno się od niego oderwać. Jest to, oczywiście, obraz dramatyczny, a w końcowej fazie powstania, tragiczny.

Konsultantem dokumentów, relacji i opracowań we wszystkich tomach, oraz redaktorem tomu ostatniego był Władysław Bartoszewski. On także opracował „Kronikę ważniejszych wydarzeń Powstania Warszawskiego”, umieszczoną na końcu. Jemu przypada poważna część zasługi, że wydawnictwo taki właśnie otrzymało charakter i że uniknięto wielu niebezpieczeństw, o które było łatwo. Jego „Kronika” jest doskonałym skrótem tego wszystkiego, o czym koniecznie należało napisać. Zgodnie z podstawowym założeniem wydawnictwa nie ma w niej problematyki politycznej, ale jest, bo musi być, walka. Bartoszewski wybiegł ponadto poza ramy samego okresu powstańczych zmagani, bo podał straty ludności cywilnej i walczących stron oraz opisał zniszczenie miasta, którego dokonano już po kapitulacji. Prace jego jest doskonałym zamknięciem trzech wielkich tomów.

Na redaktora całości, Czesława Madajczyka, spadł obowiązek (i przywilej) napisania przedmowy i tu nastąpiła kolizja z podstawowym założeniem wydawnictwa, że nie ma ono nosić charakteru politycznego. Przedmowę poświęcono przede wszystkim wielokrotnie już omawianym motywom rozpoczęcia powstania,

stanowisku Związku Sowieckiego, postawie komunistów, planom niemieckim i zamierzeniom zachodnich aliantów.

Madajczyk, wychodząc z podstawowego dla siebie twierdzenia, że „czas już obalić legendę burżuazyjnej historiografii o niechęci Rosjan pójścia dalej na zachód ze względu na Warszawę”, w długim wywodzie stara się uzasadnić, że wojska sowieckie zrobić tego nie mogły. Brak miejsca nie pozwala na podjęcie polemiki, wystarczy więc tylko zapytać dlaczego Stalin nie pozwolił, by samoloty alianckie, niosące pomoc miastu, lądowały na sowieckich lotniskach na wschód od Wisty?

Oczywiście sytuacja polityczna wpłynęła jak najbardziej decydująco na los ludności Warszawy, bo przedłużyła powstanie ponad wszelkie przewidywania i uwielokrotniła liczbę ofiar. Z tego punktu widzenia „polityczność” przedmowy jest uzasadniona, ale nie w tej proporcji i nie z takimi wnioskami. Dopiero ostatnia jej część dotyczy właściwego tematu wydawnictwa. Należy zresztą podkreślić, że i w selekcji dokumentów i relacji także nie uchroniono się od wyraźnych akcentów politycznych, ale było to chyba nieuniknione i nie obniżyło wagi całości.

To, że przedmowa koliduje z treścią wydawnictwa i że można mu zarzucić kilka innych niedociągnięć nie zmienia faktu, że ukazanie się jego jest osiągnięciem dużej miary. Przynosi ono bardzo wiele nieznaney dotychczas dokumentacji, poszerza naszą znajomość przedmiotu, przybliża nas do ludzi tamtych dni i pozwala spojrzeć na Powstanie Warszawskie z nowego kąta, który dotychczas pozostawał zapoznany.

W trzydzieści lat po historycznym zrywie milionowego miasta wystawiono piękny pomnik jego ludności, jakże wspaniałej, która wspomagała swych żołnierzy jak umiała, dzieliła z nimi trud i znoj dwumiesięcznej walki, budowała dla nich barykady, dawała schronienie i oparcie rannym i chorym i ginęła pod niemieckimi bombami w przeświadczeniu, że tego wymaga od nich Polska.

Józef GARLIŃSKI

LISTY DO REDAKCJI

Paryż, 15 sierpnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę zwrócić uwagę na dwie nieścisłości w artykułach zamieszczonych w 29-tym zeszycie *Zeszytów Historycznych*.

1) Artykuł Romana Buczka (str. 42) zaczyna się zdaniem: „Dnia 17. IX. 1939 roku o godz. 3-ej w nocy wicekomisarz spraw zagranicznych Włodzimierz Potiomkin wezwał ambasadora polskiego w Moskwie Wacława Grzybowskiego, któremu wręczył notę rządu sowieckiego”. Otóż nie wręczył, gdyż amb. Grzybowski kategorycznie odmówił przyjęcia noty, która była mu przedtem odczytana. O tej rozmowie miałem relację od ambasadora Grzybowskiego bezpośrednio. Tak samo zresztą przedstawia ją prof. Adam Krzyżanowski w swoim dziele „Dzieje Polski” na str. 428. A musiał mieć wiadomości z innego źródła, bo amb. Grzybowski od wyjazdu z Rosji nie był w Polsce i nie mógł mieć kontaktu z prof. Krzyżanowskim.

2) W swoich wspomnieniach p. W. T. Drymmer pisze w rozdziale III str. 177-178, że w roku 1933 premier Janusz Jędrzejewicz powołał go na szefa Biura Personalnego Prezydium Rady Ministrów i że, będąc na tym stanowisku, postawił premierowi wniosek zlikwidowania Urzędu Emigracyjnego. Otóż Urząd Emigracyjny był zlikwidowany w dniu 30 czerwca 1932 roku za urzędowania premiera Aleksandra Prystora. Tę datę pamiętam, bo byłem wówczas wicedyrektorem Urzędu Emigracyjnego i miałem sobie powierzone czynności związane z likwidacją Urzędu. Zresztą łatwo ją sprawdzić w *Dzienniku Ustaw* z czerwca 1932 roku, gdzie było ogłoszone Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej o likwidacji Urzędu i podziale jego kompetencji.

Łączę wyrazy, głębokiego poważania,

Mieczysław BIESIEKIERSKI



Moje uwagi do *Zeszytów Historycznych* Nr 28, str. 67 — rozmowa ppłk. Utnika z płk. bryt. Perkinsem. (*Wyjaśnienia sztabowca*) Porucznik Michał Różański nie mógł ani widzieć, ani też:

- a) słyszeć, a więc i opowiadać, gdyż 2 sierpnia 1944 był na statku holenderskim (15 tys. ton) na pełnym Atlantyku w konwoju płynącym do Włoch. Nie był też nigdy adiutantem szefa oddziału a czymś większym (funkcją) bo oficerem łącznikowym. Płynął do Włoch, by prowadzić śledztwo w sprawie nadużyć w Oddz. Specjalnym z ppłk. dypl. G. Tysowskim (można sprawdzić telefonicznie pod adresem: Paryż, 20, rue Legendre, G. Tysowski).
- b) Strona 75, pkt 1. Gen. Sosnkowski nie zabrał Szefa Łączności Oddz. Spec. tylko dlatego, że Anglicy nie zgodzili się. Samolot nie był oddany do wyłącznej dyspozycji Nacz. Wodza.
- c) *Sorry!* Wracam do str. 63 „Przypisek sztabowca” ostatnie zdanie: kpt. Lipiński do śmierci był oficerem kontrwywiadu ale tylko na kursie skoczków „Odprawowy” którego był d-cą. Major Giedronowicz?... pierwszy raz bo w 1974 roku dowiedziałem się od „Sztabowca”. Nigdy go nie widziałem, ani też nie słyszałem. Choć być może istniał i pracował?...!

A najważniejsze to jak ta praca „KW” wyglądała? Owóż jako naoczny świadek i sprawca dochodzeń o nadużycia przez trzy lata w dziale finansowym (pieniądze) proszę niech Pan Redaktor łaskawie otworzy sobie „W sojusznicy Londynie” E. Raczyńskiego, strona 409 BADANIA i przeczyta cały tekst do końca, to wówczas musi postawić pytanie: jak można było do tego dopuścić...! Właśnie ja też nie mogę sobie odpowiedzieć, gdzie był kontrwywiad. Przysięgam, że wyjaśnienia „Sztabowca” nic, ale to zupełnie nic, nie wyjaśniają.

Przesyłam wyrazy prawdziwego szacunku,

Zdzisław BUDYN (Australia)



Londyn, wrzesień 1974.

Drogi Panie Redaktorze,

Pragnę sprostować w swoim omówieniu książki „Poszło z dymem” X. W. Meysztowicza, zamieszczonym w 28 numerze *Zeszytów Historycznych*, błąd dotyczący księcia Piotra Daniłowicza Światopołk-Mirskiego, gen.-gubernatora wileńskiego w latach 1902-1905. Przypisałem mu tam wygłoszenie w dniu 8 lipca 1915 roku jaskrawo antypolskiej mowy na „Naradzie w celu wstępnego rozważenia trybu realizacji zasad, zapowiedzianych w odezwie naczelnego wodza” (W. ks. Mikołaja Mikołajewicza) z sierpnia 1914.

Mówca o tym nazwisku żądał od Polaków, by w zamian za obietnicę autonomii Królestwa Polskiego wyrzekli się wszelkich pretensji (*pritiżanij*) do „Zachodniej Rosji”, co oznaczało w ustach mówcy 6 gubernij na obszarze b. W. X. Litewskiego, i stali się tam „wiernymi i szczerymi przewodnikami rosyjskiej społeczności i państwowości”. Dopóki to nie nastąpi — dowodził mówca — „konieczna jest stopniowość w udzielaniu Polakom praw w zakresie autonomii”.

B. gen.-gubernator wileński, Piotr Daniłowicz (według *Małej Sowieckiej Encyklopedii*, Piotr Dmitriewicz) Światopołk-Mirski namówił grono większych właścicieli ziemskich z tych właśnie gubernij do asystowania przy odsłonięciu pomnika Katarzyny II w Wilnie 23. IX. 1904 roku i podejmował (według *Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej*) „próbę osłabienia narastającego

kryzysu rewolucyjnego". Nie mógł on wygłosić tej mowy, bowiem, jak się przekonałem, w tej dacie już nie żył.

Ale kto był tym mówcą nie podobna ustalić bez głębokiego wejrzenia w rosyjskie akta z czasu I wojny światowej. Dmowski, który odpowiadał mówcy na owej naradzie, zwracał się do niego po rosyjsku, używając imienia i *otczestwa*, ale w swoich pismach incydentu tego nie wspomina. Natomiast, Askenazy w swoich „Uwagach” (str. 440), cytując odpowiedź Dmowskiego, wymienia tylko pierwsze litery imienia i *otczestwa* Mirskiego — „D.N.”, a takiego Światopółk-Mirskiego w źródłach rosyjskich nie znalazłem.

W każdym razie, nie ulega wątpliwości, że owym agresywnym mówcą nie był b. gen.-gubernator wileński, ks. Piotr Daniłowicz Światopółk-Mirskij. Musiał być nim jakiś małoznaczący Światopółk-Mirskij, skoro rosyjskie encyklopedie go nie wymieniają, a M. Seyda nazywa go (w „Polsce na przełomie”) po prostu „przedstawicielem prawicy w Dumie” (IV-ej).

Z szacunkiem i pozdrowieniem,

Kazimierz OKULICZ



28 czerwca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W czasie krótkich niestety wywczasów na Korfu zapoznałem się z artykułem prof. Piotra Wandycza, poświęconym porównaniu przedwojennej polityki zagranicznej Polski i Czechosłowacji, ogłoszonym w nrze 28 *Zeszytów Historycznych*.

Wiele z ocen profesora podzielał i wdzięczny jestem mu w szczególności za potraktowanie Masaryka, Benesa i innych polityków czeskich obiektywnie, bez cienia owej pogardliwej nuty wyższości, która odzywa się u nas nieraz w stosunku do naszych południowo-zachodnich sąsiadów, w ocenach słownych, a nierzadko i publiczście.

Stan mego wzroku nie pozwala mi na studia wielu ogłoszonych źródeł i to co podaję poniżej jest tylko owocem osobistej obserwacji i doświadczeń.

Znałem jednak Benesa dłużej niż ktokolwiek z żyjących rodaków i odnosiłem się do niego z uprzedzeniem raczej przychylnym, pomimo ciężkiej hipoteki urazów, które nas dzieliły. Wydaje mi się, że uwydatniając kontrasty różniące politykę czeską od naszej — posunął się profesor Wandycz zbyt daleko przypisując Benesowi zupełnie konsekwentne, naukowe niemal, podejście do zagadnień.

Orientację miał istotnie szybką i wyostrzone poczucie układu sił w świecie. Z Zachodem wiązało go wiele nici w tym spójnia wolnomularska; był zabiegliwy, czynny i wolny od zewnętrznych cech próżności. Miał ponadto zwyczaj, najczęściej po fakcie, ujmowania swoich poglądów w punktację — co nadawało im pozór szczegółowego obmyśłonego planu.

Osoby interesujące się biegiem historycznych wydarzeń wiedzą dobrze, że ich kolejność i logika uwydatnia się w całej pełni dopiero w oczach potomności. Przyszłych rozwiązań może być tyle, że przy układaniu planów oprócz prawidłowego rozumowania — nieodzowna jest trafna intuicja.

Czeszy politycy musieli posiadać nielada talent jeśli potrafili z dwóch niezbyt kochających się narodów utworzyć państwo i zapewnić mu sympat

tie społeczeństw demokratycznych oraz poparcie państw zachodnich. Co prawda nie dłużej niż na lat dwadzieścia!

Ale Benesz, według mojej oceny, był człowiekiem popędliwym, niewolnym od pasji i uprzedzeń. Nie mogę w tym miejscu podać kiedy oświadczył bez ogródek, że z dwójga złego woli *Anschluss* Austrii do Rzeszy niż powrót do Wiednia Habsburgów — ale przecie, takie jego stanowisko było publiczną tajemnicą. Tutaj nie dominował suchy obrachunek, ale wspomnienie dawnych krzywd i upokorzeń, ale pasja — nie zawsze najlepsza doradczyni.

Moje osobiste, pierwsze poważniejsze doświadczenie z Beneszem — zaczęcia o sprawę, którą uważam nadal za niedostatecznie wyjaśnioną — a mianowicie zapowiedziana, a potem nagle cofnięta, wizyta J. Becka w Pradze na wiosnę roku 1933, w toku naszej walki z Paktem Czwerech. Moim zadaniem było wizytę tę zapowiedzieć, a potem odwołać bez podania jakichkolwiek poważnych motywów. Benesz zachował się wówczas nienaganie. Powiedział, że pewny jest, że to okazja tylko odłożona.

W czasie ostatniej wojny pierwszy podjąłem inicjatywę wobec Benesza połączenia naszych sił i stopienia naszych organizmów państwowych w większą całość. Rozmowę tę przeprowadziłem w Londynie w grudniu 1939 roku.

Przebieg tego eksperymentu jest dobrze znany, ale wnioski nie zostały — o ile mi wiadomo — należycie wyciągnięte. Po wstępnym powodzeniu, nastąpił bolesne zawody. Pierwszym z nich był pośpiech z jakim, po napadzie Hitlera na ZSSR, rząd czechosłowacki pośpieszył podpisać pierwszy układ z Moskwą 17 lipca 1941 roku nie czekając na nas, pomimo że byliśmy już związani szeregiem zobowiązań wzajemnych.

Potem, ulegając presji sowieckiej, w imię osławionego realizmu Benesz świadomie rozluźniał łączące nas więzy. Jeszcze w lipcu 1942 roku Jan Masaryk, wówczas sprawujący funkcję Ministra Spraw Zagranicznych Czechosłowacji, zapewniał mnie, że stosunki nas wiążące przywróci — a gdyby okazał się bezsilny (czytaj wobec Benesza!) — to ze swego stanowiska ustąpi. Ale jego dobra wola okazała się daremna. Ulegając Moskwie Benesz okupił swój powrót do Pragi i możliwość sprawowania przez trzy lata rządów w rzekomo wolnym kraju.

Ale czy w tym etapie naukowe podejście do zagadnienia dopisało czechosłowackiemu Ulissesowi? Czy nie postąpiłby rozumniej stojąc mocno przy układach z nami? Nie mogły być współcześnie zrealizowane, ale pozostałyby dla potomnych testamentem — apelem do rozumu i serc — obywateli wszystkich trzech narodów.

Niestety stosunki między Polską i Czechosłowacją, naszym najbliższym i najkonieczniejszym partnerem, mrowią się od obustronnych błędów i nieporozumień, do których przyczynia się ciągle ręka obca. Tym pilniejszy ciąży na nas obowiązek przeciwdziałania. Po zakończeniu wojny duże zasługi w tej dziedzinie położył dawny bliski współpracownik Benesza, zmarły przed kilku laty, dr Hubert Ripka.

Szczególnie cenną jest praca historyków odsłaniająca bezstronnie przebieg wypadków i tłumacząca ich przyczyny. Uprzątnię, mam nadzieję, balast przesądów i wytyczy drogę do koniecznego, choć niełatwego kompromisu. Za taką właśnie pracę należy się profesorowi Wandyczowi wdzięczność rodaków.

Z poważaniem,

Edward RACZYŃSKI



Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę nawiązać do wspomnień Wiktora Tomira Drymmera, które przeczytałem z zainteresowaniem tym większym, że wiążą się one z moimi własnymi wspomnieniami z lat 1934-1935, gdy pracowałem pod jego kierownictwem. Był on jednym z najbardziej barwnych szefów; w ideologii niezachwiany, w planowaniu prostoliniowy, w realizacji bezwzględny; przy tym był w stosunkach osobistych ujmujący, co wywierało wpływ na wielu tych, którzy nie mogli zgodzić się z jego metodami, ujawniającymi duży talent do znacznego uproszczania zagadnień złożonych i do szybkiego podejmowania decyzji.

W jego wspomnieniach znalazłem pewne luki i nieścisłości dotyczące działalności Ministerstwa Spraw Zagranicznych w dziedzinie emigracji i Polonii zagranicznej. Nic dziwnego — przecie tyle już lat minęło od tamtych czasów, pamięć ludzka jest zawodna, a dokumentacji brak. Do nieścisłości i niepełności zapamiętanego przez niego obrazu mogło też przyczynić się zajmowanie równocześnie aż trzech stanowisk kierowniczych (Biuro Personalne MSZ, Biuro Personalne Prezydium Rady Ministrów i Departament Konsularny), które mogło mu utrudniać wgląd w szereg spraw, a w konsekwencji i pamięć o nich.

Pomimo, że sam przedsięwziąłem napisanie historii rozwoju zagadnień Polonii Zagranicznej w polityce Polski międzywojennej, już teraz uważam za swą powinność dodać do wspomnień Drymmera kilka uzupełnień i sprostowań. Jestem pewny, że przyjmie on to z wdzięcznością, podobnie jak i ja wdzięczny mu jestem za dodatnią ocenę mej osoby w jego wspomnieniach.

Autora zawiodła pamięć, gdy pisał, że zarówno w Prezydium Rady Ministrów jak i w MSZ, postanowił przejść do „ataku na nadmiernie rozbudowaną biurokrację i fikcyjną pracę”, czego „pierwszą ofiarą padł Urząd Emigracyjny podległy Ministerstwu Pracy”. W rzeczywistości decyzja o likwidacji tego Urzędu została powzięta i przeprowadzona z końcem roku 1931 i początkiem roku 1932, a w tych latach dyr. Drymmer jeszcze nie pracował ani w Prezydium Rady Ministrów, ani w Departamencie Konsularnym, w którym te sprawy koncentrowały się, lecz był wtedy wyłącznie dyrektorem Biura Personalnego MSZ. (W Prezydium R.M. znalazł się w czerwcu 1933, a w Departamencie Konsularnym we wrześniu 1933). Musiał mieć jakiś kontakt z odnośnymi sprawami, ale tylko bardzo pośredni. Żałuję, że nie wspomniał o ówczesnym Dyrektorze Departamentu Konsularnego, Wacławie Jędrzejewiczu, który w Ministerstwie był za te sprawy odpowiedzialny i kierował nimi w sposób głęboko przemyślany i taktowny.

Motywy likwidacji Urzędu Emigracyjnego nie były „fikcyjna praca” i dublowanie, przez 40 osób, prac Wydziału Emigracyjnego Departamentu Konsularnego MSZ, składającego się z 5 osób. Czuję się szczególnie powołany do sprostowania tej informacji, gdyż pracowałem kolejno w obu instytucjach, do roku 1932 stojąc na czele Wydziału Emigracji Kontynentalnej w Urzędzie Emigracyjnym, a od tego roku, na czele wtedy utworzonego Wydziału Polaków Zagranicą w MSZ. Sprostowanie to winien jestem także pamięci i ciężkiej i ofiarnej pracy mych dawnych kolegów z Urzędu Emigracyjnego, a zwłaszcza jednego z jego najlepszych i najmądrzejszych kierowników, śp. Mieczysława Biesiekierskiego, żałując, że Jego niedawna śmierć we Francji uniemożliwiła Mu czytanie tego, co tu piszę.

Urząd Emigracyjny został zlikwidowany i funkcje jego rozdzielone pomiędzy dwa ministerstwa przede wszystkim po to aby wzmocnić i do pew-

nego stopnia nadać nowy kierunek opiece państwa polskiego nad skupiskami polskimi za granicą. Ale poza akcją zagraniczną, agendy tego urzędu zawierały szereg czynności na terenie kraju, od których zależał dalszy los, powodzenie lub klęska, wychodźców: a więc selekcja, organizacja i nadzór nad ruchem emigracyjnym i, w pewnym zakresie, ruchem powrotnym; dotyczyło to zwłaszcza masowego wychodźstwa do Francji i Niemiec: informowanie kandydatów na wyjazd, ustalenie minimalnych warunków kontraktowych, nadzór nad przedstawicielstwami pracodawców zagranicznych, walka z nielegalnym rekrutowaniem i wyzyskiem, zwłaszcza ze strony agentów niemieckich, kontrola transportów itd. Prace te prowadzone były poprzez sieć Państwowych Urzędów Pośrednictwa Pracy i Opieki nad Wychodźcami oraz stacje zborne w Mysłowicach i Wejherowie oraz przy współudziale organizacji społecznych. Osobny dział pracy polegał na nadzorze nad liniami okrętowymi, przewożącymi wychodźców do krajów zamorskich, i w dalszej przeszłości mającymi smutny rekord nadużyć i wyzysku. Ta cała działalność nie przeszła do MSZ, lecz została przejęta przez inne działy Ministerstwa (z których niektóre już przedtem wykonywały pewne czynności opieki nad wychodźcami, w dziedzinie ubezpieczeń społecznych), przy współpracy Syndykatu Emigracyjnego, instytucji prywatnej powstałej z inicjatywy rządu i przez rząd kontrolowanej.

Jeśli chodzi o działalność zagraniczną, Urząd Emigracyjny ustalał jej wytyczne w porozumieniu z MSZ i działał za pośrednictwem placówek tegoż Ministerstwa; sieci konsularnej i Radców Emigracyjnych przy niektórych placówkach dyplomatycznych. Ten brak ingerencji bezpośredniej bezsprzecznie opóźniał i osłabiał przeprowadzanie racjonalnej polityki i wiązanie ze sobą zagadnień kulturalnych wychodźstwa i mniejszości polskich. Kres temu położyła reforma z lat 1931-32. W MSZ utworzono wtedy, w miejsce uprzedniego 5-osobowego Wydziału Emigracyjnego, dwa Wydziały: prowadzony przeze mnie Wydział Polaków Zagranicą (w roku 1935, po moim przeniesieniu na stanowisko w Genewie, objął go Dr W. J. Zaleski), i Wydział Polityki Emigracyjnej, prowadzony przez Dr. A. Zarychtę. Pierwszy Wydział liczył 17-tu, drugi 13-tu urzędników, nie licząc kancelaryjnych (dane wedle „Rocznika Służby Zagranicznej Rz. P.” za rok 1938).

Innych, zapewne szerszych komentarzy, wymagałoby to, co dyr. Drymmer napisał o opiece nad skupiskami polskimi i współpracy ze Światowym Związkiem Polaków za Granicą. Omówienie tych spraw muszę odłożyć do innej sposobności. Pragnę tu tylko zaznaczyć, że troska o mniejszość polską w Niemczech (a w mniejszym zakresie także w innych krajach, jak Litwa, Łotwa, Rumunia itd.), zajmowała o wiele więcej uwagi Departamentu Konsularnego, niż można by wnioskować z fragmentarycznych wspomnień dyr. Drymmera. Pracom tym nadał kierunek jego poprzednik, Wacław Jędrzejewicz, a na naszą działalność w Niemczech wpływały daleko w przyszłość skierowane (choć niezawsze popierane przez centralę MSZ) koncepcje nieodziałowanego Kazimierza Wyszynskiego, radcy Ambasady R.P. w Berlinie, jednego z najbardziej wartościowych ludzi, z jakimi los pozwolił mi współpracować. Także żałuję, że dyr. Drymmer nie wspomniał o zagadnieniu obrony polskiego ośrodka kulturalnego w Waplewie, w Prusach Wschodnich, stale zagrożonego przez Niemców i formalnie stanowiącego własność hr. Sierakowskich, lecz faktycznie pozostającego w dyspozycji Departamentu Konsularnego. Zagadnienie to, kilkakrotnie przedstawiane przez dyr. W. Jędrzejewicza na posiedzeniach Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, stanowiło przedmiot ciągłych i poważnych trosk i wysiłków Departamentu Konsularnego także po objęciu kierownictwa tegoż przez dyr. Drymmera.

Jestem dyr. Drymmerowi szczerze wdzięczny za to, że opublikowaniem tych tak żywo przedstawionych wspomnień pobudził mię do przeżywania w myślach tych czasów i do poświęcenia im dalszej uwagi i studiów.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Dr Witold LANGROD



Wiedeń, 11 sierpnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Miło mi było czytać w nrze 29-tym *Zeszytów Historycznych* wspomnienie o Janie Weinsteinie, tym nieskazitelnym człowieku wielkiego serca i niepodzielnej lojalności. Dlatego też pragnę, tylko gwoli dokładności historycznej, nadmienić, iż widzenie się jego w Rumunii z płk. Beckiem nie mogło mieć miejsca w Stanesti, jak pisze p. Smogorzewski, a raczej w jednym z poprzednich miejsc internowania, jak je podałem na str. 86 i 87 nru 18 *Zeszytów Historycznych*.

Przypuszczam, że mogło to być albo w Słanic Moldova albo w Bukareszcie, ale po tylu latach sam nie pamiętam.

Może to mieć o tyle znaczenie, że widzenie się p. Weinsteiną w terminie późniejszym z płk. Beckiem — pobyt w Stanesti odnosi się do roku 1944 — byłoby dało p. Weinsteinowi całkowicie inne informacje ze strony ministra niż mogło je dać widzenie w 1940 roku.

A dla historyka to nie bagatela.

Łączę uprzejme pozdrowienia,

Doman ROGOYSKI

SPIS TREŚCI

Beata Z. Wojas: <i>Dzieje Polonii charbińskiej</i>	3
Marcin Wyziembło: <i>Losy Polaków</i>	16
Witold Babiński: <i>Z materiałów archiwalnych</i>	24
Wacław Stachiewicz: <i>Konferencja Aliantów w Moskwie</i> (W przededniu wojny 1939 roku)	42

DOKUMENTY

Wiktor Sukiennicki: <i>Memoriał o sprawie litewskiej złożony przez Władysława Zawadzkiego w Warszawie w listopadzie 1917</i>	69
Władysław Zawadzki: <i>Memoriał w sprawie litewskiej</i> ..	76
Łukasz Hirszowicz: <i>Memorandum gen. Wł. Sikorskiego</i> (Wstęp)	86
<i>Dokumenty</i>	88
Paweł Korzec: <i>Wstęp do Memoriału O. Dumina</i>	98
O. Dumin: <i>Prawda o Ukraińskiej Organizacji Wojskowej</i>	103

WSPOMNIENIA

Tadeusz Romer: <i>Moja misja jako Ambasadora R.P. w Związku Sowieckim</i>	138
Bolesław Kasper Piekarski: <i>Zielna 25</i>	166
Wiktor Tomir Drymmer: <i>Wspomnienia</i> (c.d. 4)	196

RECENZJE

Józef Garliński: *Ludność walczącej Warszawy* 228

LISTY DO REDAKCJI

Mieczysław Biesiekierski — w związku z artykułami Romana Buczka i W. T. Drymmera w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 29	232
Zdzisław Budyń — w związku z artykułem „Wyjaśnienia Sztabowca” w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 28	233
Kazimierz Okulicz — swoje sprostowanie do artykułu „Poszło z dymem” w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 28	233
Edward Raczyński — na marginesie artykułu Piotra Wandycza poświęconego polityce zagranicznej Polski i Czechosłowacji w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 28	234
Doman Rogoyski — sprostowanie do Wspomnienia o Janie Weinsteinie w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 29	236
Dr Witold Langrod — sprostowania do Wspomnień W. T. Drymmera w poprzednich <i>Zeszytach Historycznych</i>	236



„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POČZĄTKU LUTEGO, MAJA,
SIERPŃIA I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.

PRONUMERATA ROCZNA NA R. 1975 — F. 95,00

**PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 80,00**

F. 20 (dol. 5,00)